

MAREK STELAR

WY  
BRA  
NA

ILE MOŻNA DAĆ SIEBIE,  
KIEDY NIE MA SIĘ JUŻ NICZEGO?

FILIA

MAREK STELAR

WY  
BRA  
NA

FILIA

## SYNEK

Iwona otworzyła oczy i utkwiała spojrzenie w suficie. Przejście ze snu do jawy nastąpiło wyjątkowo szybko, bo sen nie był zbyt głęboki. Wiedziała, że za około półtorej godziny czeka ją robota. W zasadzie rutynowa, robiła to już kilkadziesiąt razy, ale teraz miała jakieś dziwne przeczucie, że coś może pójść nie tak. I nie wiedziała, skąd się ono wzięło, bo przecież wszystko było jak zawsze.

Obudziła się w swoim pokoju hotelowym na pięć minut przed sygnałem budzika. Była pewna, że chłopaki też już nie śpią, i zastanawiała się, czy któryś z nich też ma to przeczucie. Irracjonalne przeczucie, miała tego świadomość. Ryzyko zawsze istniało, ale mieli wyniki rozpoznania, byli przeszkoleni i w trójkę, no i nie robili tego pierwszy raz, przynajmniej ona i Mirek. W czasie realizacji zawsze coś mogło pójść nie tak, ale zwykle tak się nie działo. Zwykle wszystko przebiegało rutynowo.

Może to przez Krzyśka. Zawsze był tajemniczy, akceptowała to, kochała go takiego, jaki był, i od niego oczekiwała tego samego, ale ostatnio działo się z nim coś dziwnego. Coś niedobrego.

Wstała z łóżka i poszła do łazienki. Toaleta, zęby, lekki makijaż, który miał tylko pokryć zmęczenie, i była gotowa. Wróciła do pokoju, ubrała się, założyła pas z kaburą, wsunęła do niej glocka i sprawdziła, czy dobrze się trzyma, a potem wzięła telefon i zadzwoniła do Sołtyka.

– Halo? – ziewnął jej do telefonu, ale od razu zorientowała się, że tylko udaje zaspanego.

Mirek Sołtyk bywał zabawny, ale tym razem mu nie wyszło.

– Gotowi? – zapytała.

– Pewnie, szefowo! – Sołtyk miał denerwujący zwyczaj nazywania jej szefową.

Nie była jego bezpośrednią przełożoną, a kierownikiem grupy realizacyjnej została z racji stażu w policji, doświadczenia i starszeństwa stopniem. Tak się utarło od kilku miesięcy, że jeździli na zatrzymania

razem. A od wczoraj dodatkowo z „Synkiem”, nocującym z Mirkiem w tym samym pokoju. Jacek Knobl był młodym chłopakiem, który przeszedł do kryminalnej z prewencji i w związku z tym w tej robocie praktycznie nie miał doświadczenia, choć nie było między nimi aż takich różnic. Może ta nowa wymagała mniej siły, a więcej finezji. Knobl podobno coś zbroił. Był funkcjonariuszem policji prawie dwa lata, ale wciąż myślał, że będzie w kryminalnej robił nie wiadomo co, a skończyło się na zatrzymaniach poszukiwanych po ustaleniu miejsca pobytu. To tak, jakby szykował się na polowanie, a tymczasem kazano mu przynieść martwą kaczkę myśliwemu, który ją ustrzelił. I to w zębach.

– Śniadanie i jedziemy – zakomenderowała i rozłączyła się.

W trójkę zeszli do hotelowego bufetu, gdzie jedzenie nie było zbyt wyrafinowane: pszenne pieczywo, tanie wędliny, żółty ser i twaróg oraz parę innych rzeczy, które miały urozmaicić jadłospis, czyli pokrojone w cienkie paski warzywa. Jedli w milczeniu w niemal pustej sali, świadomi, że jeszcze dziś czeka ich podróż z zatrzymanym do Gdańska. No, chyba że gość wymyśli sobie, że natychmiast potrzebuje lekarza, wtedy realizacja się przedłuży. Synek poszedł po dolewkę kawy, a Sołtyk, gmerając językiem w zębach, kiwnął głową w jego stronę.

– Trzeba go wyszlifować. To jego głędzenie o przygodach na ulicy mnie dobija. I jeszcze chrapie, jebaniec.

– Nigdy nie byłeś krawężnikiem? – Iwona spokojnie smarowała bułkę masłem.

Zdarzyło się kilka razy, że musiała spać z Mirkiem w jednym pokoju i stąd wiedziała, że w chrapaniu wcale nie jest gorszy.

– Ale żeby ciągle o tym gadać? – Sołtyk zrobił wielkie oczy. – Ile, kuźwa, można?

Zamilkł, kiedy Knobl wrócił do stolika i kontynuowali posiłek już w milczeniu. Po śniadaniu wrócili do pokoiów po rzeczy. Pora powrotu do Szczecina zależała od tego, jak pójdzie zatrzymanie, i wszyscy po cichu liczyli na to, że gładko, pomijając dziwne przecucia Iwony. Obrzuciła ostatnim spojrzeniem pokój, sprawdzając, czy niczego nie zostawiła, i wyszła na korytarz, niosąc torbę. Chłopaki właśnie wychodziły od siebie. Zeszli razem na dół, wymeldowali się, wyszli przed hotel i wrzucili torby do bagażnika passata.

Na realizację wyjechali ze Szczecina przedwczoraj, a Łódź powitała ich mgłą i chłodem. Kiedy pierwszego wieczoru zainstalowali się w hotelu, jeszcze przed kolacją podjechali po ciemku pod dom człowieka, którego mieli zatrzymać w związku ze śledztwem prowadzonym przez gdańską prokuraturę. Następnego dnia prowadzili dyskretną obserwację, wieczorem Sołtyk przebrał się w sportowe ciuchy i pobiegł tam, kręcił się w okolicy przez dwie godziny i udawał joggera. Wszystko wyglądało normalnie. Facet mieszkał w niewielkim domu sam, nikogo nie przyjmował, miał psa, z którym koło dwudziestej pierwszej wyszedł przed dom, na ulicę. Mirek mówił po powrocie do hotelu, że palił spokojnie papierosa, stojąc w miejscu, dając psu tylko tyle swobody, na ile pozwalała długość smyczy. Spokój i sielanka. Tak było wczoraj.

A dzisiaj było dzisiaj i zbliżała się już siódma. O tej godzinie planowo mieli zacząć.

– Synek, co ci tam dynda na pasku? – zapytał rozbawiony Mirek, widząc Synka od tyłu, kiedy ten wrzucał plecak do bagażnika. – Z jakimś krzyżykiem, jak na tabletkę od Goździkowej?

– Ajfak. – Jacek nie wyglądał, jakby się przejął.

Indywidualny zestaw pierwszej pomocy nosili przy sobie czasem patrolowcy jako dodatkowe zabezpieczenie. Synkowi widać zostały przyzwyczajenia z poprzedniej roboty.

– To ma coś wspólnego z *fuck you*? Czy ty mnie właśnie obraziłeś? – Sołtyk zerknął na Iwonę i puścił do niej oko.

Jacek, nie odwracając się, wystawił rękę, pokazał Mirkowi środkowy palec i wsiadł na tył auta.

– Przezorny zawsze ubezpieczony – rzucił jeszcze przez uchylone drzwi.

– To gdzie masz kamizelę?

– Gdybym miał, tobym wziął.

– Chłopie, jedziemy po faceta, który przewalił ludzi na kasie, a nie po gangusa.

Trzaśnięcie drzwiami było jedyną odpowiedzią. Sołtyk wzruszył ramionami i podszedł do drzwi kierowcy. Iwona wsiadła do auta od strony pasażera i po chwili ruszyli w stronę Bałut, gdzie na osiedlu Marysin mieszkał podejrzany. Dom Marcina Jończyka znajdował się na ulicy

Kryzysowej, co od początku wzbudzało w chłopakach wesołość. W niej nie. Ona kryzys miała w domu.

Kiedy jechali przez zatłoczone miasto, Iwona myślała o Krzyśku. Dlaczego się tak dziwnie zachowywał, a przede wszystkim dlaczego nie chciał z nią o tym porozmawiać. Byli nie tylko partnerami, ale i przyjaciółmi, wydawało jej się, że nie mają przed sobą tajemnic, a tymczasem wyglądało na to, że on był w tej kwestii odmiennego zdania, przynajmniej od jakiegoś czasu. Poznali się w Tatrach, które były ich miłością. Spotkali się na szlaku, na Zawracie. Ona odpoczywała na Orlej Perci, patrząc, jak rzadkie niczym podarte pierze chmury napływają nad grań znad Doliny Gąsienicowej. Przycupnął obok niej i przedstawił się, a kiedy okazało się, że oboje są ze Szczecina, tematów do rozmowy przybyło. Zagadali się trochę, a dalej poszli razem. On kończył filozofię, ona była po maturze, zdecydowana iść do policji. On skryty i cichy, ona ekstrawertyczna, co w końcu jej przeszło, choć i tak później doszła do wniosku, że jej otwartość na ludzi była tylko na pokaz. Lubili tę samą muzykę, nie przepadali za zwierzętami, oboje byli samotnikami i kochali góry. To wszystko ich łączyło. Nie było wulkanów emocji ani histerycznej namiętności, ale była miłość, stabilność i szacunek, i to przez dwadzieścia lat. Razem przechodzili trudne momenty, zwłaszcza utratę Michasia, ale i szczęśliwe chwile. Tak było aż do teraz.

Sołtyk prowadził w milczeniu, ona patrzyła na mijane ulice i zabudowania, Synek też się nie odzywał. Kiedy przyjechali na miejsce, równocześnie wysiedli z samochodu. Nie zamierzali się czaić, robić teatrzyku, tylko załatwić sprawę i ruszać do Gdańska. Iwona rozejrzała się odruchowo: wąska ulica obsadzona szpalerami młodych drzew sprawiała wrażenie spokojnej. Niska, jednorodzinna zabudowa, przeważnie kostki z płaskimi dachami i hybrydy, a w zasadzie mutanty, które wyewoluowały z nich do formy przypominającej chaty, ogródki, trochę samochodów; jednym słowem standard. Kiedy podeszli pod drzwi domu Jończyka, Iwona zapukała zdecydowanie. Przez chwilę nic się nie działo, ale kiedy wyciągnęła rękę, żeby zrobić to jeszcze raz, tym razem mocniej, klamka opadła. Przygotowała się, spinając odruchowo mięśnie. Za plecami czuła obecność chłopaków.

Kiedy drzwi się otworzyły, zobaczyli drobnego bruneta w okularach. Twarz miał gładko ogoloną, ale uwagę Iwony zwrócił uderzający kontrast

między czernią włosów a bladością skóry. Po prostu bił w oczy.

– Czy pan Marcin Jończyk? – zapytała.

– Tak.

– Komisarz Iwona Banach, komenda wojewódzka policji w Szczecinie. Informuję pana, że zostaje pan zatrzymany w związku z postanowieniem prokuratora Pomorskiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu do spraw Przeszłości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej w Gdańsku pod zarzutem udziału w zorganizowanej grupie przestępczej kwalifikowanym z paragrafu dwieście pięćdziesiąt osiem kodeksu karnego. Ma pan prawo poinformować o zatrzymaniu swojego prawnika oraz członków najbliższej rodziny. Jeśli źle się pan czuje, może pan wezwać lekarza. Proszę się spakować i wziąć leki, jeśli jest pan przewlekłe chory. Zostanie pan przewieziony do prokuratury w Gdańsku, gdzie przedstawione zostaną panu zarzuty.

Iwona klepała stałą formułkę beznamiętnym tonem. Zawsze mówiła tym samym tonem, zmieniały się tylko paragrafy, nazwiska i siedziby prokuratur.

– Musimy wejść do środka – dodała, widząc, że Jończyk stoi w drzwiach nieruchomo jak kamień.

Mirek zrobił krok do przodu, stając obok niej i szykując się do udzielenia gospodarzowi pomocy we wpuszczeniu ich do domu.

– Wiem, po co naprawdę przyjechaliście – powiedział nagle Jończyk. – Wszystko wiem. Wiem, że nie dojadę do prokuratury, że gdzieś po drodze mnie sprzątniecie.

Sołtyk spojrzał zdziwiony na Iwonę, ale ona tego nie widziała, skupiona na twarzy Jończyka. Facet wyglądał na desperata. Blady, spocony, jego klatka piersiowa unosiła się w rytm szybkiego oddechu. To się nie stało w momencie, w którym zobaczył ich w drzwiach, ani kiedy mu powiedzieli, kim są i po co przyjechali. Ani nawet wtedy, gdy zobaczył ich przez okno. On był w takim stanie już wcześniej, o czym mogły świadczyć mokre włosy i ciemniejsze plamy pod pachami. To, co przed chwilą powiedział, też było dziwne, a w połączeniu z jego stanem mogło oznaczać tylko jedno.

Wiedział, że po niego przyjdą. Ale nie od wczoraj, bo już dawno by go tu nie było, zresztą Sołtyk meldował, że facet normalnie krząta się po domu i nic nie wskazuje na to, że czegoś się obawia. Musiał się tego dowiedzieć

dosłownie kilka, może kilkanaście minut wcześniej, ale mimo to nie próbował uciec. Coś było nie tak. Iwona patrzyła mu w oczy, patrzyła, jak oblizuje usta, i jak po czubku nosa spływa mu kropla potu. Trząśł się. Był autentycznie przerażony i Iwona to po części rozumiała.

– Proszę pana – zaczęła spokojnym tonem. – Kto panu naopowiadał takich...

– Broooooń!!!

Kiedy usłyszała wrzask Synka, jej ręka odruchowo sięgnęła do kabury. Dobycie glocka, wycelowanie i wsunięcie palca pod kabłąk zajęło jej ułamek sekundy. Potem był ogłuszający huk, podrzut broni, smród spalonego prochu i błysk łuski kręcącej się w powietrzu jak fryga.

Iwona zobaczyła, jak pod prawym okiem Jończyka, tuż obok nosa wykwitła niczym krwawe znamię mała, czerwona kropka, a ułamek sekundy później jego głowa szarpnęła się w tył, porwana energią pocisku. Mężczyzna poleciał w głąb domu i w tym samym momencie kątem oka Iwona zauważyła tam jakiś cień, majaczący przy ścianie. Z wnętrza dobiegło rozpaczliwe wycie psa.

Opuściła lekko rękę. Serce jej waliło, krew dudniła w skroniach, a w uszach piszczalo. Linia jej wzroku wciąż przechodziła przez elementy celownicze glocka i kończyła się na ciele Jończyka. Metr dalej zauważyła pistolet, który Jończyk najprawdopodobniej wypuścił, upadając na ziemię. Musiał go mieć w prawej dłoni, tej, która schowana była za drzwiami. Nie zauważyła go, bo patrzyła Jończykowi w twarz, a ubezpieczający ją Synek miał go całego w polu widzenia i może zobaczył lufę wystającą zza drzwi. W sumie chłopak uratował jej życie.

Wciąż w szoku odwróciła się, żeby mu podziękować, i zdrewniała z przerażenia.

Synek leżał na ziemi wpatrzony w niebo. Sołtyk kuczał obok niego i rozpinał mu koszulę. Iwona wróciła spojrzeniem do Jończyka, a w głowie miała kompletną pustkę. Była pewna, że nie zdążył wystrzelić, że go ubiegła, ale możliwe, że strzały zlały się w jeden, a ona była tak skupiona na reakcji obronnej, że wszystko, co działo się obok, umknęło jej uwadze. Wszystko było możliwe, bo szok starł z jej pamięci obrazy ostatnich chwil jak gąbka kredę z tablicy.



– Ajfak! Gdzie jego ajfak?! – wrzeszczał do niej Sołtyk, machając zakrwawionymi dłońmi.

– Pod nim! – Poczula, jak głos jej się łamie. – Miał go z tyłu.

Synek łapał powietrze gwałtownymi haustami. Przypadła do nich, szukając wzrokiem rany. Koszula była zakrwawiona, jej poły odsunięte na bok, ale klatkę piersiową też pokrywała rozmazana krew.

– Gdzie dostał? – wyszeptała bez tchu, ale Sołtyk jej nie słyszał.

– Nie odpływaj, chłopie, rozumiesz? Hej! Nie odpływaj! – wołał do Knobla.

– Nie zamykaj oczu! Zaraz wezwiemy pomoc! – Unosił biodro Synka, usiłując dostać się do pakietu pierwszej pomocy.

Twarz Knobla zrobiła się nagle niemal biała, a usta sine. Iwona poczuła, że trzęsą się jej ręce, bo wiedziała, co to oznacza. Jacek wpadł we wstrząs krwotoczny. Wokół niego nie było dużo krwi, ale tylko dlatego, że wsiąkała w materiał. W rzeczywistości musiał jej mnóstwo stracić w krótkim czasie, więc pocisk uszkodził jakieś duże naczynie. Trzęsącymi się rękoma wyciągnęła telefon, wstała z kolan i wybrała sto dwanaście. Rozmowa z dyspozytorem była nerwowa, bo musiał postępować zgodnie z procedurami, co jej zdaniem tylko wydłużało czas. Rozumiała, że każdy mógł się podać za funkcjonariusza policji, ale dyspozytor nie rozumiał, że liczy się każda sekunda. Kiedy skończyła rozmowę, Mirek robił już Synkowi resuscytację. Klęcząc przy nim, uciskał rytmicznie klatkę piersiową, napierając na nią całym ciężarem ciała. Jego oddech zsynchronizowany był z uciśnięciami i wydostawał się z ust Sołtyka krótkimi syknięciami, ale Iwona i tak wiedziała, że jest już po wszystkim. Do Mirka dotarło to kilka koszmarnie długich minut później. Przestał. Jeszcze przez chwilę klęczał tak nad Synkiem z pochyloną głową, a potem gwałtownie zerwał się z ziemi i popatrzył na Iwonę szeroko otwartymi oczami.

Nie potrafiła wykrztusić z siebie ani słowa i stała tak, patrząc mu w twarz, aż nagle Sołtyk zacisnął pięści i zaczął młócić nim powietrze wokół siebie.

– Kurwa, kurwa, kurwa!!! – powtarzał jak mantrę, jakby wierzył, że to słowo odwróci bieg zdarzeń.

Iwona usiadła ciężko na stopniu schodków z głową ukrytą w dłoniach i siedziała tak kilka minut, a kiedy usłyszała jęk syren, wstała, zdjęła z siebie kurtkę i położyła ją na twarzy Synka, żeby ukryć te szeroko otwarte

oczy przed spojrzzeniami wścibskich sensatów. W Stanach, Brazylii czy RPA, kiedy ludzie na ulicy usłyszą strzały, natychmiast kładą się na ziemi albo uciekają, a w tym popieprzonym kraju wyciągają telefony i biegną w tamtą stronę jak szczury, które zwęszyły padlinę. Kilku było już na miejscu. Jeszcze nieśmiało wychylali się zza drzew, albo wystawiali dłonie z komórkami, badając sytuację i kwestią minuty było, zanim zbiorą się na miejscu strzelaniny i zaczną jawnie robić zdjęcia albo kręcić filmiki na TikToka.

Mirek patrzył w milczeniu na nieruchome ciało Synka.

– Powinniśmy byli wejść do domu i sprawdzić, czy nie ma tam kogoś jeszcze – powiedział nagle.

– Powinniśmy... – wyszeptała, a głos ledwo przechodził jej przez gardło.

– Mamy przejebane, szefowo – stwierdził bez związku, a ona pokiwała głową, bo miał cholerną rację, choć tylko w połowie.

To ona miała przejebane.

## MICHAŚ

Następne kilkanaście godzin po akcji było koszmarem. Brak snu, obecność mnóstwa ludzi, z którymi musiała rozmawiać, wyjaśniać im, tłumaczyć się, telefony ludzi ze środowiska, którzy albo jej współczuli, albo byli ciekawi – wszystko to wyczerpywało zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Jej uczucia po zabiciu człowieka były na ostatnim miejscu, dla wszystkich najbardziej liczyło się to, dlaczego doszło do śmierci funkcjonariusza oraz zatrzymanego. Z jednej strony to rozumiała, z drugiej – narastał w niej bunt. Pocięszała ją tylko jedna myśl: gdyby doszło do tego wszystkiego przed śmiercią jej synka, pewnie skończyłoby się lekami, terapią, a może nawet jeszcze czymś gorszym.

Śmierć Michasia osiem lat temu znieczuliła ją. Magda, jej bliska koleżanka, która była psychoterapeutką, uważała wtedy, że Iwona zniosła wszystko nadspodziewanie dobrze jak na te okoliczności i że to sposób na poradzenie sobie z traumą, choć nie ma czegoś takiego jak totalne znieczulenie. Coś zawsze zostanie, zwykle w tych miejscach, do których nie sięga się świadomością.

Była na terapii po śmierci synka, jednak wyszła z niej wyłącznie z przekonaniem, że ludzie nie są w stanie zrozumieć emocji innych ludzi, jeśli sami czegoś podobnego nie przeżyli. A nawet jeśli przeżyli, nawet niemal w takich samych okolicznościach i podobnym natężeniu, to też tych emocji nie rozumieją. Nie da się ich objąć rozumem, choć ten próbuje je wyjaśniać i racjonalizować w oczywistym odruchu obronnym. Emocje są jak tsunami, czasem wykrywane tuż przed uderzeniem przez systemy ostrzegawcze, które tak naprawdę niczemu nie zapobiegną. Później naukowcy badają genezę powstania fal, przebieg, siłę, skalę spowodowanych przez nie zniszczeń, a one i tak uderzają znowu, w innym miejscu, ale zniszczenia są takie same. I historia się powtarza.

Iwonę pocieszał po prostu fakt, że jej synek nie zginął w wypadku czy z czyjejs winy. Po prostu zasnął na zawsze którejs nocy podczas ich pobytu

w Tatrach. Śmierć łódeczkowa z terminu, o którymś kiedyś słyszała, zmieniła się w namacalny, tragiczny epizod jej życia. Michaś był zdrowym dzieckiem. Nieplanowanym, ale to niczego nie zmieniało. Kiedy się urodził, Krzysiek zwariował na jego punkcie. Ona trochę mniej, ale przecież była jego matką, więc i tak biologia zrobiła resztę. Postanowili od początku zaszczeniać w nim miłość do gór i zabrali go na urlop. Od pierwszego wspólnego pobytu w Tatrach zatrzymywali się w Górkówce, na skraju Kościeliska, u babinki, która żyła tam samotnie, odkąd zmarł jej mąż, wynajmując pokój takim obszarpancom jak oni. Przyjeżdżali tam kilka razy w roku i żyli się z nią tak bardzo, że zapisała im dom, o czym dowiedzieli się po jej śmierci, i było to największe zaskoczenie w ich życiu. Mogli go sprzedać za spore pieniądze, ale nie zrobili tego, tylko odświeżyli, nazwali Stasinką od imienia babinki i odtąd był on ich bazą wypadową do wędrówek po górach. Byli cholernymi szczęściarzami i nie tylko oni tak uważali.

Matka Iwony twierdziła, że noszenie małego po górach w nosidełku na plecach nie jest dobrym pomysłem, podobnie jak niektórzy mijani na szlaku turyści, częstujący ich krzywymi spojrzeniami. Nie przejmowali się tym. Ostatni wieczór swojego życia ich siedmiomiesięczny synek spędził z nimi, radośnie gaworząc w swoim łódeczku, karmiony ulubionym musem jabłkowym. A w nocy wpadł z bezdech i odszedł od nich.

Od tamtej pory Iwona pojechała w góry tylko raz, ale nie potrafiła wejść do chaty. Nie była w stanie przejść przez próg, bo natychmiast dostawała ataku płaczu. To był jedyny widoczny objaw traumy i musiała to zaakceptować, a Krzysiek zaczął jeździć tam sam. Paradoksalnie, śmierć dziecka zbliżyła ich do siebie, zamiast oddalić. Nie było wzajemnych oskarżeń, roztrząsania, pretensji i żalów ani obarczania się winą. Był tylko ból, w którym trwali razem.

Teraz wspomnienia wracały, a ksywa Jacka Knobla tym mocniej je przywoływała. Śmierć przyciągnęła śmierć, ale Jończyk mało ją obchodził. W końcu chciał ich zabić.

Kiedy Iwona wreszcie wróciła do domu, nie zastała w nim Krzyśka. Była tylko przyczepiona do lodówki kartka, na której skreślił kilka słów wyjaśnienia, jednak dla Iwony nie były one żadnym wyjaśnieniem.

„Kocham. I przepraszam”.

Pocierając piekące ze zmęczenia oczy, dotknęła magnesu z widoczką Zakopanego, którym wiadomość była przyczepiona do drzwi, a potem wzięła do ręki telefon i wybrała numer Krzyśka. Kiedy przyłożyła komórkę do ucha, usłyszała sygnał, ale równocześnie dobiegł ją inny dźwięk. Dochodził z sypialni. Poszła tam i znalazła telefon Krzyśka podskakujący na blacie szafki nocnej w rytm wibracji. Kiedy anulowała połączenie, a ekran jego komórki zgasł, zaczęła się zastanawiać, czy to już pora, żeby zacząć się martwić. Otworzyła szafę i zobaczyła, że walizka jest na miejscu, ciuchy Krzyśka też, więc się nie wyprowadził. Nie było tylko jego laptopa, kurtki i butów i wyglądało to tak, jakby po prostu wyszedł do pracy. Wróciła do kuchni i stanęła przed lodówką, wpatrując się tępo w kartkę.

„Kocham. I przepraszam”.

Co to miało oznaczać? Że musiał zrobić coś wbrew sobie; odszedł, choć nie chciał? A może chciał odejść, a to „kocham” było żalowaną próbą usprawiedliwienia i wybielenia się?

Pismo było na pewno jego, nie miała żadnych wątpliwości. Gdyby nie dziwne zachowanie Krzyśka w ciągu ostatniego czasu, nie miałyby złych przeczuć, ale teraz wiedziała, że coś jest nie tak, choć nie miała pojęcia co, ale to sprawiało, że było jej gorzej. Zwłaszcza teraz.

Może powinna była naciskać i wreszcie z nim porozmawiać, a nie odkładać tego na później, tak jak on chciał?

Wybrała z kontaktów numer Łapy, współpracownika Krzyśka, kamerzysty, z którym najczęściej jeździł robić materiały.

Partner Iwony był reporterem szczecińskiego oddziału telewizji publicznej; robił materiały do „Kroniki”, programów regionalnych i ogólnopolskich, maczał palce dosłownie we wszystkim, od kultury po bezpośrednie relacje z miejsc przeróżnych zdarzeń. Mimo swojej wrodzonej flegmatyczności wszędzie zdążał i zawdzięczał to perfekcyjnej organizacji swoich spraw, która nie dotyczyła jedynie kwestii porządku we własnym domu.

Łapa nie miał pojęcia, gdzie jest Krzysiek i nie widział go od kilku dni. Był podejrzanie lakoniczny, więc zadzwoniła do wydawcy, Darka, który oświadczył, że jej facet nie pojawia się w pracy od tygodnia, nie odbiera telefonu i nie realizuje zamówionych materiałów. Poprosił o przekazanie mu informacji, że w redakcji rozumieją wszystko, ale tak się nie da pracować,

więc żeby się zastanowił, czy dalej chce być w zespole, bo jego koniec w nim jest bliski. Kilka kolejnych osób nie miało w ogóle kontaktu z Krzyśkiem od dłuższego czasu.

Patrząc pustym wzrokiem na telefon, Iwona w końcu doszła do wniosku, że została jej już tylko jedna możliwość.

Zadzwoiła do Jaśka, sąsiada z Górkówki, który doglądał zza płotu Stasinki podczas ich nieobecności. Uwielbiała jego poczucie humoru, choć chłop lekko w życiu nie miał, a od jakiegoś czasu walczył z rakiem wątroby. Nie widziała go od ośmiu lat, rozmawiali tylko czasem przez telefon.

– Halo, Iwonkaaaa – przywitał ją z tym swoim góralskim zaśpiewem, wywołując na jej twarzy lekki uśmiech, pierwszy od kilku dni.

– Cześć, Jaśku, słuchaj, nie bardzo mogę teraz rozmawiać, mam tylko pytanie: czy Krzysiek pojawił się ostatnio w chacie?

– Nieee. – Iwona niemal widziała, jak Jasiek robi z ust dzióbek. – Absolutnie. Ino cisa i spokój. A co?

– Neee, nic – bagatelizowała. – Nie było mnie kilka dni, bo na robocie byłam i nie mogę się do niego dodzwonić. Pewnie w teren pojechał. Dasz znać jakby co?

– No jasne!

Jeśli dziwne pytanie i niezbyt logiczne wyjaśnienie nie przekonały Jaśka, to nie dał tego po sobie poznać i Iwona była mu za to wdzięczna. Za to, że nie zapytał, co się dzieje, choć pewnie ciekawość go zżerała. Pożegnała się, odłożyła telefon i zrobiła sobie herbaty.

Nie miała pojęcia, do kogo jeszcze mogłaby zadzwonić, kto mógłby jej ewentualnie udzielić jakichś informacji o miejscu pobytu Krzyśka. Jeśli w ogóle ktokolwiek je znał.

Czekał ją ciężki okres w życiu, pojawiło się tylko pytanie, czy osoba, której wsparcia oczekiwała najbardziej, będzie mogła jej je dać.

Zgłoszenie zaginięcia Krzysztofa Reinerta złożyła trzy dni później.

## DWIE MATKI

Iwona przestała chodzić do pracy. Została zawieszona w wykonywaniu obowiązków służbowych na czas postępowania dyscyplinarnego, zabrano jej wszystkie dodatki i miała dostawać jedynie gołą pensję. Zasugerowano jej, żeby w Fabryce pojawiała się wyłącznie na wezwanie, w celu odbycia rozmów, złożenia dodatkowych wyjaśnień, cholera wie, czym było to, po co wzywano ją na Małopolską albo do prokuratury.

Nie miała wiele do roboty. Siedziała w domu, kręciła się po mieście, czytała książki, na które nie miała czasu wcześniej, i obejrzała chyba całą zawartość Netflix'a. Poza tym bywała częściej u matki, choć wyłącznie dlatego, że miała na to czas, a nie dlatego, że łączyło ją z nią coś więcej, niż tylko relacja rodzinna.

Jej matka żyła samotnie w ponadstumetrowym mieszkaniu w kamienicy przy alei Jana Pawła II, nieopodal urzędu miejskiego, w jednym z najatrakcyjniejszych miejsc Szczecina. Ojciec, naczelnik jednego z wydziałów magistratu, nie żył od lat, potrącony na ulicy przez pijanego chłopaka, który wyskoczył z imprezy po flaszkę. Na imprezę nie wrócił, do domu też nie, i to przez następne dwanaście lat, ale ojcu życia to nie przywróciło. Potem, niecałe pięć lat później, odszedł jej brat. Odchodził długo i boleśnie, znikał w oczach, w miarę jak nowotwór zajmował kolejne narządy, aż wreszcie Robert się poddał. Matka chyba też, Iwona nie, choć się uwielbiali: to Robert był jej powiernikiem i przyjacielem. Choroba brata dała jej kopa. Im mniej życia było w nim, tym więcej jego chęci w niej. To była jej głupia, bezsensowna zemsta na Bogu, ale tylko w ten sposób mogła jej dokonać.

Matka po przejściu w stan spoczynku tkwiła sama w czterech ścianach, wychodząc wyłącznie po podstawowe zakupy, a potem przestała robić nawet to, zamknęła się za murami mieszkania i twierdziła, że tak jest jej dobrze. Iwonie nie pozostawało do zrobienia nic innego jak to, co musiała robić od dziecka, czyli zaakceptować jej decyzję. Problem w tym, że jej matka tkwiła

w specyficznym stanie pomiędzy rzeczywistością a własnym wyobrażeniem na jej temat. Nie miała alzheimera, tylko starcze otępienie, które czasem ludziom przydarza się bardzo wcześnie, nawet tuż po sześćdziesiątce. Tak przynajmniej twierdzili lekarze, kiedy wykluczono już wszystkie możliwe choroby i została ta jedna możliwość, zresztą widoczna w obrazie tomografii komputerowej. Ciemniejsze obszary mózgu były jak chmury burzowe nadciągające nad życie i wieszczące wyłącznie kłopoty. Po jakimś czasie matka straciła zainteresowanie postępami choroby. Wciąż pamiętała, jak wyglądali oskarżeni w procesach, którym przewodziła, pamiętała wyroki, pamiętała nawet, jaka była pogoda, kiedy je wydawała, a przynajmniej tak twierdziła. W zasadzie nie mówiła praktycznie o niczym innym, jakby tamte wydarzenia były kotwicą trzymającą ją przy życiu. Gorzej było z dniem dzisiejszym. Wyobrażała sobie różne rzeczy, a potem opowiadała o nich z takim przekonaniem i szczegółami, jakby wydarzyły się naprawdę. Obcy ludzie, którzy jej nie znali, a mieli okazję z nią przez chwilę porozmawiać, byli zdziwieni, kiedy Iwona informowała ich później o stanie matki. Ona zaś pytała samą siebie, czy potrafi rozpoznać, kiedy stanie się niebezpieczna dla własnej córki i dla otoczenia. Kiedy weźmie pożyczkę w parabanku pod zastaw mieszkania, kiedy przepisze je na kościół, albo kiedy zostawi odkręcony gaz i zaśnie w fotelu przed telewizorem. Odsuwała od siebie te myśli, choć niedaleko. Nie mogła sobie pozwolić na to, żeby zupełnie zniknęły. Nie stać jej było na taki komfort. Zaczynało grzmieć.

Postawiła siatki z zakupami obok i zadzwoniła domofonem. Miała własne klucze, ale chciała zmusić matkę do ruszania się, chociaż te kilkanaście kroków do drzwi.

– Tak? – Dobrze chociaż, że pytała jeszcze, kto za nimi stoi.

– Ja.

– Iwonka?

– Tak. – Zdrobnienie było nieadekwatne do stanu uczuć i nie chodziło o to, co działo się w jej głowie teraz. – Otworzysz?

O ile Iwona przez całe życie zmuszona była do akceptowania każdej decyzji matki, o tyle jej decyzje nie były przez Janinę Banach nigdy akceptowane. Ani liceum, ani chłopcy, z którymi się spotykała, ani wybór drogi życiowej, niezgodny z życzeniem matki, która oczekiwała, że córka pójdzie w jej ślady. Ale pójście w jej ślady było ostatnią rzeczą, jakiej



pragnęła Iwona. To rodziło oczywiste napięcia i spowodowało, że wyprowadziła się z domu, gdy tylko była w stanie zacząć utrzymywać się sama.

Kiedy odezwał się brzęczyk, Iwona pociągnęła drzwi, przytrzymała je stopą, dźwignęła siaty i weszła na klatkę schodową. Mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze.

– Hej – powiedziała, kiedy zobaczyła matkę stojącą w otwartych na oścież drzwiach.

– Hej – odparła ta automatycznie, spoglądając szklanym wzrokiem.

Iwona wniosła zakupy do kuchni. W domu panował lekki zaduch, matka nie lubiła otwierać okien w obawie przed przeciągami, ale Iwona stwierdziła, że to nie jej sprawa. Dopóki matka ogarniała wszystko sama: myła się, gotowała i sprzątała, dopóty nie zamierzała się w nic wtrącać.

– Wszystko w porządku? – zapytała, pakując część zakupów do lodówki.

– Tak. Mówili w telewizji, że mają być nawałnice. Chyba nie będę wychodzić.

– Okej. – Iwona zamknęła drzwi lodówki i jej uwagę zwróciły te dolne, od zamrażarki.

Były niedomknięte. Uchyliła je i zobaczyła, że lód wręcz wypełza ze środka niczym łożysko lodowca spływający alpejską doliną. Jęknęła w duchu.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że coś się dzieje z lodówką?! – zawołała przez ramię.

– A co się dzieje? – Matka weszła do kuchni.

– Nie widzisz, że zamrażarka się nie domyka, bo lód przeszkadza?

– Myślałam, że lód w zamrażarce to normalna sprawa.

– Nie zdziwiło cię, że nie możesz domknąć drzwiczek ani otworzyć szuflady? – Pochyliła się i chwyciła za przymarznięty i pokryty lodem uchwyt.

Ani drgnął. Matka wzruszyła tylko ramionami.

Iwona stała bezradnie przed lodówką. Urządzenie miało ponad dwadzieścia lat i tylko jedno pokrętko regulacji temperatury. Nie wiedziała nawet, czy obsługuje tylko lodówkę, czy zamrażarkę również. Zaczęła się zastanawiać, czy nie użyć suszarki do włosów, ale nie miała ochoty spędzać tu kilku godzin, poza tym skończyłoby się to zalaniem kuchni. Wreszcie podeszła do szuflady ze sztućcami i wyciągnęła tłuczek do mięsa, który był

również siekierką do jego sprawiania, a na jego końcu sterczał szpikuliec do lodu. Pamiętała go z dzieciństwa, strasznie ją wkurzał, bo góra była odkręcana i ciągle się obluzowywała. Kiedy wzięła go do ręki i machnęła nim, stwierdziła, że nic się nie zmieniło. W tym domu od dziesiątek lat nie zmieniło się praktycznie nic.

Wzięła jeszcze miskę, podeszła do lodówki, kucnęła przed zamrażarką, uchyliła drzwiczki i zaczęła odłupywać białe stalaktyty, i wrzucać je do miski. Już po kilkunastu sekundach dłonie zgrabiały jej z zimna.

– W normalnym domu takie rzeczy robi mężczyzna – stwierdziła matka, stojąca w drzwiach do kuchni.

Iwona odwróciła się w jej stronę, mocniej zaciskając zlodowaciałe palce na trzonku tłuczka.

– A od kiedy to był normalny dom? – zapytała.

– Mówię o tym, że powinien to zrobić ten twój...

Matka nie potrafiła nigdy zaakceptować tego, że jej córka była latami w nieformalnym związku. Dziś to nie miało znaczenia, bo często nie pamiętała nawet imienia Krzyśka. Teraz też nie, choć nigdy by się do tego nie przyznała.

– Ale nie robi. – Iwona wróciła do dźgania lodu.

– Bo uciekł – stwierdziła matka, znowu ją zaskakując.

Iwona nigdy nie mogła być pewna, kiedy matka przeskoczy z kanału na kanał. Kiedy ze swojego świata wróci do tego realnego. I na odwrót.

– Zaginał, a nie uciekł. – Zacisnęła zęby. – I nie życzę sobie, żebyśmy o nim rozmawiały. Nie mam ochoty.

– Może nie był idealny, ale gdybyście się chociaż pobrali, jak normalni lu...

– Zamknij się! – Cisnęła tłuczkiem o podłogę, brzęknęło i odprysk gresu przeleciał tuż obok jej czoła. – Rozumiesz? Nie odzywaj się i daj mi spokojnie pracować!

Matka wzruszyła ramionami, odwróciła się i zniknęła za drzwiami. Zanim Iwona podniosła tłuczek, nachuchała w dłonie, których niemal nie czuła, a potem znów zaczęła dźgać lód szpikulcem. Białe bryłki spadały z hukiem na plastikową półkę, szron sypał się na jej dłonie i na podłogę, gdzie topił się, tworząc kałuże, a ona myślami była daleko stąd i sama nie wiedziała, gdzie dokładnie. Nie zauważyła nawet, że matka wróciła i stojąc przytulona

do framugi, obserwowala ją w milczeniu. Zorientowała się, kiedy ta kaszlnęła cicho.

– Przepraszam – mruknęła przez ramię Iwona, choć nie czuła się winna.

– Za co? – Uniesione brwi świadczyły o tym, że matka naprawdę nie wie za co.

– Nieważne. – Podtarła nos zimną dłonią. – Chyba trzeba będzie kupić ci nową lodówkę.

– A co jest nie tak z tą?

Iwone nie chciało się dyskutować. Podniosła się z kucek, wzięła miskę z lodem i rozchlapując wodę, poszła do łazienki, gdzie wysypała zawartość miski do wanny. Wróciła do kuchni, ogarnęła ją trochę, wytarła posadzkę i opuściła mieszkanie. Wychodząc z klatki schodowej na ulicę, zastanowiła się nad czymś przez chwilę, a potem wróciła na górę. Nie poszła jednak z powrotem do matki, tylko piętro wyżej i zapukała do drzwi mieszkania znajdującego się w tym samym pionie. Kiedy otworzyła je Kaliszczakowa, również wdowa oraz wredne babsko, które Iwona знаła od dziecka, na klatkę wydostał się zapach gulaszu.

– Coś nie tak z Janiną? – zapytała sąsiadka, unosząc brwi.

Wyglądała tak, jakby marzyła o tym, że coś było nie tak. Znały się z matką prawie pięćdziesiąt lat, ale tej znajomości nie dało się nazwać nawet zażyłością. Zwykła sąsiedzka relacja, i tyle. Iwona wycelowała w nią palec i wycodziła:

– Nie interesuje mnie, skąd się pani dowiedziała, ale nie życzę sobie rozmów o moich prywatnych sprawach z moją matką, czy to jasne?

– Ale...

– Czy to jest jasne? – Podniosła głos i wycelowała w nią palec wskazujący.

Kaliszczakowa zmarszczyła nos i schowała głowę w ramionach. Szyja zniknęła, podbródek oparł się o obojczyki. Przyjęła odruchowo postawę obronną, jakby nie wiedziała, na co Iwonę stać, ale wolała się przed tym zabezpieczyć, cokolwiek by to było. Jeszcze przez chwilę patrzyły sobie w oczy, potem Iwona zeszła na dół. Na ulicy zerknęła na zegarek. Do rozmowy w komendzie, na którą wezwano ją wczoraj, miała jeszcze prawie godzinę, więc postanowiła pójść na Małopolską piechotę.

Szła przez miasto, zastanawiając się, po cholere znów ją tam ciągną. Zbliżała się do ogromnych drzwi neogotyckiego budynku i czuła, jak

przyspiesza jej puls. Kiedy otwierała je, jak zwykle silnie na nie napierając, zwróciła uwagę na stojącą nieopodal niepozorną kobiecinę w szarym płaszczu. Trzymała ręce w taki sam sposób, w jaki robią to ludzie stojący na mszy, a w palcach ścisnęła rączki czerwonej torebki. Iwona prześliznęła się po niej wzrokiem i weszła do środka, nie zaprzatając sobie nią więcej głowy. Skierowała się prosto do swojego naczelnika, który na jej widok odprawił jednego z podkomendnych, zaprosił ją do gabinetu, a potem wstał i zamknął drzwi.

– Jak się masz? – Podinspektor Wojtczak przyjrzał się jej dokładnie.

Iwona go lubiła. Nie stanął za nią murem, wołając „pierwszemu” prosto w twarz, że będzie jej bronił, zasłaniając własną pierś, ale i nie potępił. Czekał na rozstrzygnięcie postępowania dyscyplinarnego, zajął wyczekującą postawę, w końcu był jego uczestnikiem, ale równocześnie dawał swojej podwładnej dyskretne, choć jasne sygnały, że może mieć w nim oparcie. Ona jednak wiedziała, że stare powiedzenie „na władzę nie poradzę” w realiach policji sprawdzało się wciąż świetnie. To nie od Wojtczaka zależało, jak skończy się postępowanie, choć doceniała jego lojalność.

– Chyba nieźle, jak na te okoliczności – odparła.

– To dobrze. – Wojtczak potarł nos, chyba czuł się odrobinę niezręcznie. – To dobrze. Zaprowadzę cię zaraz do Holza. To prokurator z Łodzi. Nic się nie denerwuj, odpowiadaj na pytania i niech wypierdala.

– Okej – bąknęła.

– Co z twoim facetem?

– Żadnych wieści. – Wzruszyła ramionami; co innego mogła powiedzieć.

– Dałem znać swoimi kanałami do wszystkich wojewódzkich. Będą się rozglądać.

Westchnęła.

– Najgorsza jest niepewność, wiesz? Nie mam pojęcia, na co się szykować. Wiadomość, którą zostawił, oznacza, że odszedł z własnej woli, ale to takie do niego niepodobne. Mógłby się chociaż odezwać, że nic mu nie jest. – Popatrzyła szefowi w oczy.

Oboje wiedzieli, że wszystko jest możliwe, także to, że już nigdy się nie odezwie, bo nie żyje. Nie było potrzeby wypowiadać kolejnych słów.

– Przykro mi. – Wojtczak rozłożył ręce w geście bezradności, poły rozpiętej kurtki mundurowej się rozsunęły. – Dobra, chodź, bo zasmrodzi cały konferencyjny. Ma chyba chorobliwą nadpotliwość. Nie zostanę z tobą, bo to nie dotyczy dyscyplinarki, potem mi opowiesz.

Wyszli z gabinetu, a kiedy szli korytarzem, minęli Sołtyka. Mirek spojrzał na nią ze smutnym uśmiechem i pokazał zaciśnięte pięści ze schowanymi w palcach kciukami. Zdążyła trącić go lekko łokciem w porozumiewawczym geście, a chwilę później Wojtczak otworzył drzwi pomieszczenia, w którym odbywały się wydziałowe nasiadówki. Na jednym z krzeseł siedział łysawy człowieczek w drucianych okularach i garniturze, którego kolor był nie do określenia, stanowiąc coś pomiędzy zielenią a szarością. Iwone przyszyły na myśl gnijące liście.

Kiedy weszła do pomieszczenia, mężczyzna wstał i odwrócił się w jej stronę.

– Dzień dobry, Jarosław Holz, prokuratura okręgowa Łódź. Jestem w Szczecinie z powodu innej sprawy, ale przy okazji postanowiłem dopytać jeszcze o kilka rzeczy dotyczących tej naszej. Proszę, niech pani usiądzie. – Wyciągnął rękę i wskazał jej krzesło obok siebie.

Usiadła, ale nie na tym, które jej wskazał, tylko obeszła stół i wybrała to naprzeciwko niego. Facet faktycznie wydzielał niezbyt miły zapach. Wojtczak zgodnie z zapowiedzią nie wszedł za nią i Iwona przez chwilę poczuła się wyjątkowo osamotniona. Zebrała się jednak w sobie, chrząknęła i poprawiła na krześle.

Zgodnie z jej przewidywaniami Holz zaczął wypytywać ją o kolejne szczegóły akcji zatrzymania Jończyka i Iwone przypominało to wiwisekcję żaby na lekcji biologii. Sięgał coraz głębiej, dopytywał o rzeczy kompletnie jej zdaniem nieistotne, aż wreszcie stwierdziła, że ma dość i dłużej tego nie zniesie.

– Czy naprawdę musimy wałkować w kółko to samo? – zapytała w pewnej chwili, przerywając mu zadawanie kolejnego idiotycznego pytania. – Przecież macie wszystko spisane. Nawet nagrane. Jeśli już nie chce wam się tego czytać, to sobie posłuchajcie.

– Pani komisarz...

– Jestem zmęczona, rozumie pan? – Pochyliła się w jego stronę, chwytając mocno krawędź stołu, jakby miała zamiar się od niego odepchnąć i odjechać

krzesłem jak najdalej stąd.

– Oczywiście, że rozumiem, nie zmienia to jednak faktu, że musimy poznać wszystkie szczegóły zdarzenia. Nawet te najdrobniejsze.

– Czy ja mówię do ściany? Poznaliście je już! Nie mam nic do dodania, jeśli chodzi o przebieg zdarzeń w Łodzi. – Wolała w ten sposób określać to, co zdarzyło się na ulicy Kryzysowej; tak było bezpieczniej.

– Pani komisarz nie zdaje sobie chyba sprawy, że jakiś szczegół, który nam umknął, może być jęczyczkiem u wagi. I przeważyć na pani korzyść.

– Nie doda pan, że równie dobrze może to zadziałać w drugą stronę? – Zmrużyła oczy.

Holz milczał, udając, że coś notuje.

– Czy pani widziała broń w ręku Jończyka? – zapytał nagle.

– Już mówiłam...

– Proszę powiedzieć jeszcze raz.

– Usłyszałam krzyk sierżanta Knobla, zareagowałam zgodnie z regułami wpojonymi na szkoleniu.

– Czyli?

– Dobyłam broni służbowej, wycelowałam i...

– Aspirant Sołtyk zeznał, że nie widział broni u zatrzymanego, choć stał obok pani. Jończyk miał rękę schowaną za skrzydłem drzwi. Pani też nie jest na sto procent pewna, tak przynajmniej wynika z pani wyjaśnień złożonych tuż po zdarzeniu, jeszcze w Łodzi. Pozwoliłem sobie do nich zajrzeć. Przeczytać – dodał z lekką kpina.

– Sierżant Knobl ją widział. Nie wymyśliłby jej sobie.

– Ale on nam o tym nie opowie, prawda?

– Nie rozumiem, co pan teraz insynuuje. Przecież broń była, tak? Leżała obok Jończyka. Były na niej jego odciski palców, z niej wystrzelony został pocisk, który ugodził Synka.

– Sierżanta Knobla – poprawił ją Holz.

– Uważa pan, że się pospieszyłam z oddaniem strzału? – Odchyliła się lekko do tyłu, ale niewiele to dało, smród potu otaczał ją ze wszystkich stron.

– Nie widziała pani broni, to jest fakt. Strzeliła pani do niego, nie widząc broni.

– Jończyk zastrzelił Knobla. To też jest fakt. I po to do zatrzymań wysyła się grupę, a nie pojedynczego funkcjonariusza, czy nawet dwóch. Bo ktoś to przemyślał, a pan próbuje na nowo wynaleźć koło albo znaleźć w nim kąty.

– A pani zastrzeliła Jończyka. – Prokurator patrzył na nią nieruchomym wzrokiem, jakby nie usłyszał, co powiedziała.

– Miałam czekać, aż zastrzeli Sołtyka i mnie? – Jej głos był niski z napięcia. – Zdurniał pan?

– Posuwa się pani za daleko, pani komisarz, ostrzegam. – Holz zmarszczył nos. – Z pani wyjaśnień wynika również, że w momencie zdobycia broni służbowej z kabury nabój był w już komorze.

– Tak.

– Dlaczego?

– Nie rozumiem pytania.

– Według instrukcji funkcjonariusz przeładowuje broń w momencie zdobycia. Zwłaszcza że w glocku nie ma typowego bezpiecznika manualnego, więc skraca to czas pracy na broni. Chodzi o bezpieczeństwo.

– Bezpieczeństwo? – Pochyliła się, ignorując smród potu. – Co pan wie o posługiwaniu się bronią w sytuacjach realnego zagrożenia życia funkcjonariusza? Poza tym sam pan sobie odpowiedział na pytanie. System zabezpieczenia w glocku jest automatyczny i w pełni zabezpiecza przed przypadkowym oddaniem strzału przez osobę obytą z bronią. Zawsze podczas akcji mam broń gotową do strzału. I pierdolę instrukcje, bo tam, w Łodzi, właśnie się okazało, że ten ułamek sekundy potrzebny na przeładowanie najprawdopodobniej uratował mi życie, rozumie pan to?

– Pocisk trafił w pień mózgu. Jak wy to mawiacie: nastąpiło rozłączenie elektrowni.

– Jończyk stał metr ode mnie. Poza tym jaki to ma związek?

– Może nie ma, a może właśnie ma... – Holz pokiwał smętnie głową, nie patrząc jej w oczy.

– Kim on naprawdę był? – zapytała cicho. – Kim był Jończyk?

– Wie pani, kim był.

– Pytam, kim był naprawdę, a nie co mi zostało o nim powiedziane. Wygląda na to, że są spore różnice. Może wyjaśnimy sobie również te, jakże istotne szczegóły?

– Nie rozumiem, o co pani chodzi.

- Ktoś mnie wrabia, o to mi chodzi.
  - Pani coś insynuuje?
  - Nie insynuuję, tylko twierdzę, że postępowanie dyscyplinarne powinno być uzupełnione o rzetelne śledztwo. A pan je prowadzi nierzetelnie.
  - Pani opinia nie jest dla mnie wiążąca.
  - Pan dalej nie rozumie. Ktoś dał mu cynk, że przyjedziemy, i to w ostatniej chwili. Ktoś oprócz niego był w domu, kiedy tam zapukaliśmy. Ten wątek w ogóle nie został sprawdzony!
  - Proszę się nie unosić, pani komisarz.
  - Dwie sztuki broni u pieprzonego księgowego? – Wiedziała, że w domu Jończyka znaleziono później drugi egzemplarz broni, cezetkę. – To czym księgowym on mógł być? Poza tym nie przyszło panu do głowy, że Knobl dokładniej zobaczył to, co mnie wydawało się cieniem? Był młodszy, miał doświadczenie z ulicy, refleks i pewnie lepszy wzrok...
  - Nikt nie potwierdził obecności innej osoby na miejscu zdarzenia. Powinna pani dopuścić do siebie myśl, że mogła się pomylić. W ciemnym wnętrzu łatwo o taką pomyłkę.
  - Miałabym pomylić psa z człowiekiem? Pan mnie obraża?
  - W warunkach stresu bojowego może zdarzyć się wszystko, pani komisarz, i pani powinna wiedzieć o tym najlepiej, prawda?
  - Powtarzam po raz kolejny to, co mówiłam już chyba ze dwadzieścia razy: wycie psa dobiegało z wnętrza domu, nie było go w przedsionku. Kurwa, człowieku, psy nie strzelają! – Poczula, że zaraz straci panowanie nad sobą. Stres ostatnich tygodni ją wykańczał.
  - Już o tym rozmawialiśmy, nie ma sensu do tego wracać, proszę się nie upierać.
- Iwona poczuła się jak w domu wariatów, gdzie im bardziej zaprzeczasz, że jesteś wariatem, tym większą ilością prochów cię faszeraują.
- Czy o coś jeszcze chciał mnie pan zapytać? – Postanowiła odpuścić: sama słyszała, jak zmęczony był jej głos.
  - Nie, to wszystko, dziękuję.
  - W takim razie do widzenia. – Wstała i nie zaszczycając Holza nawet krótkim spojrzeniem, ruszyła w kierunku drzwi, zostawiając za sobą odsunięte krzesło i unoszącą się nad stołem chmurę smrodu.



Wyszła z pomieszczenia i skierowała się prosto do naczelnika. Wiedziała, że Holz też tam za chwilę wylądował, więc chciała zdążyć pożegnać się z szefem, zanim prokurator do niego wejdzie. Zdążyła. W dwóch zdaniach streściła mu przebieg rozmowy, a potem znów, jak zwykle w ciągu ostatnich kilku tygodni, wyszła z budynku, nie zachodząc do kolegów. Nie miała nastroju.

Tuż po wyjściu jakaś kobieta zatrzymała ją, chwytając za rękaw kurtki, i Iwona uświadomiła sobie, że to ta sama, która przyglądała się jej, kiedy niecałą godzinę wcześniej wchodziła do budynku komendy.

– Pani Banach, prawda? – zapytała łamiącym się głosem.

– Tak, a o co chodzi? – Iwona zerknęła na nią lekko poirytowana.

– Nazywam się Teresa Knobl.

Zesztywniała. Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

– Chciałam pani spojrzeć w oczy – wyjaśniła matka Synka.

– Po co? – Nie miała siły na grzeczność czy współczucie, jej też prawie nikt tego nie okazywał. – Co pani to da?

– Chciałam spojrzeć w oczy komuś, kto jest winny śmierci mojego syna.

Iwona poczuła, jak krew zaczyna jej wrzeć w żyłach.

– Była pani na miejscu? – syknęła. – Widziała to pani? Jest pani kolejną wszechwiedzącą osobą?

– Nie byłam i nie widziałam. Ale wiem, że to pani była odpowiedzialna za tę akcję.

– Tacy wszyscy jesteście prędcy w ocenianiu? Czy on był małym chłopcem? Czy nie wiedział, co to za robota?

– Jak możesz? – W oczach kobiety błysnęły łzy. – Jak możesz? Nie masz własnych dzieci?

Twarz Michasia, uśmiechnięta i szczęśliwa, umazana jabłkowym musem stanęła nagle Iwonie przed oczami.

– A myśli pani, że jak ja się czuję? – Uświadomiła sobie nagle, że jej głos zaczyna niebezpiecznie drzeć. – Że mi z tym dobrze?

– Biedactwo, chcesz się zamienić? – spytała szyderczo Knoblowa.

Michaś zniknął i zamiast niego pojawił się Synek, leżący na bruku, skrwawiony, z białą jak śnieg twarzą. Iwona zaczęła się trząść, a potem kucnęła na chodniku, podpierając się ręką, drugą zakryła twarz i rozplakała się jak dziecko. W tym płaczu było wszystko: żal, złość, a nawet

wściekłość i strach przed konsekwencjami. Mimo zaciśniętych powiek zobaczyła wszystkich, których kiedykolwiek pożegnała: syna, obie babcie i jednego z dziadków, ojca, Roberta, kolegę z klasy, który wpadł pod samochód, kumpla ze służby zabitego podczas patrolu i drugiego, który wybrał śmierć z własnej ręki. Przez jedną krótką, ale straszną chwilę miała wrażenie, że stoją wokół niej, przypatrują się, jak lka, i nic nie mogą zrobić, bo nie żyją. Nie istnieją. I wtedy poczuła na swojej głowie ciepło: poczuła czyjąś dłoń, która zaczęła głaskać jej włosy. Matka Synka kucnęła, a potem klęknęła obok niej i przytuliła ją. Iwona słyszała, że też płacze. Przechodnie mijali obie kobiety, jeden przystanął zdziwiony, ale zaraz poszedł swoją drogą, a one przez dobrą minutę płakały przytulone do siebie, z twarzami ukrytymi w zagłębieniach obojczyków.

Kiedy odsunęły się od siebie, jedna spojrzała drugiej w oczy. Matka Synka wstała nagle bez słowa, otarła łzy, drugą ręką wciąż ściskając czerwoną jak krew jej syna torebkę, popatrzyła jeszcze z góry na Iwonę, po czym odwróciła się bez słowa i ruszyła w stronę filharmonii. Iwona ze wzrokiem wbitym w płyty chodnika dochodziła do siebie. Trudno było jej jeszcze uwierzyć w to, co się przed chwilą stało. Podniosła się, poprawiła zmierzwiłone włosy i poszła w drugą stronę, kręcąc głową. Ochłonęła trochę, ale konkluzja dzisiejszego dnia była taka, że wszyscy wydali już na nią wyrok. Zaocznie. Bez znajomości faktów. A nie minęło nawet południe.

Mieszkanie wciąż było puste i tak dotrwała samotnie do wieczora, jak codziennie od ponad dwóch tygodni. Tuż przed dwudziestą drugą zadzwonił Sołtyk.

– Jak tam, szefowo?

– Nijak. – Wzruszyła ramionami, gapiąc się w swoje odbicie w czarnym ekranie wyłączzonego telewizora. – Młyny sprawiedliwości miał powoli.

– Chyba, kurwa, niesprawiedliwości? Jakim prawem w ogóle wszczęli postępowanie?

– Zobaczymy, na czyje wyjdzie. – Ujrzała oczami wyobraźni, jak Sołtyk robi ten swój specyficzny ruch: przygryza dolną wargę górnym kłębem i marszczy nos, jakby wachał coś wyjątkowo obrzydliwego.

– Nie przejmuj się, Iwonka – powiedział z pełnym przekonaniem, które zapewne miało podnieść ją na duchu, ale nie podniosło. – Nie wypieprzą cię przecież. Z takim stażem i doświadczeniem?

Mruknęła coś w odpowiedzi. Z brakiem awansu, regulaminowych nagród, nawet z przeniesieniem mogła się jakoś pogodzić. Z wypieprzeniem nie. Nie potrafiła robić nic innego.

Ani nie chciała.

## KRZYSIEK

Przyśnił jej się tej nocy. Leżeli w łóżku zwrócenii twarzami do siebie i patrzyli sobie w oczy.

– Gdzie jesteś? – zapytała.

Nie odpowiedział. Głowę oparł na zgiętym ramieniu i patrzył na nią, nic nie mówiąc. Przeniosła wzrok na jego czoło, na ciemne brwi, siwiejące włosy, potem zgrabny nos i mocno zarysowane usta, wreszcie podbródek, na którym pojawiły się ślady zarostu. Krzysiek rzadko do tego dopuszczał, golił się starannie i codziennie, czasem nawet dwa razy, kiedy wieczorem musiał wyjść z domu.

– Tęsknię za naszym maluchem, wiesz? – szepnęła do niego. – Pamiętasz, jak pachniały jego włoski po kąpieli? Jakie były wtedy mięciutki?

Poczuła, że płacze. Wiedziała, że to jej się śni, ale płakała, bo płacz we śnie był dla niej bardziej oczyszczający niż ten prawdziwy, na który i tak rzadko sobie pozwalała. Zbyt rzadko.

Krzysiek nie odzywał się.

– Powiedz, co się stało – poprosiła cicho. – I dlaczego to zrobiłeś.

– Kocham cię. Przepraszam – powiedział, nie otwierając ust.

Dokładnie te same słowa były na kartce, którą zostawił przypiętą do drzwi lodówki magnesem z widoczką Zakopanego.

– Wróć do mnie. – Wyciągnęła dłoń w jego stronę, żeby pogłaskać go po twarzy, ale jej palce trafiły na pustkę.

Była w ich łóżku sama. Zorientowała się, że już nie śpi i że ma oczy mokre od łez. Wytarła je i spojrzała na budzik. Wpół do piątej. Nie musiała się nigdzie spieszyć, nie musiała wstawać, mogła spać, ile chciała, ale nie potrafiła z powrotem zasnąć. O szóstej skapitulowała, zwlekła się z łóżka i poszła pod prysznic. Zaczynał się nowy dzień, ale nie wiedziała, co z nim zrobić.

## PAN SZYCHA

Wojtczak zadzwonił któregoś wieczoru i kazał się jej stawić w komendzie o jedenastej następnego dnia. Rozmowa była bardzo enigmatyczna, Iwona miała wrażenie, że naczelnik chce ją jak najszybciej zakończyć, ale ona też była zmęczona i nie naciskała. Potwierdziła, że przyjdzie, powiedzieli sobie dobranoc i tyle.

Następnego dnia, kiedy przyszła do Fabryki i jak zwykle zaszła do naczelnika, ten, nie wstając zza biurka, zatrzymał ją w drzwiach do gabinetu ruchem ręki.

– Ktoś już na ciebie czeka, idź od razu do konferencyjnego. Potem pogadamy.

– Holz? – Zmarszczyła brwi.

– Nie. – Odpowiedź szefa była krótka, a po tonie naczelnika Iwona się zorientowała, że nie będzie dalszych wyjaśnień, przynajmniej teraz.

Skinęła krótko głową, zamknęła drzwi i poszła tam, gdzie miała iść.

Zobaczyła faceta przez szybkę w drzwiach. Siedział za stołem od strony okna, swobodnie oparty, z rękami leżącymi równolegle na blacie. Przed nim leżały jakieś papiery, luzem, nie w teczce. Iwona cicho otworzyła drzwi i obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Zanim trzasnęła nimi za sobą, a on spojrzał na nią, zdążyła mu się przyjrzeć.

Był mniej więcej pięćdziesięcioletnim mężczyzną o mięsistej, choć przystojnej twarzy. Jego włosy, zaczesane niestarannie do tyłu, były trochę przetłuszczone i nie nosiły śladu siwizny. Nie sądziła, żeby je farbował, najwyraźniej nie miał do nich jakiegoś specjalnie przesadnego stosunku. Wydatny podbródek przypominał ten u bohaterów marvelowskich superprodukcji, nos również. Całość psuł strój. Facet miał na sobie białą, pomiętą koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami, widoczne pod blatem bojówki w kolorze khaki, a na bosych stopach sandały. Wyglądał, jakby pozował na luzaka, ale dla niej, choć jej samej nikt nie nazwałby ikoną

stylu, był po prostu flejtuchem. Na nadgarstku miał zegarek z grubym skórzanym paskiem, który wyglądał jak pieszczocha.

Nie wstał, kiedy weszła. Miała to gdzieś, pracowała z facetami od lat, nie wyglądała na damę, ale facet wystawił tym sobie świadectwo. Nie najlepsze.

– Komisarz Banach – stwierdził, obrzucając ją taksującym spojrzeniem.

Podeszła do niego powoli i bez słowa zajęła miejsce naprzeciwko. Poczowała się tak samo, jak kilka dni temu, kiedy usiadła przed prokuratorem Holzem i wiedziała, że cała rozmowa będzie mieleniem w kółko tego samego tematu. Tylko teraz nie miała pojęcia, czego będzie dotyczyć to spotkanie. Podesunęła się bliżej stołu i położyła ręce na blacie, splatając palce, ale nie zaciskając ich. Facet zrobił coś dziwnego z ustami, jakby stwierdził, że ma coś między zębami i teraz starał się to zlokalizować i wyciągnąć językiem. Miał sceptyczną minę i wkurwiał Iwonę samym widokiem, pomijając lekkie obrzydzenie.

– Nazywam się Mateusz Grzeliński – odezwał się w końcu: miał głęboki, lekko chrapliwy głos. – Podinspektor Grzeliński z komendy głównej. Kumple mówią na mnie Matt. Przez dwa „t”. – Patrzył na nią uważnie nieruchomym wzrokiem.

– Szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi – odparła spokojnie. – Nie jestem twoim kumplem.

– No nie – przyznał po chwili i wyglądało na to, że jej bezpośredniość nie zrobiła na nim wrażenia. – Jesteś kobietą.

– Płeć nie ma znaczenia. – Uśmiechnęła się kącikiem ust i uciekła wzrokiem w kąt, bo chciała, żeby widział, że ma go za idiotę.

Był idiotą, wiedziała to po sposobie, w jaki ją przywitał.

– Jasne. – Też się uśmiechnął, lecz samymi wargami, oczy nie brały w tym udziału.

Zerknął szybko na zegarek i w świetle tego, co powiedział chwilę później, odebrała ten gest jako przejaw pogardy i potwierdzenie tego, że naprawdę był idiotą.

– Cóż, w zasadzie dopiero zaczęliśmy, ale będziemy kończyć, bo nie ma co tego rozwlekać. – Westchnął, jakby było mu z tym ciężko. – Pewnie domyślasz się, po co tu jestem?

– W ogóle – wycedziła, patrząc mu prosto w oczy.

– No, to już ci wszystko wyjaśniam. Krótko, jeśli pozwolisz. Informuję cię, że w świetle ostatnich zdarzeń oraz wyników postępowania dyscyplinarnego prowadzonego na podstawie przepisów rozdziału dziesiątego Ustawy o Policji, znowu pozwól, że daruję sobie numerki artykułów, w związku z popełnieniem przez funkcjonariuszkę Banach Iwonę zawinionego przewinienia dyscyplinarnego na skutek niezachowania ostrożności wymaganej w danych okolicznościach, mimo że możliwość taką przewidywała albo mogła i powinna przewidzieć, wyżej wymienionej funkcjonariuszce Banach Iwonie w związku z rażącym niedopełnieniem obowiązków służbowych zostaje wymierzona kara dyscyplinarna wydalenia ze służby w policji. Tu podpisz. – Przesunął w jej stronę plik papierów.

Zeszytniała i w tym samym momencie krew w jej żyłach niemal zamarła. Wszystkiego mogła się spodziewać, ale nie tego. Poczwała, jak zasycha jej w ustach, ale nie oblizwała ich.

– Brawo, tak z pamięci. – Zerknęła na arkusz leżący na wierzchu. – Musiałeś się tego uczyć kilka godzin w pociągu, co?

– Przyleciałem samolotem. – Nie spuszczał z niej wzroku.

– Szycha – prychnęła z kpina, odsuwając od siebie papiery.

– Długo i ciężko na to pracowałem.

– Nie wątpię. – Zmrużyła oczy. – Moi szefowie bali się przekazać mi tę decyzję osobiście? Musieli wezwać palanta aż z Warszawy? – Pochyliła się w jego stronę. – Ale ja też przeczytałam sobie przepisy Ustawy o Policji, panie szucho. Razem z numerkami. Dlatego zwracam uwagę, że nie ma tu ani mojego przełożonego, ani rzecznika dyscyplinarnego, ani nikogo ze związków zawodowych i zdecydowanie to, co się tutaj odpiędała, nie jest raportem, do jakiego powinnam zostać wezwana w związku z orzeczeniem o wydaleniu ze służby. Raportem, o którym mowa w artykule sto trzydzieści pięć „j”, ustęp dziewięć. W związku z powyższym możesz się tymi papierami podetrzeć. Co ty na to, Matt przez dwa „t”?

– Podpisz. – Jego twarz nie zmieniła wyrazu. – Więcej nie poproszę.

– Możesz sobie, kurwa, prosić. – Gwałtownie odchyliła się do tyłu, boleśnie uderzając kręgosłupem o oparcie krzesła. – Koniec przedstawienia, bo to jakiś teatrzyk chyba jest.

Grzeliński zebrał kartki i starannie wyrównał krawędzie kupki opuszkami.

– Nie interesuje mnie, co o tym sądzisz. – Odsunął się od stołu z przeraźliwym piskiem nóg krzesła trących o posadzkę i jeszcze raz spojrzął na zegarek. – To, że nie podpisałaś kwitów, niczego nie zmienia. Zostałaś właśnie wypierdolona z policji, słońce. I jeszcze jedna dobra rada na koniec. Nie odwołuj się. To ci nic nie da, za to oszczędzi mnóstwa nerwów. I tak powinnaś się cieszyć, że koniec końców nie postawiono ci zarzutów karnych. Miłego dnia.

Zostawił ją w pokoju oniemiałą z zaskoczenia. Zbierała się przez kilka minut, a potem ruszyła prosto do gabinetu naczelnika.

– O co tu chodzi? – zapytała Wojtczaka, wparowując do środka bez pukania, czerwona na twarzy.

– Nie wiem, Iwona. – Naczelnik był dla odmiany blady. – Wczoraj po południu wezwał mnie pierwszy i oznajmił, że twoja sprawa jest zakończona, ale że mam cię o tym sam nie informować, a tylko wezwać na dziś. Nie mam nic do gadania.

– Tak myślisz?

– Nie, on mi tak powiedział.

Opadły jej ramiona.

– Kim jest ten typ?

– Grzeliński? Szyszka, co mogę ci powiedzieć? Byłem z nim dwa razy na jakichś szkoleniach, ale praktycznie ze sobą nie gadaliśmy. Mówią, że to twardziel i że się nie pierdoli. Podobno nie jest lubiany, ale mało go to obchodzi.

– Po co tu przyjechał? Pobawić się mną jak kot złapaną myszą? Ja pierdołę... – Przejechała sobie ręką po twarzy. – Co tu jest grane?

– Nie wiem, Iwona. Przepraszam, że cię zawiodłem. Zawiodłem swojego człowieka.

Popatrzyła na szefa przytomniej.

– Nie oczekiwałam, że się dla mnie podłożysz, Roman. Nie jestem dzieckiem. To nie twoja wina. – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Nie mogę dojść do siebie. Jestem jak pieprzony fortepian Chopina, rozumiesz to? Właśnie wylądowałam na bruku i się o niego roztrzaskałam.

Zamilkła, wciąż szybko oddychając.

Nie chciała mu więcej psuć dnia, zresztą naprawdę uważała, że to nie jego wina. W służbach mundurowych się nie dyskutuje, tylko wykonuje,



i dotyczy to każdego szczebla hierarchii. Wojtczak poprosił jeszcze, żeby przyszła załatwić formalności, kiedy będzie już w stanie to zrobić, a ona mu to obiecała, po czym poszła do siebie i w milczeniu spakowała osobiste rzeczy z biurka. Nie było tego dużo, wszystko zmieściło się do pudła po ryzach papieru do drukarki. Na szczycie tej kupki wylądowała wisząca nad biurkiem żółta, blaszana tabliczka, którą dostała kiedyś od Sołtyka na urodziny: „Uwaga, zły pies”. Na szczęście w pokoju nikogo nie było, więc nie musiała nikomu niczego tłumaczyć. Zacisnęła tylko zęby, omiotła ostatnim spojrzeniem miejsce, w którym spędziła prawie dziesięć ostatnich lat pracy zawodowej, i poszła sobie.

Kiedy wychodziła wściekła z komendy, ponownie natknęła się na Grzelińskiego. Zeszła schodami z pudłem pod pachą, a pan szycha stał w tych swoich debilnych sandałach przy drzwiach do przedsionka i czekał, aż ktoś mu je otworzy. Portierka w „akwarium”, jak wszyscy nazywali pomieszczenie portierni oddzielone od przedsionka wielką taflą szkła, musiała wyjść do toalety, więc stał z nosem przyklejonym do drzwi, również szklanych.

– Przepraszam, chcę wyjść – powiedziała do niego, a kiedy odwrócił się z zaskoczeniem, dodała: – Właśnie zostałam wypierdolona.

– Przecież zabrali ci chip razem z odznaką. – Popatrzył na nią z rozbawieniem. – Więc poczekamy sobie razem, co ty na to?

Została z otwartymi ustami, niezdolna do wypowiedzenia jednego słowa. Pan szycha miał rację. Musiała poczekać, bo nie chciała wracać do siebie, a właściwie do swojego pokoju, który już nie był jej. Bez względu na to, ile by to czekanie z tym cholernym palantem trwało, godzinę czy choćby nawet i pięć sekund, to i tak było o pięć sekund za dużo. Zacisnęła zęby i wbiła wzrok w szkło.

– Uderz mnie, śmiało – powiedział nagle cicho Grzeliński. – Ulżyj sobie. Co ci zostało oprócz satysfakcji?

Wiedziała, że jest tu kamera i on pewnie też, zresztą doskonale widać było jej wycelowane w drzwi ciemne oko osadzone w białym, wiszącym nad nimi korpusie. Ale miała to gdzieś. Skumulowało się w niej wszystko. I pękło.

– Ty nędzna gnido – syknęła, wypuszczając pudło, które upadło na podłogę ze wzmocnionym echem hukiem. – Żebyś, kurwa, wiedział...

Uderzyła szybkim, krótkim sierpem i trafiła. Widziała w jego oczach ból i zaskoczenie.

– Sam chciałeś, palancie – stwierdziła z lekką satysfakcją, bo rzeczywiście ją poczuła.

Schyliła się i zaczęła zbierać do pudła rozsypane na posadzce rzeczy. Grzeliński stał w milczeniu i rozcierał policzek i kość jarzmową, a ona udawała, że nie boli jej ręka.

– Powinienem to zgłosić, ale nie będę się już nad tobą znęcał – warknął.

– Gównu mnie obchodzi, co powinieneś, a czego nie. – Wrzuciła ostatnią rzecz, porcelanowy kubek z logo Harleya-Davidsona, który jakimś cudem się nie rozleciał, i wstała.

Zobaczyła, że portierka wróciła, więc pomachała do niej. Gdy zamek zabręczał, pociągnęła za uchwyt i nie patrząc w stronę Grzelińskiego, wypadła na zewnątrz jak pocisk, pokonując jeszcze drzwi zewnętrzne. Na ulicy odetchnęła głęboko, odruchowo szukając wzrokiem matki Synka, ale na szczęście jej nie było. Iwona nie sądziła, że spotkają się jeszcze kiedykolwiek, ale echo spotkania rezonowało wciąż w jej głowie i duszy, wzbudzając uczucie niepokoju za każdym razem, kiedy była w tym miejscu.

Kiedy dwie godziny później weszła do mieszkania, zdjęła tylko buty i kurtkę, potem stanęła na środku pokoju i rozejrzała się po nim, jakby szukała wzrokiem Krzyśka.

– Pięknie, kurwa, pięknie... – Z jej piersi, razem z przekleństwem, wyrwało się głębokie westchnienie.

Opadła na kanapę, zzuła kaptcie i wyciągnęła nogi. Przez chwilę macała szczelinę między siedziskiem a oparciem w poszukiwaniu pilotów i przypomniała sobie, jak Krzysiek nie lubił, kiedy nie leżały na swoim miejscu. Był strasznym bałaganiarzem, ale piloty musiały leżeć na półce pod telewizorem, oba: i ten od telewizora, i ten od dekodera. Pstryknęła najpierw jednym, potem drugim i zaczęła przeskakiwać po kanałach, szukając tych filmowych. Kiedy na ekranie ukazała się twarz George'a Clooneya, odłożyła piloty obok siebie i wyciągnęła z kieszeni spodni telefon. Popatrując na telewizor, wybrała numer matki i przyłożyła komórkę do ucha.

– Wyleciałam z policji – powiedziała obojętnym tonem, kiedy matka odebrała.

Clooney jako Michael Clayton właśnie przegrywał w karty w nielegalnym kasynie. Miał opuszczoną głowę i wpatrywał się w nędzną kupkę sztonów i koszulki kart, które miały ją jeszcze uszczuplić.

– Co ty powiedziałaś? – zapytała matka, choć Iwona była pewna, że usłyszała, a nawet zrozumiała, co do niej mówiła.

– Jestem bezrobotna – rzuciła tak samo obojętnie jak przed chwilą  
W telefonie zapadła głucha cisza.

– Jesteś tam? – zapytała, błagając w myślach matkę, żeby się rozłączyła, choć przecież sama mogłaby to zrobić. Tylko że nie potrafiła i nie wiedziała dlaczego.

– Tak, jestem. Kupisz mi pomidory?

– Ile?

– Pięć. Tylko żeby nie były zgniłe i nie wyciągaj tych ogonków, wtedy dłużej będą świeże.

– Dobrze, mam. Coś jeszcze?

– Trzy gorzkie czekolady. Wedla. Koniecznie Wedla, pamiętaj.

– Dobrze, podrzucę ci jutro.

– Tylko zadzwoń wcześniej, może mnie nie być w domu. Chyba będę musiała pójść po pomidory.

– Mam, nie wychodzisz z domu już ponad rok. – Potarła czoło, było bardzo ciepło.

– Co ty wygadujesz? Aha, twój brat dzwonił, ale prawie go nie słyszałam, jakieś zakłócenia były.

Clooney właśnie jechał windą, trzymał w ręku komórkę z klawiszami, jakiej nie znały dzisiejsze dzieciaki.

– Na razie, mam – powiedziała, wpatrzona w niego niewidzącym spojrzeniem. – Będę jutro. Nie idź nigdzie.

– Dobrze – mruknęła matka. – Połóż się dziś wcześniej i wyśpij, rano do pracy wstajesz.

– Pewnie. Pa.

Rozłączyła się i jeszcze przez chwilę trzymała telefon w ręku. A potem się rozplakała.

## Q

Bartek Szczygielski był cywilnym pracownikiem policji zatrudnionym w wydziale do walki z cyberprzestępczością w szczecińskiej komendzie wojewódzkiej. Informatyka była nie tylko jego pracą, ale również życiem i pasją, a nawet miłością życia, bo żona Bartka twierdziła, że zawsze jest na drugim miejscu. Dlatego wszyscy w Fabryce nazywali go Q. Iwona zadzwoniła do niego rano z ławeczki przy skwerze Świętych Piotra i Pawła i wywołała na zewnątrz. Przyszedł, usiadł obok niej z założonymi ramionami i przez chwilę nic nie mówił.

– Chciałabym cię prosić o małą przysługę.

– Tak? – Bartek wypowiedział to słowo ostrożnie.

– Wiesz, że Krzysiek zniknął, prawda?

Mruknął coś pod nosem, a jego głowa lekko drgnęła.

– Specjalnie nie mówię „odszedł”, bo jest w tym wszystkim coś dziwnego i chcę to zbadać. Oczywiście to tylko między nami – zastrzegła, dobrze wiedząc, że tak nie będzie.

Nie chodziło o to, że Q lubił kłapać jadaczką. Iwona wiedziała, że zarówno ona, jak i temat odejścia jej partnera są szeroko komentowane w środowisku. Bartek mógł powiedzieć komuś o jej chęci przyjrzenia się sprawie Krzyśka, po prostu jej broniąc przed niesprawiedliwymi komentarzami. I o to jej chodziło. Chciała, żeby wszyscy wiedzieli, że będzie w tym grzebać.

Wyciągnęła rękę w stronę Bartka i włożyła mu w dłoń komórkę Krzyśka.

– To jego? – zapytał, biorąc ją od niej

– Tak – szepnęła. – Chciałabym, żebyś przejrzał jego zawartość. Ja nie mogę go nawet odblokować, bo nie znam kodu.

Podrzucił telefon w dłoń.

– A komputer? – zapytał jeszcze.

– Zabrał ze sobą. Mam tylko telefon.

Kiedy później szperała w rzeczach Krzyśka, okazało się, że nie ma jego laptopa, jedynej rzeczy, jaką zabrał ze sobą poza tym, co miał na sobie. Bartek schował komórkę do kieszeni spodni.

– Pewnie, że zrobię to dla ciebie, tylko nie jestem pewien efektów. – Westchnął.

– Dlaczego? Myślisz, że jest tak dobrze zabezpieczony?

– Zabezpieczenie nie jest problemem. – Pokręcił głową. – Chodzi mi o to, że jest o wiele prostszy sposób na to, żeby nikt nie wyszedł twojej aktywności na podstawie zapisów w telefonie.

– Jaki? – zapytała.

– Pomyśl – odparł, przypatrując się jej poważnym wzrokiem.

Zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu, a jej usta ułożyły się do wydania bezgłośnego przekleństwa. Jakiś czas temu zobaczyła, że Krzysiek ma nowy telefon, twierdził, że jest służbowy, a ona więcej się nad tym nie zastanawiała.

– Właśnie. – Bartek postanowił chyba na wszelki wypadek potwierdzić jej najczarniejsze myśli. – Wystarczy mieć drugi, o którym nikt nie wie.

– Jasne. – Westchnęła. – Nie będę cię popędzać, okej? Poczekam, aż znajdziesz trochę wolnego czasu.

– Dam znać. – Uśmiechnął się do niej pocieszająco, schował telefon do kieszeni koszuli i wstał. – Trzymaj się, Iwonka.

– Cześć, Q. I jeszcze raz dzięki.

Patrzyła za nim przez chwilę, a potem przeniosła wzrok na swoje splecione i zaciśnięte palce.

Bartek zadzwonił po południu.

– Nie było żadnych zabezpieczeń poza standardowym szlaczkiem po cyferkach – powiedział bez zbędnych wstępów. – Wszystko do odczytania: połączenia i wiadomości przez sieć komórkową, przez aplikacje i komunikatory. Zapisane trasy biegów w Stravie. Notatki, alarmy, znaczki w kalendarzu. Żadnych podejrzanych czatów. Żadnych nietypowych fotek. O lokalizacjach z BTS-ów nie ma mowy, musiałybyś to załatwić przez swoich, gdyby interesował cię jakiś okres.

– Ma to sens? Te lokalizacje?

– Sama musisz to ocenić. Skoro coś ukrywał, to wiadomo, że zostawiał ten telefon w domu albo w pracy, kiedy chciał iść gdzieś w tajemnicy. Ale może

był noobem, jeśli chodzi o te sprawy...

– Nie był noobem. Wiedział o nich trochę, tego akurat jestem pewna. Pamiętam, że kiedyś robił duży materiał o cyberatakach i phishingu.

– No to masz odpowiedź na swoje pytanie.

Iwona zamilkła. I tak nikt z dawnych współpracowników, a w zasadzie naczelnik, bo to on podpisywał kwity, nie poszedłby na coś takiego. Nawet mimo deklaracji pomocy. Każdy miał swoje granice, on również, i Iwona je znała.

– Dzięki, Q, wiszę ci.

– Nic mi nie wiesz, Iwonka. Nie dlatego to zrobiłem. Przykro mi z powodu... Przyjdź jutro po telefon, oddam ci go, sama sobie przejrysz.

– Pewnie. Do jutra. Miłego wieczoru.

– Nawzajem.

Iwona rozejrzała się po pustym mieszkaniu, zastanawiając się, czy to już pora na psa albo kota; kogoś albo coś, co wypełni pustkę, wypełni dłużyce się dni i pozwoli nie myśleć o złych rzeczach, przynajmniej raz na jakiś czas.

Teraz żałowała, że nie lubi zwierząt.

## AGNIESZKA

Gdy Iwona otworzyła drzwi, zobaczyła za nimi Agnieszkę, sąsiadkę z dołu. Agnieszka była sympatyczną, spokojną i prostą dziewczyną, której kilka lat temu pomogła zdyscyplinować namolnego byłego uważającego, że mimo rozstania, a w zasadzie porzucenia wciąż posiada do niej pełnię praw. Od tamtej pory Agnieszka postawiła sobie za punkt honoru odwdzięczyć się Iwonie, przynosząc jej i Krzyśkowi ciasta, nalewki i różne inne frykasy, które potem stały po szafkach ich kuchni.

– Hej, mogę na chwilę wejść? – zapytała nieśmiało Iwony.

– Pewnie, chodź.

Wpuściła ją do mieszkania i zaprowadziła do salonu. Agnieszka weszła tam i jej wzrok padł na stolik kawowy przy kanapie. Stała na nim butelka ginu.

– Pijesz? – zapytała zdziwiona.

– A kto dziś nie pije? – odpowiedziała pytaniem Iwona, siląc się na wesołość. – Napijesz się ze mną?

– Wolałabym nie, przepraszam, muszę jeszcze zrobić coś w domu.

– Ależ nie ma sprawy. – Pokręciła głową, trochę zbyt energicznie.

Agnieszka jakby zapadła się w sobie. Była dobrą dziewczyną, ale za bardzo bała się wszystkiego. Przypominała Iwonie małego królika, który właśnie po raz pierwszy wystawił z norki swoją słodką mordkę i zobaczył świat na zewnątrz, a ten go przeraził.

– Dalej szukasz pracy? – zapytała ją sąsiadka.

Iwona powiedziała jej, co wydarzyło się kilka dni temu, kiedy spotkała ją na klatce schodowej, a Agnieszkę zainteresowało nagle, jak się jej wiedzie w policji. Nie widziała sensu w ukrywaniu tego przed kimkolwiek. I tak w końcu wszyscy się dowiedzą. Lepiej, żeby dowiedzieli się od niej niż z plotek krążących po osiedlu.

– Ano szukam. – Pokiwała głową.

– Posłuchaj... Nie chciałam cię obrazić, wiesz, że cię lubię... – Agnieszka zaczęła skubać skórę przy paznokciu kciuka.

Iwona zauważyła zaczerwienienie w tym miejscu. Na drugim kciuku było podobne.

– Po prostu powiedz, o co chodzi. – Uśmiechnęła się do niej ciepło.

– Wiesz, że mój Jacek pracuje w firmie budowlanej, robi wykończeniówki. Skończyli ostatnio nowy butik w „Kaskadzie”. – Galeria „Kaskada” była największym szczecińskim centrum handlowym, może nie tyle powierzchniowo, ile ze względu na ofertę sklepów. – Kończą go wyposażać i podobno szukają pracowników, również ochrony.

– Nie mogą wziąć z agencji?

– To luksusowy i bardzo drogi sklep. Jacek gadał z facetem, który będzie jego menadżerem i on mówił, że nie chce brzuchatych leśnych dziadków ani chłopczków, którzy się jeszcze nawet nie golą. Chce babki, która myśli i która wygląda na tyle dobrze, żeby się nie trzeba było wstydić, a ponadto ma jakieś doświadczenie. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Iwona znów pokiwała głową.

– Wiem, że byłeś oficerem, skończyłaś studia i tak dalej, i uważam, że spokojnie mogłabyś znaleźć jakąś niezłą robotę, ale jeśli akurat nie masz nic na oku, a byłabyś zainteresowana, to...

– Wiesz co? – mruknęła, spojrzała na Agnieszkę i zobaczyła, co tamta spodziewa się usłyszeć.

– Iwona, ja naprawdę nie chciałam cię urazić... – Dziewczyna uniosła rękę.

– Hej, spokojnie! Ja chyba faktycznie tam się zgłoszę. – Uśmiechnęła się do niej jeszcze cieplej niż poprzednio, widząc na jej twarzy wyraz ulgi. – Nie chcę na razie roboty, która wymagałaby myślenia, a ta na pewno do takich nie należy. Tylko czy ja wyglądam tak, że nie trzeba się mnie wstydić?

Agnieszka obrzuciła ją zdziwionym spojrzeniem.

– Serio pytasz?

Iwona obróciła się do lustra. Była niewysoką, ale dość zgrabną kobietą w typie chłopczycy. Krótkie włosy z nieco dłuższą tlenioną grzywką opadającą na czoło, szare oczy, zgrabny nos, wąskie, ale ładnie wykrojone usta. Na biust nie narzekała, na biodra też nie, choć mogłyby być nieco mniej szerokie. Nie przepadała nigdy za kobiecymi fatalaszkami: odkąd



była nastolatką, wolała maskujące kształty ciuchy, choć nie dlatego, że wstydziała się kobiecości. Zawsze bardziej przemawiał do niej męski świat. Chciała być jego częścią – trochę wbrew oczekiwaniom matki, a trochę z ciekawości. Nie znosiła męskiego szowinizmu i całe zawodowe życie z nim walczyła; twardo i nieustępliwie, aż wypracowała sobie pozycję, o jaką jej chodziło. Ubrania, jakie nosiła, były narzędziem tej walki. Lekko poszarpane stretchowe dzinsy, metalowe ozdoby, skórzane kurtki i bluzy z kapturem nie były tylko kamuflażem funkcjonariuszki pionu kryminalnego, lecz również wyrazem jej postawy.

Ale była przecież kobietą. Twardą, ale kobietą.

Agnieszka trochę się rozluźniła. Jej uśmiech był szerszy, a oczy błysnęły entuzjazmem.

– Mają otwarcie w najbliższą sobotę. Spróbujesz? – Dotknęła delikatnie ramienia Iwony. – Podejź tam po prostu, urządzają wszystko, pracują dzień i noc, pewnie ten facet też jest na miejscu...

Iwona pojechała do „Kaskady” następnego dnia. Facet faktycznie był na miejscu i choć od razu Iwonie się nie spodobał, to przynajmniej okazał szczerą radość z jej przyjścia.

## D-SCENT

Butik o wdzięcznej nazwie D-Scent miał powierzchnię jakichś stu pięćdziesięciu metrów kwadratowych i intymny, starannie zaprojektowany wystrój wnętrza. Teraz ta intymność zakłócona była białym, drażniącym światłem pięciusetwatowych lamp używanych przy robotach wykończeniowych. Ekipa budowlana składała już ostatecznie sprzęty, starsze panie w fartuchach z logo firmy porządkowej pucowały wszystkie powierzchnie, a pośród tego wszystkiego krzątał się Adrian. Wysoki, na oko czterdziestoletni facet o nażelowanych włosach szesanych na górę głowy i podgolonych na bokach i z tyłu. Obcisłe dzinsy, pasek z kłamrą wielkości talerza i czarna, dopasowana do wysportowanej sylwetki koszula dopełniały wrażenia latynoskiego macho gotowego do wywijania na parkiecie podrzędnej tancbudy. Miał rozbiegany wzrok i zachowywał się nieco nerwowo, co Iwona składała na karb napięcia przed wielkim otwarciem. Gdzieś po sklepie kręciły się dwie młode, odstawione dziewczyny.

– Dziś była próba generalna, mimo że jeszcze kończą – wyjaśnił Adrian, kiedy już znalazł chwilę, żeby z nią porozmawiać. – Przyjechało szefostwo z Gliwic, dlatego pokazywaliśmy, jak będzie wyglądać butik. Dziewczyny zostają, cztery pozostałe przychodzą na noc wykladać towar na półki i szykować baloniki.

– Okej – mruknęła.

– To jest twój strój służbowy. – Podniósł trzymaną w ręku zapakowane w folię ciuchy. – Drugi taki sam dostaniesz po pierwszym dniu pracy, w sobotę. Ma być codziennie świeży i czysty, ty też masz być czysta i masz wyglądać nienagannie, mówię to na wszelki wypadek, bo co prawda nie wyglądasz na syfiarę, ale różne rzeczy widziałem. W pracy musisz mieć makijaż, zadbane paznokcie i masz ładnie pachnieć. Nie musisz przychodzić zrobiona, po prostu bądź pół godziny wcześniej, a dziewczyny umalują cię i dobiorą perfumy. Pokaż mi ręce – zażądał nagle, a ona odruchowo uniosła je na wysokość jego oczu. – Pójdź do manikiurzystki i zrób coś z tym. To nie

sieciowa drogeria, kochana, to porządny salon i masz trzymać klasę. Masz tu po prostu pasować. Nie musisz wyglądać jak modelka, ale klasę masz mieć, jasne? – Obrzucił ją spojrzeniem, w którym było lekkie powątpiewanie. – I paznokcie też.

– Za te pół godziny wcześniej będę miała płacone? – zapytała.

– Usiłujesz być zabawna? – Uniósł brwi.

– Nie, usiłuję być precyzyjna.

– To ci precyzyjnie odpowiadam: będziesz mieć płacone za robotę, a nie za szykowanie się do niej. Za czas spędzony w tramwaju też mam ci płacić?

Wzięła od niego paczkę, odkleiła zamknięcie, wyjęła ciuchy z folii i zaczęła je oglądać.

– Mogą być lekko za duże – zauważyła.

– Jesteś tylko ochroniarzem, kochana, tak? – Adrian przewrócił teatralnie oczami. – Nie wydziwiaj, tylko biegiem na zaplecze, przebierać się. Muszę zobaczyć, jak się prezentujesz.

Wstała, zabrała uniform i poszła tam, gdzie jej kazał.

Z różnymi ludźmi rozmawiała, zarówno tymi ze społecznych nizin, wręcz dołów, jak i tymi, z którymi była w zależności służbowej, zawsze dostosowując swój język i sposób bycia do sytuacji, ale z pewnością nie była przyzwyczajona do bezpardonowych poleceń wydawanych tonem panicza wiedzącego, że stoi za nim tatuś hrabia. Tylko że nie miała wyjścia. Musiała zacisnąć zęby, przełknąć gorycz porażki i zrobić to, czego od niej chcieli. Przebierając się, patrzyła sobie w lustrze w oczy nieruchomym wzrokiem. Stojąc w samej bieliźnie, porównywała się w myślach do wyfiokowanych dziewczyn ze sprzedaży. Adrian miał rację. Nie była modelką, choć bardzo źle też nie było, do czego doszła wczoraj z Agnieszką. Wygląd nigdy nie był u niej na pierwszym miejscu, a teraz, kiedy zbliżała się do czterdziestki, to zaczynało powoli wychodzić. W jej wieku dziewczyny dbały o siebie, ale ona miała inne priorytety. No i te dziunie od wciskania perfum i bielizny były młodsze od niej o dobre piętnaście lat, więc czego mogła się spodziewać? Że będzie błyszczeć na ich tle jak gwiazda, w tym czarnym uniformie z pagonami i dyskretnym, wyszywanym białą nicią napisem *security staff*, jakby nie było można po prostu napisać „ochrona”? Przecisnęła głowę przez kołnierzyk, poprawiła włosy i piersi w staniku, kręcąc tyłkiem, podciągnęła

spodnie, a potem obrzuciła ostatnim spojrzeniem swoje odbicie w lustrze i wróciła do Adriana.

– No i pięknie – skwitował jej wygląd, chyba nawet szczerze. – Wyglądasz bojowo i tak ma być. A teraz krótkie szkolenie z polityki firmy i zasad pracy. Same podstawy, bo jesteś raczej inteligentna, chociaż z policji. Byłaś krawężnikiem? – zainteresował się nagle i chyba naprawdę nie miał pojęcia, że jego żart szorował brzuchem po dnie żenady, a być może nawet nie był to żart, tylko święte przekonanie.

– Byłam oficerem – powiedziała lodowatym tonem. – Po studiach wyższych.

– Okej. – Znów uniósł brwi, które były chyba najczęściej ruszającym się elementem jego ciała. – No, ale tu jesteś tylko ochroniarzem, przykro mi, kochana. Dobra, do rzeczy: D-Scent to salon zapachów i dóbr luksusowych, rozumiesz? Tu nie ma perfum za stówkę dla plebsu, rabatów i sezonowych przecen, dzieciaki włóczące się z nudów po galerii też nie są mile widziane. Kiedy zobaczysz, że psikają próbkami, nie wywalasz ich, bo może mają bogatych rodziców, ale dyskretnie podchodzisz, stajesz za nimi z profesjonalnym uśmiechem i wywierasz lekką presję swoją obecnością. Najwyżej wrócą ze starymi. Klientki, i klienci oczywiście, to ludzie na poziomie, z forszą, której mają tu zostawić jak najwięcej, rozumiesz? Ale to jest broszka dziewczyn, ty masz dbać o to, żeby ta forsa nie wypływała z salonu w torebkach i bieliźnie złodziejek. Zarówno profesjonalistek, jak i kleptomanek, które zwykle wyglądają, jakby wyszły z planu serialu dla małolatów. Na zapleczu siedzi Paweł, zaraz ci go przedstawię. W sklepie jest osiem kamer...

– Siedem – przerwała mu.

– Osiem. – Spojrzał na nią i w jego oczach było wyraźne uznanie. – Jedna jest w przebieralni, dobrze ukryta, tu stanik potrafi kosztować tysiaka, rozumiesz? Paweł widzi wszystko. Gdy coś zauważy, kieruje cię w odpowiedni sektor, wskazuje obiekt, który zabierasz na rozmowę. Jeśli mamy stuprocentową pewność, a obiekt nie chce współpracować, wzywamy policję. Jeśli jest grzeczny, prowadzisz go do mnie na zaplecze i oddaje fant po dobroci, a ja decyduję, co dalej, jasne? Jeśli jest tylko podejrzenie... – Zerknął czujnie w bok i wyciągnął nagle rękę, krzyząc: – Ej, koleś, uważaj z tą drabiną, wiesz, ile kosztowała ta lampa? – Wrócił spojrzeniem do jej

twarzy i kontynuował, nie tracąc wątku. – Jeśli jest tylko podejrzenie, to obserwujesz, bo może być tak, że bramki nie wychwycają sygnału, skurwysyny mają niezłe patenty. W takich sytuacjach o dalszym postępowaniu decyduje Paweł, a potem ja.

– Mogę się z nim komunikować?

– Nie, ty z nim nie. I nie ma takiej potrzeby. Masz wykonywać. Robić to, co ci powie. – Wyjął z szuflady biurka małe pudełko i otworzył je. – Tu masz słuchaweczkę. Masz ją codziennie ładować.

Wzięła do ręki niewielkie urządzenie w cielistym kolorze.

– A jak sama kogoś złapię? Albo będę miała podejrzenia?

– Krzyżujesz dłonie, jakbyś je myła i podchodzisz do obiektu. Paweł zobaczy cię na podglądzie i zareaguje. Powiadomi mnie i ja do ciebie podejdem. – Przerwał na chwilę i przekrzywił głowę, przyglądając się jej uważnie. – Powtórzę, bo musisz to naprawdę dobrze zrozumieć. Nasze produkty to górna półka. Najbliższe miejsce, gdzie można dostać takie rzeczy, jest w Berlinie. Spora część ludzi, którzy nas odwiedzają, to elita. Srają forszą, mają wymagania, chcą być dopieszczeni i przychodzą tu po dobry towar, który im zapewniamy.

Patrzyła, jak mówi z zapałem o ludziach ze środowiska, do którego aspirował, nie wiedząc, że nie będzie mu nigdy dane dostąpić tego zaszczytu, bo do końca życia będzie średniakiem: menedżerem średniego szczebla w średniej wielkości firmie, ze średnim kredytem w średniej wielkości mieszkaniu na nowym osiedlu tuż za miastem, gdzie jeszcze niedawno było dzikie wysypisko odpadów budowlanych.

– Podsumowując: tak właśnie wygląda twoja robota. – Adrian zmarszczył perkaty nos. – Nie ma cię tu, rozumiesz? Jesteś jak duch. Krążysz dyskretnie po salonie, od bielizny do perfum, od perfum do bielizny, nie zwracasz na siebie uwagi, słuchasz, co mówi Paweł, i jakby co, reagujesz. Tyle. Pytania?

– Nie.

Miała całe mnóstwo pytań i wątpliwości, ale zostawiła je dla siebie. Cały system był dla niej dziwny. Ochroniarz na sali powinien być autonomiczny, to nie było kasyno w Las Vegas, żeby potrzebować wsparcia obserwatorów poukrywanych za monitorami z obrazem setek kamer.

– Teraz najważniejsze, kasa. Oferuję ci trzy dwieście na rękę. Z możliwością podwyżki, jak się sprawdzisz. Na razie dziesięć godzin dziennie, w soboty osiem, póki wszystkiego nie ogarnę.

Ledwie się opanowała przed parsknięciem śmiechem. Głodowa stawka, jakieś piętnaście złotych za godzinę. Ale co miała zrobić?

– Kiedy podpiszemy umowę? – zapytała tylko.

– Powiedziałem; jak to wszystko ogarnę, dobra? Wtedy załatwimy również papierki. Nie pali się i mam nadzieję, że podejdziesz do sprawy poważnie, a nie uciekniesz po miesiącu. Jeśli wejdziemy na spodziewane obroty, mówię o finansach, to wszyscy na tym zyskamy.

– Okej – mruknęła, wruszając ramionami.

– Możesz się z powrotem przebrać, przyjdź w sobotę o ósmej. Zrobię zebranie motywacyjne i odstawicie się na bóstwa. Start i fajerwerki o dziesiątej.

Od razu po wyjściu z butiku poszła zrobić sobie paznokcie, życząc sobie krwistoczerwony lakier, na jaki nie odważyłaby się nigdy wcześniej.

Pierwszy dzień działalności D-Scent Iwona ledwie pamiętała, tak była po nim skonana. Zebranie motywacyjne polegało na pieprzeniu oklepanych frazesów typu: kim jesteś – jesteś zwycięzcą, co zakrawało na kpinę, zważywszy na fakt, że Adrian uważał je wszystkie za wyfiokowane pindy. To było widać w jego podejściu do nich. Cholerny androcentryczny mizogin, przywódca stada, Adam wśród Ew, tak go odbierała. Kiedy jedna z dziewczyn już ją umalowała, ekspresowo i umiejętnie, wstała z krzesła i podziękowała jej. Przez cały czas zamieniły tylko kilka słów: Iwona nie chciała jej przeszkadzać, a ona była skupiona na robocie, która sprawiała jej wyraźną przyjemność. Zdążyła dowiedzieć się, że oficjalnie Roksana jest brafitterką, choć podejrzewała, że Adrian dał jej tę funkcję wyłącznie ze względu na wydatny i kształtny biust. Miała być żywą reklamą i pokazywać kobietom, że dzięki bieliźnie zakupionej w D-Scent ich piersi też będą takie jak jej. Inna sprawa, co Iwona stwierdziła z bólem serca i kieszeni, że bielizna tutaj była naprawdę warta grzechu.

– Hej, jestem Roksana. – Dziewczyna podała Iwonie rękę.

Iwona zauważyła iskierki w jej oczach, charakterystyczne dla osób otwartych i pewnych siebie. Młoda miała na sobie czerwony sweterek w serek z głębokim dekoltem, przez który widać było to, co miało być widać.

– Jezu, dziewczyno, ale masz piękne piersi. – Westchnęła, nie mogąc się powstrzymać, ale tym niespodziewanym wyznaniem chyba zjednała sobie od razu jej sympatię.

– Mam dobry stanik. – Roksana mrugnęła do niej. – Ale fakt, nie narzekam. To moje narzędzie pracy, tak mówi Adrian.

– Znacząca, co? – rzuciła z przekąsem.

– Dupek. – Dziewczyna skrzywiła wydatne, pociągnięte czerwona, błyszczącą pomadką usta. – Mów mi Roksi. A ty, jak masz na imię?

– Iwona.

– Też ładnie. – Ucieszyła się szczerze.

Roksi od razu wzbudziła w Iwonie sympatię. Czuła, że jeśli dłużej zagrzeje tu miejsca, to właśnie ona będzie tą, z którą spędzi najwięcej czasu na plotach, przy drugim śniadaniu czy obiedzie, jednak już pół godziny później okazało się, że nie miała czasu ani na drugie śniadanie, ani na obiad, ani na ploty, a z Roksi zamieniła tylko kilka słów w przelocie.

Potem zaczął się młyn na sali sprzedaży, konfetti, złote baloniki i szal zakupów, niestety nie jej, po którym ledwo wróciła do domu i spała do południa następnego dnia, ciesząc się, że jest niedziela.

W kolejnym tygodniu było lepiej. Gadały kilka razy, Roksana opowiedziała jej trochę o sobie. Pochodziła z jakiejś niewielkiej wiochy, jak to określiła, wydymając pogardliwie kształtne usta, uczyła się w Szczecinie, teraz zaczęła studia w Wyższej Szkole Biznesu. Iwona w rewanżu wspomniała tylko, że jest byłą policjantką, ale nie powiedziała o tym, jak zakończyła się jej kariera. Z Roksi gadało się jej sympatycznie, obie nie odczuwały dzielącej ich różnicy wieku, ale Iwona wiedziała, że kiedy tylko któraś z nich skończy tu pracować, nie będą podtrzymywać tej znajomości.

I tak leciały godziny i dni. Iwona snuła się między regałami, pomagała dziewczynom wykładać towar albo sprzątać i w zasadzie nie działo się nic, co uzasadniałoby jej pobyt w tym miejscu. A może właśnie dlatego, że tu była: widoczna i gotowa do natychmiastowej reakcji.

Mijały właśnie dwa tygodnie jej pracy w D-Scent, kiedy nastąpiło pewne brzemienne w skutki zdarzenie. Przechadzając się po sali, Iwona zauważyła nastolatkę, która stała podejrzenie długo i zdaniem Iwony zbyt blisko regału z biustonoszami od Simone Perele. W tym butikku była to zaledwie średnia półka, ale i tak jedna sztuka bielizny tej marki potrafiła kosztować

jej tygodniówkę. Iwona przeszła kawałek dalej, za regał z paskami, i zza niego przyjrzała się dziewczynie baczniej. Nie miała żadnych wątpliwości; dziewczyna właśnie pakowała do torebki biustonosz.

Iwona wyszła z za regału, skrzyżowała dłonie, ustawiając się przodem do najbliższej kamery, i czekała, aż Adrian pojawi się na sali, ale sekundy, a potem minuty mijały, a jego nie było. Paweł albo przysnął, albo poszedł do toalety, w każdym razie wyglądało na to, że zaraz będą straty, jeśli ona nie zareaguje. Podeszła do dziewczyny.

– Zapraszam cię ze sobą na zaplecze – powiedziała cicho, dotykając jej łokcia. – Bez dyskusji.

– Ale ja... – Dziewczyna poczerwieniała.

– Wolisz, żebym wezwała policję?

– I tak pani wezwie. – Wyglądała, jakby miała się za chwilę rozplakać.

– Wolisz to załatwić dyskretnie czy przy ludziach? Zapraszam. – Pokazała jej kierunek i odsunęła się trochę, puszczając dziewczynę przodem.

Szła za nią, patrząc na jej zgarbione plecy i rozpuszczone, kasztanowe włosy bujające się w rytm kroków. Małolata pozująca na dojrzałą kobietę. Buty na koturnach, błyszczące rajstopy, obcisła kiecka bez pleców i beżowe, lekkie paltko przerzucone przez przedramię, na ramieniu torebka Guess na łańcuszku i różowy włóczkowy sweterek, przez który prześwitywały zapięcie i ramiączka czarnego stanika. Kiedy doszły do drzwi biura, Iwona otworzyła je, pilnując, by dziewczyna nie zerwała się do ucieczki. Adrian spojrzał na nią znad laptopa.

– Co tam?

– Stanik. Przy półce.

– Okej, dziękuję, wracaj na salę. A ciebie zapraszam do siebie, bliżej. – Wycelował w dziewczynę palec. – Wypakuj to, co masz w torebce, i połóż na biurku.

Iwona wpuściła nastolatkę do środka, zamknęła za nią drzwi i zrobiła, co kazał Adrian. Na sali nie było dużego ruchu, Roksi jeszcze nie przyszła, bo miała popołudnie, więc Iwona kręciła się między regałami właściwie bez celu, czekając, jak rozwinie się sytuacja. Czekala tak i czekała, ale przy bramkach wyjściowych nie pojawiał się żaden policjant, za to jakiś czas później znów zobaczyła małolatę. Zmierzała w kierunku wyjścia wyraźnie zadowolona z siebie. Przez koronkową bluzkę prześwitywał stanik. Ten



sam, który dziewczyna usiłowała ukraść kwadrans wcześniej. Musiała poczuć na sobie wzrok Iwony, a może specjalnie jej szukała swoim, bo kiedy się obejrzała i zobaczyła ją, wyciągnęła rękę i ze złośliwym uśmiechem satysfakcji pokazała jej faka.

Bramka ani pisnęła, dziewczyna zniknęła po chwili w tłumie kręcących się po galerii ludzi, a Iwona tylko pokręciła głową.

Nie wiedziała, jak Adrian załatwi tę sprawę przy remanencie. Może miał sposób, bo ćwiczył to wcześniej w innym sklepie, któremu szefował, a może wpisze to w straty, za które ktoś jednak będzie musiał beknąć. Na przykład pani z ochrony.

Wolała załatwić tę sprawę od razu i wyjaśnić wszelkie wątpliwości. Weszła na zaplecze i zobaczyła Adriana, siedzącego za biurkiem i stukającego w klawiaturę. W powietrzu unosiła się woń perfum tamtej dziewczyny.

– Co jest grane? – zapytała.

– Nic, sprawa jest załatwiona. – Nawet nie raczył podnieść głowy znad komputera.

– To tak się załatwia sprawy kradzieży w salonie D-Scent?

– Skąd wiesz, że go nie kupiła? – Przynajmniej nie udawał, że nie wie, o co chodzi.

– Nagle wyskrobała pięć stów? To czemu nie kupiła od razu? Lubi smak ryzyka? Czy inny smak?

– To nie twój interes. – Wreszcie podniósł głowę znad laptopa, a potem wstał zza biurka.

– Interes, mówisz? – Nie mogła się powstrzymać i znacząco spojrzała na jego krocze.

Zacisnął wargi, ledwo się hamując przed wybuchem, widziała to.

– Jak ci się nie podoba, możesz iść do Amazona układać pudełka na półkach – wywarczał. – Albo do Lidla na kasę.

– Zarobię tam więcej niż tu.

– To idź, droga wolna, strażniczko Teksasu.

Wkurwił ją tym tekstem, więc znów obrzuciła spojrzeniem jego krocze.

– Długo to nie trwało. Szybko dochodzisz, co? – zapytała szyderczo.

Popatrzył na nią nienawistnym wzrokiem.

– Won. Słuchawkę zdajesz Pawłowi. Ciuchy, wyprane, przyniesiesz jutro.

– Pocałuj się w dupę. Nie zamierzam wracać do tego syfu. A ta gówniara miała góra szesnaście lat, palancie.

– Do niczego jej nie zmuszałem, sama mi zaproponowała. To po pierwsze. A po drugie, jeszcze słowo i okaże się, że to ty jej podłożyłaś ten stanik do torebki. I ona to potwierdzi. Chcesz ze mną walczyć? No chcesz?

– Chcę kasę za dwa tygodnie pracy.

Obrzucił ją kpiącym spojrzeniem i pokiwał głową.

– Pracy? – zapytał kpiąco. – A masz umowę?

Patrzyła mu prosto w blade oczy, oddychając szybko i czując, jak świerzb ją ręce. Ale opanowała się jakoś. Grzeliński w komendzie wystarczył, a przecież musiała znaleźć następną robotę. O ile pan szycha zachował się jak facet i wszystko zostało między nimi, pomijając plotki oraz krążący zapewne wśród jej dawnych kolegów filmik z kamery monitoringu zainstalowanej w „akwarium”, o tyle z tym pieprzonym amatorem niedojrzałych jabłek mogło być inaczej. To było raczej pewne.

Zmieniła ciuchy w przebieralni. Służbowy strój rzuciła zmięty na ladę, pomachała jednej z dziewczyn rozmawiającej z klientką przy regale z bielizną i wyszła z butiku wolnym krokiem, choć w środku się gotowała. Upatrzony wcześniej komplet bielizny Gucciego za trzy i pół tysiąca, który miała na sobie i który wzięła w ramach rozliczenia, trochę ją pocieszał. Poszła na foodcourt i zamówiła żarcie u Chińczyka. Zagryzając gorycz kaczką pięć smaków, myślała, co dalej, i nie były to wesołe myśli. Stanikiem i figami, nawet od Gucciego, nie opłaci przecież rachunków, chyba że wrzuci je na Allegro.

Kiedy kończyła jeść, poczuła, że ktoś za nią stoi. Obejrzała się. To był Adrian. Przez ułamek sekundy myślała, że Paweł podejrzwał ją, jak ściąga z półki pudełko, albo jak wkłada ukradzioną bieliznę pod swoją w przebieralni, ale uznała, że to jednak mało prawdopodobne. Była kilka razy na jego stanowisku, wiedziała dzięki temu, gdzie są martwe pola oraz to, że gość chadza do kibla z regularnością tokijskiego metra.

– Słuchawka – powiedział Adrian i wyciągnął rękę.

Wyrwana z zamyślenia Iwona usiłowała sobie przez chwilę przypomnieć, co z nią zrobiła, aż doszła do tego, że zostawiła urządzenie w kieszeni służbowych spodni, włożywszy ją tam odruchowo. Popatrzyła na złotą

obrączkę błyszczącą nowością na serdecznym palcu jej byłego szefa i okręciła się na taborecie, zwracając się ku niemu twarzą.

– Jest tam, gdzie umowa – wycedziła powoli. – Poszukaj dobrze.

Wytarła usta papierową serwetką, zeskoczyła ze stołka, wyminęła Adriana wciąż stojącego przed nią z głupią miną i poszła do pojemnika na odpady wyrzucić styropianowe pudełko po kaczce.

Nadchodził czas, by znaleźć sobie jakąś porządną pracę.

Przy wyjściu z „Kaskady” niespodziewanie natknęła się na małodatę. Dziewczyna chowała właśnie do torebki iPhone’a, pewnie chwaliła się jakiejś koleżance swoją zdobyczą. Kiedy zobaczyła Iwonę, przez jej twarz przemknął cień przestachu, ale widząc ją w normalnych ciuchach, znów nabrała pewności siebie. Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, Iwona zbliżyła się do niej i konfidencko szepnęła jej prosto do ucha:

– Nie wiem, co mu robiłaś, ale dziewczyny mówiły, że jeszcze niedawno leczył syfa. Miłego dnia, mała. Nie zapomnij porządnie umyć zębów.

I wyszła na zalaną słońcem ulicę.

## HERR FLICK Z GESTAPO

Następną robotę znalazła tydzień później. Nie była porządna. Nie była pracą marzeń, ale tej, którą wiele dziewczyn mogłoby tak nazwać, nie dostała z tego powodu, że przyszła na rozmowę pijana. Lidl przestrzega pewnych standardów, oznajmił jej kierownik sklepu i pokazał drzwi. Aplikowanie na stanowisko sprzedawcy w sklepiku z elektronicznymi papierosami i tym podobnym szajsem skończyło się w momencie, w którym padło pytanie o różnice między podem a modem. Dając sobie jeszcze czas na znalezienie czegoś lepszego, pracę stróża na parkingu Iwona traktowała jako przejściową. Poza tym w jej nowym miejscu pracy nikt nie przypieprzał się do małpki z cytrynówką lubelską. Głównie dlatego, że miała ją gdzie schować i prawie nikt tam nie zachodził. Do jej zadań należało tylko otwieranie szlabanu i baczenie, czy na plac nie wchodzi gównażeria.

Robotę u swojego znajomego zaoferował jej mechanik, do którego pojechała z autem. Mitsubishi zbliżało się wiekowo do pełnoletniości i choć rzadko nim jeździli, miało względnie nieduży przebieg i było japońskie, to jednak wiek robił swoje.

– Tysiąc pięćset do tysiąca ośmiuset – oznajmił jej Zbyszek przez telefon, kiedy zrobił już oględziny.

– Żartujesz? – Zachłysnęła się powietrzem. – To stary grat! Jest wart niewiele więcej.

– Właśnie dlatego takie są koszty.

– Co tam może tyle kosztować?

– Poważny remont silnika. Cieknie z każdej możliwej strony. W skrzyni też jest sporo do roboty. Inną opcją jest puszczenie go handlarzowi albo synowi znajomego, który dopiero zrobił prawko i szuka czegoś na dobiecie. Nie będę cię oszukiwał, Iwona, ani nie chcę na tobie zarobić, wiesz przecież. Podałem ci cenę części i robót, które muszę zlecić.

Zamknęła oczy. Skromne oszczędności kurczyły się w zastraszającym tempie, nowych środków nie przybywało. Od handlarza dostanie dwa, góra

trzy tysiące, za mało, żeby kupić coś innego bez ryzyka wpadnięcia z deszczu pod rynnę. Nie miała skąd wziąć kasy. Żeby sprzedać Stasinę, potrzebowała Krzyśka, bo był współwłaścicielem. Z mieszkaniem na kredyt, który wciąż spłacali, sytuacja miała się podobnie.

Była w czarnej dupie.

– Poczekam jeszcze trochę – powiedziała Zbyszkowi. – Mam teraz ciężką sytuację. Pojeżdżę rowerem.

– Jasne. Nie odbieraj auta, niech stoi u mnie na placu, aż zbierzesz kasę.

– Dzięki, Zbychu.

– Spoczko. Trzymaj się.

Odłożyła telefon na kanapę obok siebie i odchyliła głowę, wzdychając ciężko. Zbyszek zadzwonił następnego dnia z ofertą pracy i teraz siedziała w podszytym wiatrem kontenerze na wysypanym żwirem parkingu na sto pięćdziesiąt aut na osiedlu Słonecznym. Chrzest opon młócących drobne kamyczki przyprawiał ją o gęsią skórę, a głupie pytania, czy ktoś dotykał jego bmw czy passata, wkurzały jak cholera. Ale nie było innej rady. Przynajmniej mogła sobie od czasu do czasu chlapnąć i poczytać książkę. Szef wolał ją od emeryta, bo podobno zdarzały się scysje z okoliczną chuliganerią. Ona była młoda i jako była policjantka dawała mu nadzieję na załatwianie takich spraw w odpowiedzialny i skuteczny sposób. Nie powiedział tylko, na czym miałyby to załatwianie polegać: pewnie liczył na jej inwencję i doświadczenie.

Tego dnia Iwona jak zwykle siedziała w kanciapie i jak zwykle nic się nie działo. Był środek dnia, poranny ruch minął, popołudniowy jeszcze się nie zaczął, więc miała święty spokój i *Billy'ego Summersa* do skończenia. Kiedy przewracała stronę, kątem oka zauważyła jakiś ruch. Spojrzała przez otwarte drzwi. Do kanciapy zbliżał się starszy mężczyzna. Na zewnątrz było dość ciepło, lecz on miał na sobie płaszcz w kolorze antracytu, a na głowie czarną fedorę. Natychmiast skojarzył jej się z Herr Flickiem z gestapo z ulubionego serialu jej ojca i ta myśl błysnęła jej, kiedy szybkim ruchem zasuwiała szufladę, w której chwilę wcześniej zniknęła w połowie opróżniona małopka z cytrynowką lubelską. Poczowała przyspieszone bicie serca.

– Dzień dobry, czy pani Iwona Banach? – zapytał przybysz, zdejmując kapelusz i przykładając go sobie do piersi.

Miał na oko jakieś siedemdziesiąt lat, ale trzymał się prosto i wyglądał zuchwale. Takie określenie przyszło Iwonie do głowy. Czoło świeciło zakolami, przedzielonymi ostrym szpicem zaczesanych do góry siwych, sztywnych włosów. Na ostrym, prostym nosie tkwiły okulary w niebieskich oprawkach, a wąskie, niemal pozbawione czerwieni wargowej i otoczone zmarszczkami usta zaciskały się mocno. Na dłoniach miał skórkowe rękawiczki. Też czarne.

– Nie, to pomyłka – odparła spokojnie, obrzucając go niezbyt przyjaznym spojrzeniem. – Nikogo o takim nazwisku tu nie ma.

Mężczyzna uśmiechnął się nieznacznie i usiadł na krześle dla interesantów stojącym po drugiej stronie biurka, nie pytając nawet, czy może to zrobić. Odłożył kapelusz na blat, bardzo delikatnie i uważnie. Naprawdę wyglądał, jakby zszedł z ekranu w starym kinie.

– W zasadzie moje pytanie było czysto grzecznościowe; ja wiem, że to pani.  
– Kąciki warg uniosły się lekko i zmarszczki na jego twarzy się pogłębiły.

– To po co pan w ogóle pyta? – Była trochę zbyt obcesowa, ale mało ją to obchodziło.

– Jak wspomniałem, grzecznościowo.

– Nie musi się pan silić na grzeczność, możemy od razu przejść do konkretów. Za co nie zapłaciłam? Za prąd, gaz? Chwilówki, o ile pamiętam, nie brałam, choć niewiele brakuje. I może pan zdjąć rękawiczki, tu nie jest aż tak brudno, jak na to wygląda.

– Nie jestem komornikiem. I mam egzemę.

– A to świetnie, w takim razie do widzenia, jestem trochę zajęta. Przykro mi z powodu pana choroby.

– Widzę, jak bardzo jest pani zajęta. Straszny tu ruch. – Pokiwał głową ze śmiertelnie poważną miną. – Nawet pani nie wie, w jakiej sprawie przychodzę.

– Ważne, że nie w sprawie długu. Inne sprawy mnie nie interesują. Mam wystarczająco dużo swoich. – Rozejrzała się po wnętrzu kontenera i rzuciła spojrzeniem za okno, na parking, ale nie dlatego, że coś się na nim działo, bo tu się nigdy nic nie działo, tylko dlatego, żeby dać coś upierdliwcowi do zrozumienia.

– Wystarczy mi minuta – powiedział cicho. – Jeśli w ciągu tego czasu nie zainteresuje pani moja propozycja, pójdę sobie. Obiecuję.

Spojrzała na niego chłodno. Facet nie wyglądał na żartownisia, być może nawet zależało mu z jakichś względów na rozmowie z nią, przynajmniej taki miał wyraz twarzy. Poważny i zatroskany.

– Czas, start – powiedziała.

Mężczyzna nabrał powietrza.

– Przychodzę w imieniu pewnych ludzi, którzy chcą zaproponować pani pracę. Wymaga zaangażowania, dyspozycyjności, jest nie do końca legalna, za to świetnie płatna...

– Obawiam się, że minuta minęła. Dziękuję panu za spotkanie.

– Nie minęło nawet piętnaście sekund.

– Czas to pojęcie względne. – Wykrzywiła usta, patrząc na ścienny zegar.

– Minuta na fotelu dentystycznym trwa dłużej niż minuta obciągania, prawda?

– Zależy, o kim mówimy. O nim czy o niej.

– Słuszna uwaga – przyznała. – Co nie zmienia faktu, że minuta już minęła.

– Sto tysięcy.

– Słucham?

– Tyle może pani zarobić w ciągu kilku najbliższych tygodni, może miesięcy.

– Człowieku – parsknęła. – Może nie wyglądam, ale mam prawie czterdzieści lat, a nie dziesięć, okej? I wypięłam tylko pół małpki, a nie pół litra. – Wskazała na szufladę.

Mężczyzna zmrużył oczy i rozciągnął wąskie wargi w złośliwym uśmiechu. Zobaczyła bieluteńkie jak śniegi Kilimandżaro zęby i zaczęła zastanawiać się, dlaczego ktoś, kto ma kupę kasy, nie robi sobie ich tak, żeby do złudzenia przypominały prawdziwe.

– Nie ma pani niczego: ani kasy, ani reputacji, ani perspektyw, chyba że perspektywą nazwie to. – Mężczyzna wskazał okno. – I to, co jest w szufladzie. Proszę wysłuchać mnie do końca, a nie pożałuje pani.

Przygryzła wargę.

– Słucham. Ale streszczaj się pan, bo zaraz wraca szef.

– Widzimy się po raz pierwszy i ostatni. Jestem prawnikiem i można również powiedzieć headhunterem, pracuję dla pewnych ludzi, którzy poszukują kogoś o pani predyspozycjach.

Wybuchnęła śmiechem.

– Szukają bezrobotnych pijaczek staczających się na dno?

– Miała mnie pani wysłuchać...

– Przepraszam. – Machnęła ręką niezbornym ruchem. – Proszę, niech pan mówi dalej.

– Jak już wspomniałem, chodzi o nie do końca legalną pracę. – Popatrzył na nią wyczekująco.

– No i? – Zrobiła zdziwioną minę.

– Jest pani była policjantką...

– Aaa, o to panu chodzi. Hmm... W pewnych okolicznościach życia zmienia się optyka, wie pan? – Popatrzyła w brudne okno kontenera, na luksusowe samochody będące poza jej zasięgiem finansowym. – Nie byłam świadoma pewnych rzeczy jeszcze kilka tygodni temu. Teraz jestem. Teraz jestem ich kurewsko świadoma. – Wróciła spojrzeniem do twarzy mężczyzny. – Dlatego słucham dalej pańskiej niezwykle interesującej propozycji.

Patrzył na nią, jakby studiował twarz modelki do rzeźby albo portretu, który ma zaraz zacząć tworzyć.

– Nie lubię, jak mi się ktoś tak przypatruje – powiedziała niskim głosem, garbiąc się lekko. – Przyzwyczajenie z dawnej pracy.

– To jest akurat dobre przyzwyczajenie. – Mężczyzna drgnął, jakby został wyrwany z zamyślenia. – Moi zleceniodawcy poszukują kobiety z pani doświadczeniem, gotowej na poniesienie pewnego ryzyka związanego z niezgodną z prawem działalnością. Polega ona w skrócie na szeroko pojętej opiece nad dziewczętami, które umilają czas dobrze sytuowanym ludziom.

Znów wybuchnęła śmiechem.

– Mam zostać burdelmamą? Albo sutenerką? Ocipiałeś, chłopie? Tam są drzwi!

– Starczy, bo zacznę być niegrzeczny – warknął nagle, a przez jego twarz przebiegł jakiś cień.

Jej wzrok stwardniał.

– Pana propozycja to dla mnie potwarz. Nawet za sto tysięcy. Trzeba być idiotą, żeby proponować coś takiego kobiecie. Może pan to powiedzieć swoim szefom.



– Nie wysłuchała mnie pani do końca i wyciągnęła błędne wnioski. – Rozchylił lekko wargi, znów ukazując wypełniające je sztuczne perły. – Nie mówię o burdelu. Mówię o ekskluzywnym interesie wartym mnóstwo pieniędzy. Nie chodzi o pokątne pieprzenie w zasyfionych, przydrożnych burdelach udających motele. Oferowane przez moich mocodawców usługi są wyjątkowe, a ich klientami są bardzo bogaci ludzie, co przekłada się na zyski osób zaangażowanych w ten biznes. Pani może być jedną z nich.

– Co miałabym robić? – Pociągnęła lekko nosem i zerknęła na szufladę, w której schowała małąkę. – Opiekować się dziewczynami?

– Też. Choć oczywiście nie w taki sposób, w jaki pani myśli.

– Skąd pan wie, co ja myślę? – Znów na moment skierowała wzrok w stronę szuflady biurka.

Mężczyzna lekko się uśmiechnął.

– Śmiało, nich się pani napije, mnie to nie przeszkadza. – Pokręcił głową.

– Słucham?

– Proszę się napić. – Wskazał palcem szufladę, do której Iwona ciągle uciekała wzrokiem. – Jeśli nawiążemy współpracę, alkohol będzie zabroniony, więc proszę korzystać, póki pani może.

– Skąd pewność, że ją nawiążemy? – Oblizwała się, sięgając do uchwytu. – Na razie jeszcze niczego się nie dowiedziałam o mojej nowej pracy. Potencjalnej pracy... – Odkręciła zakrętkę i upiła łyk, odruchowo zerkając w okno.

Przybysz patrzył na nią wzrokiem bez wyrazu.

– Dużo pani pije? – zapytał nagle.

– W ogóle, przysięgam. To prezent od kolegi, kazał wypić za swoje zdrowie.

– Prosiłbym o poważne traktowanie.

Westchnęła.

– Nie, nie piję dużo, ale jeśli już, to wyłącznie z nudów. – Schowała małąkę do szuflady i pchnęła ją: huk i brzęk butelki uderzającej o metalowe ścianki były ogłuszające, ale nie zrobiły na mężczyźnie wrażenia.

– Alkohol będzie niewskazany z prostego powodu – powiedział. – Nie życzymy sobie żadnych akcji, które mogłyby mieć miejsce pod jego wpływem. Zatrzymanie przez policję, wszczynanie awantur, agresywne zachowanie i tak dalej są wykluczone. Podstawą jest dyskrecja.

– O dyskrecji wiem wszystko, panie prawnik. – Prawie wyrwało się jej „Herr Flick”.

– Cieszę się. – Skinął uprzejmie głową. – Usługi są świadczone w miejscu, do którego nie będzie pani miała bezpośredniego dostępu. Klienci moich mocodawców nie życzą sobie rozgłosu, zresztą ono nie znajduje się w Szczecinie.

– Więc po co im taka dziewczyna z prowincji?

– Niemcy. – Uśmiechnął się i spojrzał na nią tak, jakby to było oczywiste.

– Zamierzamy świadczyć nasze usługi również klientom niemieckim. Pani mówi po niemiecku, prawda?

– Trochę, ale dogaduję się bez problemu. – Zastanowiły ją jego słowa: nie zapytał jej o to, a tylko się upewniał. – To znakomicie, choć niekoniecznie proszę się tym chwalić. Pani głównym zadaniem będzie transport klienta ze Szczecina do pewnej miejscowości pod Warszawą. Tam przejęty zostanie przez naszego człowieka. Po wszystkim odwiezie go pani z powrotem do Szczecina. Komunikacja z takim klientem wyłącznie w podstawowym zakresie.

– Mam być szoferem?

– Nie. Opiekunem. Oprócz tego wykorzystamy pani wiedzę dotyczącą policyjnych procedur oraz znajomość funkcjonariuszy policji i osób będących obiektami zainteresowania organów ścigania. To nie tak, że wyciśniemy panią jak cytrynę, ale dysponuje pani sporą wiedzą, niedostępną zbyt wielu ludziom. A to bardzo cenna wiedza.

– Wie pan, nie bardzo rozumiem.

– Czego pani nie rozumie?

– Dlaczego Niemcy nie mogą przylecieć do Warszawy i pojechać stamtąd do... Miejsca przeznaczenia. Każecie im się tłuc najpierw z Niemiec do Szczecina, potem te pięćset kilometrów do Warszawy...

– To nie pani sprawa – uciął. – Sugeruję, żeby się pani za dużo nie zastanawiała, tylko wykonywała to, o co zostanie pani poproszona. Myślę, że spore pieniądze wynagrodzą brak możliwości zaspokojenia ciekawości. Jest jeszcze jeden aspekt, o którym powinna pani wiedzieć. Skoro są nagrody, mówię o wysokości zarobków, są również kary. Dotkliwe.

– Za co i jak bardzo dotkliwe?

– Nieposłuszeństwo i niedyskrecja. Należy ściśle wykonywać polecenia, a jeśli chodzi o to drugie... Kara za niedyskrecję jest ostateczna i chciałbym, żeby pani o tym pamiętała, bo moi mocodawcy nie przewidują drugiej szansy. I teraz pytanie: wchodzi pani w to? Jeśli potrzebuje pani czasu na zastanowienie...

– Nie potrzebuję.

Mężczyzna wyglądał na zdziwionego. Mocno zdziwionego.

– Nie będzie możliwości wycofania się – poinformował. – Więc sugerowałbym jednak przemyśle...

– Powiedziałam, że nie potrzebuję czasu – przerwała mu. – Miałam go wystarczająco dużo na tym cholernym parkingu, w poprzedniej robocie też, w domu, w bezsenne noce również. Nie mam się nad czym zastanawiać, rozumie pan? Już nie. Gdyby przyszedł pan dwa, trzy tygodnie temu, przemyślałabym to. Kto wie, może nawet odmówiła. Ale teraz... – Wzruszyła ramionami.

– Moje ostrzeżenie o konsekwencjach niedyskrecji było poważne. Chciałbym, żeby pani je właśnie tak potraktowała. Wyjątkowo poważnie.

– O to nie musi się pan martwić. Zrozumiałam, co pan powiedział.

– Cieszę się. – Mężczyzna wstał, wziął z biurka kapelusz, chwytając go palcami, i nasunął na głowę, a następnie starannie poprawił jego ułożenie.

– Skontaktuje się z panią pewien człowiek. Wprowadzi we wszystko. Co pani robi?

Patrzył, jak Iwona wstaje, bierze torbę i zakłada ją sobie na ramię.

– Idę z panem. Może mnie pan nawet podrzucić do centrum. Zdziwiony?

– Trochę.

– To nie była robota marzeń, więc nie zamierzam spędzić tu ani chwili dłużej. – Iwona minęła mężczyznę i wyszła na plac.

Za plecami usłyszała metaliczny odgłos zamykanych drzwi i przystanąła, zastanawiając się nad czymś.

– Mogę poprosić kluczyki do pana auta? – zapytała, kiedy prawnik do niej podszedł.

– Zamierza pani prowadzić? Pod wpływem alkoholu?

– Przed chwilą zaproponował mi pan robotę, za którą można dostać piętnaście lat za kratkami, a boi się pan mandatu albo tego, że mi zabiorą prawko?

– Prawo jazdy będzie pani bezwzględnie potrzebne w nowej pracy. Anonimowość również, więc proszę zapomnieć o głupich wybrykach. Przecież już to mówiłem.

– Nie zamierzam prowadzić pańskiego auta, pewnie jest warte więcej, niż zarobiłam przez całe życie w tym syfie, z którego mnie wypieprzyli. Chciałam tylko zobaczyć kluczyki.

Mężczyzna sięgnął z wahaniem do kieszeni płaszcza i wyjął kluczyki, po czym wręczył jej je ostrożnie.

Przyjrzała się im. Nie był to tradycyjny kluczyk, tylko niewielkie urządzenie z trójramienną gwiazdką Mercedesa, na szczęście był przy nim elegancki brelok o dość ostrych kantach.

– Chodźmy stąd. – Iwona podrzuciła je w dłoni, złapała mocno, a kiedy przechodzili obok audi jej byłego szefa, wystawiła dyskretnie dłoń i wciąż idąc, mocno docisnęła brelok do karoserii.

– Mówiłem coś przed chwilą o wybrykach. Tu są kamery.

– Nie kamery, tylko atrapy. Ja byłam kamerą.

– Po co pani to zrobiła? – zapytał, wyciągając dłoń.

– Bo właściciel jest dupkiem – mruknęła, wkładając mu w nią kluczyki i starając się nie dotknąć jej, nawet mimo rękawiczki.

– Pani szef?

– Aktualnie były szef.

– Przecież będzie wiedział, że to pani. A jeśli nie, to obciąży panią kosztami za efekty braku nadzoru, który miała pani pełnić.

– Oczywiście, ale i tak nic z tym nie zrobi. Nagrałam go, jak w nocy wymienia części w autach klientów. Jeśli się odezwie w tej sprawie, wyślę mu filmik i zamknę ją. Lepiej? Jak pan widzi, jestem dość rozsądną osobą.

– Prosiłbym, żeby to się nie powtórzyło. Dyskrecja przede wszystkim. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli o tym przypominać.

– Nie będzie takiej potrzeby – mruknęła. – Właśnie zamknęłam wszystkie swoje stare sprawy. I nie zamierzam do nich wracać.

Prawnik odwiózł ją do centrum, przez całą drogę nie odzywali się do siebie, z jednym wyjątkiem. Kiedy zatrzymał się w zatoczce autobusowej na Bramie Portowej, spojrzął na nią i zapytał:

– Jak pani stoi finansowo? Mam na myśli: źle, bardzo źle, krytycznie źle.

– Jest jakiś czwarty stopień?

Pokiwał głową, sięgnął za pazuchę płaszcza i wyjął duży, płaski portfel. Otworzył go i wyjął plik dwusetek.

– Proszę opłacić bieżące potrzeby. To bezzwrotna pożyczka. Człowiek od nas skontaktuje się z panią w ciągu kilku dni. Do widzenia.

Bez słowa wzięła pieniądze i wysiadła z samochodu, zwracając na siebie uwagę ludzi czekających na przystanku. Poprawiła kurtkę, schowała banknoty do tylnej kieszeni spodni i spokojnym krokiem ruszyła w stronę skrzyżowania. Była głodna.

I wreszcie coś zaczęło się dziać.

## KURA

Esemes przyszedł o dziewiątej rano.

*Spotkanie w wiadomej sprawie o 20 w mak kwaku na placu lotników.  
Stawiam XD.*

Iwona wpatrywała się w treść wiadomości ze zdumieniem. Brak wielkich liter, znaków interpunkcyjnych i to XD, którego idei wciąż nie była w stanie pojąć, wskazywało, że napisał ją młody człowiek. Bardzo młody. No i nie przedstawił się, chyba że miał na nazwisko Stawiam. Odpisała krótkie „OK” i dała sobie spokój z dalszym zastanawianiem się, w końcu wszystkiego miała dowiedzieć się wieczorem.

Zjawiła się na miejscu za kwadrans dwudziesta. W środku nie było jeszcze dużo ludzi. Mak Kwak był popularnym w Szczecinie lokalem z kebabami wszelkiej maści, gdzie zwykle lądowało się po baletach, kiedy wszystkie inne miejsca z żarciem na mieście były już zamknięte. Tłuste i kaloryczne zwieńczenie szalonej, wyczerpującej nocy i do domu.

Usiadła na wolnym miejscu i obserwowała dziewczyny krzątające się za kontuarem i klientów. Krzykliwa tablica z menu waliła w oczy kolorami i światłem, zgiełk rozmów i szum ulicznego ruchu wpadający przez otwarte drzwi ranił uszy. Tu kwitło prawdziwe życie miasta. Co jakiś czas Iwona rzucała spojrzenie w kierunku wejścia. W pewnej chwili zobaczyła w nich kogoś, kto nie spojrzał od razu po wejściu na tablicę z menu, tylko zaczął rozglądać się po sali. Zerknęła na zegarek, była dokładnie ósma. Zatrzymała wzrok na tym człowieku, a kiedy on to zauważył, uśmiechnął się i ruszył ku niej. Nie wstała, nie ruszyła się, nie oddała uśmiechu: nie zrobiła nic, co świadczyłoby o jakimkolwiek zainteresowaniu.

– Cześć, jestem Kura. – Chłopak podszedł do niej sprężystym krokiem z wyciągniętą ręką.

– To chyba nie jest polskie imię? – Nie wstając, wyciągnęła swoją i ucisnęła ją.

– Ha, ha, ha – odparł, nawet nie próbując udawać śmiechu. – Mam na imię Arek, ale wszyscy mówią mi Kura. Ty też możesz. A wręcz musisz.

– Dobra, Kura. Jestem Iwona. Po prostu Iwona.

Przyjrzał jej się z lekkim rozbawieniem.

– Mamuškę dali, bez kitu – parsknął.

– Coś ci się nie podoba? – Zmarszczyła brwi i dodała: – Kura?

– Nie, no wporzo, tylko myślałem, że będziesz młodsza. Jest okej. – Usiadł na krzeselku naprzeciwko niej i położył łokcie na stole.

– Jesteś bardzo bezpośredni, wiesz? – powiedziała.

– W końcu mamy pracować razem, co nie? – Roześmiał się.

Człowiek przysłany przez prawnika faktycznie okazał się młodym chłopakiem, nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Był wysokim, szczupłym, jasnym blondynem o podłużnej głowie, z masywną szczęką zakończoną szpiczastym podbródkiem i z dużymi zębami wiecznie wyszczerzonymi w dziąsłowym uśmiechu. Miał szare, błyszczące entuzjazmem oczy ukryte pod gęstymi brwiami w kolorze włosów i ruchliwe ręce o długich palcach. Sposobem bycia i wyglądem przypominał trenera osobistego wciskającego ludziom kit, że szczęście i sukces w życiu to kwestia chcenia, a nie ciężkiej pracy i przypadku. Brakowało tylko czarnej koszuli slim fit, zamiast niej Kura miał na sobie bluzę z kapturem i czarną skórzaną kurtkę. Tak samo jak ona.

– Co zjesz? – zapytał, oglądając się na bar.

– Sałatkę z sosem winegret i wegańskiego burgera z buraków.

– Myślałem, że opierdolimy kebsa? – Zmarszczył brwi.

Westchnęła.

– Kura, chłopaku, to był żart, nie?

– Jasne, mamuška, już czaję. – Nie wydawał się skrepowany ani tym, że nie zrozumiał żartu, ani tym, jak ją nazwał. – Ja biorę frytburgera.

Wzięła drobiowy kebab z frytkami i surówkami. Kiedy odebrali zamówienie, wrócili na swoje miejsce i zaczęli jeść. Iwona patrzyła znad swojego talerza na Kurę, który niczym przemysłowa niszcarka w skupieniu miażdżył swoimi wielkimi zębami kawałki mięsa, frytki i bułkę. Wyglądał na bywalca tego typu przybytków i Iwona zastanawiała się, co robi, że mimo to tak dobrze wygląda. Skończyli jeść niemal równocześnie. Wytarła usta serwetką i powstrzymała odbicie. Słyszała, że

niektórzy nazywają takie żarcie pornfoodem i skłonna była się z tym zgodzić. Inna sprawa, że ostatnio zdarzało się jej być jego konsumentem nader często, przynajmniej dopóki miała jeszcze kasę.

– Dobra, najadłam się, teraz możesz mnie poinformować o szczegółach – zagaiła.

– Po drodze.

Kura wstał, otrzepał okruszki z bluzy i wziął tacę z resztkami frytburgera, żeby odnieść ją na stojak z brudnymi naczyniami.

– A dokąd jedziemy? – Iwonie zrobiło się trochę nieprzyjemnie.

Na zewnątrz było jeszcze dość jasno, ale perspektywa pojechania dokądkolwiek z dopiero co poznanym bandziorem nie uśmiechała jej się zdecydowanie.

– Do mnie. Znaczą do mnie i nie do mnie. Zobaczysz.

– Mówisz zagadkami, Kura. – Pozorną wesołkowatością usiłowała zamaskować niepokój.

Zaczynało to wyglądać słabo.

– Pojedziemy w jedno miejsce, chcę ci coś pokazać – wyjaśnił, w istocie nic nie wyjaśniając. – A zanim dojedziemy, opowiem ci, w co wdepnęłaś, mamuśka.

Porzuciła pomysł opieprzenia go za tę mamuśkę. Mówił to bez wulgarności i negatywnego nacechowania, po prostu maniera. Może wydawało mu się to naturalne, a może zabawne, ale jakoś jej to nie przeszkadzało.

– Jesteś pewien, że chcesz mi opowiedzieć? – Spojrzała na dekolt, sprawdzając, czy nie skapnął jej tam sos. – Jeszcze się rozmyślę.

– Za późno. – Spojrzał na nią z góry, i to śmiertelnie poważnie. – Nie mówili ci tego?

– Mówili. – Językiem oczyściła zęby, marząc o szczoteczce i paście, a potem też wstała, żeby nie musieć znosić dłużej tej jego dominacji.

Wyszli na zewnątrz i owionął ich zapach dymu papierosów, które palili ludzie czekający na zamówienie.

– Przyjechałaś autem? – zapytał Kura.

– Nie – odparła krótko, bez zbędnych jej zdaniem tłumaczeń.

– Okej, nawet dobrze. Pojedziemy moim. – Wyciągnął rękę, w której miał pilota, kliknął i w stojącym niedaleko samochodzie mrugnęły kierunkowskazy.



Nie zaskoczył jej, to było bmw. Oczywiście czarne. Zaskoczył ją za to czym innym, bo otworzył jej drzwi pasażera.

– Jestem pod wrażeniem, Kura. – Pokiwała z uznaniem głową.

– No, myślę. – Puścił do niej oko.

– Zamkniesz za mną też? – Wsiadła i sięgnęła po klamrę pasa.

– Dla ciebie wszystko, mamuśka.

Popchnął drzwi, zatrzymał nagle rękę i pozwolił, by same się zamknęły, a potem obszedł auto i wsiadł za kierownicę. Odpalił i przez chwilę przysłuchiwał się pracującemu silnikowi, jakby próbował zlokalizować niesłyszalny dla niej fałszywy dźwięk. Potem wrzucił wsteczny i wyjechał na ulicę, po czym objechał plac Lotników i skierował się w stronę Trasy Zamkowej, z której zjechał na Nabrzeże Wieleckie. Jechali na północ, i to spokojnie; Kura nie próbował jej imponować agresywną jazdą ani szybkością. Zaczynał jej się podobać. I to ją wkurzało, bo od zawsze gardziła takimi typami.

– No to słucham. – Westchnęła.

– Coś już wiesz, nie? – Spojrzał na nią z ukosa.

– Coś już wiem – potwierdziła.

– Chodzi o wyjątkowe bzykanie, które załatwiamy dla kasiastych gości. – Kura trzymał nonszalancko kierownicę jedną ręką, druga spoczywała na drążku zmiany biegów. – Kosmos, seksualna przygoda życia, spełnienie najdzikszych fantazji. Dziewczyny z Dubaju to przy tym pikuś, uwierz mi. Jeśli klient zażyczy sobie, żeby wydymał go biały nosorożec, załatwimy białego nosorożca. Bliźniaczki? Chętne na wszystko? Załatwimy. Prawdziwe, oryginalne, jednojajowe i oczywiście chętne na wszystko.

Iwonie wyszło w ustach. Żałowała, że nie wzięła dodatkowej wody.

– A dzieci, Kura? – zapytała ze wzrokiem wbitym w przednią szybę. – Dzieci też załatwiacie?

– Kobiety patrzą na to inaczej, co?

Nie odpowiedziała mu na to. To było idiotyczne pytanie świadczące o jego niedojrzałości, braku empatii albo o czymś jeszcze gorszym. Jechali przez chwilę w milczeniu, przebijając się przez rozkopane miasto.

– Nic nie wiem o dzieciach, mamuśka, ale powiem ci, że moim zdaniem dzieci nie tykają. – Nagle „my” zmieniło się w „oni”. – Z dwóch powodów.

– Z jakich?

– Po pierwsze, wiesz, co się dzieje, kiedy znika dziecko. Stawiają na nogi cały kraj, czyli jest syf i hałas, a szefowie tego nie lubią, i trudno im się dziwić.

– A po drugie?

Kura spojrzał na nią przeciągle.

– Załatwienie białego nosorożca albo chętnych bliźniaczek jest problematyczne. Komu z klientów by się chciało tego szukać, skoro jesteśmy my? My im szukamy, a to kosztuje. Nie sam seansik, tylko to, co musimy zrobić, żeby się odbył. Im bardziej szalone życzenie, tym więcej hajsu trzeba zabulić. A dzieci? – Zmarszczył nos. – Wystarczy bilet na samolot. Tajlandia, Bałkany, nawet Niemcy, duże miasta. Kurwa, nawet w Warszawie, jak się dobrze rozejrzysz, to też coś trafisz. Do wyboru, do koloru. Tam, za granicą, starzy sami wpychają je w łapska tych zboków, bo nie mają za co żyć. Nie wiesz tego, mamuśka? Kto jak nie ty powinien wiedzieć takie rzeczy?

– Te wszystkie dziewczyny... Robią to z własnej woli?

– Sumienie cię gryzie? Trzeba było o tym myśleć wcześniej.

– Kobiety patrzą na to inaczej, Kura. – Teraz ona spojrzała na niego, twardo. – Ile by nie myślały.

– Powiem ci tak: wyobraź sobie najbardziej zboczoną i obrzydliwą rzecz, jaką mógłby zrobić ci facet.

– Po co mam to sobie wyobrażać?

– Zaraz ci powiem. Nie musisz mi mówić, co to, po prostu wyobraź sobie. Już?

– Już... – Nawet nie próbowała sobie niczego wyobrażać.

– To teraz zastanów się, ile kasy musiałybyś wziąć, żeby to zrobić z własnej woli.

– Nie ma takiej kasy.

– Mylisz się. Jest. To zawsze jest kwestia ceny, widziałem to wielokrotnie, mamuśka. Dwie godziny zamkniętych oczu i odlotu myślami gdzieś daleko, trochę bólu, który minie, może parę siniaków i masz kasę, tyle kasy, ile chcesz. Rozumiesz już?

– Uważasz, że to jest takie proste?

– Tak. Właśnie tak. Nie dla ciebie, ale dla większości, znacznej większości, dziewczyn owszem.

Iwona była porażona logiką Kury. A jeszcze bardziej tym, że mógł mieć trochę racji.

– To teraz ty – powiedziała cicho.

– Co: ja?

– Teraz ty sobie wyobraź najbardziej obrzydliwą rzecz, jaką ktoś mógłby ci zrobić. Ile kosztujesz, Kura? Ile klienta będzie kosztować seans z Kurą i białym nosorożcem?

Kura zacisnął wargi. Skóra wokół nich napięła się na zębach i Iwona pomyślała, że przegięła.

– Naprawdę myślisz, że biały nosorożec jest najobrzydliwszą rzeczą, jaka mogłaby mnie spotkać?

– A nie?

– Nie. – W jego szarych oczach dostrzegła jakaś zaciętość.

Nie odważyła się pytać dalej. Tłuste żarcie puchło jej w żołądku, podchodziło do gardła, piekła ją zgaga, a w ustach miała sucho, jakby nie piła od trzech dni. Mijali stocznię, samochód podskakiwał na wybojach i powykrzywianych szynach tramwajowych. Już kilka minut później jechali przez wyludniony Gocław. W marinie paliły się światła.

– Nienawidzę wody, pociągów towarowych i piłki nożnej, wiesz? – powiedział nagle Kura. – To wszystko kojarzy mi się z domem i dzieciństwem. Matka pracowała w administracji papierni, ojciec w hucie zapierdalał przy produkcji surówki. Moje całe dzieciństwo to był Skolwin i Stołczyn.

Iwona właśnie dowiedziała się, dokąd jadą.

– Tu mało kto miał gadzety: Xboxy, PlayStation i te sprawy, czaisz? – kontynuował Kura. – Odkąd wszystko dookoła: huta, stocznia i papiernia padły i stały się wielką kupą złomu, odkąd mój stary wyjechał do jakiejś babki do Suwałk i nigdy więcej się nie pojawił, u mnie w domu była bieda. W innych domach też. Nasze życie, moje i moich kumpli, to były pociągi, rzeka i Pogoń Szczecin. Żyliśmy w dwudziestym wieku, mimo że był dwudziesty pierwszy. A ja przyrzekłem sobie, że z tego wyjdę. Nie jestem głupi, mamuśka. – Spojrzał na nią, jakby szukał w niej potwierdzenia tego, co o sobie powiedział. – To, że skończyłem edukację na gimnazjum, nic nie oznacza. Moi kumple poszli do zawodówek, do techników, do warsztatów i klepią biedę albo siedzą w pierdlu, bo byli albo zbyt wyrywni na ulicy, albo

za głupi nawet na kradzieże i wpadli. Ja nie traciłem czasu. Pierwszą kasę zarobiłem na handlu prochami. Nie tu, oczywiście – parsknął. – Jeździłem do centrum pożyczonym od kumpla rozklekotanym bmw i dilołem pod klubami. Miałem z tego niezły hajs, ale nie przepierdoliłem tej kasy jak inni. Ja ją ciulałem. I dalej ciulałem. Nie mieszkam tu. Sorry, ale do swojej chaty cię nie zabiorę. Mam mieszkanie na jednym z nowych osiedli, to inwestycja. A to, do którego jedziemy, jest po matce. Jestem tam zameldowany, jakby co, psy wejdą na czyściutki kwadrat. Na Kolejowej jest syf, ale tak ma być. Tam trzymam gnata, noże i inne szpeje.

– Jesteś strasznie gadatliwy, Kura. – Zmarszczyła brwi. – Dopiero się poznaliśmy. Po co mi to wszystko mówisz?

– Dzielę się z tobą, mamuśka.

– Nie zapytałeś, czy chcę tego słuchać.

– A nie chcesz? – Uniósł brwi.

Zrobiła sceptyczną minę.

– Noo, jest to nawet ciekawa historia, nie powiem – mruknęła, a on wyraźnie się ucieszył. – Ale nie opowiadałabym jej dzieciakom jako przykład, że można wyjść z biedy, kiedy się bardzo chce. A przynajmniej pominęłabym pewne wątki.

Roześmiał się.

– Matka nie będzie mieć nic przeciwko temu, że sprowadzasz kobiety po nocy? – odważyła się zażartować.

– Moja matka nie żyje – powiedział obojętnym tonem. – Spadła ze schodów półtora roku temu.

– Okej – odparła i zamilkła. Nie odezwała się więcej, aż dojechali na miejsce.

Ulica Kolejowa na Stołczynie jak najbardziej zasługiwała na swoją nazwę. Było już całkiem ciemno, pomarańczowe światło lamp wyciągało z mroku wszystko, co noc ukryła. Litościwie ukryła, bo miejsce było wręcz odpychające. Obok budynku mieszkalnego, przed którym się zatrzymali, stał wielki, dorównujący mu wielkości żelbetowy bunkier: wielkie, szare pudło pokryte plamami brudu i wykwitami soli. Naprzeciwko znajdował się budynek dawnego dworca stacji Stołczyn, a za nim ciągnęły się już tylko tory i tereny portowe: nabrzeża i infrastruktura towarzysząca. Wszystko to robiło przygnębiające wrażenie i Iwona już rozumiała, co mógł mieć na

myśli Kura, gdy opowiadał o swoim dzieciństwie. Tu przestrzeń do życia zagrabił przemysł, a może na odwrót: ktoś nieopatrznie spróbował na siłę zaszcześcić życie w otoczeniu, w którym nie było na nie miejsca.

– Wyżej były fajne tereny do szlajania się z chłopakami – powiedział Kura, widząc, jak patrzy zdumionym spojrzeniem na kominy, bunkier i niebieskie wagony cysterny, szczepione w niekończące się węże, które wiły się po wstędze torów. – Dalej są i przynajmniej tam jest trochę zieleni. Chodź, nie ma na co się gapić.

Iwona poszła za nim, marszcząc nos, który podrażniał specyficzny zapach cementu i tych wszystkich rzeczy składowanych luzem nieopodal. Kura wprowadził ją do budynku, po kilku zewnętrznych schodkach, nad którymi nie było zadaszenia, a na klatce czuć było z kolei zwiędniętą woń moczu. Weszli po skrzypiących schodach na pierwsze piętro, Iwonę aż korciło, żeby zapytać, czy to z nich spadła matka Kury, ale oczywiście nie zrobiła tego. Wstrzymując oddech, dotarła pod drzwi, które Kura otworzył i puścił ją przodem.

W mieszkaniu było dużo lepiej. Nie było zapuszczone, tak jak się tego spodziewała, choć do programu Doroty Szelańskiej też by się nie nadawało, może już bardziej do „Odpicuj moją chatę”. Kura rzucił klucze na szafkę i zaprosił ją gestem dłoni dalej. Weszła z lekkim wahaniem do pokoju. Widać było, że jeszcze jakiś czas temu mieszkała tu starsza osoba, ale Iwona nie skomentowała niczego, tylko przysiadła na starej wersalce i czekała na rozwój wydarzeń.

– Dobra. – Kura stanął na środku pokoju z opartymi o biodra rękami, a światło lampy zwisającej tuż nad głową wybieliło jego włosy. – Opowiedziałem ci swoją historię, to teraz się odwdzięczysz.

– Ale ja nie chcę ci opowiadać swojej historii, Kura – zaprotestowała. – Za mało się znamy, co nie?

– Nie, nie, nie: twoja historia byłaby rewanzem. A ja chcę odwdzięknięcia się, nie rewanzu.

– Proszę?

– Co, nie chciałabyś ze mną ten teges?

Żartował, widziała to, więc roześmiała się mimo zdenerwowania. Sto lat nie słyszała tego określenia, ostatnio chyba na podwórku, za dzieciaka. I jakoś nie wierzyła, że ten chłopak mógłby chcieć ją zgwałcić.

– Kura, mogłabym być twoja matką! – parsknęła.

Miała nadzieję, że słowo „matka” skutecznie powstrzyma jego ewentualne zapędy i ostudzi chęci na „ten teges”, gdyby okazało się nagle, że żarty się skończyły.

– A ile masz lat? – Zmarszczył brwi.

– Zaraz skończę czterdzieści. – Nie było to takie zaraz, ale na wszelki wypadek Iwona dodała sobie dwa lata.

W oczach Kury błysnęło lekkie zdziwienie.

– Ja dwadzieścia siedem – powiedział z jakąś dumą w głosie.

– Sam widzisz.

– Czyli na pewno nie matką.

– No to starszą siostrą. Tak czy siak, to byłoby jak kazirodztwo. Wykluczone. – Pomyślała przez chwilę, co zrobi, jeśli Kura będzie się upierał, a nawet zrobi się agresywny.

Na szczęście chwilę później chłopak wyprowadził ją z błędu.

– Nie będziemy ten teges, chociaż gdybyś chciała, to ja chętnie. – Wyszczrzył się. – Niezła jesteś, mamuśka, trzeba ci to przyznać. Jakby co, masz mój numer. Ale teraz odwdzięczysz się inaczej. W ubraniu. Popatrz na to.

Podszedł do niewielkiego, pamiętającego czasy PRL-u

kredensu, otworzył jedną z szuflad i wyciągnął z niej brązową kopertę.

– Chodź do stołu. – Machnął nią.

Wstała z wersalki i podeszła do niego. Kura położył kopertę na stole i wyjął z niej kilka zdjęć różnej wielkości i rozdzielczości. Wszystkie przedstawiały mężczyzn, w różnych sytuacjach, przeważnie na ulicy i w różnych pozycjach. Rozłożył je na stole i położył palec na pierwszym z lewej.

– Znasz? – zapytał krótko.

– Nie.

– A tego? – Przełożył palec na następne.

– Ten jest chyba poszukiwany, o ile pamiętam. Sprawdź na stronie komendy.

– Ty sprawdź, nie będę sobie brudził rąk.

– Klikaniem?

– Powiedziałem, nie? – Spojrzał na nią przeciągle.

– Jak sobie życzysz, Kura – mruknęła.

– Ten?

Zawahała się. Ten był z miejskiej, pracował głównie na ulicy, ale nie był przykrywkowcem, bo wtedy by go nie znała.

– Kryminalny z miejskiej – powiedziała.

– Okej. – Wydawał się zadowolony z odpowiedzi. – A ten?

Iwona westchnęła.

– Dajmy już może sobie spokój, bo to nie ma sensu, Kura.

– Bo?

– Bo ty dobrze wiesz, którzy z nich są psami, prawda? – Zobaczyła w jego twarzy potwierdzenie swoich słów. – Wiesz sam albo powiedzieli ci oni, a to ma być test.

– Czemu tak myślisz? – Próbował jeszcze walczyć.

– Sprawdzacie moją lojalność. I najwyraźniej macie mnie za idiotkę. Ale ja też mogę sobie coś o was pomyśleć: na jakiej podstawie sądzicie, że muszę wszystkich znać? To, że byłam w kryminalnym, nie oznacza, że mam w głowie kompletne archiwum osobowe wszystkich funkcjonariuszy ze Szczecina. A gdybym nie miała stuprocentowego wyniku, to co? Co by to dla was oznaczało?

Kura schował zdjęcia do koperty.

– Dobra, mamuśka, nie ciskaj się już – mruknął. – I nie dla was, tylko dla nich. Robię, co mi każą, nie?

– Szczerze mówiąc, wolałabym się wyspać, niż spędzać z tobą noc nad zdjęciami moich dawnych kolegów. Rozumiem, że odwieziesz mnie do domu, mój dzentelmenie? – Spojrzała na niego krzywo.

– Odwiozę, odwiozę.

Nie zaproponowała, żeby zamówił jej taksówkę. Nie musiała ukrywać miejsca swojego zamieszkania, tak jak Kura ukrywał swoje przed nią, bo pewnie doskonale wiedzieli, gdzie mieszka. Skądś przecież wzięli numer jej telefonu.

Zeszli na dół, wsiedli do auta i kilkanaście minut później byli już na Wiosny Ludów. Kura nawet z grzeczności nie zapytał, dokąd ma ją zawieźć, tylko podjechał pod jej blok.

– Pewnie już twój facet nie może się doczekać, aż cię przytuli – powiedział, kiedy otwierała drzwi.

Zaskoczył ją, że nie wie o jej sytuacji.

– Nikt mnie nie będzie przytulał.

– Nie masz faceta?

– Odszedł – burknęła. – On też mnie zostawił, tak jak wszyscy. I nie chcę o tym gadać, okej?

– Okej, mamuśka. Jak sobie życzysz. O moich dziewczynach też nie będziemy gadać, jak już jesteśmy przy tym temacie, stoi? O dzieciństwie tak, ale o laskach nie.

– Stoi. – Obojętnie skinęła głową, odpięła pas, otworzyła drzwi i wygramoliła się na zewnątrz. – Na razie, Kura.

Nagle zadzwonił jego telefon. Chłopak powstrzymał Iwonę ruchem ręki przed zamknięciem drzwi, odebrał, przyłożył komórkę do ucha, ale nie przywitał się z nikim, tylko słuchał przez dłuższy czas i Iwona widziała, że jest bardzo skupiony.

Czekała.

– Jasne – powiedział nagle i odsunął komórkę od ucha, a potem puknął palcem w czerwone kółko z krzyżykiem na wyświetlaczu. Był czymś wyraźnie podekscytowany i chwilę później Iwona dowiedziała się czym. – Mamy pierwszego szwaba. Sprawmy się, a złoto będzie się sypać nieprzerwanym strumieniem prosto do naszych kieszeni.

– Poeta z ciebie, Kura.

– Jeszcze mnie nie znasz, mamuśka. – Wyszczerył te swoje białe jak śnieg wielkie zęby. – Jeszcze mnie nie znasz... Kiedy wszystko będzie gotowe, dam ci znać. Będziemy go musieli zawieźć w pewne miejsce, gdzie zostanie przez kogoś przejęty.

– Daleko?

– Falenty.

– To pod Warszawą? – Zmarszczyła brwi.

– Zgadza się. Myślę, że to będzie za jakieś trzy, cztery dni.

– Tylko zawieźć? – Pamiętała, co mówił jej pan prawnik.

– I odwieźć z powrotem dwa dni później, jak już się zabawi i odpocznie. Zostaniemy na miejscu przez ten czas.

– Dwa dni w Falentach? Cholera, nie zdążymy wszystkiego obejrzeć – zakpiła.

– Śpimy w Raszynie, a czas będziemy sobie spędzać w Warszawie. Pocieszyłem cię?



– Trochę. – Skrzywiła się. – Nie jest to skomplikowana robota jak na hajs, który mi obiecywali.

– To dopiero początek.

– No dobra. – Zadrżała i objęła się ramionami. – Spadam, bo zimno.

– Naraziówa, mamuśka.

Nie czekała, aż Kura odjedzie, tylko od razu ruszyła w kierunku wejścia do bloku, w którym mieszkała. Kiedy pięła się po schodach na swoje piętro, nagle uderzyła ją pewna myśl. Kura był dla niej zagadką. Ktoś, kto wikła się w takie rzeczy, nie może być dobrym człowiekiem, choć Iwona wolała nie skupiać się z pewnych względów na sobie. Chodziło teraz o Kurę. Mimo braków w wykształceniu w kontakcie absolutnie nie sprawiał takiego wrażenia. Nie posługiwał się co prawda literackim językiem, ale mimo błuzgów nie był to też szczątkowy polski. Był sympatyczny i dość przystojny, jeśli to drugie mogło być w ogóle miarą czegokolwiek. Polubiła go, choć nie powinna.

Przy drzwiach mieszkania doszła do wniosku, że chyba wie już, dlaczego Kura podzielił się z nią historią swojego życia, nie chcąc w zamian usłyszeć jej historii. Musiał się wygadać. Powroty do miejsca, gdzie się wychował, były dla niego trudne, bo sam odciął korzenie. Nie był stąd, bo żeby skądś być, trzeba się z tym miejscem utożsamiać, a on go nienawidził. Nienawidził wszystkiego, co niósł ze sobą pobyt w nim: wspomnień, widoku, zapachów i ludzi. A nowych korzeni jeszcze nie zapuścił.

Kura był po prostu cholernie samotny.

Weszła do swojego mieszkania, zdjęła buty bez schylania się, używając palców stóp. Zawiesiła na chwilę wzrok na swoim odbiciu w wielkim lustrze wiszącym w przedsiionku.

– Coś ty najlepszego narobiła, dziewczyno? – zapytała samą siebie.

Praca parkingowego stróża nie była ostatnim stadium stoczenia się, jak myślała jeszcze niedawno, popijając cytrynowkę w ponadgabarytowej budzie dla psa szumnie zwanej portiernią. To teraz osiągnęła dno, a nie na wysypanym żwirem i zapełnionym brykami placu ze szlabanem. Równia pochyła, po której się staczała, skończyła się. Była na samym dnie.

Praktycznie na własne życzenie.

## KAROLINA

Iwona podeszła do automatycznych drzwi budynku telewizji i te rozsunęły się przed nią. Za kontuarem w holu wejściowym siedział strażnik i widząc jego wyczekujące spojrzenie, podeszła do niego i zagaiła:

- Dzień dobry, szukam Karoliny Jastrzębskiej.
- W jakiej sprawie? Nagrania?
- Nie, chciałam z nią porozmawiać. Czy jest na miejscu?
- Chwileczkę, muszę sprawdzić.

Kiedy pierwszego dnia po zaginięciu Krzyśka rozmawiała z kilkoma osobami z jego pracy, pominęła Jastrzębską. Nie miała do niej telefonu, nie chciała brać numeru od którejś z tych osób, bo podejrzewała, że czułyby się niezręcznie. Niby co ją to obchodziło, ale mimo to nie poprosiła. Postanowiła za to porozmawiać z Jastrzębską osobiście. Wiedziała, że jest bardzo atrakcyjna i w dodatku samotna, tak przynajmniej wspominał kiedyś Krzysiek, choć nie miała pojęcia, czy to wciąż jest aktualne. Ten status często się przecież zmienia i jak pokazywało życie, w obie strony. Samotni znajdują sobie kogoś, a zajęci tracą.

Strażnik podniósł słuchawkę telefonu, przyłożył ją do ucha i wcisnął kilka klawiszy. Po kilku sekundach odezwał się.

– Karolinko, ktoś do ciebie. Przyjdiesz? – Pokiwał głową, słuchając głosu Jastrzębskiej, a potem odłożył słuchawkę na widełki. – Proszę chwilę poczekać, pani Karolina zaraz do pani wyjdzie.

Iwona podziękowała i odeszła w stronę miejsca, które było czymś w rodzaju poczekalni. Stolik, krzesła, płytki, wszędzie płytki w chłodnych barwach, a na ścianie telebim, na którym leciał jakiś program nadawany aktualnie przez TVP3. Po chwili usłyszała stuk obcasów szpilek, a potem zza załomu ściany korytarza wyłoniła się ładna brunetka w okularach, ubrana w czerwoną sukienkę nad kolana i marynarkę w pepitkę. Szła jak modelka na wybiegu, świadoma swojej atrakcyjności. Zatrzymała się nagle, widząc Iwonę, jej ręka niesiona siłą rozpędu uniosła się lekko jak do

powitania. Stopy złączyły się z głośnym stuknięciem obcasów jak do pozycji „baczność” i kobieta została w tej pozycji, lekko pochylona w stronę Iwony.

– Słucham panią? – zapytała.

– Dzień dobry, nazywam się Iwona Banach. – Widząc wahanie na jej twarzy, dodała szybko: – Jestem partnerką Krzysztofa Reinerta.

– Ach, to pani... – Iwona nie wiedziała, czy reporterka spodziewała się jej, czy jest czymś zaskoczona; banalnym wyglądem partnerki kolegi z pracy, czy ogólnie wizytą.

A może ona i Krzysiek byli nie tylko kolegami z pracy.

– Możemy chwilę porozmawiać? – Iwona poczuła nagle jakąś pustkę.

Zwykle była przygotowana do rozmów i przesłuchań, uważała, że zawahanie albo pieprzenie o niczym kończy w zasadzie tę najważniejszą część, kiedy da się z rozmówcy wyciągnąć najwięcej informacji. Pieprzenie o niczym sprawdzało się tylko na wstępie, kiedy należało rozluźnić albo uspić czujność rozmówcy, w zależności od tego, kto nim był: świadek zdarzenia czy podejrzany. Kiedy wszystko dobrze szło, a nagle pojawiała się ta niepewność, zawahanie i nie wiedziało się, o co pytać, ten po drugiej stronie nagle się orientował, że być może powiedział więcej, niżby chciał. Wprowadzenie go znów w taki stan było bardzo trudne albo wręcz niemożliwe. A teraz właśnie Iwona tak miała, zanim jeszcze zaczęła rozmowę.

– Oczywiście. Słucham – odparła Jastrzębska, a ona wypaliła nagle:

– Czy pani i Krzysiek mieliście romans?

Reporterka spojrzała na nią zdumiona. To było desperackie pytanie i Iwona doskonale o tym wiedziała. Wylało się z niej, zanim zdołała zareagować, i to było bardzo nieprofesjonalne.

Ale miała to gdzieś. Jej profesjonalizm skończył się jakiś czas temu.

– Pyta pani poważnie? – rzuciła Jastrzębska.

– Owszem. – Uznała, że i tak już za późno, poza tym tak; pytała jak najbardziej poważnie.

Iwona zdawała sobie sprawę, że gdyby mieli romans i tak otrzyma odpowiedź przeczącą, ale miała nadzieję, że w takim wypadku zobaczy chociaż coś w jej twarzy, spojrzeniu, ruchu ramion. Nic takiego nie nastąpiło, a w oczach Jastrzębskiej było wciąż tylko to autentyczne i szczere zdumienie.

– Nie – odparła. – Krzysiek był... Przepraszam, Krzysiek jest najporządniejszym człowiekiem, jakiego znam. Nie rozmawialiśmy o pani, może wspomniał panią tylko kilka razy, ale widać było, że wdawanie się w pozamałżeńską relację jest dla niego czymś nieakceptowalnym. Nie było nawet żadnych pogłosek czy plotek, że mógł się w coś uwikłać z kimś stąd. Powiem szczerze, że jesteśmy zdumieni i zasmuceni, naprawdę zasmuceni, że... Nie ma go z nami. – Widać było, że szuka słów, które mogły oszczędzić Iwonie łez.

I może nawet chciała w ten sposób oszczędzić ich również sobie. A może nie.

– Jak dobrze go pani zna? – zapytała Iwona, nie spuszczać wzroku z twarzy Jastrzębskiej.

– Myślę, że dość dobrze. Oczywiście na tyle, na ile można kogoś poznać, nie przyjaźniąc się z nim blisko, nie bywając u niego czy nie wyjeżdżając razem na wakacje. Wie pani, co mam na myśli?

Iwona przytaknęła skinieniem głowy. Ciekawe, że Jastrzębska nie wiedziała nawet, jak wygląda partnerka jej tak podobno bliskiego kolegi.

– To cholernie inteligentny facet, pani to wie. – Znów krótki ruch głową. – Bystrzak. Łapał w lot najbardziej skomplikowane kwestie. Wie pani, „setka” albo krótki reportaż wymagają wyciągnięcia esencji z bardzo rozległych tematów. Bardzo łatwo o pomyłkę wynikającą z niezrozumienia tematu przez reportera albo po prostu w grę wchodzi zbyt mało czasu. Mnie samej zdarzało się wysłuchiwać od ludzi, o których robiłam materiały: o, tu pani źle powiedziała, a to nie tak, ja tak wcale nie mówiłem, bo co innego miałem na myśli, i wyjaśniłem to kilka minut później, a pani tego nie puściła. Zdarza się najlepszym. – Skrzywiła ładne usta. – A Krzyškowi prawie wcale. Oprócz pasji, z jaką podchodził do najmniejszej pierdoły, miał jeszcze tę bazę: bystrość i otwartość umysłu. Kiedyś robił materiał o liczeniu nietoperzy. Poświęcił na to kupę czasu, włąził z tymi chiropterologami do bunkrów, liczył je z nimi, chociaż nie musiał, bo to tylko głupi, kilkunastosekundowy materiał do wiadomości. Przygotowywał się tak samo profesjonalnie do materiału o kole gospodyń wiejskich i do krótkiego reportażu o policyjnych antyterrorystach. – Jastrzębska spojrzała na Iwonę znad okularów. – Chyba nawet pani mu załatwiała dojdzie w policji, dobrze pamiętam?

– Uhm.

– No, właśnie. Czasem ci, z którymi rozmawiał, byli zdziwieni, jak wiele wie na dany temat. Mówił, że ma to po ojcu.

– Tak powiedział?

– Tak. Już nie żyje, znała go pani?

– Nie. – Pokręciła głową, dodając w myślach: pewnie dlatego, że mój partner wychował się w domu dziecka.

O ile wiedziała, Krzysiek nie miał pojęcia, kim był jego ojciec, nie mówiąc o poznaniu go czy wiedzy o jego bystrości umysłu.

– Pani jest policjantką, prawda? – zapytała nagle Jastrzębska.

– Już nie.

– To coś zmienia, jeśli chodzi o znajomość zasad poszukiwania zaginionych osób?

Nie poszukiwałam zaginionych osób, tylko zatrzymywałam te odnalezione, pomyślała Iwona, a na głos powiedziała:

– To właśnie robię, rozmawiając z panią. Stosuję te zasady w praktyce.

Miała wrażenie, że wszystkie pytania, jakie zadała podczas tej rozmowy, powinny paść w odwrotnej kolejności. Najpierw powinna usłyszeć peany na cześć Krzyśka, a dopiero potem zapytać ewentualnie o ich romans.

Jastrzębska zerknęła nagle na zegarek.

– Przepraszam, ale muszę już iść, za dziesięć minut mam wejście na antenę, a dziewczyny muszą mnie jeszcze podmalować.

– Jasne, dziękuję.

– Życzę powodzenia i mówię to w imieniu nas wszystkich. On jest tu naprawdę lubiany, wie pani?

– Wiem.

Reporterka niespodziewanie podała jej rękę, Iwona uścisnęła ją odruchowo i odprowadziła wzrokiem. Jeśli obiecywała sobie cokolwiek po tej rozmowie, pomijając to, że przebiegła od końca do początku, to czuła się cholernie zawiedziona efektami. Bo nie było praktycznie żadnych.

## SZWAB

Był wieczór. Iwona, ubrana w białą koszulę i czarny kostium, czekała pod dworcem kolejowym, niedaleko wejścia od strony ulicy Owocowej, w zatoczce parkingowej kiss&ride. Wyglądała jak kierowca z korporacji wożącej biznesmenów na lotnisko do Berlina. Ze wzrokiem wbitym w przeszklony hol siedziała za kierownicą czarnego mercedesa klasy C, który też wyglądał jak z tej korporacji, i bębniła palcami po kierownicy. Kury jeszcze nie było, szwaba też nie, choć jego pociąg przyjechał planowo, co słyszała przez dworcowe megafony. Szum dochodzący z peronów i ulicy wpadał przez uchyloną szybę, komunikaty również. Nie wiedziała, jakie wskazówki dostał Niemiec, co miał zrobić po przyjeździe. Zapewne wyjść w określone miejsce, ale jakie dostał instrukcje, gdyby zaszły nieprzewidziane okoliczności – nie miała pojęcia. Znała tylko swoje zadanie: czekać tu, gdzie czekała, i wypatrywać Niemca z czerwoną parasolką. Miała też dopilnować, żeby wyrzucił ją do śmietnika przed wejściem do auta.

Zerknęła na wyświetlacz; była dwudziesta pierwsza. Kura przeginał i znów zaczęła się zastanawiać, dlaczego rano podstawił auto pod jej blok i zostawił kluczyki, zamiast przyjechać po nią wieczorem. Zapytała go o to, ale skwitował jej pytanie wzruszeniem ramion i zbył jakimś mruknięciem. Czyżby coś kombinował? Iwona bała się, że faktycznie zajdą jakieś nieprzewidziane okoliczności albo ona zrobi coś, czego nie powinna robić. Zakłęła pod nosem i w tej samej chwili zobaczyła, jak na chodnik przed wejściem wychodzi potężny mężczyzna z wielką torbą na ramieniu i czerwoną parasolką w ręku. Wyglądała idiotycznie, ale Iwona podejrzewała, że chodziło o jasny i niepowtarzalny znak identyfikujący klienta, co mogła potwierdzać instrukcja pozbycia się jej natychmiast po spotkaniu. Mrugnęła światłami, zwracając jego uwagę. Ruszył ku niej kołyszącym się krokiem, szeroko stawiając nogi. Widać było, że brzuch mu zawadza, torba również: obijała mu się o biodro przy każdym ruchu. Kiedy

podszedł do auta, pochylił się, zaglądając do środka przez szparę uchylonej szyby.

– *Bist du aus diesem Verein?* – zapytał chrapliwie.

– *Fünf, zwei, sechs* – odpowiedziała z topornym akcentem, bo taka właśnie odpowiedź miała zostać udzielona na pytanie o klub.

Tylko miał jej udzielić Kura, pomimo że Iwona też ją знаła. A Kury wciąż nie było.

Niemiec słysząc to, co powiedziała, pokiwał głową. Iwona wskazała parasolkę i wymownie spojrzała w stronę pojemnika na śmieci. Grubas zrobił jowialną minę, klepnął się teatralnie w czoło i podszedł te kilka kroków w stronę śmietnika. Wrzucił do niego parasolkę i wrócił do auta. Otworzył tylne drzwi zamaszystym ruchem, wrzucił torbę i z trudem zaczął pakować się do środka. Iwona patrzyła na to w milczeniu w lusterku wstecznym.

Facet był obleśny. Fizyczność nie miała znaczenia, nieważne, czy skurwiel był zapuszczonym grubasem, czy diablo przystojnym modelem, cholernym Christianem Greyem. Dla Iwony Szwab był gnojkiem, bo przyjechał tu w konkretnym celu.

– *Mein Name ist Herr Steffen* – powiedział, sapiąc, kiedy już się usadowił i zamknął drzwi.

Gównu mnie to obchodzi, pomyślała Iwona, a głośno i dobitnie powiedziała, znów z fatalnym akcentem:

– *Nicht verstehen.*

– *Na, ja, ja...* – Grubas machnął ręką i poprawił się w fotelu, tracąc nią zainteresowanie.

Obserwowała w lusterku, jak wierci się na tylnej kanapie. Wyglądał na pobudzonego.

– *Warum gehen wir nicht?* – zapytał minutę później, a kiedy Iwona odwróciła się w jego stronę i bezradnie rozłożyła ręce, wyciągnął swoje, udając, że kładzie je na kierownicy, i wywarczał: – Brrrum, brrrum.

Zrobiła minę, która miała świadczyć o tym, że zrozumiała.

– *Ein moment, szefie* – powiedziała uspokajającym tonem. – *Eine minute. Gut?*

Szwab burknął coś pod nosem. Chyba czuł się niepewnie, choć maskował to głośnym zachowaniem. Iwona wreszcie nie wytrzymała i zadzwoniła do

Kury.

– Gdzie jesteś? – postarała się zadać to pytanie normalnym tonem, bo nie chciała wystraszyć Niemca.

– Szwab na miejscu? – Kura nie brzmiał, jakby miał wyrzuty sumienia, chociaż gnojek spóźniał się już prawie kwadrans.

– Tak. Gdzie jesteś? Miałeś być ponad dziesięć minut temu.

– Podjedź po mnie na Potulicką, będę czekał przy pętli tramwajowej.

– Kura...

– Nie marudź, mamuśka, coś mi wypadło, zdarza się. Nie róbmy zagadnienia, okej? Przyjeżdżaj, czekam.

Odłożyła telefon na siedzenie pasażera, uruchomiła silnik, wrzuciła bieg i włączyła się do ruchu. Z tyłu dobiegło ją pełne aprobaty mruknięcie. Nawróciła, przecinając podwójną ciągłą linię, i ruszyła w stronę Potulickiej. Mijając komendę miejską policji, zerknęła w tamtą stronę: tam zaczynała pracę w Fabryce. Kilka minut później była już przy pętli tramwajowej. Kura stał jak gdyby nigdy nic ze sportową torbą na ramieniu. Podjechała trochę zbyt szybko i zahamowała gwałtownie. Kiedy otworzył drzwi, chciała rzucić jakąś kąśliwą uwagę, ale uznała, że eskalacja nie ma sensu.

– Butem w mordę – powiedział, wsiadając, a ona ledwo zdążyła zabrać z siedzenia swój telefon.

– Ty to jednak dzieciak jesteś – warknęła, ruszając z kopyta, ledwie zamknął drzwi.

Zobaczyła w lusterku wstecznym, jak Niemcem rzuca na bok, ale mimo to siedział cicho.

– Przez Podjuchy? – upewniła się tylko, zerkając na Kurę.

– Tak, ale nie eską i autostradą, tylko przez Piłę, Toruń i Włocławek.

– Żartujesz sobie? – zachnęła się. – Dojedziemy na rano!

– I tak ma być. Nie dyskutuj ze mną, mamuśka, wiem, co robię. Na Szczawiowej, koło elektrociepłowni, zatrzymaj się na chwilę, dobra?

Nie zapytała po co. Prowadziła w skupieniu, co jakiś czas zerkając w lusterko. Niemiec patrzył przez okno na rzadką zabudowę ulicy Kolumba, a potem Tamy Pomorzańskiej. Kiedy zbliżali się do elektrociepłowni, Kura delikatnie dotknął jej kolana. Zwolniła.

– Tutaj. – Wybrał ciemne, odludne miejsce, a Iwona zaczęła się zastanawiać, o co chodzi.



Kiedy zatrzymała auto, Kura wysiadł, podszedł do tylnych drzwi i otworzył je na oścież.

– Wysiadaj, typie. No, wypad! – Uśmiechał się szeroko, a jego ton był tak radosny, jakby przekonywał dobrego kumpla, żeby się nie wygłupiał, tylko poszedł z nim na imprezę.

Niemiec wyraźnie nie wiedział, o co chodzi, więc na wszelki wypadek przesunął się na środek kanapy i przytulił do siebie torbę.

– Spokojnie, człowieku. – Kura włożył głowę do środka i powiedział do Iwony: – Ej, weź mu powiedz, żeby wysiadł z auta, no.

– Po co? – Odwróciła się do tyłu.

– Muszę go przeskanować.

– Co zrobić?

– Sprawdzić, czy nie jest okablowany. No, na podsłuchu!

– Jaja sobie robisz? – Autentycznie poczuła, że opada jej szczęka.

– Nie. Po pierwsze, ostrożność, po drugie, podkrećmy atmosferę. Ma wiedzieć, że to niebezpieczne i nielegalne, bo to go tylko bardziej podjara. Coś jak fajne opakowanie: wtedy zawartość też jest atrakcyjniejsza.

– Sam to wymyśliłeś, Kura?

– Nie, to oni. Ja tylko postępuję zgodnie z instrukcjami.

Iwona nie wiedziała, co powiedzieć. Ocierająca się o paranoję ostrożność była jeszcze zrozumiała, ale to?

– Nie stanie mu w końcu, tak się przestraszy tych waszych procedur – stwierdziła kwaśno, specjalnie siląc się na wulgarność.

– Po to jesteś tu ty.

– Co? – Mocniej chwyciła kierownicę, na której wciąż spoczywały jej dłonie, i odwróciła się do Kury. – O czym ty teraz mówisz?

– No przecież, że nie o... – Widziała, jakiego określenia chce użyć i przyznała mu punkt za to, że się powstrzymał. – Widząc laskę w aucie, będzie czuł się bardziej komfortowo niż z dwoma facetami, nie?

Przyznała mu rację i drugi punkt za tę laskę.

– Zwłaszcza taką, która wygląda jak mamuśka – dodał po chwili Kura i Iwona anulowała mu oba punkty, dając w zamian dziesięć karnych.

– *Was ist los?* – zapytał lekko zaniepokojony Niemiec.

– Jak mam mu powiedzieć, że ma wysiąść, geniuszu, skoro miałam udawać, że nie znam niemieckiego? – zapytała Kury z kpina w głosie.

- Na migi. – Chłopak sapnął, lekko wkurzony.
- Też masz ręce – stwierdziła, nie zamierzając odpuścić.
- Mamuśka...
- Kura, pomyśl chwilę i skorzystaj z translatora Google.

Znów wydał z siebie to sapnięcie i wszedł do samochodu obok Niemca. Rozparł się, trącając go przy okazji biodrem, wyciągnął z tylnej kieszeni spodni telefon i jego kciuki zaczęły śmigać po ekranie.

– Chwila, szwabie, zaraz... O, masz, czytaj. – Podstawił Niemcowi pod nos telefon.

- *Warum?*
- Co gada? – Zwrócił się do Iwony.
- Pyta dlaczego.
- Chwila...

– *Sicherheitskontrolle* – nie wytrzymała Iwona, pamiętając tylko o akcencie.

Miała dość. Nawet nie ruszyli w podróż, a ona już była zmęczona i podminowana. Kura pokazał jej uniesiony kciuk, wysiadł i otworzył bagażnik; usłyszała wizg zamka błyskawicznego jego torby i po chwili znów się pojawił, trzymając w ręku urządzenie podobne do tego, którym ochroniarze na lotniskach kontrolowali pasażerów.

Niemiec wysiadł z trudem i odciążony mercedes uniósł się odrobinę. Iwona obserwowała w prawym lusterku, jak grubas unosi ręce, a Kura macha wokół niego skanerem. Zastanawiała się, czy urządzenie rzeczywiście działa, czy to atrapa albo złom, który ma zrobić wrażenie, ale przestała, w końcu to nie była jej sprawa. Chciała już tylko jechać, choć to uczucie było ambiwalentne. Dostarczenie tego człowieka do miejsca przeznaczenia równało się tragedii jakiejś dziewczyny albo chłopaka. Ale nie miała wyjścia, bo jak mawiali: nająłeś się za psa, to teraz musisz szczekać.

Nagle usłyszała trzask klapy bagażnika i poczuła, jak auto osiada pod ciężarem Niemca. Kura zamknął za nim drzwi i usiadł obok niej. Mieli się zmieniać w trasie, gdyby zaszła taka potrzeba, choć Iwona miała nadzieję, że nie zajdzie.

– *Langsam, langsam, aber sicher*, tyle znam szwabskiego. – Kura znów uśmiechnął się szeroko do Niemca. – To co, jedziemy ciupciać, szwabie,

cieszysz się? I mam tu nawet coś dla ciebie.

Odwrócił się do tyłu i podał mu styropianowe pudełko, a po chwili w aucie rozszedł się zapach jedzenia. Iwona poczuła, że żołądek owija jej się wokół kręgosłupa.

– Dla nas też masz? – zapytała, ruszając.

– No, mamuśka, nie obrażaj mnie. Za kogo ty mnie masz?

– Jesteś pewien, że chcesz to wiedzieć? – odpowiedziała pół żartem, pół serio, choć widziała po minie Kury, że wziął to wyłącznie za żart.

Roześmiał się.

– Mam, mam, spokojnie.

– Ale nie kebsa?

Znów parsknął śmiechem.

– Nie, porządne żarcie z dobrej knajpy, klub stawia. Zadowolona?

– Klub?

– Szefostwo. – Kura spoważniał. – Już jesteś głodna?

– Zjadłabym coś, szczerze mówiąc. – Pociągnęła nosem.

– Chcesz się zmienić za kółkiem?

Spojrzała na niego.

– Kura, prowadzę dopiero kilka minut i potrafię ogarnąć jedzenie i jazdę jednocześnie. Tylko mi to podaj, okej?

Wyciągnął z torby kolejne pudełko, otworzył je i podstawił jej niemal pod nos. Iwona zerknęła kątem oka i wyjęła z niego jakąś kanapkę. Nie spuszczać wzroku z przedniej szyby, włożyła ją sobie do ust i ugryzła, przełykając pierwszy kęs, zanim jeszcze naprawdę poczuła smak. Skrzywiła się i spojrzała na Kurę.

– Jezu, co to jest? – zapytała.

– Burger z buraków i sałatka z sosem winegret. Tylko kazałem ją wsadzić do środka bułki. A bułka jest orkiszowa. Co, źle? To chciałaś zamówić w Mak Kwaku.

Zamknęła na chwilę oczy. Chłopak kompletnie nie znał się na żartach, ale zrobiło się jej miło, że o niej pomyślał. No, i była głodna jak cholera. Żując przetkanego listkami rukoli mielonego kotleta o smaku buraka, znów zastanawiała się, co siedzi w Kurze. Wielokrotnie rozmyślała nad złożonością ludzkiej natury, zwłaszcza że jako policjantka miała okazję widzieć naprawdę wiele tego przykładów. Mieszanka dobra i zła była

w każdym człowieku, wszystko zależało od proporcji. Jak z niektórymi związkami chemicznymi: w małej ilości leczą, w dużej zabijają.

Zjadła, wytarła usta serwetką, oddała ją Kurze, który usłużnie wyciągnął po nią rękę, i skupiła się na drodze.

Na początku mieli jechać dziesiątką, która drogą ekspresową była tylko miejscami. Kiedy wkrótce na nią wjechali, Iwona zaczęła się powoli odprężyć. Napięcie powoli opadało, ciche mruczenie silnika koło nerwy. Iwona lubiła prowadzić, nawet w nocy, a może szczególnie w nocy, kiedy nie było ruchu i można było jechać trochę szybciej. Na obwodnicy Stargardu zorientowała się, że z tyłu dochodzi ciche chrapanie.

– Śpi? – zapytała Kura, oglądając się na chwilę do tyłu.

– Śpi, nie słyszysz, jak nadaje? – potwierdził Kura. Z tyłu faktycznie dochodziło ciche posapywanie. – Śpi knur jeden, pewnie mu się śni, co będzie wyprawiał na miejscu.

Iwone przypomniało się śniadanie w łódzkim hotelu, kiedy Mirek Sołtyk skarżył się na chrapanie Synka. Odgoniła te myśli. Teraz nie było na nie czasu.

– Trochę mu pomogłem... – dodał jeszcze Kura, skromnie spuszczać wzrok.

– To znaczy?

– Miał w żarcu nietypową przyprawę. Dormicum. Taki środek nasenny używany przy operacjach. Fachowo to midazolam, należący do grupy benzodiazepin; dostał piętnaście miligramów. Jedni po tym śpią, niektórym zdarza się szaleć, ale nic potem nie pamiętają. A jak wsypiesz to dziewczynie do kieliszka, to wiesz... – Kura znów się pohamował. – W każdym razie podróż upłynie mu w komfortowych warunkach. Nie będzie jej nawet pamiętał.

– Jesteś niezły w proszki – zauważyła.

– Siedziałem w tym kilka lat. I nie wszyscy ładują kokę, mefedron czy metę albo palą zioło. Miałem szeroką gamę usług, między innymi odtruwanie po chlaniu. Ładowałem ludziom w żyłę kroplóweczkę z PWE, z ondansetronem i jakimś metamizolem, na przykład pyralginą. Niektórzy muszą szybko stanąć na nogi po całonocnym chlaniu, inni chcą się po prostu wyspać i to też im zapewniałem. A jeszcze inni chcieli pociupciać.

Wystarczył jeden telefon do Kury i Kura zjawiał się ze swoją cudowną apteczką. I kasował odpowiednią sumkę.

– Viagrą też handlowałeś?

– Nie. – Uśmiechnął się do siebie. – Perwityną, mamuśka. Perwityną. Są tacy, którzy chcą obudzić w sobie seksualną bestię.

– Ty też brałeś?

– Pytasz o perwitynę?

– Też.

Milczał przez chwilę, a na twarzy miał uśmiech wyższości.

– Wiesz, jak odróżnić prawdziwego dilera od idioty handlującego prochami? – zapytał w końcu.

– Sorry, Kura, dla mnie nie ma żadnej różnicy. Jestem szczerą, co?

– Możesz sobie być szczerą, ale różnica jest. Zasadnicza. Prawdziwy diler jest czysty. Nie bierze gówna, którym handluje. A jeśli chodzi o perwitynę... Widziałem kiedyś w akcji gościa, który to wziął. Rano niczego nie pamiętał, a ja nie powiedziałem mu, co chciał zrobić, bo ma fajnego psa, a musiałby oddać go do schroniska, gdybym mu powiedział. Rozumiesz już? Inne rzeczy też widziałem, co ludzie wyprawiali po dragach. Okej, przyznaję, wziąłem coś kilka razy, jak byłem młody, żeby sprawdzić, jak to jest, ale kiedy na serio zająłem się handlem, nawet do głowy nie przyszło mi używać. Mówiłem ci, mamuśka: nie jestem debilem.

– Uhm. Widziałeś, co dradzi robią z ludźmi, ale nie przeszkadzało ci to nimi handlować?

– Co to, szkolna pogadanka z zaproszonym psem? – Spojrzał na nią z rozbawieniem.

Iwona uśmiechnęła się kącikiem ust. Faktycznie, co to za gadka i do kogo?

– Rozumiem, że ta jego egzotyczna przyprawa... – wskazała za siebie – to dyspozycje od szefostwa?

– A jakże. – Pokiwał głową zadowolony z siebie.

– Nie ogarniam tego, Kura. Tłuczemy się osiem czy dziesięć godzin opłotkami zamiast autostradą. Albo samolotem. O co tu chodzi?

– O ostrożność, mamuśka. – Spojrzał na nią wyrozumiale. – Chodzi o ostrożność. Zdajesz sobie przecież sprawę, że w razie wpadki można mocno beknąć. Więc unikamy ryzyka. Zrozum, nie chodzi o gówniane oszczędności, tylko o bramki na płatnych odcinkach autostrad, na których

są kamery. Dlatego zamiast wygodnej jazdy S3 i autostradą A2 będziemy się tłuc nocą przez Toruń, Włocławek i Płock, ale to nieważne. Gównem ich obchodzi nasz dyskomfort. Za to między innymi nam płacą, okej?

– Okej – przytaknęła dla świętego spokoju.

A potem jakby doznała olśnienia. Już wiedziała, o co chodziło z podstawieniem samochodu rano.

– W okolicach dworca są kamery – powiedziała cicho. – Jeśli cokolwiek z nim się stanie, pójdą jego tropem, dojdą do tego, że pojechał do Szczecina pociągiem, sprawdzą monitoring i zidentyfikują auto po tablicach! Ty może nie wiesz, ale współpraca między szczecińską policją a Niemcami jest bezpośrednia, a nie przez Warszawę. Znajdą nas w trymiga.

– Nie nas.

– A kogo?

– Jakiegoś pijaczka. Wpadną na słup, rozumiesz? – Spojrzał na nią zadowolony z siebie.

– Ty chuju... – warknęła.

– Co tak ostro, mamuśka? – Kurze zdenerwowanie wyraźnie minęło, znów poczuł się pewny siebie jak zwykle.

– Ja siedziałam za kierownicą. – Wbiła sobie palce w pierś. – Ja! To mnie będzie widać, jakby co, na nagraniach. To dlatego się nie zjawileś, tylko kazałeś po sobie przyjechać w jakiś ciemny kąt, dupku jeden!

– Sprawdzamy dopiero, czy wszystko zatrybi, zrozumiemy. I nie przejmuj się kamerami. Naprawdę myślisz, że po ciemku, wewnątrz auta, za szybą, będzie widać twoją twarz, a nie rozmazaną plamę?

– W takim razie czemu to nie była twoja rozmazana plama, Kura? Powiesz mi?

– Dobra, już starczy, bo przestraszysz klienta.

– Klient śpi.

– Nieważne. – Machnął ręką. – Wszystko gra, mamuśka, tak? Nikt nie będzie śledził szwaba, bo nic mu się nie stanie. Już starczy. Jedź.

Jechała dalej, milcząc, ze wzrokiem wbitym przed siebie.

Jakiś czas później Kura przysnął. Iwona, patrząc, jak mercedes połyka wyławianą z ciemności wstęgę asfaltu, wciągając kreski linii dzielącej pasy ruchu, odrywała co jakiś czas wzrok od drogi i zerknęła na chłopaka. Myślała o jego matce. Normalnej kobiecie, pokopanej przez życie, dla której syn był

pewnie jedyną ostoją... A może właśnie nie? Może żałowała chwili, w której się narodził, a nawet począł? Prawda była taka, że Kura był przestępcą, nędznym chujkiem, jakimi gardziła od zawsze, nie godząc się na zło tego świata.

Wstąpienie do policji nie było tylko odruchem buntu wobec zaborczej matki. Iwona uznała, że droga, którą kroczyła jej rodzicielka, nie będzie jej drogą, bo sprawiedliwość w momencie skazania przychodziła za późno. Bo wydarzyło się zło, za którego wyrządzenie ona wymierzała karę, a chodziło o to, żeby to zło się nie wydarzyło. I nie chodziło również o skalę przewinienia, nie da się przecież porównać zbrodni w występkiem, ale zapobiegnięcie nawet temu najmniejszemu już było czymś. Oszczędzało komuś bólu, łez, strachu.

A potem Iwona wpadła w tryby służbowych zależności, indolencji, karierowiczostwa przełożonych i tego całego syfu, który skutecznie i dość szybko wyleczył ją z entuzjazmu i odarł ze złudzeń. Po raz pierwszy i ostatni w życiu przyznała matce rację, choć jej tego nie powiedziała.

Kiedy minęła Płock, Kura ocknął się nagle, rozejrzał dookoła błędnym wzrokiem i wymruczał:

– Sikamy. – Przetarł oczy, obejrzał się do tyłu i przez kilkanaście sekund patrzył na śpiącego Niemca, jakby zastanawiał się, co tu robi albo co z nim zrobić.

Kilka kilometrów dalej, gdy zaczął się las, Iwona wjechała w przesiekę i zatrzymała auto przed biało-zielonym szlabanem. Nie stawali na stacjach benzynowych z tego samego powodu, z którego omijali płatne autostrady; potrzeby fizjologiczne załatwiali w lesie, a kiedy za pierwszym razem Iwona zaczęła narzekać na warunki, Kura znów zgasił ją tekstem o płaceniu za dyskomfort. Zrobili w krzakach co trzeba i pojechali dalej, Iwona nie zgodziła się na zmianę za kółkiem, a Kura nie oponował. Czuła się dobrze, nie chciało się jej spać, wołała skupić się na czymś konkretnym, zamiast myśleć o rzeczach, na które nie miała wpływu. Ani na to, co działo się teraz, ani na to, co stało się z Krzyśkiem.

Szwab obudził się wkrótce po tym, jak ruszyli. Była prawie trzecia nad ranem, kiedy z tyłu rozległo się jego głośne ziewanie. Kura obejrzał się i zmarszczył brwi, widząc twarz Niemca oblaną bladą poświatą.

– *Kein telefon, verstehen?! – zawołał. – Nicht! Null!*

– *Ja, ja, Ich überprüfe nur die Zeit.*  
– Co on tam znowu szprecha? – zapytał Iwony.  
– Sprawdza na telefonie godzinę.  
– Co to za jakiś trep, no? – zżymał się. – Kompletny brak współpracy. Miał nie mieć żadnych urzędzeń!  
– Kura, przecież go skanowałeś w Szczecinie – uświadomiła mu.  
– Skanowałem, a nie obmacywałem. – Kura zamilkł i zaczął gryźć paznokiec.

Jechali przez jakiś czas w milczeniu.

– Pewnie zostawił go na siedzeniu, zanim wysiadł – stwierdził w końcu.  
– A ty tego nie sprawdziłeś.

Kura spojrział na Iwonę krytycznym wzrokiem.

– A ty nie mogłaś?

– Hej... Nie zwalaj na mnie winy, bo tego nie lubię. Moje instrukcje były jasne: jestem kierowcą.

– Nie jesteś kierowcą. Jesteśmy partnerami.

– Jasne. – Pokiwała zgodnie głową. – W takim razie co teraz, partnerze?

Wypieprzysz mu komórkę za okno?

– Teraz to już po frytkach.

– Coś ty? – Spojrzała na niego kpiąco.

Przez następne parę kilometrów panowała cisza, aż Niemiec zażądał postoju. Iwona znów zjechała z trasy, tym razem na leśny parking, a kiedy wysiadł i rozejrzał się zdumiony, chwytając się za krocze w zrozumiałym geście, Iwona pokazała mu najbliższe drzewa, mówiąc:

– *Sicherheit.*

Machnął ręką i poszedł w stronę lasu, przyświecając sobie latarką z komórki. Wrócił kilka minut później, które ona spędziła, wdychając wilgotne, pachnące lasem powietrze. Mijając ją, Niemiec pokręcił głową, a jego mina wyrażała dezaprobatę. Patrzyła, jak wsiada niezgrabnie do auta, nabrała ostatni, głęboki haust powietrza i wróciła do samochodu. Ruszyli dalej, Kura nie odzywał się, jakby drzemał albo się zamyślił.

– Co on tam, kurwa, znowu wyprawia? – Szarpnął się w pewnej chwili w fotelu.

– Wciąga coś chyba. – Iwona zerknęła w lusterko wsteczne.



– Co? – Kura odwrócił się gwałtownie. – Miało nie być prochów, świnió jedna!

Iwona zerknęła na niego. Wyraźnie tracił opanowanie, choć nie działo się tak naprawdę nic, co mogłoby go wyprowadzić z równowagi. Może po prostu nie lubił, jak mu ktoś zaburzał plan? A może był nerwowy, tylko nie dawał tego po sobie poznać w normalnych okolicznościach.

– Wszystko miał dostać na miejscu! – tłumaczył jej zaaferowany. – Cokolwiek by sobie zażyczył, ma to zapewnione w klubie. Jeden z warunków był taki, że jest czysty podczas transportu.

– Nie krzycz tak, bo go wystraszysz – poradziła mu i rzuciła do tyłu: – *Alles gut, szefie, alles in Ordnung.*

– *Ich mag das alles nicht* – usłyszała w odpowiedzi.

– Co powiedział? – zainteresował się Kura.

– Coś tam mamrocze. – Machnęła ręką i zamilkła, wbijając wzrok w drogę przed sobą. Niemcowi przestała podobać się przygoda, ale ona miała to gdzieś. Włożyła w uszy bezprzewodowe słuchawki i włączyła Spotify, żeby się odciąć od wszystkiego. Trochę chciało jej się spać, ale uznała, że da radę prowadzić jeszcze te dwie godziny, a może nawet mniej, bo droga była pusta. Kura nie domagał się zmiany za kółkiem, trochę ją to dziwiło, bo myślała, że faceci uwielbiają prowadzić fajne bryki i nie znoszą, kiedy prowadzi je ktoś inny, kiedy oni są w środku. Zwłaszcza jeśli kierowcą jest kobieta. Widać Kura nie był typowym facetem i nie miał z tym problemu.

Wybrała z playlisty coś energetycznego dla starszych. Frankie Goes to Hollywood zaczęli skandować swoje *Rage hard*, ale spokój jej duszy nie potrwał długo.

– Co znowu? – warknął Kura, odwracając się w pewnej chwili. – Nie, no, mamuśka, on rzyga! Zatrzymaj się, ja pierdolę! Mam typa dość!

Zjechała na pobocze i zahamowała gwałtownie, jednak z wyczuciem, żeby nie narobić sobie kłopotów na błotnistej trawie. Włączyła światła awaryjne. Kura natychmiast wysiadł z samochodu, otworzył tylne drzwi zamaszystym ruchem i rozkazał Niemcowi:

– Wypierdalaj z fury!

– Kura, miało być grzecznie! – zawołała, odwracając głowę do tyłu i wyciągając z uszu słuchawki.

Dopóki obraźliwe słowa, którymi nazywał Niemca, wypowiadał rozbawionym tonem, nie było problemu, bo ten niczego przecież nie rozumiał, ale teraz komunikat był jasny i wulgarny. Nagle coś zwróciło jej uwagę. Iwona zapaliła lampkę na podsufitce i uniosła się na fotelu, żeby mieć lepszy widok na tył.

– On wcale nie rzyga! – krzyknęła.

Niemiec leżał skulony na kanapie i charczał. Ścisnął sobie lewe ramię, jego twarz była biała i złana potem, a oczy wytrzeszczone.

– To co robi? – Kura włożył do środka głowę, mrużąc oczy od światła.

– Chyba ma zawał! – Iwona odpięła pas i wyskoczyła z auta, nie sprawdzając nawet w lusterku, czy coś nie jedzie.

Na szczęście nie jechało.

Obiegła mercedesa dookoła, czując, jak zimne powietrze wciska się jej pod cienką koszulę, pociągnęła Kurę za spodnie, żeby zrobił jej miejsce, a kiedy niemal wypadł na zewnątrz wyrwany z wnętrza auta jej siłą, wskoczyła tam zamiast niego.

Niemiec oddychał spazmatycznie, rozpaczliwie łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami. Iwona patrzyła na niego i kompletnie nie wiedziała, co robić.

– Czy chorujesz na serce? – zapytała po niemiecku. – Czy masz przy sobie leki? Słyszysz mnie?

Mężczyzna zamknął oczy i zwiotczał. Jego oddech stał się spokojniejszy, a potem nagle mężczyzna zsiniał, stężał, szarpnął się dwa razy i przestał oddychać. Iwona wysunęła się z auta.

– Pomóż mi! – zawołała do Kury, który dreptał przy samochodzie w te i w te.

– Co mam robić? – zapytał.

– Wyciągamy go na zewnątrz! Dawaj!

Iwona chwyciła ciało za marynarkę i pociągnęła, przesuwając je po skórzanej tapicerce. Kura wcisnął się między nią a otwarte drzwi i pomógł jej. Kiedy zsunęło się całkiem, nie byli w stanie położyć go na ziemi, bo było bezwładne i zbyt ciężkie.

– Waży ze sto dwadzieścia, jak nic – stęknął Kura, kiedy Niemiec spadł mu na stopy.

Iwona zdążyła się odsunąć. Głuche tąpnięcie, z jakim ciało uderzyło w ziemię, nie było przyjemne dla uszu. Uklękła przy nim, szarpnęła za koszulę, aż guziki strzeliły na boki, i zaczęła masaż klatki piersiowej.

– Co ty robisz? – W głosie Kury było totalne zdziwienie.

Chłopak nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje.

– A jak myślisz? – wysapała pomiędzy kolejnymi uciśnięciami.

– Nie zrobię mu usta-usta. – Kura cofnął się o dwa kroki.

– Nie musisz, to i tak niewiele pomaga. – Wpatrywała się w siną twarz majaczącą pod nią w półmroku rozpraszonym nikłym światłem lampki na podsufitce i uciskała, czując, jak powoli zaczyna brakować jej tchu.

Żebra Niemca trzeszczały, fałdy tłuszczu falowały, a Iwona nie przestawała. Zdawało jej się, że mijają godziny, ale nic się nie działo, aż w pewnej chwili dotarło do niej, że to na nic. Nawet jeśli jakimś cudem uda jej się przywrócić krążenie i oddech, to Niemiec będzie wymagał natychmiastowej pomocy i specjalistycznej opieki. Nie mogli przecież zadzwonić pod sto dwanaście.

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegł ją Kura, jakby czytał jej w myślach.

– Nie myślę o tym – odwarknęła Iwona. – Myślę, co dalej.

A tak naprawdę znów była w Łodzi, znów patrzyła na Sołtyka uciskającego zakrwawioną klatkę piersiową Synka i znów przeżywała te same emocje.

Ciszę nocy przerywało denerwujące tykanie kierunkowskazów i cykanie świerszczy. Zdziwiła się, że są aktywne jeszcze jesienią. Sina twarz Niemca przybierała upiorny odcień za każdym razem, kiedy pomarańczowa poświata kierunkowskazów oblewała ją na ułamek sekundy i gasła, żeby chwilę później jeszcze raz wyłuskać trupa z ciemności. A potem jeszcze raz i następny, i tak bez końca.

## TRUP

– No i wykrakałaś, mamuśka – powiedział głupio Kura. – Jednak coś mu się stało...

Stali nad ciałem martwego Niemca, wciąż nie mogąc uwierzyć w jego śmierć.

– Do wróżki też chodzisz i wierzysz w czarne koty? – odparowała.

Kura nie zareagował na zaczepkę.

– Jak to się mogło stać? – Przecierał dłońmi zmęczoną twarz. – Powiedz mi, mamuśka, no jak?

– To nie jest pytanie do mnie. – Iwona pokręciła głową.

Była koszmarnie zmęczona, ale bardziej psychicznie niż fizycznie, nawet pomimo wyczerpującej resuscytacji.

– Coś sugerujesz? – Kura spojrzał na nią spode łba.

– A czujesz się winny, że pytasz, Kura? Uderzyłam w stół i odezwały się nożyce?

– To nie jest moja wina! – warknął.

– Czy ja tak powiedziałam? Nie. Powiedziałam tylko, żebyś mnie nie pytał.

– A jakbyś tak pomyślała, to co byś powiedziała? Co mu się mogło stać?

– Upierdliwy jesteś, chłopaku, wiesz? – Westchnęła. – To mogło być cokolwiek. Zawał serca, rozwarstwienie aorty, zator płucny, reakcja na te gówna, które wciągnął... A może wszystko naraz: benzodiazepina, to, co wciągnął, stres, wada serca? Nie ma sensu tego teraz roztrząsać.

– Fakt, już nic nie zrobimy. – Kura przeczesał włosy palcami obu rąk. – Mamy trupa. Mamy pieprzonego trupa.

– Co teraz? – zapytała.

To wszystko zaczynało wyglądać jak jakaś groteska. I jeszcze te cholerne kamery na dworcu...

– A skąd mam wiedzieć? – Prawie na nią krzyknął. – Chuj jeden wie!

Zastanowiła się przez chwilę. Wyglądała na to, że w stresowych momentach na Kure nie ma jednak co liczyć. I może o to chodziło ludziom, którzy ją zatrudnili. Bo niewątpliwie chłopak był obrotny, tylko brakowało mu paru rzeczy. Ogłady i odporności na stres przede wszystkim. A ona faktycznie miała go niańczyć. Czy raczej mu matkować.

– Trzeba go odwieźć do tych Falent. – Zdecydowała. – Co to za miejsce?

Kura z palcami wplecionymi we włosy, z odchyloną do tyłu głową wpatrywał się w usiane gwiazdami ciemne niebo, jakby szukał w nich natchnienia.

– Kurza ferma – powiedział.

– Co?

– Kurza ferma – powtórzył, wracając do rzeczywistości. – Duży zakład, mają nioski i kurczaki na mięso. Tam zostawiam dziewczyny i Niemców też mieliśmy tam zostawiać. Damiano ich przejmuje i wiezie na miejsce.

– Kto to jest Damiano? – zapytała.

Miała mnóstwo innych pytań, na przykład, ile dziewczyn już tam odwiózł, ale nie zadała ich.

– Szycha od nich – odparł Kura. – Mamy go słuchać i robić, co każe.

– No to zawieziemy mu szwaba, posłuchamy, co powie, a potem zrobimy, co każe. Pasuje?

– A mamy inne wyjście?

– Oczywiście. Możemy na przykład zakopać go w lesie i udawać, że się nie zjawił. Tylko jak wykopią go dziki i znajdą grzybiarze, a wieść rozniesie się w świat, to będziemy następni do zakopania, Kura. Twoi... Nasi szefowie to nie są idioci. Więc zawieźmy go do tych Falent, opowiedzmy, co się stało, tylko bez szczegółów, i zapewniam cię, że to może nie będzie idealne rozwiązanie, ale z pewnością o wiele lepsze niż to pierwsze.

– Tak myślisz? – W jego głosie usłyszała powątpiewanie.

– Tak myślę. – W jej zaś brzmiała niezachwiana pewność. – Przeszukajmy go. Musimy sprawdzić, co jeszcze ma przy sobie.

Iwona uniosła połę marynarki i sięgnęła ręką w poszukiwaniu wewnętrznej kieszeni. Miała spodnie mokre na kolanach, zimno przenikało do nich, ale nie zwracała na to uwagi, tylko grzebała w poplątanej podszewce, aż wymacała dwa twarde, płaskie przedmioty. Wyjęła jeden

i podstawiała pod światło. Był to paszport. Drugi schowała do kieszeni swojej marynarki. Telefon.

– No debil – prychnął Kura, który pochylał się nad Iwoną, zaglądając jej przez ramię. – Jakby przyjechał na wycieczkę krajoznawczą, a nie na nielegalne ciupcianie.

– Może fałszywy? – Otworzyła dokument na stronie z danymi posiadacza.

– Nie wygląda...

– Na dokumentach też się znasz, Kura? Poza tym wiadomo, że trzeba mieć jakiś dokument tożsamości, podróżując za granicę, zwłaszcza w taki sposób, w jaki mu kazaliście. – Iwona westchnęła głęboko. – Wiesz, mam wrażenie, że oni trochę przekombinowali z tym wszystkim.

– Bezpieczeństwo jest najważniejsze, tak?

– Powtarzasz to jak mantrę, a sam widzisz, jak założenia mają się do rzeczywistości. – Trzepnęła paszportem o ciało.

Kura wyjął go jej z ręki, otworzył i zbliżył do oczu, pochylając się w stronę skąpego światła padającego z wnętrza samochodu. Wykorzystała tę chwilę i telefon Niemca wylądował w jej kieszeni.

– Jakiś Steffen Horau. – Kura z trudem odcyfrował napisy. – Co robisz?

– Googlam go – odparła Iwona, która wyciągnęła swój telefon i weszła w internet.

– Po kij?

– Bo taka ciekawa świata jestem, Kura. Już tak mam. – Patrzyła w skupieniu na wyświetlacz.

Kura przyglądał się trupowi krytycznie.

– Wygląda jak wieśniak spod budki z piwem – stwierdził. – Może się przebrał w ramach kamuflażu? Mówisz, że był forsiasty?

– Ile mówiłeś te zboki płacą za klubowe atrakcje? – Iwona zerknęła na niego.

– Nie mówiłem tego, mamuśka.

– Okej. Wiesz, kto to jest ten facet, któremu ściska rękę nasz Szwab? – Podsunęła mu przed oczy telefon, na którym widać było jakieś zdjęcie i fragment artykułu po niemiecku.

– Skąd mam wiedzieć? – prychnął, ledwie zerkając.

– To prezydent Niemiec. I jak myślisz, skoro typ obściskuje się z prezydentem, to chyba musi być kimś, nie? Na pewno nie wieśniakiem.

– Myślisz, że wpięprzyliśmy się właśnie w jakąś międzynarodową aferę?

– Chyba ją rozpętaliśmy, jeśli już – mruknęła Iwona. – Ale nie, nie sędzę. Szwab był potentatem branży stalowej i budowlanej. Był wnukiem przedwojennego bogacza sądanego w Norymberdze za współpracę z nazistami, majątek odziedziczył i pomnożył, część udziałów sprzedał jednemu z dużych banków, podobno zamierzał powoli wycofywać się z interesów i zacząć używać życia. Spełniać marzenia, tak powiedział.

– No to mu się nie udało – stwierdził filozoficznie Kura. – Niewiele tego życia użył.

Iwona wstała z klęczek i dotknęła kolan. Nogawki były całkowicie przemoknięte. Kura wykorzystał okazję i zajął jej miejsce, przezornie nie klękając, tylko kucając i zaczął dalej przeszukiwać trupa, tym razem sięgając do kieszeni spodni Niemca. Nagle wymacał coś w jednej z nich i po chwili miał w dłoni małą plastikową torebkę ze strunowym zapięciem. W środku był biały proszek. Kura otworzył ją, włożył do środka mały palec, a potem przyłożył do niego czubek języka.

– Kokaina – rzucił tonem specja. – Uczciwa, nie to co u nas. Miał dobrego dostawcę i dużo hajsu.

Zapiął zamknięcie torebki i schował ją do kieszeni. Iwona patrzyła na to, nie wierząc, że można być tak głupim.

– Co ty robisz? – zapytała.

– No co? To jest pieniądz.

– Wypierdol to do lasu! – zażądała. – Natychmiast. Otwórz torebkę, wysyp to gówno, a plastik zakop pod ściółką.

– Zwariowałaś? Wiesz, ile to jest hajsu?

– Mało dostajesz za te dziewczyny, Kura? – Iwonie zwięziły się oczy. – Łasisz się na gównianego patola czy tam dwa, ryzykując głowę?

– Przesadzasz, mamuśka. – Kura wydał wielkie usta w wyrazie lekceważenia.

– Ja przesadzam, Kura? Ja? Miał być czysty. – Wskazała trupa. – Jak go sprawdziłeś? Nie mówię o telefonie, pieprzyć już ten telefon. Ale prochy? Jak myślisz, co powiedzą szefowie, kiedy się dowiedzą, że klient się naćpał i zszedł nam w aucie? Że ktoś, kto miał wszystko sprawdzić, dał ciała i zawiódł na całej linii? Otóż powiedzą: ten Kura taki niby ogarnięty, a tak spierdolił sprawę. Trzeba się zastanowić, czy można mu dalej ufać, co

sądzić? A potem popatrzą po sobie, pokiwają głowami i podejmą jakąś decyzję. Jaką, Kura, jak myślisz? – Popatrzyła mu w twarz i zapytała: – Jak ci się podoba taki scenariusz?

Kura oblizał usta. Ramiona mu lekko opadły.

– Jakby co, wsiadł do nas już naćpany. – Iwona uspokoiła głos, mówiła teraz wolno i wyraźnie, jak do dziecka. – Nie miał przy sobie niczego. Jego telefon wezmę na razie ja, potem zastanowimy się, co z nim zrobić. Zmarł na zawał w trakcie jazdy, takie rzeczy się zdarzają, zdarzyła się i nam. Pech, Kura. Taka karma. Jasne?

Chłopak otrząsnął się.

– Dobra – sapnął, klaszcząc w dłonie i rozcierając je. – Okej. Przyjmuję krytykę. Kajam się, kurwa, mamuśka, masz absolutną rację. Wieziemy go do Falent. Mamy jakąś godzinę jazdy przed sobą. Nie będę do niego dzwonił teraz, niech Damiano podejmie na miejscu decyzję, co z nim zrobić, albo niech zapyta kogoś z góry. A my zgrywamy niewiniątka.

Kura zachowywał się, jakby to on właśnie wymyślił, co zrobiją, ale Iwona nie wytknęła mu tego. Nie było sensu.

– My nie zgrywamy niewiniątek, Kura – powiedziała, mrużąc oczy. – My jesteśmy niewiniątkami. Rozumiesz tę subtelną różnicę? Tak? To zapamiętaj to. A teraz pakujemy go do auta, zanim ktoś się zatrzyma, żeby zapytać, czy nie potrzebujemy pomocy.

Włożenie ciała Niemca z powrotem do samochodu było istną mordęgą. Próbowali różnych kombinacji, ale brakowało im po prostu siły. Kura może i był wysportowany, ale szczupły, a ona była kobietą i w efekcie musieli użyć głów, a nie tylko rąk, i pomyśleć, jak to zrobić, zanim w ogóle zaczęli. W końcu mokry od rosy i powalany ziemią trup zaległ na tylnej kanapie mercedesa. Posadzili go prosto i Iwona zapięła mu pas, z obrzydzeniem odsuwając nos od jego zimnej twarzy, o którą otarła się, gdy wsuwała kłamrę w zapięcie.

– Tapicerka do czyszczenia – stwierdził Kura.

Iwona nie skomentowała tego.

– Jedźmy już – rzuciła tylko, oddychając szybko i czując, jak pot stygnie na niej, a zimno znów zaczyna pełzać po skórze pod ubraniem.

Chwilę później jechali w milczeniu, każde zatopione w swoich myślach, z ogrzewaniem włączonym na full. Świadomość, że z tyłu mają trupa, nie



skłaniała do podejmowania rozmów, więc oboje siedzieli cicho. Iwona prowadziła, Kura skrolował telefon i nie przeszkadzała mu w tym, ciesząc się ciszą. Zdążyła uspokoić oddech i nerwy i już myślała, że dalsza droga minie im we względnym spokoju, kiedy nagle zauważyła na drodze jakiś czerwony, pojedynczy punkt. Nie były to tylne światła jadącego przed nimi samochodu, nawet uszkodzone, bo punkt poruszał się w pionie i po lekkim łuku.

– Co jest? – Kura, widząc twarz Iwony oświetloną bladym, przygaszonym światłem tablicy rozdzielczej, zaniepokoił się lekko.

– Nie jestem pewna, chyba kontrola – odparła niskim z napięcia głosem.

Kura gwałtownie poprawił się w siedzeniu i wrzucił telefon do przegródki w drzwiach, a Iwona poczuła, jak przyśpiesza jej puls.

Nie było dobrze.

– Ja jebie – jęknął Kura. – Pod fotelem mam gnata.

Iwona stwierdziła, że jest jeszcze gorzej, niż myślała, i że pali ją twarz. Kiedy on go tam włożył? Czy był już pod siedzeniem, kiedy Kura zostawiał jej auto pod blokiem?

– Zwariowałeś? – syknęła. – Po cholere ci gnat?

– Na wszelki wypadek.

– To teraz, kurwa, masz swój wszelki wypadek. – Zdenerwowała się na serio. – My też mieliśmy być czyści, tak? Tak czy nie, Kura? Coś jeszcze masz? Może kolejną paczuszkę z białym proszkiem?

– Skończ już, mamuśka. Trzeba coś wymyślić. Gnat nie jest największym problemem. Największy problem siedzi z tyłu.

Kura oddychał przez nos; szybko, aż świstało powietrze. Niewątpliwie chłopak miał trochę racji.

Iwona zwolniła. Teraz widać było niewyraźnie ciemną postać policjanta machającego czerwoną latarką. Był jakieś dwieście metrów przed nimi, oświetlony uliczną latarnią i dopiero gdy pokonali lekki łuk drogi, zobaczyli, że na koronach drzew migają niebieskie refleksy kogutów radiowozu. Nie miała szans zauważyć ich wcześniej. Zdała sobie sprawę, że dlatego stali właśnie tam. Miejscowi dobrze wiedzieli, gdzie zdjąć nogę z gazu, oni nie. Na szczęście nie przekroczyła dozwolonej prędkości, ale i tak patrol uznał, że ich zatrzymają.

Po prostu pech.

– Zawracaj i spierdalamy – zakomenderował Kura.

– Nie mamy szans.

– Mamy merola z potężnym silnikiem – gorączkował się. – Zawracaj, mówię! Odszkodujemy kawałek i zmienimy się za kółkiem!

– Gdzie ty żyjesz, Kura? Myślisz, że oni dalej jeżdżą polonezami albo głównianymi passatami? Poza tym mają łączność, są u siebie i znają tu każdą dróżkę, a ty nie. – Auto toczyło się teraz może trzydzieści na godzinę, jakby Iwona maksymalnie odwlekała moment spotkania z policją.

Jak gdyby to mogło im w czymkolwiek pomóc.

– Może ich rozjechać? – Kura sięgnął pod swój fotel.

Iwona zacisnęła zęby.

– Nawet nie waż się tego tknąć! – warknęła, uderzając go pięścią w kolano. – Masz jeszcze jakieś genialne pomysły? Żeby cię tylko ręka nie zaświerzbila, rozumiesz? Żelastwo zostaje tam, gdzie jest, choćby nie wiem co!

– A jak będą trzepać auto?

– Ja to załatwię, Kura, rozumiesz? – Wiedziała już, co zrobić, a przynajmniej miała tego jakiś mglisty zarys. Zatrzymała auto i wyszeptała jeszcze: – Masz siedzieć cicho i robić, co ci każę. A właściwie masz nic nie robić. Masz się nawet nie odzywać. Powtarzam: ja-to-załatwię! – Ostatnie trzy słowa wyskandowała, żeby wbić mu je do tego zakutego łba.

Na więcej słów nie było czasu, bo policjant pojawił się przy jej drzwiach. Iwona z obojętną miną opuściła szybę, a funkcjonariusz pochylił się lekko i spojrzał jej w twarz. Z ulgą zauważyła białą czapkę drogowki.

– Sierżant Makuch Artur, wydział ruchu drogowego komendy powiatowej policji w Płocku, proszę przygotować dokumenty do kontroli.

Iwona wyciągnęła portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki. Dokumenty: jej prawo jazdy, a nawet dowód rejestracyjny i potwierdzenie ubezpieczenia mercedesa były na wierzchu, przygotowane tak, żeby jak najszybciej załatwić sprawę bez konieczności pójścia do radiowozu i grzebania w systemach.

– Dokąd się państwo udają? – zapytał policjant.

Drugi właśnie obchodził samochód dookoła. Iwona zauważyła kątem oka, że Kura chce coś odpyskować, pewnie coś w rodzaju „to nie wasza sprawa”, więc zareagowała szybko.

– Odwożę do Warszawy syna szefa, wracamy z imprezy firmowej. Z tyłu siedzi kontrahent, Niemiec, ale on jest praktycznie nieprzytomny. To były urodziny, właśnie mojego szefa. Huczne. – Uświadomiła sobie, że nie wie, co dalej, i jeśli gliniarz zapyta ją o szczegóły, polegnie. Nazwa firmy, nazwisko szefa i jego syna... Przecież nawet nie wiedziała, jak Kura się nazywa. Była krytycznie blisko wpadki i mogła liczyć tylko na łut szczęścia i własny refleks. I nagle coś wymyśliła.

Odwróciła się do Kury, który siedział nieruchomo w fotelu, z palcami zaciśniętymi na telefonie. Światło ledowej lampy oświetlającej ich samochód sprawiało, że twarz chłopaka zdawała się woskowożółta. I Iwona postanowiła to wykorzystać.

– Nawet nie próbuj puścić pawia, gówniarzu – warknęła. – Już lepiej to z powrotem połknij albo osobiście wypucujesz furę na błysk, rozumiesz? Zaręczam ci, że twój tatuś mnie poprze. – Odwróciła twarz z powrotem w stronę policjanta i westchnęła ciężko. – Ci bogaci gówniarze myślą, że mogą więcej. Tylko nie zdają sobie sprawy, że są bogaci dzięki tatusiom, a oni nie przyłożyli do tego ręki.

– Czy pani coś piła? – Twarz gliniarza była bez wyrazu.

– Nie – odparła zdecydowanie. – Jestem w pracy, proszę pana. Jak stracę prawko, stracę robotę, proste, nie?

– Ale dmuchniemy, jeśli pani pozwoli.

– A mogę nie pozwolić? – Uśmiechnęła się, ale lekko i był to smutny uśmiech, bo nie mogła przeszarżować.

Ledwo powstrzymywała się przed śledzeniem w lusterku wstecznym drugiego funkcjonariusza, który nagle zniknął jej z oczu.

– Może pani, ale wtedy pojedziemy pobrać krew do badania – stwierdził Makuch.

– Boję się widoku krwi, zdecydowanie wolę dmuchać.

Kura chyba nie wytrzymał napięcia albo to, co powiedziała wydało mu się strasznie śmieszne, bo nagle parsknął i szybko przytknął pięść do ust. Iwona odwróciła powoli głowę.

– Takie to jest dla ciebie zabawne, gówniarzu jeden? – zapytała pełnym wściekłości tonem, a on pokręcił głową, mocno zaciskając powieki.

Policjant odszedł w kierunku radiowozu, a kiedy wrócił z alkomatem, Iwona odsłuchiwała krótkiego wykładu z obsługi urządzenia i dmuchnęła

w jego stronę.

– Zero, zero – oznajmił funkcjonariusz i oddał jej dokumenty. – Mogą państwo jechać dalej. I proszę o ostrożną jazdę.

– Dziękuję – mruknęła, chowając wszystko do portfela.

Ruszyła ostrożnie z zaciśniętymi ustami, usiłując powstrzymać drzenie rąk. Wjechała na drogę, przyspieszyła i co chwila zerkając w lusterko wsteczne, zmieniała biegi i dodawała gazu, aż osiągnęła siedemdziesiątkę. Jechali w milczeniu może kilometr, kiedy nagle Kura wydał z siebie straszliwy wrzask, aż Iwona podskoczyła w fotelu.

– Jaaa-pieeer-doooo-lęęęę! Jesteś zajebista, mamuśka, słyszysz? Zajebista!  
– Zaczął machać rękami. – To było, kurwa, genialne!!! Nawet na chwilę nie straciłaś opanowania! Oscar, należy ci się Oscar! Myślałem, że zejdziesz w tym fotelu, wiesz? Sorry cię, że się roześmiałem, ale nie wytrzymałem ciśnienia...

– Wiem – przerwała mu. – Serio myślałam, że ci przywalę, ale wyszło to nawet prawdziwiej.

Pomyślała, jakie to szczęście, że to ona akurat siedziała za kółkiem, kiedy zatrzymali ich do kontroli. Kura na bank zrobiłby coś głupiego; albo próbował uciekać, jak proponował, albo ich staranować. Tymczasem jego entuzjazm osłabł, a wręcz minął, chyba zdał sobie sprawę, jak blisko byli wpadki. Wystarczyłoby, żeby któryś z policjantów poświecił latarką do środka, a byłiby skończeni. I wtedy zaczęłyby się prawdziwe kłopoty, bo Kura mógłby chcieć sięgnąć pod siedzenie.

Niecałą godzinę później dotarli do Falent, po drodze nie wracając do tego, co wydarzyło się chwilę wcześniej, i niemal ze sobą nie rozmawiając. Kilkanaście minut wcześniej Kura gdzieś zadzwonił, ale nie pytała do kogo. Po prostu prowadziła i myślała, jak skończy się ta noc.

## DAMIANO

– Tutaj? – zapytała Iwona, kiedy Kura wskazał jej długą na kilka metrów bramę: wyłom w murze otaczającym fermę drobiu. – Cofnęliśmy się w czasie, a to jest Berlin Zachodni?

Kura nie załapał; albo był za młody, albo niezbyt lotny, albo myślami był jeszcze przy policyjnej kontroli. Mur, wysoki na trzy metry i zwieńczony ostrymi elementami ze stali, ciągnął się wzdłuż drogi już jakiś kilometr, a dalsza jego część niknęła w mroku. Nagle automatyczna brama drgnęła i zaczęła się rozsuwać, a kiedy otworzyła się całkowicie, Iwona ruszyła i wjechała na zalany jaskrawym białym światłem teren fermy. Gdzieś na wschodzie, za rzędami widocznych przed autem hal, niebo zaczynało jaśnieć, zbliżał się świt. Kura pokazał jej, dokąd ma dalej jechać. Opony chrzęściły na żwirze, kiedy auto powoli toczyło się między halami i zbiornikami na paszę i wodę do instalacji tryskaczowych. Ferma była ogromna. W końcu Kura pokazał jej stojący na uboczu budynek z wysokim kominem. Teren wokół niego był słabiej oświetlony, a kąt, w jaki został wciśnięty, wskazywał na jego mniej istotne dla fermy przeznaczenie. Wyglądał, jakby wszyscy się go wstydzieli i chcieli o nim zapomnieć.

– Witaj w domu, synu – zażartowała Iwona, ale Kura znów nie zareagował, za to ona skrzywiła nos, kiedy otworzyła drzwi i uderzył w niego niemiły zapach. – Jezu, ale smród...

– To z oczyszczalni ścieków, tu niedaleko. Ferma śmierdzi tylko w nocy, kiedy wietrzą hale.

– Bardzo pocieszające. Zwłaszcza że teraz jest noc.

– Już jest rano. Spokojnie, załatwimy sprawę i spadamy do domu.

Zaprowadził ją do środka budynku, wyglądało na to, że doskonale wie, jak się po nim poruszać, znał nawet kod do drzwi. Wpuścił ją przed sobą do jakiegoś pomieszczenia biurowego i zapalił światło. Weszła i rozejrzała się po skromnym wnętrzu, którego jedynym wyposażeniem było kilka regałów z szarej płyty meblowej zastawionych segregatorami, kanapa i biurko pod

oknem, zasłoniętym roletami. W rogu, pod sufitem, podwieszony był czterdziestocalowy telewizor. Pilot do niego leżał na biurku.

– Co teraz? – zapytała.

– Czekamy. – Kura wzruszył ramionami, jakby to było naturalne.

– Na co?

– Na kogo, a nie na co.

Stanął przy oknie, oparł się ramieniem o ścianę, podciągnął roletę i popatrzył przez niezbyt czystą szybę na zewnątrz. W pewnej chwili Iwona zauważyła, jak po jego twarzy prześlizguje się snop światła samochodowych reflektorów i chłopak wyraźnie się ożywił.

– Przyjechał Damiano. – Kura napiął mięśnie ramion i odbił się od ściany.

– Idę z nim porozmawiać.

– Kto to jest ten Damiano? – zapytała.

– Mówiłem ci, szycha.

– A jakieś szczegóły?

– To koleś, który zawozi klientów już na miejsce, do klubu. Moim skromnym zdaniem facet jest psychiczny, ale jakby co, to ja tego nie mówiłem. Muszę go poinformować, co się stało i że pojedzie na pusto, a szwaba trzeba się pozbyć. – Uśmiech Kury był blady i niepewny.

Ruszył w kierunku drzwi.

– Hej, poczekaj! – zawołała za nim.

– Na co? – Odwrócił się zdziwiony.

– To bez sensu.

– Co jest bez sensu?

– Jeśli pozbędą się ciała, tam w Niemczech pójdzie fama, że przygody w Polsce kończą się zniknięciem. Nikt więcej na to nie pójdzie. A jeśli znajdą Horaua w Niemczech, to zrobią mu sekcję i okaże się, że padł na zwykły zawał czy co to tam było. Obecność narkotyków niczego nie zmieni, mógł się naszprycować sam, ale o dragach nawet im nie wspominaj. A co robił w miejscu, w którym go znajdują? Na to pytanie tamtejsze władze nigdy nie uzyskają odpowiedzi, ale ważne, żeby to miejsce nie było w Polsce, rozumiesz?

Kura stał i przyglądał się jej w milczeniu.

– Niegłupie – przyznał po chwili. – Naprawdę niegłupie. No ale jak mówiłem, to nie my podejmujemy decyzję.

– Ale powiedz im to – nalegała. – Powiedz, że ja tak mówię. W końcu byłam psem, no nie?

Kura pokiwał w zamyśleniu głową.

– Okej, mamuśka, idę pogadać. Odpocznij, pooglądaj tiwi, zdrzemnij się. To pewnie chwilę potrwa. – I wyszedł, zostawiając ją samą.

Wyciągnęła się na kanapie. Smród zelżał, choć nie zniknął całkowicie. Iwona zbliżyła do twarzy przedramię i powąchała rękaw marynarki, czy przeszedł niemiłym zapachem, ale nie potrafiła tego stwierdzić. Przez ostatnie kilka godzin dotykała nim wszystkiego: trawy, ziemi, Niemca, a teraz to. I tak dobrze, że w środku przynajmniej nie śmierdziało kurzymi odchodami tak bardzo jak na zewnątrz, bo Kura nie miał racji, twierdząc, że czuć je tylko w nocy podczas wietrzenia hal. Ona czuła je wyraźnie i to nie był smród z oczyszczalni.

Nagle drzwi się otworzyły, ale to nie Kura był tym, kto się w nich pojawił.

Iwona wyprostowała się i przyjrzała przybyszowi. Był szczupłym, wręcz chorobliwie chudym facetem z rzadkimi włosami na gruszkowatej głowie. Dół twarzy okalał niechlujny i rzadki zarost w kolorze włosów, które były jaśniejsze niż u Kury, jakby je tlenił. Haczykowaty nos sterczał spomiędzy głęboko osadzonych podkrążonych oczu. Wyglądał, jakby walczył z rakiem albo był w ostatnim stadium uzależnienia od jakiegoś syfu.

– Jestem Damiano – powiedział, zamykając drzwi.

Zrobił to głośno i niedbale, po prostu nimi trzasnął.

– Cześć, Damiano. – Iwona nie wstała ani nie wyciągnęła ręki, czekając, co zrobi tamten.

Na szczęście nic nie zrobił, tylko odsunął krzesło od biurka i usiadł na nim, nie próbując nawiązać fizycznego kontaktu.

– Jak już tu jestem, to chciałem cię zobaczyć. – Miał piskliwy głos, którego nie potrafił chyba modulować, jakby miał kłopoty z krtanią.

– I co, zadowolony? – Rozłożyła ręce i spojrzała na boki; najpierw w prawo, potem w lewo, jakby mu się prezentowała.

Damiano patrzył na nią nieruchomym wzrokiem.

– Kura mówił, że zagrałaś rolę życia przy psach. Gratuluję. Pomijając drobny fakt, że zjebaliście sprawę.

– Dzięki. Ktoś musiał ratować sytuację. I nikt niczego nie zjebał. Chyba że Herr Gott, bo zechciał go do siebie zabrać.

Głowa Damiana lekko się ruszała, jakby nie potrafił zapanować nad mięśniami szyi.

– Jak ten Szwab zdechł? – zapytał.

– Kura ci nie mówił?

Wyciągnął rękę, rozczapierzył palce i machnął nią, jakby odganiał owada.

– Chciałbym to usłyszeć od ciebie.

– Jechaliśmy sobie i nagle zaczął rzeźnić. Stałam, zobaczyłam, że jest blady i spocony, i że trzyma się za klatkę piersiową. Potem się zatrzymał, wyciągnęliśmy go na zewnątrz i zaczęłam RKO. Nieskutecznie.

– I bardzo dobrze, że nieskutecznie. Po chuj w ogóle ją zaczynałaś?

Zostawiła to pytanie bez odpowiedzi i komentarza.

– Taka z ciebie dobra Samarytanka? – drażył temat.

– Jak coś takiego przytrafi się tobie, a ja akurat będę obok, to też mam nie zaczynać resuscytacji?

W jego oczach coś mignęło.

– Nie podskakuj mi tu, mała, bo za krótka jesteś dla mnie. – Przejechał dłonią po zaroście; był tak miękki, że nawet nie zachrząścił.

– Nie podskakuję. – Iwona patrzyła mu w oczy bez zmrużenia powieki. – Nie będę się przed tobą płaszczyć: skoro chcesz ze mną gadać w taki sposób, to tak będę odpowiadać. I nie zamierzam się z tobą licytować, kto jest ważniejszy, bo znam swoje miejsce. Ale pomiatać sobą nie dam.

Damiano na chwilę uciekł spojrzeniem gdzieś w bok.

– Mówisz, żeby wywieźć trupa do Niemiec?

– Tak bym zrobiła. Mówiłam Kurze dlaczego.

– Tak, wiem. Gdzie byś go zawiozła?

Zrobiła głęboki wdech, teatralnie, jakby się poważnie zastanawiała.

– Podobno mieszkał w Berlinie, tak przynajmniej wspominał...

– Mówił wam, kim jest?

– Nie – odpowiedziała szybko. – Coś tam bąknął, że Szczecin jest podobny miejscami do Berlina, a to jego miasto, ale udawałam, że nie znam niemieckiego.

– Okej, dalej. – Damiano pokiwał głową.

– Więc proponuję podrzucić ciało gdzieś w te okolice, choć niekoniecznie do samego centrum. To duże miasto. Trzeba to zrobić w ustronnym miejscu, ale jednocześnie tak, żeby zostało dość szybko odnalezione. Nie ma żadnych



ran, więc... – Wzruszyła ramionami. – Zrobią pewnie autopsję, zobaczą, że zmarł na zawał, czy co to tam było. Będą się długo zastanawiać, skąd się wziął tam, gdzie go zostawicie, i jak wrócił z Polski, bo dojdą do tego, że tam był, ale żadnych konkretnych wniosków pewnie z tego nie będzie. – Powtórzyła niemal dokładnie słowo w słowo to, co powiedziała Kurze, bo nie miała pewności, czy wszystko przekazał jak trzeba.

Musiała zdobyć ich zaufanie. Musiała się wykazać. Musiała pokazać im, że jest kreatywna, zaangażowana i zatrudnienie jej było świetnym pomysłem. Bo wraz z zaufaniem zyskuje się kolejne stopnie wtajemniczenia, a na tym zależało jej jak cholera.

– A jakby się okazało, że to była gruba ryba? – zapytał Damiano.

Kura zachował chyba dla siebie to, że wiedzą, kim był Horau. Miał wciąż jego paszport, a ona telefon. Iwona pogratulowała sobie w duchu refleksu, kiedy Damiano zapytał ją, czy wiedzą coś o Niemcu.

– Mówisz o pozycji społecznej czy...? – dopytała, udając głupią.

– Jeden chuj. Bogaty biznesmen czy gangster, co za różnica? W każdym razie ktoś. Przez duże K. Co wtedy byś zrobiła?

– To samo. I to tym bardziej. Ma się znaleźć jak najdalej stąd, a nie zniknąć. Z punktu widzenia waszych interesów i kontynuacji opcji niemieckiej, że się tak wyrażę, to jest optymalne rozwiązanie. Nie najlepsze, bo najlepszego nie ma w takiej sytuacji, ale optymalne spośród tych, które pozostały. Tak uważam, skoro już mnie pytasz o zdanie.

– No dobra. – Damiano klepnął się w patykowate uda i wstał. – Kura zaraz wróci i przekaże ci, co dalej. Siedz tu, nie pałętaj się po zakładzie.

Iwona nie miała nic przeciwko, żeby zostać w pomieszczeniu.

Położyła się na kanapie, założyła ręce za głowę i zaczęła wgapiać się w sufit, myśląc, czy dzięki niespodziewanej śmierci szwaba zyska tyle, na ile liczyła.

## KÖNIGS WUSTERHAUSEN

Kura wrócił kilkanaście minut później. Był czerwony, pewnie z emocji, ale nie smutny ani zgaszony. Wyglądał wręcz na zadowolonego z siebie.

– Nie było tak źle. – Usiadł obok niej na kanapie, kiedy wstała, robiąc mu miejsce. – Damiano zadzwonił do szefostwa, a szefostwo stwierdziło, że dobrze ci idzie i że wypadki się zdarzają. Padło też kilka nowych pomysłów, które będziemy realizować.

– Jakie to pomysły? – Przetarła piekące oczy.

– Zobaczysz. A na razie, mamuśka, jedziemy do Raszyna do hotelu. Tam odpoczniemy, potem skoczymy gdzieś na obiad, a wieczorem jedziemy na zagraniczną wycieczkę.

– Co?

– Co: co? Sama to wymyśliłaś.

– Ale nie mówiłam, że to my mamy go tam zawieźć! Kurwa... Naprawdę poszli na to?

Pokiwał głową.

– Poszli, poszli. I nie bardzo mi się to podoba.

– Uwierz mi, mnie jeszcze bardziej. Przede wszystkim czym? Jak nas zatrzymają na autostradzie do jakiegokolwiek kontroli... To, że nam się raz udało, nie oznacza, że tak będzie zawsze.

– O to się nie martw. – Wielkie zęby Kury błysnęły w uśmiechu. – Z przewozem jest akurat najmniejszy problem.

Dopiero przy samochodzie przypomniała sobie o trupie na tylnej kanapie, kiedy jednak zajrzała do środka przez szybę, zobaczyła, że ciała nie ma w środku.

– Co się z nim stało? – zapytała Kury.

– Zajęli się nim odpowiednio. Poszedł do przechowalni, poleży tam do wieczora. Wsiadaj.

Nie pytała o nic więcej, tylko zrobiła to, o co prosił. Pojechali do Raszyna, gdzie mieli zarezerwowany hotel, trzygwiazdkowy, na uboczu. Nie było

spania po znajomych czy kumplach, albo gdzieś na fermie, nie było nawet problemu, że przyjechali za wcześnie, bo pokoje można było zajmować od piętnastej: wszystko było zorganizowane jak operacja specjalna. Niemal jak realizacje, na które Iwona jeździła jako policjantka. Zaczęła zastanawiać się, czy ktoś, kto jest odpowiedzialny za organizację, ma lub miał coś wspólnego z formacją, z której ją usunięto. Nie podzieliła się swoimi przemyśleniami z Kura: od razu po zameldowaniu skierowała się do siebie, wzięła długi prysznic i poszła spać. Spała jak kamień, mimo obaw, że będą ją dręczyć koszmary – musiała być naprawdę nieziemsko zmęczona. Kiedy się obudziła, była szesnasta. Zwlekła się z łóżka, ogarnęła się w łazience, a potem poszła zapukać do Kury.

– Wstałaś? – zapytał, widząc ją w drzwiach.

– Tak – mruknęła.

– To co, obiad i wracamy do Falent? Do Warszawy już nie ma sensu jechać.

– Okej.

– Masz jakiś plan? – zapytał, kiedy schodzili do hotelowej restauracji.

– Prawie. – Miała jeszcze lekką chrypkę, efekt nieprzespanej nocy i atrakcji w chłodnym, nocnym powietrzu.

Zamówili obiad. Kura nie zaskoczył Iwony i wziął schabowego, ona włoską pastę z cukinią. Kiedy przy stoliku czekali na zamówienie, wyciągnęła telefon i weszła w internet.

– Muszę jeszcze coś sprawdzić, tylko powiedz, co miałeś na myśli, mówiąc, że z przewozem jest najmniejszy problem.

– Auto ma skrytkę, której nie wywająają gliny.

Spojrzała na niego znad komórki.

– Chcesz powiedzieć, że pojedziemy jakimś tirem?

– Neeee, zobaczysz. – Kura miał chytry uśmiech dzieciaka szykującego psikus, a Iwona nie lubiła psikusów. – Fura jest pewna na stówę.

– Okej. – Przesuwała palcem po telefonie, a kilka minut później zapytała: – Byłeś kiedyś w Königs Wusterhausen?

– Nie.

– No to będziesz.

– Gdzie to jest? – Kura zmarszczył brwi.

– Pod Berlinem. Tam zostawimy Horaua.

Plan, który wymyśliła Iwona w ciągu kilku dosłownie minut, był prosty, bo takie są najlepsze. Nie dlatego, że uwzględniają wszystko, bo tak się nie da, tylko dlatego, że nie ma w nich kombinacji zwiększających ryzyko niewypału. Im więcej plan ma elementów, tym więcej z nich może się pokomplikować. Dojazd był idealny: odcinek przez całą Polskę aż do przejścia w Świecku mieli pokonać autostradą A2, która za niemiecką granicą przechodziła w numer 12. Tuż przed Königs Wusterhausen znajdował się zjazd na A10, czyli Ring, stanowiący ogromną, prawie dwustukilometrową berlińską obwodnicę. A skoro auto było według Kury pewne na sto procent, to nie musieli obawiać się kamer na stacjach benzynowych.

Kiedy już zjedli obiad, zabrali torby z pokojów i zeszli do samochodu, Iwonę ogarnęło nieodparte wrażenie *déjà vu*, które dotyczyło bardziej sytuacji niż miejsca, ale i tak dawało jej po głowie. Mocno.

Wrócili do Falent. Ferma sprawiała dokładnie takie samo odpychające wrażenie jak w nocy, choć drażniący zapach kurzych odchodów nie był tak intensywny. Znowu znaleźli się w niewielkim budynku z kominem, znowu usiedli na kanapie w pomieszczeniu biurowym, ale tym razem oprócz Damiana był tam jakiś człowiek. Nikt go Iwonie nie przedstawił, a ona nie pytała, kim jest, przyzwyczajona, że im mniej pytań się zadaje, tym mniej mają o to pretensji, choć ciekawość niemal ją zżerała. Mężczyzna sprawiał wrażenie lekko upośledzonego umysłowo, był niski, miał gruszkowatą budowę ciała, a na sobie brudny kombinezon z ogromnym napisem „Drobex” na plecach. Stał pod jedną ścianą tępo wpatrzony w drugą i nie odzywał się, a kiedy do środka wszedł Damiano, zeszytniał i lekko skulił się w sobie.

Damiano nawet się nie przywitał, tylko wskazał palcem jego i Kurę, i zadysponował:

– Ładujcie towar.

Obaj wyszli na zewnątrz, a Damiano usiadł na tym samym miejscu co poprzednio i dokładnie w takiej samej pozycji. Oparł stopy o podwozie fotela i kręcił się na nim lekko raz w jedną, raz w drugą stronę.

– Fajnie to wymyśliłaś. – Pokiwał głową, ale nie patrzył na Iwonę.

Zrobiła skromną minę, bo nie chciało jej się odpowiadać.

– Tylko tym razem nie spierdolicie niczego, bo nie będzie przebaczone. – W jego głosie nie było groźby; powiedział to najnormalniejszym w świecie

tonem, jednak jego mowa ciała wyraźnie wskazywała, co się stanie, jeśli coś przydarzy im się po drodze.

– Na pewne rzeczy nie mamy wpływu – stwierdziła twardo. – Mam nadzieję, że to jest jasne.

– To miejcie. – Damiano wstał. – Mam nadzieję, że to jest jasne.

Popatrzył jeszcze na nią tym swoim spojrzeniem bez wyrazu.

Kura wspomniał, że uważa Damiana za psychola i Iwona od tej chwili podzielała to zdanie mimo braku wyraźnych oznak, które zwykle świadczą o tym bez jakichkolwiek wątpliwości. Ta pustka w jego oczach była dla Iwony znakiem. Rozedrgane ruchy, niespokojne tiki również. Niewykluczone, że Damiano coś brał, a jeśli tak, powinien jej zdaniem to rzucić albo zamienić na leki, zanim będzie za późno. O ile już nie było.

Wyszedł, zostawiając ją samą. Odetchnęła głęboko i oparła górną połowę ciała o podłokietnik kanapy, a potem zamknęła oczy, ciesząc się ciszą. Cieszyła się nią niedługo, bo od strony okna doszedł ją przytłumiony dźwięk silnika, potem trzask otwieranych drzwi i chrzęst żwiru oraz ciche głosy. Kiedy kilka minut później wrócił Kura, nawet nie wchodził do środka, tylko machnął na nią od drzwi. Wstała z kanapy i poszła za nim.

Przed budynkiem stało auto, którym mieli zawieźć trupa Steffena Horaua do Niemiec i dopiero teraz zrozumiała, czemu Kura się uśmiechał, zatajając szczegóły, gdy jej o nim opowiadał w Raszynie.

Biały volkswagen crafter w wersji pikap miał nadbudowaną ładownię, której boczne ściany oklejono reklamami firmy montującej stolarkę okienną. Kiedy Kura otworzył tylne drzwi, zobaczyła w środku stojaki, do których pasami przytwierdzone były okna. Najprawdziwsze, z PCW, z podwójnym szkleniem.

– Gdzie jest ciało? – zapytała.

– Pod spodem. – Kura wskazał stelaż i dopiero teraz zwróciła uwagę, że chłopak ma na sobie biały kombinezon i kurtkę z logo firmy „Fenster”, takim samym, jakie widniało na burtach. – Paka ma lekko nadbudowaną podłogę, ta, którą widzisz, nie jest fabryczna. Ale wystarczy miejsca nawet na takiego grubasa. Kłapa w podłodze jest praktycznie niewidoczna, a zamek otwiera się kluczykiem od wlewu paliwa. Sprytne, co? Mają łeb na karku.

– Trumna na kółkach – mruknęła.

– Wypluj to – obruszył się Kura. – Mamy dojechać i wrócić cali i zdrowi. Spojrzała na niego zaciekawiona.

– Jesteś przesądny? Ty? Nie pomyślałabym.

Kura zamknął drzwi, trochę mocniej, niż było trzeba.

– Ja prowadzę – rzucił, idąc w stronę szoferki.

– Proszę uprzejmie – odpowiedziała jego plecami.

Wsiedli do samochodu, Kura poprawił fotel, dostosowując jego ułożenie do swojego wzrostu i zasięgu rąk, a Iwona zapięła pas i oparła się o zagłówek. Świadomość tego, co ma za plecami, nie była miła, ale chyba zaczynała się przyzwyczajać. Podobno człowiek przyzwyczai się do wszystkiego, jest tylko kwestią czasu, kiedy to nastąpi. U niej poszło dość szybko.

Ruszyli, przejechali powoli przez fermę, dotarli do wyjazdu i odczekali, aż automatyczna brama się odsunie. Kiedy stanęła otworem, Kura ostrożnie wyjechał na drogę.

– Ale by ratownicy mieli zagwozdkę, gdybyśmy się rozwalili po drodze – rzuciła Iwona z lekkim rozbawieniem, pukając w tylną ściankę szoferki. – Nie doszliby do ładu z ciałami.

– Możesz, mamuśka? – Kura patrzył w skupieniu na drogę.

Iwona widziała, że ma zaciśnięte zęby, a jego głos był napięty.

– Wyluzuj, chłopaku, ciesz się wycieczką. Zagraniczną.

– Bardzo śmieszne, kurwa.

Zamilkła. Do celu mieli nieco ponad pięćset kilometrów, a więc powinni się tam znaleźć mniej więcej w środku nocy. W Google’u znalazła miejsce, które uznała za idealne do szybkiego i chyba w miarę bezpiecznego pozbycia się zwłok. Zjazd z autostrady w kierunku centrum Königs Wusterhausen prowadził przy okazji na lokalną drogę do zwirowni i kopalni piasku. Nie chodziło oczywiście o zakopanie Steffena Horaua, a tylko o podrzucenie jego zwłok w dziwnym miejscu, tak żeby dość szybko zostały znalezione. Planowała, że wyrzucą go na drogę niedaleko kopalni i natknie się na niego pierwsza osoba, która rano będzie tamtędy jechać do pracy. Ale rano oni będą już w Polsce, może nawet w Falentach.

Kura wjechał na S2, która niedługo później zmieniła się w autostradę A2. Mieli nią podążać aż do granicy. Ściemniało się, na trasie było sporo samochodów, a Kura znów prowadził jak wytrawny kierowca z długim

stażem, który nie musi się przed nikim popisywać. Iwona czekała, aż się odezwie, bo wiedziała, że to w końcu nastąpi. Kura lubił gadać.

– Dwadzieścia lat temu taki numer by nie przeszedł – zaczął dosłownie kilkanaście sekund później. – Paszporty, kontrola na granicy, ryzyko...

Westchnęła.

– Jesteśmy tu i teraz, Kura. Po co to roztrząsać? Rok temu była pandemia, czterdzieści lat temu żelazna kurtyna, a sto pięćdziesiąt lat temu nie było samochodów. Po co tu gdybanie?

– Może i masz rację. – Skrzywił się i ze zgrzytem skrzyni zmienił bieg: każdemu zdarzają się potknięcia, a on chyba nie miał wprawy w prowadzeniu tego typu aut. – Wiesz, gadałem przy okazji z Damianem o następnej sprawie. Musimy złowić jedną laskę.

– Na czym polega łowienie? – Iwona starała się, żeby głos jej nie zdrzął.

– Poszłajamy się po klubach. Kiedy znajdziemy odpowiednią, zaproponuję jej sesję zdjęciową, niby że do modelingu, ale teraz nie wszystkie się na to łapią. Wtedy ty pochodzisz za nią trochę i zrobisz jej kilka zdjęć, tylko tak, żeby nie zauważyła. Twarz, figura, nogi, biust.

– Przepraszam, mam ją rozebrać do naga czy jak?

– W ubraniu, tylko tak, żeby było widać, czy coś tam jest godnego uwagi, rozumiesz? Żadnego pozowania, po prostu cykasz z ukrycia, nawet telefonem. – Sięgnął za pazuchę kurtki, wyciągnął coś białego i podał jej.

Iwona wyciągnęła rękę w stronę lampki nad przednią szybą i włączyła ją. Trzymała w ręku zdjęcie jakiejś dziewczyny.

– Dlaczego akurat ta? Nie jest najpiękniejsza.

– Takiej życzy sobie klient.

– Nie rozumiem.

– Klient czasem przesyła zdjęcie laski, jaka by mu najbardziej pasowała. Czasami kończy się na opisie, ale czasem dostajemy konkretne zdjęcie, tak jak tym razem. Nie wiemy, czy to ktoś bliski klienta, czy przypadkowa fota z netu, ale nas to nie interesuje. Ta, którą mu dostarczymy, ma być jak najbardziej podobna, w takim typie. Może chce bzyknąć laskę, w której się podkochuje, a ona dała mu kosza, a może chce zrobić coś, na co mu nie pozwala ta, z którą jest. Nieistotne. Płaci i wymaga.

– Te zdjęcia, które się zrobi, wyślą klientowi, tak?

Kura powoli odwrócił głowę i utkwiał wzrok w jej twarzy.

– Co ty taka ciekawska jesteś?

– Może liczę na awans w zespole? – odpaliła.

Roześmiał się.

– Mamuśka, nie rozwalaj mnie... Pochwała od szefostwa nie oznacza jeszcze, że idziesz w górę.

– Nie wiesz, jak to jest sięgnąć dna, Kura. Nie wiesz, ile jest się w stanie zrobić, żeby się z niego dźwignąć i nigdy więcej tam nie osiąść.

Kura spoważniał. Patrzył na nią z szeroko otwartymi ustami i gmerał językiem między policzkiem a dolnymi zębami. Wyglądał jak chłopiec, który żuje ciągnącą się ponad miarę krówkę.

– Nie masz pojęcia, na jakim dnie ja byłem i co zrobiłem, żeby się od niego odbić. To po pierwsze. A po drugie, są rzeczy, których nie zrobisz nawet z tego powodu, uwierz mi. Są granice, których ty na pewno nie przekroczysz.

– Co masz na myśli?

– Po co?

– Co: po co?

– Po co chcesz to wiedzieć?

– Bo czuję, że mi awans ucieka.

– Im mniej wiesz, tym jesteś krócej przesłuchiwana. Wiesz, kto to powiedział?

– Jakiś czekista.

– Kto?

– Nieważne. Nie mam siły ci tłumaczyć.

– No widzisz, czyli jest coś na rzeczy. Nieważne, jaki chuj to powiedział: miał rację. Więc nie wachaj, piesku, bo cię zakopią.

– A ty przekroczyłeś te granice, Kura? – Zerknęła na niego kątem oka.

– A jak myślisz?

Jechali przez chwilę w milczeniu.

– Dobra, nie chcę wiedzieć – mruknęła w końcu pojednawczym tonem.

– Grzeczna dziewczynka. – Patrzył na drogę.

– Nie mów do mnie jak tatusiek do swojej lalki. – Iwona zdenerwowała się nagle i rzuciła zdjęcie na deskę rozdzielczą. – Jestem sporo starsza od ciebie, Kura, okej? Ile razy mam ci to przypominać?

– No i co z tego, że jesteś starsza? To ja jestem szefem.



- To już nie jesteśmy partnerami?
- Okej, jesteśmy, ale ja jestem starszy stażem.
- To znaczy, że możesz mnie obrażać?
- Dobra, nie ciskaj się już. – Sapnął głośno.
- To powiedz mi jeszcze jedno: dlaczego sprowadzacie dziewczyny ze Szczecina i okolic? Skoro klub jest gdzieś koło Falent, jak się domyślam, to czemu nie szukać ich chociażby w Warszawie?
  - Też się nad tym zastanawiałem – przyznał Kura po chwili milczenia.
  - I co wymyśliłeś?
  - Szczecinianki są ładniejsze?
  - Głupi jesteś. – Parsknęła. – Mamy szukać podobnych do tych, które są na zdjęciach, więc uroda nie ma z tym nic wspólnego. I chyba logiczne, że w Warszawie jest większa szansa na znalezienie podobnej? I pewnie robili tak, zanim zaangażowali ciebie. Szukali lasek w okolicach Warszawy.
  - Nie wiem. – Kura wzruszył ramionami. – Po co w ogóle się nad tym zastanawiasz?
  - Bo lubię wiedzieć, jak głęboko jest w miejscu, w którym pływam, rozumiesz? Podjęłam współpracę, ale i ryzyko, dlatego chcę je znać. Coś mi tu śmierdzi, po prostu.
  - A gdybyś miała wymyślić, dlaczego tak jest? – Kura pociągnął nosem.
  - Są obsesyjnie ostrożni, co sam zauważyłeś. I to jest zrozumiałe. Może chodzi o odległość? Może tam rozniosła się wieść o klubie, może kilka z tych dziewczyn wcale nie było takich chętnych i skończyło się to dla nich smutno...
  - Co masz na myśli? – przerwał jej.
  - Wylądowały w szpitalu? Mają teraz kłopoty ze zdrowiem? Nie wiem, domyślam się. Zapewne nie potrafiły podać ani lokalizacji miejsca, ani rysopisów ludzi, którzy je wykorzystali, nie wspominając o nazwiskach, ale wiesz, szum się zrobił. Więc może skorzystali z okazji, zmontowali ekipę w Szczecinie na potrzeby obsługi Niemców i chcą, żebyśmy im szukali dziewczyn u nas?
- Kura skrzywił wielkie usta.
- Brzmi sensownie.
- Na zewnątrz było już coraz ciemniej, wkrótce całkowicie zapadł zmrok, a oni jechali z przepisową prędkością, zwalniając tam, gdzie nakazywały to

znaki, i stosując się do zakazów wyprzedzania. Kura pamiętał pewnie jeszcze niedawną lekcję, choć bardziej może ochrzan, który dostał od Damiana i szefów.

Granicę, niezatrzymywani, przekroczyli tuż przed pierwszą w nocy, a trzy kwadransy później opuszczali Ring zjazdem numer dziewięć. Kura ucichł, jego ruchy stały się nieco nerwowe. Oboje zdawali sobie sprawę, co się stanie, jeśli ktoś ich nakryje na wynoszeniu zwłok z samochodu. Iwona miała tylko nadzieję, że broń zostawił w Falentach.

– Kura, mam nadzieję, że pod moim fotelem nie ma gnata.

– Nie ma – odburknął.

Skóra jego twarzy miała bladoniebieski odcień od światła padającego z wysokiego pylonu na pobliskiej stacji benzynowej. Przed nimi, za wiaduktem autostrady, była już tylko czerń lasu.

– Pod twoim też nie? – drążyła.

– Nie. Nie wziąłem go, został w Falentach.

– Okej, tyle chciałam wiedzieć – stwierdziła dość beztróskim tonem.

– Myślisz, że jakby nas nakryli z trupem, to broń by znacząco zwiększyła wymiar kary? – Kura pociągnął nosem. – Mielibyśmy przejebane i bez niej.

Nic nie powiedziała, nie o to jej chodziło. Chodziło o to, co zrobiłby z nią Kura w razie wypadki.

– Tutaj prosto, to ta droga do żwirowni. – Pokazała przed siebie, zerkając w telefon.

Kura pojechał tam, gdzie powiedziała. Po ujechaniu jakichś dwustu metrów kazała mu zjechać na pobocze, więc zrobił to, stanął i wyłączył silnik oraz światła. Zapadła całkowita ciemność. Dopiero po chwili, kiedy ich wzrok się do niej przyzwyczaił, z mroku wyłonił się zarys lasu odcinający się od nieco jaśniejszego nieba rozświetlonego luną światła miasta. Wysiedli z auta równocześnie, zostawiając uchylone drzwi. Kura otworzył te tylne, wskoczył do środka, pochylił się, przekręcił kluczyk w zamku ukrytym pod klapką z tego samego materiału, którym pokryta była podłoga i otworzył klapę. Iwona również weszła na pakę i przyświecała mu latarką z komórki. Oboje mieli na dłoniach lateksowe rękawiczki.

Steffen Horau, jeden z najbogatszych niemieckich przedsiębiorców, ledwo mieścił się w przestrzeni skrytki. Wyglądał niemal dokładnie tak samo jak wczoraj, gdy wsiadał koło szczecińskiego dworca do mercedesa. Może tylko

był bardziej żółty i trochę śmierział, ale na jego twarzy wciąż widniał ten spokój śmierci, który zagościł na niej, kiedy zmarł. Na nosie Horaua tkwiły nawet okulary. Trochę przekrzywione, ale jednak były na swoim miejscu. Iwona wyciągnęła z kieszeni swojej kurtki jego paszport, wytarła okładki skrajem bluzy i włożyła do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Bierzemy go – zakomenderował Kura.

Podniósł trupa do pozycji siedzącej i położył na wyższym poziomie podłogi. Potem stękając z wysiłku, wyciągnął z zagłębienia jego nogi i ciało przewróciło się z głuchym hukiem. Kura złapał je za stopy i pociągnął w kierunku drzwi. Iwona zrobiła mu miejsce. Kiedy zeskoczył na ziemię, popatrzył na nią.

– Musisz mi pomóc.

Złapała Niemca za kostkę, Kura za drugą i pociągnęli go do siebie. Ciało spadło z paki i zanim głowa uderzyła o ziemię, Iwona przytrzymała ją w ostatniej chwili, krzywiąc się z obrzydzenia. Kura nie miał takich rozterek.

– Wracaj ścierwo, skąd wypełzłeś. – Kopnął trupa w korpus.

– Bezczeszczenie zwłok sprawia ci przyjemność, Kura? – zapytała Iwona, zdejmując rękawiczkę.

Zrobiła to zbyt gwałtownie i guma się rozerwała. Chłopak spojrzał na nią dziwnie.

– To tylko trup. – Wzruszył ramionami i nagle zeszywniał. – Ty, mamuśka, co z jego telefonem? – jęknął. – Został w mercedesie! Albo nawet gdzieś tam po drodze, kiedy stanęliśmy. Pewnie wypadł, jak go wyciągnęliśmy z auta!

Iwona sięgnęła do kieszeni dłonią w rękawicze, wyciągnęła komórkę Horaua i pomachała nią przed nosem Kury.

– Ty byś beze mnie zginął, chłopaku. – Pokiwała smętnie głową, schyliła się i włożyła ją do kieszeni marynarki trupa, po czym dodała: – Marnie.

Kura się rozpromienił.

– Na szczęście jestem z tobą – sapnął. – Z tobą nie zginę.

Nic nie powiedziała, tylko zdjęła drugą rękawiczkę, która też pękła przy ściąganiu. Iwona schowała strzępki niebieskiej gumy do kieszeni, a potem oboje wsiedli do auta i ruszyli w drogę powrotną, podczas której Iwona spała albo udawała, że śpi.

## PINK CLUB

Kura szalał na parkiecie Pink Clubu, a Iwona stała przy barze z sokiem pomidorowym udającym Krwawą Mary i patrzyła, jak chłopak wywija kończynami. Może nie robił tego z gracją, ale na pewno z entuzjazmem i to zjednało mu sympatię kilku dziewczyn, które kręciły się teraz koło niego. Wyglądały jak pilne studentki, które postanowiły zakosztować nocnego życia, wyraźnie odstając od wypacykowanych nastolatek, które zapomniały włożyć połowy garderoby i przypominały własne matki. Połowa z nich była stałymi klientkami klinik chirurgii plastycznej, druga zbierała na to kasę i też wkrótce miała tam trafić, mimo braku takiej potrzeby.

Iwona czuła się tu kompletnie nie na miejscu. Ostre światła, kakofonia dźwięków, huśtawki z niemal nagimi dziewczynami, którym doczepiono kocie uszy albo anielskie skrzydła, zawieszane z braku miejsca po kątach, więc mogły tylko na nich siedzieć, zamiast fruwać nad głowami ludzi, jak na amerykańskich filmach. Industrialny wystrój był przesylny, ale nie o to tu chodziło. Chodziło o zabawę. Mogłaby być matką połowy obecnych tu osób, a dla reszty starszą, i to znacznie, siostrą.

Miała przyglądać się dziewczynom, wypatrując tych podobnych, które po ewentualnym liftingu za pomocą kosmetyków mogły udawać dziewczynę ze zdjęcia. Wiedziała, że takiej tu nie znajdzie. Ani tutaj, ani w żadnym innym klubie. A jeśli znajdzie taką Kura, to ona zrobi wszystko, żeby go przekonać, że tylko mu się wydaje.

Potoczyła wzrokiem po tłumie spoconych, drgających frenetycznie ciał. Światła prześlizgiwały się po głowach, plecach i uniesionych ramionach. Nagle Iwona zauważyła, że stojąca nieopodal z grupką koleżanek kobieta przypatruje jej się uważnie. Miała wysoko upięte blond włosy, dziwną, niepasującą tu seledynową sukienkę nad kolana z dużym dekoltem, a w ręku trzymała kolorowego drinka w kieliszku od martini. Na oko miała jakieś czterdzieści lat. Widząc, że Iwona złapała jej spojrzenie, podeszła do niej lekko chwiejnym krokiem.

– Heeej! – zawołała, przekrzykując hałas i uśmiechając się trochę niepewnie.

Iwona nie uśmiechnęła się, złożyła tylko usta do słowa „hej”, bo nie chciało jej się nawet krzyżeć. Kilka razy zdarzyło się, że ze względu na wygląd chłopczycy dziewczyny brały ją za lesbijkę. Ale nie tym razem.

– Ty jesteś żoną tego Krzyśka, prawda?! – zawołała kobieta. – Gratuluję! Jesteście tu razem?

– To pomyłka. – Zamrugła gwałtownie.

– Niemożliwe, ja mam pamięć do twarzy jak skurwysyn, a ty jeszcze masz chalakte... – Kaszlnęła. – Charakterystyczną fryzurę! To na pewno ty! Gdzie chodzisz do fryzjera? – paplała jak najęta.

Iwona mocniej ścisnęła szklanekę.

– Znamy się? – wykrzyczała jej do ucha.

– Neeee! – Kobieta roześmiała się, zasłaniając usta dłonią i odchylając się, aż z kieliszka na jej palce wylało się trochę drinka. – Próbowałam go poderwać, ale się nie dał. Powiedział, że jest żonaty! Rozumiesz? Wyciągnął w końcu twoje zdjęcie z portfela i mi pokazał, bo mu zarzuciłam, że mu się nie podobam i chce mnie splawić! – krzyczała jej do ucha. – Tu same szczawie, za stara jestem dla nich, a ja lubię się zabawić. A co, kurwa, nie wolno mi? Przecież niczego mi nie brakuje, sama powiedz. – Chwyciła się za biust i uniosła go, prezentując Iwonie dekolt. – No i go wyhaczyłam, bo był wiekowo odpowiedni, nie? Ale numer... Jest tu gdzieś? Może pobawimy się razem? Jestem tu z moimi laskami.

– Nie ma go, jestem sama. – Pokręciła głową, nie będąc pewna, czy tamta ją usłyszała.

– Szkooodda! Pozdrów go, dobra? I gratuluję ci faceta. Sympatycznie nam się gadało przez chwilę. Normalnie, złoto! Mój były poszedł z pierwszą, która się nawinęła. – Machnęła ręką miękkim, trochę niezbornym ruchem.

– Jesteś pewna, że to był on?

Kobieta odsunęła się trochę i przyjrzała Iwonie, mrużąc oczy.

– Wysoki, przystojny, kędzierzawe włosy, ciemne oczy, prosty nos, ładne usta, taki Cygan z urody, trochę niewyraźnie wymawia „r”?

Iwona upiła łyk soku. Musiała zwilżyć usta.

– Mówił ci, co tu robił? – Pochyliła się i wykrzyczała to pytanie kobiecie prosto do ucha.

– Mój były?

– Nie, Krzysiek.

– No a co mógł tu robić? Bawił się! Chyba po to się tu przychodzi, nie? Ja tu jestem prawie codziennie, odkąd ten chuj mnie zostawił! – Zamglone alkoholem i pewnie nie tylko nim oczy wpatrywały się w nią z nieco wymuszoną wesołością.

Iwona wessała wargi, zastanawiając się, co powiedzieć. Albo jednak kobiecie się coś pomyliło, albo...

– Kiedy to było?! – krzyknęła w końcu tamtej do ucha.

– Co?!

– Kiedy go tu spotkałaś?

– Ze dwa, trzy miesiące temu? – Rozłożyła ręce. – Nie pamiętam.

Iwona pokiwała głową, marząc, żeby kobieta sobie już poszła. I tak niczego więcej nie mogła się od niej dowiedzieć. Tamta jakby czytała w jej myślach, bo pomachała jej i wróciła do koleżanek, a Iwona pomyślała, że oto spotkał ją kolejny, zadziwiający przypadek. Ale nic dziwnego, że ta babka ją rozpoznała, bo faktycznie fryzura Iwony była dość charakterystyczna, a niektórzy ludzie mają pamięć do twarzy, tak jak inni do liczb czy dat. Nic dziwnego, że Krzysiek pokazał jej zdjęcie „żony”, żeby pozbyć się natrętnej absztyfikantki, bo zawsze był nieśmiały w stosunku do kobiet i zbytnia ich natarczywość go peszyła. Ale co on tu, do cholery, robił?!

Krzysiek nie potrafił tańczyć i nawet nie próbował. Nie znosił tłumów, nie cierpiał imprez, na których było więcej niż pięć osób i głośniejsze niż trzydzieści decybeli. Tego, co leciało tutaj z głośników, nie nazwałby muzyką nawet po wypiciu pół litra, którego i tak nigdy nie wypił. Zaduch, jaki tu panował; przedziwna mieszanina woni potu, perfum, alkoholu wywróciłby mu żołądek na lewą stronę, choć z racji zawodu bywał w miejscach, gdzie śmierdziało o wiele gorzej niż tu. Na przykład na kurzej fermie.

Czy wizyta w Pink Clubie miała coś wspólnego z jego zniknięciem? Teraz zdawała sobie sprawę, że były pewne sygnały, które mogły świadczyć o tym, że tak. Tylko że jak na razie nie miała jak i kogo o to zapytać, więc musiała to odłożyć na później. Dopijała sok, odstawiła pustą szklanekę na stolik i zaczęła się przepychać w stronę Kury. Gdy do niego dotarła, stwierdziła, że studentki zniknęły. Lekko odepchnęła jakąś wijącą się przed Kurą

dziewczyinę z wypadającym z przyciasnego topu biustem, stanęła na palcach, położyła mu rękę na ramieniu i zawołała do ucha:

– Ta nie jest za bardzo podobna, co nie?!

Czuła bijące od niego gorąco, czuła wilgoć przepoconego materiału koszuli, czuła zapach jego perfum. Kura spojrział na nią takim wzrokiem, jakby nie wiedział, o co jej chodzi, i chyba tak było. Dopiero po kilku sekundach w jego oczach błysnęło zrozumienie.

– A ty coś znalazłaś?! – odkrzyknął.

Zorientowała się po zapachu z ust, że to, co pije, ma w składzie dużo wódki. Uśmiechnęła się tylko pobłaźliwie, klepnęła go w pierś i poszła w kierunku baru po jeszcze jeden sok. Kura został na parkiecie.

Iwona odniosła wrażenie, że wizyta w Pink Clubie tak naprawdę miała na celu coś innego niż znalezienie dziewczyny podobnej do tej ze zdjęcia. To był dla Kury jedynie pretekst, tak jak ona była jego alibi, bo przede wszystkim Kura chciał się wyszaleć. Podejrzewała, że jutro znów ją gdzieś zaciągnie i może nawet faktycznie będą się rozglądać za tą jedyną, ale dziś przyszedł tu z jednego powodu: chciał się wyszaleć, jak nastolatek albo pantoflarz spuszczonej ze smyczy po wyjeździe żony. A Iwona miała go pilnować, żeby nie przesadził.

Patrzyła, jak z rękami w górze i wypchniętymi do przodu biodrami ociera się genitaliami o wypięty tyłek dziewczyny, którym tamta kręciła z wyraźnym zadowoleniem. Dla Iwony było to niepojęte.

Wyszła przed klub zaczerpnąć świeżego powietrza. Stała przez chwilę obok wejścia, słuchając cichych rozmów ludzi palących papierosa, a kiedy poczuła, że lekko zmarzła, wróciła do środka. Pokazała ochroniarzowi pieczętkę na nadgarstku i weszła na salę, rozglądając się za Kurą. Nie wypatrzyła go ani na parkiecie, ani przy barze. Kiedy stanęła na palcach, żeby mieć lepszy widok, poczuła na ramieniu uścisk czyjejś dłoni. To był Kura.

– Na dziś koniec roboty – oznajmił z szerokim uśmiechem.

Obejmował w pasie dziewczynę, o którą ocierał się jakiś czas temu na parkiecie. Miała nieco mętny wzrok i wisiała uczepiona ramienia Kury, spoglądając z czułością w jego twarz.

– Aleśmy się narobili... – Iwona nie odmówiła sobie drobnej złośliwości, ale Kura nie zareagował na nią.

- Zdzwaniamy się jutro, mamuśka. W kontakcie. – Puścił do niej oko.
- Na razie, casanovo. – Uniosła dłoń.

Kura zaciągnął swoją zdobycz do szatni, żeby odebrać kurtki, a Iwona poszła do baru walnąć coś mocniejszego. Należało jej się. Wypiła szklaneczkę jacka danielsa z colą, zadzwoniła po ubera i wróciła do domu.

W nocy przyśnił jej się Kura. Stał przed nią nagi i szeroko uśmiechnięty, wyciągał ręce w jej stronę, przywołując ją do siebie, a ona rozpaczliwie próbowała nie zejść wzrokiem na jego przyrodzenie, ale czuła, że nie może się oprzeć. Obudziła się podniecona i wściekła na siebie. Zdawała sobie sprawę, że dawno nie uprawiała seksu, zresztą od dwudziestu lat robiła to tylko z Krzyśkiem. Kura był niewątpliwie atrakcyjny, szczególnie od szyi w dół i ciągle przebywanie z nim wyzwoliło to, co chowała głęboko od czasu zniknięcia jej partnera. Był młody i kipiał energią, a ona była kobietą, i to w wieku, w którym zwykle kobiety już doskonale wiedzą, czego chcą i jak. No i miała potrzeby jak wszyscy. Nie było w tym nic dziwnego. Ale mimo to czuła do siebie niemal odrazę.

Zasypiała, błagając samą siebie, żeby ten sen się nie powtórzył.



## DZIEWCZYNA Z BRZÓZEK

- Jedziemy do Brzózek po dziewczynę – oznajmił jej Kura przez telefon. Było południe, a jego głos brzmiał tak, jakby niedawno wstał.
- Tę, którą mam focić? – zapytała.
- Nie, inną. Z tą klient podobno jeszcze się waha. A tę z Brzózek mamy już nagraną, legalnie. Chce zarobić, nie jest pruderyjna, za to otwarta. I niezła z niej dupa. Trzeba ją przewieźć, więc ruszamy od razu do Falent.
- Od razu?
- No, jak tylko się ogarnę.
- Nie w nocy? – zdziwiła się, ciesząc się równocześnie w duchu, że moment złowienia kolejnej zdobyczy został odwleczony w czasie. Ale zawsze jest coś za coś, bo na haczyku była już inna.
- Nie ma takiej potrzeby. I pojedziemy normalnie, nie bocznymi drogami. No i nie będziemy jej usypiać. – Kura rozkaszał się nagle.
- A ona nie może lecieć samolotem? – zadała to pytanie chyba niepotrzebnie, skoro wszystko było już ustalone.
- Widocznie nie. System jest taki sam. W Falentach przejmuje ją Damiano i wiezie na miejsce, pewnie z zawiązanymi oczami. Nikt nie może wiedzieć, gdzie jest klub. Nawet jeśli jej się spodoba i będzie chciała to powtórzyć z tym samym albo innym klientem, to niczego nie zmienia.
- Iwona czuła, jak mocno bije jej serce.
- Ty też nie wiesz, gdzie to jest? – zapytała.
- Nie.
- To wyjaśnij mi jeszcze jedno: po co mam wzbudzać jej zaufanie, skoro na wszystko się zgodziła?
- Mamuśka, a po co znowu tak wnikasz?
- Solidarność jajników, Kura. Znasz taki termin?
- Mówiłem ci, nie myśl za dużo. Wzbudzasz zaufanie i opowiadasz, jak cudownie będzie jej w nowej pracy, jasne? Ma mieć komfort, rozumiesz? Jedzie do roboty, a tam ma dać z siebie wszystko i zadowolić klienta.

Iwona poczuła, jak robi się jej niedobrze. Zaczęła się zastanawiać, jak dużo wie Kura. Czy zdaje sobie sprawę, co naprawdę dzieje się w klubie i w ogóle go to nie rusza? A jeśli nie zdaje, to czy gdyby wiedział, toby to zaakceptował? Czy w ogóle go to interesuje?

– A jak tam twoja nowa miłość? – zapytała nagle.

– Miłość?

– Ta, z którą wczoraj wyszedłeś z Pink Clubu.

– Kurwa, mamuśka, nawet nie pamiętam, jak ma na imię! Ona mojego chyba też nie pamięta, ale już jej o to nie zapytam, bo pojechała do domu. – Roześmiał się z lekkim zakłopotaniem, a ona pomyślała, że trochę tak reagują synowie na niewygodne pytania matek, z którymi mają niezły kontakt. Może tylko bez ozdobników językowych.

Przyjechał po nią dwie godziny później. Zeszła przed blok, niosąc torbę z kosmetyczką i ciuchami na kilka dni. Nie musiała się nawet pakować, miała ją przyszykowaną, przyzwyczaiała się już, że nie może znać dnia ani godziny, kiedy coś wypadnie. Kura był świeży, pachnący i nic nie wskazywało na to, że wczoraj balował. Iwona spojrzała na zegarek.

– Dochodzi druga – stwierdziła, krzywiąc się lekko. – Zanim zgarniemy tę dziewczynę z Brzózek i wyjedziemy ze Szczecina, będzie po trzeciej. To w Falentach stawimy się późnym wieczorem.

– Nie szkodzi. To tak, jakbyś miała pretensje do kierowcy nocnego autobusu, że jeździ w nocy.

– Miało nie być w nocy?

– Mamuśka. – Kura westchnął i wyciągnął rękę. – Dawaj już tę torbę.

Pojechali do Brzózek przez Police i Trzebież, przez lasy Puszczy Wkrzańskiej. Iwona, chłonąc ich widok, uświadomiła sobie nagle, jak dawno nie robiła nic dla siebie. Nie cieszyła się spacerem, przejażdżką na rowerze czy pójściem na piwo z kimś ze znajomych. W zasadzie dawnych znajomych, bo od kilku tygodni nie utrzymywała żadnych kontaktów praktycznie z nikim. Oni też nie dzwonili, nie pytali. Albo się bali, albo czekali, aż sama się otrząśnie, albo mieli to gdzieś. Takie sytuacje weryfikują przyjaźnie i znajomości. Czy to, że aktywnie o nich teraz nie zabiegała, znaczyło, że oni tego nie mogą zrobić? Pominąwszy to, co robiła z Kurą, wegetowała, robiąc zakupy, gotując ciągle te same nieskomplikowane potrawy, albo jedząc te

z puszki lub pudełek, oglądając głupoty w telewizji i myśląc o Krzyśku. I o tym, co straciła oprócz niego.

Kiedy wjechali do Brzózek, Kura zwolnił i zaczął się przyglądać mijanym domom.

– Tam ktoś stoi. – Iwona pokazała mu samotną postać przy samym krawężniku, jakieś sto metrów przed nimi.

Uchyliła szybę, Kura lekko przyspieszył, a potem zahamował, aż Iwoną szarpnęło w fotelu.

– Na pewno wytrzeźwiałeś? – zapytała, spoglądając na niego ze złością.

– Iwonka! – Usłyszała nagle z zewnątrz.

Absolutnie zaskoczona obróciła głowę i przyjrzała się dziewczynie, chwilę później serce niemal stanęło jej w piersi.

– Roksi? – wyjąkała.

Kura był wyraźnie zaskoczony, aż cofnął mu się podbródek.

– Znacie się? – zapytał, marszcząc jasne brwi.

– Poznałyśmy się w pracy, w butiku – zaszcebiotała Roksi, pochylając się i zaglądając przez szybę do środka. – To ty mnie im poleciłaś, Iwonka? Jeezu, dzięki, laska!

– Nie, to nie byłam ja. – Wyschnięte nagle wargi zlepiły się ze sobą i Iwona musiała rozdzielić je językiem.

Nie mogła nic zrobić. Nie mogła dziewczynie niczego powiedzieć, ostrzec jej, przemówić do rozsądku. Nie przy Kurze, a nie zanosilo się, żeby przez następne kilka godzin Iwona miała okazję być z Roksi sam na sam. Może na jakimś parkingu po drodze? W toalecie? Mieli jechać za dnia, najszybszą trasą, na parkingach, stacjach benzynowych będzie pełno ludzi, może jakimś cudem...

Roksi odwróciła się i pomachała w kierunku najbliższego domu. Za oknem widać było niewyraźnie postacie dwojga ludzi, którzy robili to samo.

– Chcieli wyjść ze mną, odprowadzić mnie, ledwo im to z głowy wybiłam.

– Co im powiedziałaś? – zapytała cicho Iwona.

– O nowej robocie?

– Tak.

– Naściemniałam. – Roksi wzruszyła ramionami, moszcząc się na tylnej kanapie. – Powiedziałam, że będę robić w modelingu, oni i tak nie wiedzą, o co kaman. Za tydzień wpadnę na weekend, poopowiadam o warszawce,

błyszę nowym ciuchem i przestanę się martwić. Ty jesteś ten Kura, tak? – zwróciła się do niego.

– Dokładnie. – Kura przywołał na twarz swój dyżurny uśmiech uwodziciela. – A ty jesteś Rokšana...

– Roksi. Inaczej sobie ciebie wyobrażałam, kiedy gadaliśmy przez telefon.

– Dziewczyna zapięła pas.

– A jak?

– Inaczej. Dobra, słuchajcie, jedźmy już, bo jeszcze starzy wyjdą.

– Jak sobie życzysz, księżniczko – odparł Kura, ruszył i spojrzał nagle na Iwonę. – Mamuśka, co tak zamilkłaś?

– To twój syn? – Rokšana wyraźnie zaświeciły się oczy.

– Nie, Roksi, to nie jest mój syn. Nie mówiłabym do syna Kura, prawda?

– Roksi jeszcze nie słyszała, jak do mnie mówisz – zauważył Kura, zwracając na wjeździe do którejś z posesji.

– To jak masz na imię? – Dziewczyna znów zwróciła się do niego.

– Kura. – Kura wyszczerzył zębiska. – To takie niepolskie imię, co nie, mamuśka?

Iwona nie roześmiała się, na jej twarzy nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

– Źle się czujesz? – zapytała Roksi.

– Zaczyna mi się okres. – Iwona pomyślała, że to zamknie Kurze gębę.

Faceci zwykle źle reagowali na takie informacje, woleli nie dopytywać. I o to jej chodziło. Założyła ręce na piersi i odwróciła głowę w stronę okna, wpatrując się w mijane budynki.

– Czemu zrezygnowałaś z butiku? – zapytała po chwili Roksi.

– Nie wiesz? – Dziewczyna pochyliła się, przesunęła na skraj siedziska i chwyciła za zagłówek fotela Iwony. – Ten gnój Adrian miał lepkie palce. Myślał, że jak się zgodziłam świecić cyckami przed klientami, to może ich dotykać.

– Pokazywałaś cycki klientom butiku? – Kura wyraźnie się podekscytował.

– Dekolt, Kura, a nie cycki. – Iwona westchnęła ciężko. – Nie jaraj się tak, bo dziurę w tapicerce zrobisz.

– Co to za butik? – nie odpuszczał. – Czemu mnie tam jeszcze nie było?

– Bo cię nie stać? – rzuciła Roksi, wkładając głowę między fotele.

Kura spojrział w lusterko wsteczne.

– Taka jesteś pewna, laleczko? – powiedział zaczepnie.

– Kupiłbyś swojej panie stanik za prawie patyka?

– Tobie bym na pewno kupił...

Iwona słuchała tego z obrzydzeniem. Oto na jej oczach odgrywał się odwieczny damsko-męski rytuał sprowadzony do ordynarnego wstępu do zwykłego parzenia się. Roksi miała ochotę na Kure, Kura na Roksi. Przypomniało jej się obmacywanie, jakie uskutecznił Kura na parkiecie w Pink Clubie, a potem wzrok tamtej dziewczyny, której Kura nawet już nie pamiętał.

Dalej było tylko gorzej. Kura, zgodnie ze swoją filozofią, którą podzielił się z Iwoną na początku znajomości, roztaczał przed Roksi wizje fantastycznej pracy, a w zasadzie zarobków, które wynagrodzą jej jedynie zamknięcie oczu i chwilę bólu.

– Masz potencjał, dziewczyno, i nie myśl, że mówię teraz wiesz o czym – pieprzył jak potłuczony. – Nie jesteś wulgarna, masz klasę i niezłą gadkę. Z tym jest jak w każdej nowej pracy: trzeba odpekać swoje, a potem to już ty zaczynasz dyktować warunki, bo widać, że się starasz, że cię ludzie polubili i chcą właśnie ciebie. Dziewczyna do towarzystwa to nie jest zamiennik kurwy, żeby była jasność; bzykanie jest tylko nieznaczną częścią bycia nią, rozumiesz? Nie tą najważniejszą. Zabawiasz klienta rozmową, on zabiera cię na eventy, firmowe imprezy, chwali się tobą, a ty masz nie tylko ładnie wyglądać, ale przede wszystkim błyszczeć, choć równocześnie stać w jego cieniu. Jest różnica, czaisz? Ubierasz się z klasą, mówisz z klasą i bzykasz się też oczywiście z klasą.

– Jasne, Kura, wiem coś o tym, pracowałam w butikiu z luksusową bielizną. I mam w domu lustro.

Roksi próbowała się sprzedać w najlepszy znany sobie sposób. Inaczej nie umiała i trudno było się temu dziwić. A w dodatku, jak to określał zawsze Sołtyk, lubiła ten sport, co Iwony w zasadzie nie dziwiło. Zapewne od momentu, w którym stała się kobietą, przynajmniej wizualnie, wzbudzała w mężczyznach dzikie żądze, co starali się jej okazać, zwykle w formie komplementów, które im samym wydawały się seksowne. Podziw innych jest jak narkotyk, potrafi uzależnić i spalić, a Roksana była na razie na

początku tej drogi, choć nie dało się przewidzieć, kiedy nastąpią tego konsekwencje.

Iwona się wyłączyła. Nie zamierzała się wtrącać, obmyślała tylko, jak może ostrzec Roksi i przekonać ją, żeby zrezygnowała z roboty oferowanej przez Kurę. Żeby uciekła przy najbliższej możliwej okazji. Tylko że takiej okazji nie było. Kura nie odstępował dziewczyny na krok, podczas tankowania i postojów na załatwienie potrzeby łąził za nią. Problem w tym, że Roksi nie chciała skorzystać z toalety, nie załapała nawet, kiedy Iwona dość nachalnie zasugerowała jej pójście tam z sobą. Bardziej wprost nie mogła, bo to pewnie wzbudziłoby podejrzenia Kury. A kiedy wreszcie skorzystała z toalety, Iwona akurat płaciła za paliwo, czego przez resztę drogi nie mogła sobie darować. Ale Roksi nie miała nic przeciwko atencji Kury, bo chłopak wzbudził w niej sympatię, zapewne widziała też w nim kogoś w rodzaju mentora. Ale Iwona nie zamierzała odpuścić. Nie Roksi.

I tak dojechali do Falent.

Była prawie dwudziesta trzecia, kiedy wjeżdżali przez bramę fermy. Dźwięk żwiru chrzęszczącego pod oponami wzbudzał w Iwonie odruch wymiotny na równi ze smrodem kurzych odchodów, nienawidziła go tak, jak inni nienawidzą odgłosu skrobania widelcem po talerzu, kredą po tablicy albo pocierania o siebie dwóch kawałków styropianu. Znow stanęli przed budynkiem z dziwnym kominem strzelającym w nocne niebo i znow wylądowali w niewielkim pomieszczeniu w jego wnętrzu.

Kura nie usiadł, tylko został przy drzwiach.

– Damiano zaraz przyjedzie, ja muszę skoczyć na godzinkę, dwie do Warszawy – powiedział takim tonem, jakby się gdzieś spieszył. – Mamuśka, jak Roksi już z nim pojedzie, to najwyżej zdrzemniesz się chwilę na kanapce i poczekasz na mnie, okej?

Spojrzała na niego i chciało jej się krzyknąć ze szczęścia. Dostała szansę w ostatniej chwili. Nie było gwarancji, że się uda, ale wreszcie mogła coś zrobić. Cokolwiek.

– Okej – rzuciła obojętnym tonem.

Kura pomachał Roksi i popatrzył na nią przyjaźnie.

– Miło cię było poznać, Roksi. Fajna z ciebie laska.

– Ty też jesteś fajny, Kura – odparła. – Zobaczymy się jeszcze?

– No jak nie, jak tak. – Wyszczерzył zęby i zniknął za drzwiami.

Zostały same.

Iwona odczekała kilkanaście sekund, gdyby Kura się nagle rozmyślił albo stwierdził, że czegoś zapomniał. Kiedy usłyszała chrzęst żwiru i buksowanie opon, przypadła do Roksi.

– Posłuchaj mnie, Roksana – szepnęła gorączkowo. – Musisz uciekać, rozumiesz?

Dziewczyna popatrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

– Dlaczego?

Iwona pokręciła ze zdumieniem głową.

– Naprawdę zostanie prostytutką jest szczytem twoich marzeń? – zapytała.

– Nie prostytutką, tylko luksusową dziewczyną do towarzystwa. Jestem za ładna na prostytutkę, tak powiedział Kura.

– Kura mówi różne rzeczy, Roksi, i nie zawsze trzeba w nie wierzyć. Słuchać to trzeba mnie. Więc rób, co ci mówię, jeśli chcesz zaoszczędzić sobie kłopotów.

Roksana zerknęła gdzieś w bok, jakby zbierała się do powiedzenia jej czegoś niemilego.

– Iwona, polubiłyśmy się, ale nie jesteś moją matką i sorry, ale nie będziesz mi mówić, co mam robić. Co za różnica komu daję dupy: typiarzowi poznanemu na Tinderze, czy dziadersowi z kasą. Dziaders przynajmniej ma tę kasę. Lubię się bzykać i nic na to nie poradzę. Popracuję trochę ciałem, zarobię i otworzę własny biznes. Może własny sklep z bielizną, co myślisz?

– Dziecko, tu nie chodzi o dawanie dupy. Tu chodzi o twoje życie. Zniszczą cię.

– Hej, przywiozłaś mnie tu. He-ło! Nagle ci się odwidziało?

– Nie miałam wyjścia, Roksi, zrozum. Nie mogłam ci powiedzieć przy Kurze, żebyś się w to nie mieszała. Mówię ci to teraz, póki jesteśmy same i może nie jest jeszcze za późno. Masz stąd spieprzać, w tej chwili i najlepiej za granicę. Tam sobie zarób na butik, głową i rękami, a nie cyckami. – Podeszła do niej i chwyciła za ramiona. – Błagam cię, Roksi. To jest ostatni moment! Po prostu wyjdź, ukryj się gdzieś za budynkami, potem uciekaj na zewnątrz albo do pałacu, albo złap stopa i znikaj stąd!

Roksana patrzyła jej w twarz szeroko otwartymi oczami.

– Co się dzieje, Iwonka? Dlaczego tak bardzo ci na tym zależy?

– Bo nie chcę, żeby coś ci się stało. Byłam gliniarzem, dziewczyno, widziałam setki takich przypadków. Wszystkie dziewczyny w takiej sytuacji myślą tak samo: świetnie wyglądam, poznam jakiegoś Massimo i będę się pławić w luksusach i jeździć na wakacje do Dubaju. Mnie się na pewno uda.

– Ty masz mnie za gówniarę, co? – Zamrugała, długie rzęsy zatrzepotały.

– A co, nie myślisz tak, Roksi? – zapytała Iwona, mrużąc oczy.

Może to był błąd, może powinna była pominąć tę kwestię milczeniem i spróbować przekonać ją w jakiś inny sposób, choć pojęcia nie miała w jaki.

– Nie, wcale nie! – W oczach dziewczyny błysnęły łzy. – Zostaw mnie w spokoju, zrobię, co będę chciała, słyszysz?! Zostaw mnie!

Dłonie Iwony wciąż spoczywały na ramionach Roksany. Zacisnęła na nich palce, mocno, i zbliżyła twarz do twarzy dziewczyny, tak że prawie stykały się nosami.

– Nie krzycz – syknęła. – Jeśli pojedziesz z tym typem, nie wyjdiesz z tego żywa, rozumiesz?

– Co ty wygadujesz?

– Zabiją cię po pierwszym spotkaniu z klientem. Zabiją cię, więc spieprzaj stąd. Wyjedź za granicę, nie wracaj na razie do siebie, obiecaj mi to...

– Dlaczego miałiby mnie zabić, co ty pierdolisz? – Rokšana popatrzyła na nią nic nierozumiejącym wzrokiem i strząsnęła z siebie jej ręce. – Jesteś stara i zazdrościsz mi!

Iwone opadły ramiona. Roksi była dzieckiem w ciele pięknej i atrakcyjnej kobiety, gówniarą, która nie miała pojęcia o życiu, i nie mogła jej za to winić. Ale musiała ją ratować. Za wszelką cenę.

– Niczego ci nie zazdrozczę. Po prostu nie wiesz wszystkiego, a ja nie mogę ci tego powiedzieć, dlatego posłuchaj mnie i nie dyskutuj – szeptała gorączkowo. – Musisz mi zaufać.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi. Nie te wejściowe, tylko te drugie, które prowadziły nie wiadomo dokąd. Gdy Iwona zobaczyła, kto w nich stoi, dotarło do niej, że jest już za późno. Zamiast dziamgotać i tracić czas, mogła... No właśnie, tak naprawdę niczego nie mogła zrobić.

Damiano wszedł do środka z wycelowaną w nią bronią. Mięśnie wyprostowanych przedramion były naprężone, dłonie zaciśnięte na kolbie pistoletu, palec wskazujący spoczywał wyprostowany na szkielecie, a nie na



języku spustowym i po tym Iwona poznała, że ten facet doskonale wie, jak posługiwać się bronią.

– Baby to jednak są głupie – stwierdził z okrutnym uśmieszkiem. – Trzeba było drzeć mordy jeszcze głośniej.

– My nic... – zaczęła Roksi, ale Damiano nie dał jej dokończyć.

– Pięć dwa sześć – powiedział powoli, wpatrzony w Iwonę i w tej samej chwili momentalnie wyszło jej w ustach.

– Co? – wykrztusiła.

– Gówno. – Damiano zmrużył oczy. – Ty dobrze wiesz, co to znaczy, co, kurwo?

– Hasło. – Ratowała się, jak mogła. – Te cyfry były hasłem dla klientów z Niemiec...

– Hasło-srasło. A mówiłem tym debilom, że to nie jest najlepszy pomysł, ale nikt mnie słuchał.

Nagle zrobił krok do przodu, wziął zamach lewą ręką i trzepnął Roksanę na odlew, trafiając ją w ucho. Dziewczyna runęła na podłogę, nie wydawszy z siebie nawet krótkiego jęku. Iwona zmartwiała.

– Co ty wypra...

– Stul ryj, suko – syknął Damiano. – Teraz ja mówię, a ty będziesz mówić za chwilę, jak już się tobą zajmę. Zadam ci parę pytań, a ty mi na nie odpowiesz, pieprzona wtyko.

Zerknęła w bok, na Roksanę. Dziewczyna leżała na podłodze i nie ruszała się. Włosy rozsypały się na twarz, kryjąc ją za ciemną zasłoną, czerwone paznokcie przyciągały wzrok.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Iwona skupiła się na broni, której lufa była wycelowana prosto w jej czoło, dosłownie kilka centymetrów od niego, widziała nawet karby gwintu w jej wnętrzu. – Damiano, odłóż to i pogadajmy, wyjaśnij, o co ci w ogóle chodzi.

Stało się. Nadszedł moment, w którym musiała podjąć decyzję, a potem ponieść jej konsekwencje, choć przecież nawet nie mogła ich przewidzieć. Przez głowę przemknęło jej pewne wspomnienie i na sekundę cofnęła się w czasie do momentu, gdy wyleciała z policji.

## MATT

Zobaczyła go znów, kiedy zbierała zawartość pudła przed wejściem do komendy. Trzymała jej pod pachą, kiedy nagle dno otworzyło się i wszystko wysypało się na chodnik, w dodatku kubek z logo Harleya-Davidsona poszedł w diabły. Kiedy składała pudełko, żeby włożyć do niego rozsypane pierdolety, zauważyła kątem oka, że ktoś się jej przygląda. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegła, były te skórzane sandały.

To był on. Matt przez dwa „t” Grzeliński. Pan szycha.

– Pomogę ci – powiedział.

– Pomóż mi, po prostu stąd znikając – odwarknęła.

Z satysfakcją zauważyła, że na policzek, w który go uderzyła, wypełzła czerwona plama.

– Chcę cię wykopać z dołka. – Wzruszył ramionami.

– Przed chwilą sam mnie do niego wrzuciłeś kopem w tyłek.

– Słyszałaś o odbijaniu się od dna? Potraktuj to jako drugą szansę.

– Niby dlaczego miałbyś mi ją dać?

– Bo może na nią zasługujesz?

– Mało ci było na korytarzu? – zapytała, oglądając resztki kubka i uznając, że za cholerę nie da się już tego skleić.

Grzeliński roześmiał się cicho.

– Dobra, powiedzmy, że jest interes do zrobienia. Pogadać zawsze można, nie?

– Nie. Nie z tobą.

– Nie traktuj osobiście tego, co się stało. – Spoważniał. – Chcę z tobą pogadać w dyskretnym miejscu. Nie jadłem śniadania, ty musisz oszczędzać, więc cię zaproszę, wskaż tylko lokal. I niech to nie będzie restauracja z gwiazdką Michelina czy coś takiego. Pracuję w budżetówce. Chodź, tu mam auto. – Wskazał opla zaparkowanego na zarezerwowanej dla policji kopercie tuż przed wejściem do komendy.

Coś w jego spojrzeniu i głosie kazało jej zamilknąć, a na pewno powstrzymać się przed dalszym wylewaniem z siebie złości. Uznała, że zyska przynajmniej darmową podwózkę. Podniosła ostrożnie pudło z rzeczami, podeszła do samochodu, otworzyła tylne drzwi i wrzuciła je na siedzenie. Potem wsiadła do auta, z przodu, i zatrzasnęła drzwi.

– Pan szycha lata samolotem, a nie przywożą go z lotniska z honorami? – zapytała, nie patrząc na Grzelińskiego, kiedy wsiadł za kierownicę. – To z wypożyczalni?

– Nie lubię się afiszować.

– Coś takiego, nie pomyślałabym – sarknęła.

– Dokąd jedziemy? – Przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik zabulgotał cicho.

– Aleja Fontann.

– Pierwszy raz jestem w Szczecinie.

– Prosto i w prawo. Potem ci powiem, jak jechać dalej.

Wycofał na ulicę i ruszył gwałtownie w kierunku, który mu wskazała. Nie rozmawiali, Iwona mówiła mu tylko, którędy ma jechać. Minęli Bramę Królewską, place: Adamowicza, potem Lotników z pomnikiem Colleonięgo, a kiedy okrążyli plac Grunwaldzki i zjechali z niego w aleję Jana Pawła II, rzuciła:

– Zaparkuj gdzieś tutaj.

Ostrożnie minął woonerfy i wcisnął się w wolne miejsce między samochodami, przy lewej krawędzi jezdni. Wysiedli z auta i poszli w kierunku Spotkania, niewielkiej knajpki, w której Iwona czasem jadała śniadania, również z Krzyśkiem. Kiedy Grzeliński zobaczył parkomat, zatrzymał się.

– Czemu nie mówisz, że tu trzeba płacić za parkowanie? – zapytał zdziwiony.

– Zapomniałam – odpowiedziała obojętnie, nie patrząc na niego. – Wiesz, dziś mam większe problemy na głowie niż opłaty parkingowe.

Pokręcił głową, wyciągnął telefon i zaczął coś w nim sprawdzać, podejrzewała, że kupuje bilet w aplikacji, ale mało ją to obchodziło. Ruszyła dalej i skręciła do lokalu. Wybrała stolik na zewnątrz, usiadła przy nim na chybotliwej ławeczce, chwilę później dotarł Grzeliński i usiadł naprzeciwko.

Byli sami. Stoliki obok były wolne, od ulicy odgradzała ich pergola i donice z roślinami i choć hałas samochodów i szum fontann docierał do nich bez przeszkód, on wydawał się z tego faktu zadowolony.

– Fajne miejsce – stwierdził, rozglądając się, potem rozparł się na krześle, zakładając lewą rękę za oparcie i zapytał. – Co planujesz?

Poczuła, że lekko trąca jej stopy sandałami.

– Dobrze się bawisz? – zapytała zimno.

Miała na myśli pytanie, nie dotknięcie pod stołem; była niemal pewna, że całkowicie przypadkowe. Tylko ciekawość i świadomość, że Grzeliński nie zaprosiłby jej na śniadanie bez powodu, powstrzymywała ją przed zrobieniem tego samego, co zrobiła mu przy wyjściu z komendy.

– Dobra, masz rację, starczy. – Wrócił do normalnej pozycji. – Tak naprawdę nie chodzi mi o znęcanie się nad tobą. Interesuje mnie, jaki masz pomysł. Naprawdę mnie to interesuje, zaraz dowiesz się dlaczego.

– Szczerze mówiąc, gównu mnie obchodzi twoje zainteresowanie. O czym chciałeś ze mną rozmawiać?

Grzeliński nabrał oddech i w tej samej chwili pojawiła się kelnerka z notesikiem.

– Słucham państwa? – zapytała.

– Co możemy dostać na szybko? – Błysnął zębami w szerokim uśmiechu. – Szybko, ale smacznie?

– Polecam tost francuski albo szakszukę.

– Tosty są na słono?

– Na słodko, z kremem mascarpone, gruszką, śliwką i porzeczką.

– To ja poproszę. – Znów wyszczerzył się do kelnerki.

Wyglądał, jakby to był piękny początek cudownego dnia. Iwona zacisnęła zęby.

– Szakszuka – burknęła tylko.

– Czy coś do picia?

– Kawa, czarna, a dla ciebie...? – Teraz na nią spojrzał.

– Lemoniada grejpfrutowa.

– Oczywiście. Wszystko dla państwa? – zapytała kelnerka.

– To ja też jeszcze poproszę lemoniadę i to będzie wszystko, dziękuję, słońce. – Zamiast na kelnerkę, Grzeliński wciąż patrzył na Iwonę.

Dziewczyna odeszła, a on nie spuszczał z Iwony wzroku.

– Przepraszam za ten, jak to nazwałaś, teatrzyk – odezwał się w końcu. – Bo to faktycznie był teatrzyk. Musiałem cię wkurwić, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, wszystko musiało wyglądać autentycznie. To w przedśmionku też. Chciałem, żeby wśród chłopaków huczało o tym, co zrobiłaś. Nie tylko w wojewódzkiej i nie tylko w mieście, rozumiesz? Żeby huczało o tym, co ty mi zrobiłaś i co „my”... – Pokazał palcami znak cudzysłowu. – Co my zrobiliśmy tobie. Jak się z tobą obeszła Fabryka po piętnastu latach służby i wypadce, która mogła przydarzyć się każdemu, ale przydarzyła się akurat tobie.

– A drugi powód?

– Chciałem zobaczyć, na co cię stać. Sprawdzić, jak się zachowasz w ekstremalnej sytuacji, a w takiej niewątpliwie byłaś.

– Straciłam nad sobą panowanie. – Chrząknęła i spuściła wzrok. – Tego oczekiwałaś?

– Mniej więcej. – Skrzywił się lekko.

– Boli? – Wskazała jego policzek, uważając, żeby go przypadkiem nie dotknąć.

– Trochę.

– I dobrze – skwitowała krótko. – Miało boleć.

– Nie myślałem, że jesteś aż tak szybka.

– To też dobrze. No ale dałam ci się sprowokować. I to akurat niedobrze.

– Zależy, jak na to spojrzeć. I ja nie nazwałbym tego jednak brakiem kontroli czy utratą panowania nad sobą. Byłaś w skrajnej sytuacji. Miałaś jej pełną świadomość. Każdy na twoim miejscu, w takich okolicznościach, powstrzymałby się ze strachu, że pograży się jeszcze bardziej.

– Pieprzysz głupoty. – Pokręciła głową, zastanawiając się, o co typowi chodzi. – Ja już nie mogę pograżyć się bardziej.

– Ale u większości ten strach zawsze jest i to on powstrzymuje zwykle przed zrobieniem czegoś głupiego. W każdym razie można powiedzieć, że swoją reakcją w pewien sposób mi zaimponowałaś. Inaczej; spełniłaś moje oczekiwania.

Kiedy chciała mu zadać oczywiste pytanie, podeszła kelnerka z tacą.

– Proszę uprzejmie. – Postawiła przed nimi talerze i napoje.

– Rzeczywiście szybko – mruknął z uznaniem Grzeliński, a dziewczyna uśmiechnęła się lekko.

– Smacznego – rzuciła i zniknęła, bo pojawili się kolejni klienci.

– Jakie oczekiwania? – zapytała Iwona, biorąc do ręki szklanę z lemoniadą.

Czuła, że ma wyschnięte usta i gardło. Upiła kilka łyków napoju i zrobiło się jej odrobinę lepiej.

– Wobec ciebie. – Grzeliński wziął sztucę i ułożył je sobie w dłoniach, przypatrując się im.

Iwona zauważyła, że ma długie palce i zadbane paznokcie. To się trochę kłóciło z sandałami i przetłuszczonymi włosami.

– O co ci chodzi? – zapytała, odstawiając szklanę na blat i oblizując wargi. – Bez smęcenia. Szybko i na temat. Mam mało czasu.

– Naprawdę? – Podniósł głowę. – Jesteś bezrobotna.

– Właśnie dlatego. Muszę poszukać nowej pracy.

– Okej. – Wbił widelec w tost, aż chrupnęło, a z boków wypłynął krem. – Potrzebujemy kogoś wyjątkowego do pewnej akcji.

– Źle trafiłeś. Spóźniłeś się. Nie jestem już gliniarzem. Chyba że możesz to odkręcić, panie szycho z głównej. – Nie chciała, żeby w jej głosie zabrzmiała nadzieja, choć niewykluczone, że jednak dało się ją w nim usłyszeć, dlatego wzięła swoje sztucę i zaczęła jeść.

– Nie mogę. – Grzeliński pokręcił głową, mówiąc to z pełnymi ustami, ale wyraźnie. – Ten temat jest zamknięty.

– Więc niby jakim cudem miałabym uczestniczyć w tej waszej akcji?

– Mogłabyś w niej brać udział właśnie dlatego, że nie jesteś już jedną z nas.

– Jakież szczegóły? – Zmarszczyła brwi.

– Jeszcze chwila. Zjedzmy. Naprawdę długo nic nie jadłem.

Przez chwilę jedli w milczeniu, słychać było tylko brzęk sztuców. Nie była w ogóle głodna, a może tylko nie czuła głodu, ale zmuszała się do jedzenia, żeby nie siedzieć beczynn timer, gapiąc się na Grzelińskiego albo na samochody. Grzebała widelcem w szakszuce i co jakiś czas wkładała sobie do ust mały kawałek, który który przełykała z trudem. W końcu odłożyła widelec na talerz.

– Dlaczego nie weźmiecie przykrywkowca? – zapytała, nie wytrzymując.

– Z dwóch powodów. Istnieje ryzyko, małe, ale istnieje, że przykrywkowiec zostanie rozpoznany i zaraz się dowiesz dlaczego. Albo że po prostu wzbudzi

podejrzenia. A na to nie możemy sobie pozwolić. I nie możemy wziąć świeżaka, to musi być ktoś doświadczony.

– A drugi powód?

– Drugi jest chyba nawet ważniejszy: to nie może być facet. Potrzebujemy kobiety.

Patrzył na nią, a ona starała się wytrzymać to spojrzenie.

– Dlaczego ja? – zapytała cicho.

– Bo zabiłaś człowieka.

– Nie ja jedna.

– Oczywiście – zgodził się z nią. – Widzisz, śledziłem twoją sprawę od początku. Zdarza się, że gliniarz korzysta z broni podczas interwencji, po to w końcu jest ta broń. Zdarza się też, że są ofiary. Tylko w zasadzie nie zdarza się, że tym gliniarzem jest kobieta. – Spojrzał na nią, jakby czekał, co ona na to. – A przynajmniej niezmiernie rzadko. Może to z tej przyczyny, że policjantek jest wciąż niewiele, ale to bez znaczenia dla moich rozważań.

– Jestem gliniarzem, a nie kobietą. – Zamknęła na chwilę oczy i powstrzymała westchnienie. – Byłam gliniarzem. Płeć nie ma nic do rzeczy.

– Dla ciebie nie.

– A dla ciebie?

– W zasadzie też nie, nie mam nic przeciwko parytetom, kobietom w policji i tak dalej, ale są wyjątki od tej reguły. Wszystko zależy od punktu widzenia.

Iwona przełknęła kęs szakszuki i popiła lemoniadą, bo prawie stanął jej w gardle.

– Jakie to odkrywczе – sarknęła.

– Ale za to prawdziwe. – Zmrużył oczy.

– Dobrze więc, zanim ty wyjaśnisz mi te wyjątki, ja wyjaśnię tobie, że nie zabiłam człowieka – powiedziała. – Zabiłam, i to przypadkiem, skurwysyna, który strzelał do mnie i do moich kolegów.

– Zgadza się.

– Teraz się zgadza? W takim razie za co mnie wypieprzyli?

– Za to, że zdążył trafić twojego kolegę, zanim ty trafiłaś jego.

– Uważasz, że do tego się to wszystko sprowadza?

– Mniej więcej. – Wykrzywił usta, a potem sięgnął po serwetkę i wytarł je starannie. – Między tymi wszystkim paragrafami, pierdoleniem o konsekwencjach, przewidywaniu, winie i jej zwalaniu na innych istotne jest to, że zginął policjant i ktoś musi za to odpowiedzieć. Zwykle ten, kto jest najmniej winny, za to był obok, a przede wszystkim dowodził akcją, ale tak już bywa. Jak ktoś się najmuje za psa, to musi czekać i przyjmować kopniaki. A wracając do zabicia człowieka...

– Tak?

– Nie chodzi o to, że go zabiłaś, tylko o to, co było potem. – Odłożył zmiętą kulkę na talerz. – Jak to zniosłaś.

– Raczej dobrze, jakkolwiek to o mnie świadczy. – Wzruszyła ramionami. – Nie łkałam, nie schlałam się, nie poszłam do kościoła szukać odkupienia. Pogadałam ze sobą, odbębniłam obowiązkową sesję z „psycholem” i doszłam do rozsądnych wniosków. Może dlatego, że tamten chciał zabić mnie?

– Jeśli to ci pomaga w przepracowaniu traumy, to nie ma sprawy.

– Łatwo ci się o tym rozmawia – zauważyła. – Też kiedyś kogoś zabiłaś?

Roześmiał się cicho.

– Żartujesz? Jestem zwykłą biurwą. Nie pamiętam nawet, kiedy ostatnio miałem broń w łapie.

– Szych z głównej szkolenia strzeleckie nie obowiązują?

– Błagam cię... – Spojrzał na nią rozbawiony, potem odwrócił głowę i zapatrzył się na fontannę.

Iwona go obserwowała. W jego oczach migotały jakieś iskierki.

– Nie jestem z komendy głównej – powiedział niespodziewanie, znów odwracając głowę w jej stronę. – Jestem z CBŚP. Jest w jego strukturach taka nieformalna sekcja złożona z szefów Wydziałów, Zespołów i dwóch Zarządów. Powiedzmy, że pełnię w tej grupie funkcję koordynatora i załatwiam sprawy w terenie. Kiedy twoja sprawa stała się głośna i praktycznie od początku było wiadomo, że polecą głowy, a konkretnie twoja, zacząłem ci się przyglądać. Powiem wprost: spadłaś nam z nieba.

– Mam wrażenie, że zostałam kozłem ofiarnym, wiesz? Zostałam w to wrobiona.

– Czemu tak myślisz?

– Komuś było na rękę, żeby ten cholerny Jończyk zginął, a ja zostałam wybrana, żeby to załatwić. Martwi nie mówią. Ten ktoś nie czekał, aż on



powiesi się w celi, tylko wybrał szybką ścieżkę. Załatwił sprawę moimi rękami. A przy okazji zginął Synek.

– Wiesz, sporo przeżyłaś, może twój osąd całej sprawy nie jest jeszcze obiektywny?

– Pieprzysz. – Spojrzała na niego krzywo. – Maczałeś palce w postępowaniu dyscyplinarnym?

– Nie, nie było takiej potrzeby. Pocisk wystrzelony przez Jończyka przypieczętował twój los w momencie, w którym trafił w tego chłopaka. Musiałem tylko czekać.

– Doczekałeś się – stwierdziła gorzko. – Co teraz?

– Teraz? Teraz mam dla ciebie propozycję. Klub Pięćset Dwadzieścia Sześć, tak się nazywa to coś, o czym ci zaraz opowiem. Ten twór trudno nazwać nawet gangiem czy grupą przestępczą. Podejrzewam, że nawet zwykłe gangusy z Pruszkowa czy Wołomina z przyjemnością by ich rozwaliły za to, co wyprawiają.

– Klub? Rozpracowujecie klub?

– Klub to tylko nazwa. I nie jest to klub dla wszystkich, a tylko dla wybranych. Oferują wyrafinowane usługi seksualne, ale to też tylko ogólne określenie, bo nie wiem, jak określić to, co się tam dzieje. W każdym razie nie dają gównianych wizytówek z numerem pięćset dwadzieścia sześć i kontaktem do zaufanej osoby. To oni kontaktują się z chętnym.

– Skąd wiedzą, że jest jakiś chętny?

– Marketing szeptany. Zadowolony klient opowiada w zaufaniu o swojej przygodzie innemu bogatemu pojebowi, który wyraża chęć przeżycia czegoś podobnego. Ma adres mailowy, jednorazowy, który dostał na koniec i który mu przekazuje. A ten drugi ma na niego wysłać wyłącznie swój numer telefonu. I oni albo się odzywają, albo nie.

– Kim są ich klienci?

– Nie mówię o ludziach ze świecznika, choć kto wie, może są wśród nich również tacy. I nie mówię o pierwszej dziesiątce listy najbogatszych Forbesa. W tym kraju jest całkiem sporo ludzi, którzy dysponują ogromnym majątkiem, mniej lub bardziej legalnym, a którzy nie życzą sobie, żeby o nich pisać czy mówić. Nie mówię też o znanych miliarderach ani też o posiadaczach paru nędznych milionów, których jest w ciul. No, może przesadziłem, ale wiesz, o co mi chodzi. Ci, o których mówię, mają kasę oraz

specyficzne upodobania i preferencje seksualne. To trochę tak, jak z safari w Afryce. Nawet jeśli masz full hajsu i ochotę na to, żeby zapolować na lwa, nie wsiądziesz w samolot z własnym sztucerem, nie polecisz do Kenii czy gdzie tam trzeba lecieć, i nie pojedziesz na sawannę czy w busz, żeby go sobie ustrzelić, prawda? Musisz wynająć firmę, która ci to zorganizuje. Firma załatwi wszystko: pozwolenia, a jeśli nie, to przekupi, kogo trzeba, hotel z młodocianymi atrakcjami, które umilą pobyt, podwózkę na miejsce, nawet podprowadzą ci zwierzę pod muszkę, a ty tylko naciśniesz spust, a potem stawiasz nogę na łbie trupa i robisz sobie zdjęcie, które wieszasz po powrocie w biurze i chwalisz się swoim klientom, jaki z ciebie chojrak. Tu jest podobna zasada. Klientom Klubu Pięćset Dwadzieścia Sześć nie wystarczają prostytutki, nawet te, które są w stanie zrobić wszystko. Wracając do safari: to mniej więcej taka różnica, jak zapolować na kaczkę, czy nawet dziką, a ustrzelić słonia czy lwa. W klubie dzieją się rzeczy, których normalny człowiek nie jest sobie w stanie nawet wyobrazić. Nie będę ci opowiadał o szczegółach. Nieletni, nawet dzieci, zwierzęta, ból, wszystko, o czym zamarzy sobie klient, którego stać na wydanie kilkunastu tysięcy. Albo kilkudziesięciu, jeśli życzenie będzie naprawdę wyuzdane. Są w stanie zorganizować niemal wszystko. Ale jest coś jeszcze gorszego w tym całym gównie.

– Co może być gorszego od... – Poczuli, że zbiera się jej na wymioty.

Widziała w pracy wiele rzeczy, również takie, o których wspomniał przed chwilą Grzeliński, ale tego dnia było już wszystkiego za dużo. Po prostu za dużo.

– Wszystkie dziewczyny, i nie tylko dziewczyny, bo mówię również o chłopcach, kończą w ten sam sposób. Są jednorazowi, rozumiesz?

– Nie. – Z jej gardła wyrwał się skrzek.

– Po spotkaniu z klientem są zabijani. Czasem nawet giną w trakcie spotkania, bo i takie są życzenia. Tylko że nie ma ciał. Nie wiadomo, co się z nimi dzieje. Podobno klienci są o tym informowani, ma to ich utwierdzić w przekonaniu, że warto siedzieć cicho. I to nie jest nawet groźba, że ich spotka to samo. To informacja, że jeśli temat wypłynie, to będą odpowiadać za współdziałanie. Dobrze się czujesz?

– A jak, kurwa, myślisz?

Pokiwał głową.

– To wszystko są niesprawdzone do końca informacje. Nie nazwę tego pogłoskami, bo jednak coś wiemy. Problem w tym, że klub jest tak hermetyczny, że nie mamy jak tego ugryźć. Nie mamy punktu zaczepienia. Nie ma praktycznie żadnych innych możliwości przeprowadzenia działań wykrywczych i dowodowych. Żadnych. Sądzymy, że to niewielka grupa, dosłownie kilku osób. Tyle wystarczy, żeby to ogarnąć, a im mniej osób, tym więcej hajsu na głowę i tym pewniej, jeśli chodzi o zachowanie tajemnicy. Szacujemy, że takie akcje odbyły się już ze dwadzieścia razy. Dwadzieścia ofiar zwyrodnialców. Dwadziestoro młodych ludzi, czasem nawet nieletnich, bo poniżej osiemnastego roku życia. A niewykluczone, że nawet małych dzieci. I wciąż nie możemy nic z tym zrobić.

– Coś już wiecie. Więc ktoś musiał wam to powiedzieć.

– Przypadek. Jak to często bywa – dodał po chwili.

– Opowiedz mi o nim.

– Policyjny informator usłyszał coś od jednego gościa. To była impreza u jakiegoś podrzędnego gangusa w Warszawie, tamten koleś wypił i przyćpał, i zaczął gadać o Klubie Pięset Dwadzieścia Sześć. Żadnych szczegółów, ale już te ogóły były tak szokujące, że zwróciły uwagę naszego człowieka. Był ostrożny, nie wypytywał za bardzo, wyraził tylko uprzejme zainteresowanie, że tak powiem, i chciał kontynuować temat później, ale nie było później, bo tego następnego dnia gość pływał z prawie odciętą głową w Kanale Żerańskim przy elektrociepłowni. Nitka została przerwana, ale zaczęliśmy sprawdzać pewne rzeczy, głównie zniknięcia młodych ludzi, także dzieci. Niektóre z nich pasowały do schematu.

– Jakiego?

– Ludzie z otoczenia zaginionych wspominali, że wcześniej ktoś się koło nich kręcił. Mówił, że jest fotografem i na zlecenia pewnej agencji szuka nowych, interesujących twarzy do modelingu. Chciał tylko fotkę i mówił, że się odezwie, jeśli spodoba się szefom. Kto by się oparł, co? – Pokiwał smutno głową. – To stąd zakładana liczba, z tego wspólnego mianownika. Bo nie mamy pewności, czy takich przypadków nie było więcej.

– Nie da się ustalić ani jednej osoby, która korzystała z ich usług?

– Nie.

– To pole do szantażu. Ci bogacze nie zdają sobie z tego sprawy?

– Być może, ale niekoniecznie. Dopóki wszystko gładko idzie, goście z klubu zarabiają na realizacji zlecenia...

– Musisz używać takich zamienników?

– Mam mówić, że na seksualnym wykorzystywaniu młodocianych i zabijaniu ich? – Zesztywniał lekko i popatrzył na nią z kamienną twarzą.

– Okej – mruknęła. – Przepraszam.

– Nie szkodzi. – Rozluźnił się, ale tylko odrobinę. – W każdym razie nie ma chyba potrzeby szantażu, choć nigdy nic nie wiadomo.

Milczała przez chwilę wpatrzona w swoje kolana. Grzeliński czekał.

– Co oznacza pięćset dwadzieścia sześć? – zapytała go w końcu.

– Nie wiemy tego.

– Coś musi oznaczać.

– Możliwe.

– Tylko co?

– No właśnie. Może coś, a może nic.

– Stawiam na to pierwsze. – Zaczęła bawić się listkiem mięty. – No dobrze, a dlaczego miałabym w to wejść?

– Bo jesteś policjantką i leży ci na sercu prawo i porządek?

– Kurwa, błagam cię, facet... – Przewróciła oczami. – Jesteś głupi, naiwny czy taki pewny siebie?

– Chcesz mi powiedzieć, że w ciągu... – zerknął na zegarek – niecałej godziny przestałaś wierzyć w to, co wierzyłaś jako funkcjonariusz policji?

– A nawet jeśli, to co? Nie wolno mi?

– Chodzi o ludzkie życie. O dzieci...

Wpatrując się w jego twarz, Iwona zauważyła, że stężała nagle, kiedy to mówił. Nos niemal niedostrzegalnie się zmarszczył, kurze łapki w kącikach oczu też.

– Masz dzieci? – zapytała. – Swoje?

Przez chwilę pomyślała o Michasiu.

– Nie mam i nie chcę mieć. – Grzeliński pokręcił gwałtownie głową. – Po co sprowadzać je na taki popierdolony świat?

– Żeby mogły go naprawiać?

– Wierzysz w to?

– A co teraz robisz? Nie starasz się naprawić kawałka świata?

Grzeleński lekko odepchnął się od stołu i znów przyjął swobodną pozycję, zakładając ramię za oparcie.

– Wróćmy do sedna rozmowy. Mam jeszcze jeden argument, który być może cię przekona. Zostawiłem go na sam koniec.

– Nie sądzę, żeby ci to w czymś pomogło, ale próbuj.

– Twój partner interesował się tym tematem.

– Lecisz w człona – rzuciła mięsem, ulubionym tekstem Mirka Sołtyka z jej zespołu, byłego zespołu. – Krzysiek robił „setki” i zapchajdziury, od czasu do czasu jakiś większy reportaż na tematy społeczne. Nie był... Nie jest dziennikarzem śledczym ani interwencyjnym.

– Nie twierdzę, że zniknął z tego powodu. Nie mam pojęcia, co się z nim stało. Wiem tylko, że ktoś mu nadał kiedyś temat, a on zaczął za tym chodzić. Jeździł przecież często do Warszawy, więc mógł to tam usłyszeć, prawda? Ale uprzedzam, że to tylko gdybanie.

– Skąd to wiesz? – zapytała głucho.

– Że jeździł?

– Też.

– Mówiłem ci, że przyglądałem się twojej sprawie... – Pochylił się w jej stronę. – Tak się składa, że ten typ, którego jadły ryby w kanale, był ze Szczecina i zdążył powiedzieć coś więcej. Podobno ci z klubu chcą złowić jeszcze lepszych klientów. Dewizowych, że się tak wyrażę. Ceny będą podobne, ale w euro, a nie w złotych. Kierunek Berlin. Oczywiście, dalej pewnie będzie tak, że to klient przyjeżdża do klubu, a nie odwrotnie, przecież nie przywozi się lwów z Afryki, prawda? Nie znamy lokalizacji samego klubu, ale wiemy, że punktem przesiadkowym w drodze do niego dla niemieckich klientów będzie Szczecin. Typ z kanału miał się podobno rozejrzeć za dobrym miejscem i za kimś, kto na miejscu by to ogarniał. Oraz transportował klienta na miejsce. W grę wchodziła podobno kobieta. Już ci się wszystko układa?

– W służbach kryminalnych policji pracuje prawie sześć tysięcy kobiet. Czemu przychodzisz do tej, która już nie jest policjantką?

– Czemu, czemu... – Skrzywił się lekko jak niezadowolony z odpowiedzi ulubionego ucznia nauczyciel. – Była policjantka, znająca procedury i różne tajemnice i smaczki. Przede wszystkim znająca swoich kolegów, również

tych pracujących na ulicy. Skrzywdzona przez system, zostawiona sama sobie, zapomniana przez tych kolegów, wyrzucona poza nawias.

– Nie jestem wyrzucona poza nawias, tylko z formacji. Koledzy zostali.

Grzeleński uśmiechnął się smutno.

– Zobaczysz, że to potrwa niedługo. Będziecie się spotykać od czasu do czasu na piwie, wspominać stare czasy, oni będą ci opowiadać, co się dzieje w firmie i na jakiej akcji byli. A potem, w miarę upływu czasu, nie będziesz wiedziała, o kim mówią, bo starzy, wspólni znajomi odejdą, przyjdą nowi, już nie wspólni. Spotkania będą coraz rzadsze, bo nie będzie też już wspólnych tematów. Ilu z tych swoich kolegów możesz nazwać przyjaciółmi, słońce? Prawdziwymi przyjaciółmi? Dwóch? Jednego? Czy żadnego?

Iwona milczała. Miał rację. Ją i jej kolegów z komendy łączyła przede wszystkim robota. Adrenalina, wspólne odreagowywanie, psioczenie na system. Ile będą mogli wspominać stare, dobre czasy?

– Zostaniesz sama. Sama jak palec. Wściekła. Z chujową robotą, której będziesz nienawidzić. Z kredytem, którego nie będziesz w stanie spłacać.

– Jest jeszcze Krzysiek.

Grzeleński zagryzł usta.

– Różne rzeczy mogły się stać, zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Nie mówię od razu o najgorszym. Mógł odejść od ciebie, po prostu. To się zdarza. Mężczyźni, mimo że są mężczyznami, czasem nie potrafią się zachować jak mężczyźni i po prostu uciekają bez słowa wyjaśnienia. Rozpoczynają nowe życie u boku innej kobiety, odcinając się od poprzedniej, bo tak wygodniej. Nie mam racji?

Milczała, świadoma, że każde jego słowo może być prawdą. Wszystko mogło się zdarzyć. Dosłownie wszystko. To, o czym mówił, też.

– Stoczysz się, słońce, bo to będzie równia pochyła. I przyjdą do ciebie. Ktoś z nich przyjdzie do ciebie, nie wiem kto. Ziom z ulicy, który nawet nie będzie wiedział, dla kogo naprawdę pracuje, a może ktoś z samej góry. Zaproszą cię do współpracy. – Pochylił się nad blatem i błysnęły mu oczy. – A kiedy przyjdą, masz być wredną suką. Masz pokazać, że ci nie zależy. Możesz zrobić temu komuś to, co zrobiłaś mi przy drzwiach, rozumiesz? Oni mają po tym spotkaniu chcieć cię jeszcze bardziej. Mają uznać, że tylko ty jesteś gwarantem powodzenia całego interesu tu, na miejscu. Takie masz na nich zrobić wrażenie.

– A jak nie przyjdą? Z każdego twojego słowa bije przekonanie, że się zjawią.

– Wyśledzisz ich. – Wyglądało na to, że nie usłyszał, co powiedziała, albo świadomie pominął tę kwestię. – Poznasz strukturę, nazwiska, miejsca, system. Skąd biorą ofiary. Komu zlecają ich porwania albo nabór, kto jest pieprzonym fotografem z agencji. Gdzie je trzymają. Czym je przewożą. Kanały i punkty dostaw. I najważniejsze: gdzie to się dzieje, gdzie następuje koniec drogi tych porwanych dzieciaków. Gdzie jest pierdolony Klub Pięćset Dwadzieścia Sześć i kto jest jego szefem.

– Łatwizna, co?

– Wszystko jest tajne, słońce. – Jej żart też pominął. – Nie wyobrażaj sobie, że zadzwonisz do mnie, albo do dyżurnego któregoś z komend, czy pod sto dwanaście i powiesz, że potrzebujesz pomocy albo że chcesz się ze mną spotkać. Nie. Wiem, jak to brzmi, ale mimo że teoretycznie jest to operacja infiltracyjna, to formalnie takiej operacji nie ma. Jeśli nam się uda i rozwalimy skurwysynów w pył, a ktoś się tym zainteresuje, pojawi się enigmatyczny komunikat o specjalnej grupie CBŚP, która rozbiła gang przemytników ludzi, i tyle. Bez szczegółów.

– A jeśli się nie uda?

– To nie będzie o czym mówić. – Rozłożył szeroko ramiona.

– Zostaną jakieś ślady. W papierach, w biurze.

– Nie będzie papierów.

– Będą ludzie, którzy to zorganizowali.

– Będą milczeć we własnym interesie, uwierz mi. Tak to właśnie wygląda. Pewnymi rzeczami nie należy się chwalić. Jak w Mosadzie: wołają cię do szefa, informują o przyznaniu medalu za przeprowadzoną akcję, przypinają ci go, a potem od razu odpinają i każą spadać.

– W takich sprawach często się zdarza, że gówno wpada w wentylator i obryzguje każdego. Kto będzie czyścicielem? Kto zgasi pożar?

– Rozumiem twoje wątpliwości, ale nie jesteś od tego. Nie przejmuj się tym. Ty masz swoje zadanie. A nawet jeśli zdarzy się jakieś szambo, to na pewno nie pójdziesz siedzieć.

– Bo zniknę?

Spojrzał na nią uważnie.

– Twoja osobista tragedia nie ma tu nic do rzeczy. Mówię o zniknięciu twojego męża.

– Nie jest moim mężem.

– Partnera, jak wolisz.

– Nie mówię o nim. Mówię o realiach. Świadcowie znikają. Albo się wieszają w celi.

– Ty nie będziesz świadkiem, a tym bardziej w celi. To nie Rosja, słońce. – Westchnął. – A ty nie jesteś skruszonym gangusem, na którego wszyscy polują. Wydajemy tylko wojnę wyjątkowym skurwysynom, a ponieważ nie możemy działać w granicach prawa, przesuniemy je trochę, żeby osiągnąć cel. Słuszny cel.

– Przesunąć granice? Ciekawe sformułowanie. Wyjaśnisz je bliżej?

– Powiem to wprost: w tej grze nie ma zasad, Iwona, z wyjątkiem jednej: nie giną osoby postronne, cywile. – Pierwszy raz zwrócił się do niej po imieniu. – Mogą dostać w łeb, zostać zranieni, jeśli zajdzie taka konieczność, albo tak po prostu wyjdzie, ale nie zginąć. Żadnych zasad, jeden cel: dojść do kłębka.

– To się wcześniej zdarzało? Takie nieformalne akcje?

– Tak, ale nie pytaj o szczegóły. I tak ci nie odpowiem.

– Były trupy?

– Słuchałaś mnie?

Zmrużyła oczy.

– Czyli, jak się okazuje, nie trzeba trzymać broni, żeby pobrudzić sobie rączki?

Grzeliński nic nie mówił.

– Dobrze. – Westchnęła. – Ale chcę usłyszeć wprost, co oznacza sformułowanie: żadnych zasad. Bo nie powiedziałaś tego wprost mimo deklaracji.

– Żadnych zasad z wyjątkiem jednej.

– Dobrze: żadnych z wyjątkiem jednej. Nie giną cywile.

Spojrzał na talerz, jakby szukał w nim natchnienia.

– Niewykluczone, że będziesz musiała znów kogoś zabić – powiedział cicho.

– Słucham? Możesz powtórzyć?



– Nie ma takiej potrzeby, dobrze usłyszałaś, co powiedziałem. I nie mam na myśli człowieka, tylko skurwiela, który będzie chciał zabić ciebie. Albo kogoś innego. Jeśli będziesz musiała wyeliminować kogoś, kto bezpośrednio zagraża tobie albo cywilowi, zrobisz to. Również wtedy, kiedy zaistnieje realna groźba odkrycia twojej prawdziwej roli przez tamtych ludzi, bo to będzie jednoznaczne z twoim wyrokiem śmierci. Nie masz prawa pozbawić nikogo życia poza tymi sytuacjami, bo to będzie zabójstwo. Decyzję o ewentualnej likwidacji będziesz musiała podjąć sama, zapewne w ciągu paru sekund, a potem mierzyć się z jej konsekwencjami, wciąż pozostając pod przykryciem.

Pokręciła głową.

– Przykrywkowcy są czynnymi funkcjonariuszami policji. Nawet jeśli złamią prawo, nie grożą im konsekwencje, a ja... Ja jestem cywilem.

– Zgadza się. – Jego głos był matowy. – Ale to nie jest twoje zmartwienie, tylko moje.

– Co z ZBZ?

Zespół bliskiego zabezpieczenia był elementem ochrony przykrywkowca biorącego bezpośredni udział w akcji. Za pomocą wcześniej ustalonych sygnałów można było uzyskać ich wsparcie w krytycznej sytuacji, na przykład zakładniczej.

– Nic z tego. – Pokręcił zdecydowanie głową. – Jesteś zdana wyłącznie na siebie. Polegasz na swoim doświadczeniu i rozumie.

– I szczęściu? – dodała szybko.

– Też – zgodził się z nią. – Jak my wszyscy.

– Obejmie mnie program ochrony świadków? Mówię o tym, co będzie później. Ewentualnie.

– Tak.

Odpowiedział jej za szybko i zbyt pewnie.

– Kłamiesz – stwierdziła.

– Nie kłamię.

– Dobrze, inaczej: nie masz pojęcia.

Milczał przez chwilę.

– W tej nieformalnej grupie w „cebeesiu”, o której wspomniałem, jest również szef Zarządu Ochrony Świadka Koronnego. Nie sięgaliśmy tak daleko w przyszłość. Kiedy dojdzie do najgorszego, zrobię wszystko, co

w mojej mocy, żeby cię ochronić. Wiedz to. Akcja jest nieformalna, ale przecież organizuje ją jednak jednostka reprezentująca państwo. To też nie amerykański film, słońce. Mamy nad sobą ministerstwo, NIK i paru innych upierdliwców, którzy patrzą nam na ręce. Nikt cię nie zostawi samej, to ci mogę obiecać. Lepiej?

– Nie wiem, czy lepiej, ale dzięki za szczerość – mruknęła.

Grzeliński sięgnął po swoją lemoniadę, włożył metalową słomkę do ust i pociągnął spory łyk, patrząc na Iwonę znad szklanki. Potem odstawił ją na stół, oblizał usta i pstryknął metalową rurkę.

– Wreszcie ktoś pomyślał – stwierdził. – Naprawdę z tymi papierowymi słomkami to jakiś poroniony pomysł. To nie plastikowe słomki w oceanie są problemem dla delfinów, tylko człowiek, który je tam wrzuca.

– Martwisz się o delfiny?

– Martwię się o wiele rzeczy. A najbardziej o to, czy się zgodzisz.

– Dziwi mnie jedna rzecz.

– Jaka?

– Ta twoja niezachwiana pewność, że przyjdą akurat do mnie. Nie wyjaśniłeś mi w końcu tego.

– To nie jest pewność. – Tym razem odpowiedział bez wahania. – To jest wiara poparta doświadczeniem. Gorące życzenie. I nadzieja. Wiesz, że kiedy z Fabryki odchodzi doświadczony funkcjonariusz, czy to na emeryturę, czy tak jak ty, to ktoś z miasta natychmiast się nim interesuje. I to może być zarówno duża firma strategicznej branży wymagająca specjalnej ochrony, jak i gangusy. Rynek jest spory i zróżnicowany.

Pokiwała głową. Owszem, wiedziała to. I nawet liczyła na ten pierwszy przypadek po jej pójściu pod kapelusz za kilka lat. Taki przynajmniej miała plan, który dziś legł w gruzach.

– Skoro celują w Berlin, możliwe, że będą szukać kogoś w Lubuskiem, ale wydaje nam się, że jednak postawią na Szczecin, największy ośrodek miejski w regionie. Zwłaszcza że pojawiła się okazja, czyli ty. Poza tym jest jeszcze jeden powód, dla którego trzymamy to wszystko w tak ścisłej tajemnicy. I dla którego nie wie o tej akcji prawie nikt z wyjątkiem niewielkiego grona osób ze ścisłego kierownictwa. Domyślasz się jaki? – zapytał.

Iwona się domyślała.

– W każdym koszyku zdarzają się zgniłe jabłka – mruknęła.

– Otóż to – przytaknął. – Im większe pieniądze w przekrętach i tego typu akcjach, tym większe szuchy je chronią. Nie mam pojęcia, jak jest w tym wypadku, ale zakładamy najgorsze. Tak jest bezpieczniej.

– Mam wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego – stwierdziła kwaśno.

– Och, oczywiście, że nie. – Grzeliński prychnął, ale nie pogardliwie, tylko raczej pobłaźliwie. – Nie możesz wiedzieć wszystkiego. Wiesz tyle, ile powinnaś, a my pewnie niewiele więcej. Resztę powiesz nam ty, oby jak najszybciej.

– Mam jakiś czas na podjęcie decyzji?

– Nie wiem, ile jest czasu. Może miesiąc, a może dzień. Typa z kanału wyciągnięto dwa tygodnie temu. Tyle wiem. Ale tak, byłoby miło, gdybym wrócił do Warszawy z odpowiedzią, jakąkolwiek.

Milczała przez chwilę, przyglądając się samochodom i ludziom migoczącym za parawanem z roślin.

– Skąd wiesz, że Krzysiek mógł za tym chodzić? I potraktuj to pytanie poważnie, dobrze?

– Wysłał do nas maila z pytaniem o informacje w sprawie siatki pedofilskiej organizującej zboczone sesje dla zaufanych i bogatych. Tylko tyle. Żadnych szczegółów, nie padła nazwa Klubu Pięćset Dwadzieścia Sześć ani żadne sugestie czy nazwiska. Stopka maila była z logotypami TVP, adres, z którego go wysłał, też był służbowy, ale nie wiem, czy on to rzeczywiście robił w związku z pracą. I czy faktycznie chodziło mu akurat o ten pieprzony klub. To domysły. Oczywiście biuro prasowe wysłało mu jedyną możliwą odpowiedź.

Iwona myślała intensywnie. Nie nad tym, czy Krzysiek miał coś wspólnego z klubem, choć z tego, co wiedziała, nie tykał takich tematów zawodowo, chyba że dostał takie zlecenie z redakcji, o czym nie miała pojęcia. Wiedziała jedno: robota, z której właśnie wyleciała, była jej życiem. Nie potrafiła chyba robić niczego innego, a nawet jeśli, to nie sprawiało jej to takiej przyjemności. Oto dostała szansę, żeby coś robić. Szalenie ryzykowną, ale jej poprzednia robota też była ryzykowna, o czym przekonał się Synek, choć nie mógł już tej wiedzy przekazać dalej. Ona mogła. Ona żyła, choć to życie miało być teraz kompletnie inne. I faktycznie, mogła zrobić coś dobrego. Bo jej prychnięcie na słowa Grzelińskiego o misji

i odpowiedzialności było zwykłą nonszalancją na pokaz. Zależało jej, jak każdemu dobremu człowiekowi. Jak człowiekowi, po prostu. Czasem miała do siebie pretensje o to, że nie potrafi wzbudzić w sobie miłości do matki, choćby na pokaz. Uważała, że matka wyrządziła jej wiele zła, ale raczej nieświadomie i nie zasługiwała na takie traktowanie, nawet pomijając chorobę, która jeszcze bardziej odcięła ją od emocji i ich przeżywania. Była jej matką. Czy gdyby Michaś żył, ustrzegłaby się przed podobnymi błędami w stosunku do niego? Strumień myśli przyspieszył, ale Iwona go zatrzymała.

Popatrzyła Grzelińskiemu w oczy: w jego spojrzeniu było wyczekiwanie. Taki wzrok mają aktorzy na ceremoniach rozdania nagród. Z jednej strony są przekonani, że dostaną ją właśnie oni i wierzą w to głęboko, z drugiej wiedzą, że wszystko może się zdarzyć, nagroda jest jedna, a nominowanych kilku.

– I? – Grzeliński nie wytrzymał. – Jak brzmi odpowiedź?

– Zgodzę się, ale pod jednym warunkiem – powiedziała z namysłem.

– Jakim?

Widziała, że w tej chwili dałby jej niemal wszystko. Uśmiechnęła się z lekką satysfakcją, po raz pierwszy tego dnia.

– No? – Popędził ją niecierpliwie.

Oblizła usta, chwyciła krawędź blatu i wyprostowała ręce, mocno wciskając się plecami w oparcie krzesła.

– Nigdy więcej nie powiesz do mnie „słońce”.

## ŚMIERĆ I DZIEWCZYNA

– Rozbieraj się! – Lufa pistoletu, który trzymał Damiano, nie drgnęła nawet o milimetr.

To Iwonę zastanawiało: jak taki rozedrgany facet potrafił utrzymać nieruchomo ciężki pistolet.

– Co? – Rozpaczliwie usiłowała zyskać na czasie.

– Jajco! Rozbieraj się, powiedziałem. Już! Pogadamy sobie, szmato jedna.

To był ten moment, który musiała wykorzystać. Teraz albo nigdy; podobna okazja mogła się już nie powtórzyć. Był blisko, tak niebezpiecznie blisko, ale ta bliskość była niebezpieczna nie tylko dla niej. Dla niego również.

Śmiertelnie niebezpieczna.

Damiano powinien był wziąć pod uwagę to, że Iwona była funkcjonariuszką policji, ale mimo widocznego obycia z bronią był zbyt pewny siebie i tego nie zrobił. Błąd. Drugim błędem było to, że wciąż trzymał palec na szkielecie, a nie na języku spustowym. To podstawowa zasada strzelania na strzelnicy, na którą pewnie chadzał: kładziesz palec na spuście dopiero wtedy, kiedy przycelujesz i chcesz wystrzelić. A Damiano nie chciał, jeszcze nie, i zrobił to odruchowo, bo tak go tego uczono. Czy popełnił trzeci błąd, Iwona miała się dopiero przekonać, i tu był najbardziej ryzykowny moment, ale nie miała innego wyjścia. Błyskawicznie wyciągnęła rękę i zrobiła to, co tłucli z instruktorami na każdym ćwiczeniu z szantażu bronią przystawioną do głowy. Proste i skuteczne, gdy napastnik nie spodziewa się takiej reakcji. Chwytając od przodu jedną dłoń jego nadgarstek, a drugą, od góry, zamek broni, jednocześnie odchyliła głowę, odsuwając ją o kilka bezcennych centymetrów z linii strzału. Szybki ruch i zwykłą dźwignią po prostu wyjęła zaskoczonemu Damianowi pistolet z rąk, a potem włożyła palec pod kabłąk. Lufa sama wpadła mu w otwarte ze zdziwienia usta, więc Iwonie nie pozostało nic innego, jak tylko nacisnąć spust.

I tak właśnie zrobiła. Bo wybór był prosty; albo umiera Damiano, albo ona. Innego wyboru nie było.

Huk wystrzału zaatakował jej uszy i potwierdził, że Damiano popełnił jednak trzy błędy, a nie dwa. To ten trzeci przypłacił życiem, bo gdyby w komorze nie było naboju, sprawy mogłyby potoczyć się inaczej. A potem przyszło jej do głowy, jak różnie można spojrzeć na tę samą rzecz. Bo jej nabój w komorze uratował życie, a Damianowi je zabrał.

Pocisk oderwał mu czubek głowy. Damiano poleciał do tyłu, zginając się w pasie, ale kolana zostały wyprostowane. Usiadł na ziemi jak pajacyk, z rozrzuconymi nogami i oparł się plecami o ścianę, a wszystko to było jedną, płynną sekwencją ruchów. Z nosa, ust i z ogromnej rany na czubku lekko przekrzywionej głowy buchała mu krew, lejąc się po twarzy obfitymi, jasnymi strumykami meandrującymi w jej zagłębieniach. Wytrzeszczał oczy, ale jego spojrzenie było bezrozumne, bo odchodził. Uszkodzony mózg powoli umierał, wysyłając ostatnie, nieskoordynowane sygnały do mięśni, które drżały w nierównym, agonalnym rytmie.

Iwona poczuła nagle palenie w przętyku, ale w tej samej chwili obiecała sobie, że powstrzyma odruch wymiotny. Oddychała szybko, ściągnięte usta utrudniały wydech i powietrze wypychało policzki, ale to pomogło jej się trochę uspokoić. Musiała działać, i to szybko. Podbiegła do drzwi i zamknęła je na zamek. Potem włożyła pistolet z powrotem w dłoń Damianowi, który już nie żył, a gdy to zrobiła, wzięła z biurka mały kalendarzyk z reklamą „Drobexu”. Był formatu karty kredytowej wydrukowany na kartoniku pokrytym kredowym papierem. Chuchnęła na niego, wytarła jego powierzchnię o koszulę, kucnęła obok trupa, wzięła go za rękę i przycisnęła do kartonika palec wskazujący. Potem starannie, ale luźno zawinęła kalendarzyk w arkusz papieru, który wyjęła ze stojącej na niskim regale pod ścianą drukarki, i schowała do wewnętrznej kieszeni marynarki. Rozejrzała się jeszcze po pomieszczeniu, a po chwili przypadła do leżącej wciąż na podłodze nieprzytomnej Roksi i zaczęła ją cucić.

– Auaaa – jęknęła dziewczyna, chwytając się za twarz.

– Spokojnie, Roksi, nie dotykaj. – Iwona delikatnie odciągnęła jej dłonie, zamykając je w swoich.

– Co... Co się stało? – mamrotała, mrugając niezbornie.

Skóra na kości jarzmowej była już sina.

- Pamiętasz cokolwiek?
  - Rozmawialiśmy i... Jezu! – Szarpnęła się nagle panicznie. – On miał pistolet!
  - Posłuchaj, Roksi! – Iwona szeptała gorączkowo. – Pamiętasz, co ci mówiłam?
  - Żebym uciekała... Co z nim? Z tym gościem z pistoletem?
  - Nie żyje.
  - Co ty mówisz? – Roksi spróbowała się podnieść, ale Iwona nie pozwoliła jej na to, delikatnie ją przytrzymując.
  - Nie patrz w tamtą stronę – poprosiła, zasłaniając sobą widok martwego Damiana, wciąż opartego o ścianę. – To nie wygląda najlepiej.
  - Ty go...? – Dziewczyna nie dokończyła.
  - Szarpaliśmy się, próbował mnie zabić, ale sam się postrzelił. Słuchaj, musisz uciekać, rozumiesz, co do ciebie mówię? Teraz już na pewno cię zabiją, chyba to wiesz?
  - Jezu, dlaczego? – W oczach Roksi pojawiły się łzy, a jej usta wykrzywiły się od płaczu.
  - Stało się. Wdepnąłeś w gówno, takie gówno, że nawet nie masz pojęcia, ale jeszcze masz szansę z tego wyjść. Po prostu zniknij. Wyjedź, tak jak ci mówiłam. Nikt oprócz mnie nie wie, kim jesteś.
  - A ten z dużymi zębami? – Otarła oczy. – Kura?
  - Kura jest swój chłopak, nikomu nie powie. – Iwona nie miała pojęcia, czy to prawda, ale przecież nie mogła tego powiedzieć Roksi, a ta najwyraźniej przyjęła jej słowa za dobrą monetę. – Ale jest jeszcze jedna rzecz... – Zawahała się.
  - No?
  - Musimy coś zrobić. Coś, co mnie wytłumaczy.
  - Przecież chciał cię zabić! Broniłaś się!
  - To nie tak, Roksi. – Iwona pokręciła smutno głową. – To tak nie działa w tym światku.
  - A co chcesz zrobić?
- Iwona popatrzyła na nią poważnie.
- Muszę cię poprosić, żebyś ty zrobiła coś dla mnie. Coś brudnego.
  - Nie rozumiem? – Oczy Roksi zrobiły się okrągłe.

Iwona podeszła do trupa Damiana i z kieszeni wyciągnęła telefon. Wytarła go z krwi skrajem jego koszuli i z zadowoleniem i niewysłowioną ulgą stwierdziła, że to iPhone. Przyłożyła kciuk mężczyzny do czytnika linii papilarnych i odblokowała go, a potem powiedziała do Roksi:

– Podejź do mnie, proszę, dobrze?

– Iwonka, co ty chcesz zrobić? – Głos dziewczyny się łamał.

– Uratowałam ci życie, Roksi, i teraz proszę cię, żebyś ty uratowała moje.

Wyjęła broń ze stygnącej ręki trupa, wyjęła magazynek i przeładowała, przytrzymując zamek w pozycji otwartej i pokazując Roksi komorę nabojoową.

– Zobacz, jest pusty i nic ci nie grozi. Zrobimy teraz małą inscenizację. Muszę pstryknąć ci parę fotek, ostrych fotek, które usprawiedliwią mnie i to, co się tutaj stało, rozumiesz?

Dziewczyna pokiwała twierdząco głową, ale widać było, że nic nie rozumie i Iwony to nie dziwiło.

– Wkładam magazynek z powrotem, ale w pistolecie dalej nie ma naboju, tak? Jasne?

– Jasne. – Roksi oblizwała wyschnięte usta. – Jezu, Iwonka, kręci mi się w głowie i piszczy w uchu.

– Przykro mi, Roksi, to minie. A teraz rozbierz się, proszę.

– Słucham?

– Rozbierz się do naga...



## PIĘTNAŚCIE KAWAŁKÓW

– Kura, przyjedź do mnie. – Iwona postarała się i w jej głosie była autentyczna panika.

– Co się dzieje, mamuśka?

– Zabiłam Damiana.

Usłyszała, jak Kura głośno przełyka ślinę.

– Co zrobiłaś?! – wykrztusił.

– Na moich oczach zgwałcił Roksi, potem przystawił mi broń do głowy i próbował zgwałcić mnie, więc zaczęłam się z nim szarpać i...

– Co z dziewczyną?

– A co ma być? Uciekła. Miała czekać czy jak?

– Kurwa!!! – Tak wściekłego go jeszcze nie słyszała. – Pozwoliłaś jej zwiać?

Przekleństwo i pasja, z jaką Kura je wywrzeszczał, było jak sygnał, na który który w jej pamięci uruchomiły się konkretne obrazy. Szeroko otwarte oczy Jończyka. Cień za jego plecami. Wycie psa. Sołtyk powtarzający w kółko to przekleństwo, jakby się zaciął, pochylony nad Synkiem leżącym w kałuży krwi. Przed oczami zaczęły jej tańczyć czerwone płyty.

– Czemu zostawiłeś nas z nim same, skoro wiedziałeś, że to psychol?! – krzyknęła do telefonu. – Nie mogłeś poczekać ze mną, aż zabierze tę dziewczynę?

I dlaczego powiedziałeś, złamasie, że on zaraz przyjedzie, a nie że jest na miejscu? – dodała w myślach.

– Miałem swoje sprawy do załatwienia, rozumiesz? Zrobiłem, co trzeba, i miałem wolne, kurwa. Też się chcę czasem zabawić. Wolno mi, nie? Oż, kurwa mać! – Oddychał głośno przez nos.

– Przecież bawiłeś się wczoraj! – krzyknęła jeszcze głośniej.

– To nie twoja sprawa! – Zrobił to samo, ale po chwili się opanował. – Damiano na pewno nie żyje?

– Masz mnie za idiotkę? – warknęła.

Nagła cisza w telefonie mogła o tym świadczyć, ale Iwona nie dopytywała. – Zamknij się w środku, nie wychodź stamtąd i nie wpuszczaj nikogo, zjawię się jak najszybciej – powiedział już spokojniej i rozłączył się.

Schowała telefon do kieszeni i zaczęła krążyć po pomieszczeniu. Nie była w stanie usiedzieć na miejscu. Omijając trupa, chodziła wzdłuż ścian niewielkiego biura, aż wreszcie stanęła przy oknie, odsunęła delikatnie roletę i wyjrzała na zewnątrz. Wyglądało na to, że wystrzał nie zwrócił niczyjej uwagi. Iwona miała nadzieję, że Roksi bezpiecznie dotarła do bramy, złapała stopa i zrobi to, co jej poradziła: wyjedzie za granicę i zniknie. Zatopiona w myślach patrzyła przez wąską szparę między materiałem rolety a ramą okna na ciemne niebo ponad kalenicami hal i latarniami. Stała się nocnym zwierzęciem. Samotnym myśliwym. Żerowała jak drapieżnik, a niemal cała jej aktywność miała miejsce w nocy i czasem kończyła się śmiercią innych drapieżników. Przy zdrowych zmysłach trzymał ją tylko cel, w jakim to wszystko robiła.

Odwróciła się i spojrzała na trupa Damiana z głową wciąż owiniętą reklamówką. W pomieszczeniu panował zaduch, smród krwi był obezwładniający, ale nie odważyła się otworzyć, a nawet uchylić okna. Zdjęła tylko z trupa reklamówkę i rzuciła ją obok niego, a potem trwała w oczekiwaniu na dalszy bieg zdarzeń. Nagle otworzyła usta i wyszeptała do siebie: idiotko ty...

Wyjęła telefon Damiana z kieszeni poplamionych krwią spodni, uaktywniła go jego kciukiem i zaczęła pośpiesznie sprawdzać zawartość. Sprawdziła połączenia i pierwsze na co zwróciła uwagę, to cyfry 526 przyporządkowane do jakiegoś numeru zamiast imienia i nazwiska. Zaczęła zastanawiać się, co dalej. Zabrać komórki nie mogła, bo stanowiła jej alibi. Przekopiować listę kontaktów z karty SIM na swój telefon? A jeśli była w pamięci telefonu? I tak nie miała czym otworzyć maleńkiej przegródki, w której tkwiła karta. Przepisać numery ręcznie? A co, jeśli będą chcieli sprawdzić jej telefon? Może w takim razie przepisać, wysłać, nawet do matki, a potem skasować? Ale skoro byli tak skrajnie ostrożni, to numer też pewnie był na jakiegoś słupa. Można sprawdzić lokalizację takiego telefonu, a to już może być dobry początek, a przynajmniej mocny dowód w późniejszym postępowaniu. Myśli przebiegały jej przez głowę

chaotycznym strumieniem, ale nagle przerwał go odgłos ostrego hamowania na żwirze.

– Kurrrrrrwa. – Iwona stłumiła przekleństwo, mocno zacisnęła powieki, a potem schowała ten cholerny telefon do kieszeni Damiana.

Niemal skokami pokonała odległość dzielącą ją od kanapy, usiadła na niej i zastygła w oczekiwaniu. Nagłe szarpanie za klamkę, a potem łomotanie do drzwi przestraszyło ją, mimo że się tego spodziewała.

– Kura? – jęknęła słabym głosem.

– A kto? Przecież nie Damiano! Otwórz!

Nabrała głęboko powietrza. Od jakiegoś czasu mocno zaciskała dłonie w pięści, żeby drżały i teraz czuła, jak swędzą ją palce. Chciała, żeby było widać, jak drżą. Otworzyła drzwi i Kura wpadł do środka, a potem zamknął drzwi na zamek i rozejrzał się po pomieszczeniu. Miał błędne spojrzenie i oddychał bardzo szybko. Kiedy zobaczył leżącego pod ścianą trupa Damiana, podszedł bliżej i zaczął mu się przypatrywać. Krew spłynęła i teraz było widać, co kula zrobiła z mózgiem. Iwona odwróciła wzrok.

– Ja pierdolę – wyszeptał Kura, kręcąc głową. – Ale kwas...

– Co teraz? – zapytała szeptem.

– Nie wiem! – Wściekł się, tupał i machał rękami jak małe dziecko.

– Zadzwoń do kogoś.

– Nie mam do kogo. Kontaktowałem się tylko z nim. – Wskazał trupa. – Tylko on wiedział, dokąd zawieźć dziewczynę, zresztą co to ma teraz za znaczenie, jak nie ma już kogo wieść...

Iwona zamilkła. Kolejny przykład ostrożności, jak z konspiracji albo ze struktur grup terrorystycznych. Znasz tylko tego nad sobą, nie znasz członków równoległych komórek.

– Co to za torba? – Kura wskazał zakrwawioną reklamówkę.

– Nie pamiętam, chyba próbowałam tamować krew. – Postarała się, żeby na jej twarzy była bezradność małej dziewczynki. – Chciałam coś zrobić, cokolwiek.

– Chciałaś ratować typa, który próbował cię zgwałcić?

– Żebyś widział, co zrobił Roksi...

– Co? Co jej zrobił?

– Wszystko jest na zdjęciach. – Teraz pozwoliła łzom wylać się spod powiek. – Robił to Roksi i cykał fotki telefonem, jakby zobaczył fajne auto

na ulicy, rozumiesz to?

– Telefon. – Oczy Kury błysnęły. – Sprawdźmy jego telefon.

Gdy zobaczył, że to iPhone, wpadł na ten sam pomysł co ona i przyłożył palec Damiana do czytnika, a potem zaczął przeglądać zawartość telefonu. Wiedziała, że zaczął od albumu ze zdjęciami.

– Skurwysyn – mruknął w pewnej chwili. – Pobił ją?

– Nie widzisz jej twarzy?

Pokiwał głową w zamyśleniu.

– Należało się gnojowi, wiesz? – stwierdził nagle. – Po prostu mu się należało...

Dalej przeglądał zdjęcia, a Iwona patrzyła na niego, myśląc intensywnie.

Telefon Damiana był łakomym kąskiem, był niemal jak Święty Graal. Zdobycie go być może zakończyłoby sprawę i Iwona zaczęła się zastanawiać nad tym, jak bardzo byłaby w stanie zaryzykować, żeby go jednak zdobyć, i co musiałaby zrobić, żeby tak się stało. Straciła tylko minutę, zanim wpadła na to, żeby go przejrzeć, a i tak nie miała zbyt dużego pola manewru. I tak dobrze, że zdążyła przygotować wszystko na przyjazd Kury, który zjawił się nadszpiewanie szybko. Komórka, a w zasadzie kilka ostatnich zdjęć nią zrobionych, była ważnym elementem dalszego planu, gwarantem tego, że wciąż będzie szansa na dojście do kłębka. I tego, że zrobi to Iwona, a nie ktoś inny, bo ona skończy w Kanale Żerańskim. Pocieszała ją za to myśl, że ma chociaż odciski palców Damiana. To już było coś.

– Słuchaj, najczęściej wybieranym kontaktem było jakieś pięć dwa sześć. – Kura uniósł głowę znad telefonu Damiana. – Takie było hasło, które musiał znać Szwab, co nie?

Pokiwała głową.

– Dzwonię tam.

– Po co?

– A co mam zrobić? – Rozłożył ręce. – Wyjść na zakład i pytać: halo, czy ktoś znał tego gościa, który wpadał tu czasem swoim dodge'em RAM, bo on nie może rozmawiać, gdyż nie ma połowy głowy?

– Dzwon. – Sama była ciekawa, co z tego wyniknie.

Kura westchnął ciężko i stuknął w wyświetlacz, przyłożył komórkę do ucha i czekał, przestępując z nogi na nogę i wędrując spojrzeniem po

suficie. Zachowywał się zbyt nerwowo nawet jak na niego. Przypominał w tym Damiana.

– Z tej strony Kura – powiedział, nagle sztywniejąc. – Ze Szczecina. Nie... Znaczący... Jest problem, bo on nie żyje... Nie, nie wypadek, dostał z własnej broni, kiedy próbował... Tak, to Iwona, ale on dobierał się do dziewczyn, bardzo, ten, niewłaściwie... Niech pan zrozumie, jemu coś odwaliło i... Tak, towar przywieźliśmy planowo, zostawiłem ją z Iwoną na miejscu, bo Damiano zaraz miał być. Ja musiałem pojechać coś załatwić, towar był zabezpieczony... Nie, nie ma jej, uciekła, kiedy on... Nie ma żadnych świadków... Proszę pana, Iwona się broniła, bo on najpierw dobrał się do tej dziewczyny, a potem do Iwony... On... On robił zdjęcia... Przepraszam, ale on mi od dawna nie pasował, coś z nim było... Ja wiem, że to nie moja sprawa, ale to, co się wydarzyło... Możemy się przejechać po okolicy, poszukać jej... Nie wie, kim jesteśmy, oczywiście, że nie wie, nie zna naszych nazwisk... – Kura zerknął na Iwonę z udręką w oczach. – Nie wiemy, co teraz robić... Tak, oczywiście... Tak, czekam.

Kura odsunął telefon od ucha. Był spocony jak mysz.

– Oddzwoni za chwilę – powiedział zachrypniętym z emocji głosem.

Iwona opadła na kanapę, a Kura zaczął krążyć po pomieszczeniu. Patrzyła na niego, jak zwiedzający zoo patrzy na dzikie zwierzę zamknięte w ciasnej klatce, nauczone chodzić po stałej, praktycznie jedynej możliwej trasie.

– Nawet nie zapytałeś, czy nic mi nie jest, kiedy ci powiedziałam, co nam zrobił Damiano – powiedziała w pewnej chwili.

Kura przystanął, popatrzył na nią nieprzytomnie, a potem dotarło do niego, co powiedziała.

– Widziałem na zdjęciach, że robił tylko Roksi. – Tłumaczył się niezgrabnie, pokazując jej trzymany w ręku telefon, jakby był potwierdzeniem jego linii obrony. – A ty... Ty sobie poradzisz ze wszystkim i wszystkimi, mamuśka. Ja to wiem.

Nie kontynuowała tematu. W tej samej chwili telefon Damiana zawibrował Kurze w ręku. Kura odebrał, zamknął oczy i przyłożył komórkę do uch. Tym razem nic nie mówił, tylko słuchał przez kilka minut, od czasu do czasu kiwając lekko głową.

– Oczywiście – powiedział w pewnej chwili. – Będzie zrobione, jak pan mówi.

Kura schował telefon Damiana do kieszeni, a Iwona patrzyła na to łakomym wzrokiem. Potem obrzucił ostatnim spojrzeniem trupa Damiana i spojrzał na nią.

– Chodź do auta – rzucił krótko.

Wyszli ostrożnie na zewnątrz i wsiedli do mercedesa: Kura za kierownicę. Kiedy Iwona zamknęła swoje drzwi, pochylił się, otworzył schowek, ponad jej kolanami sięgnął do środka i wyciągnął z niego niewielką saszetkę na pasku. Położył ją sobie na udach, rozpiął zamek i włożył do niej rękę. Iwona zacisnęła szczęki, a Kura to zauważył.

– Co się boisz, mamuśka? – Roześmiał się.

– Fakt, gnata wozisz pod fotelem.

– No właśnie.

Kiedy Kura wyjął dłoń z saszetki, zobaczyła w niej gruby zwitek żółtych banknotów. Tym razem to nie były śmieszne trzy tysiące. Kura zdjął gumkę, rozwinął rulonik, zaczął odliczać dwusetki i kilkanaście sekund później podał Iwonie ich spory plik.

– Piętnaście kawałków. – Uśmiechnął się szeroko. – Dla ciebie. No bierz.

Siedziała nieruchomo, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Wozisz ze sobą taką kasę? – zapytała.

– Owszem, boli cię to?

– Nie. Tylko niby za co mam ją dostać?

– Jak to: za co? Za robotę. Bierz. Jak każą, to daję.

Wyciągnęła powoli rękę, Kura wetknął jej pieniądze w dłoń i dla pewności zacisnął na nich jej palce. Kiedy poczuła dotyk jego dłoni na skórze, znów zrobiło jej się zimno.

– Tak się wkurwili za Damiana, że aż dają mi kasę? – zdziwiła się.

– To jest marchewka, mamuśka – powiedział cicho. – Ale jest i kij.

– Jaki kij? – zapytała, unosząc biodra i wciskając pieniądze do kieszeni spodni.

Gruby plik wypychał spodnie jak jakiś guz i przy okazji uciskał pachwinę.

– Szefowie są zdenerwowani. Niby wszystko fajnie, ale odkąd jesteś z nami, przydarzyły się dwa trupy.

Iwona pomyślała, że od tego czasu jest ich pewnie więcej niż dwa.

– Co ja mam z tym wspólnego? – zapytała głupio.

– Oba przydarzyły się tobie, więc zrozumiałem, że zaczynają być podejrzliwi. Dziwny zbieg okoliczności.

– Dokładnie, Kura, masz rację: zbieg okoliczności. Jeden trup jest na spółę z tobą, zauważyli to? Drugiego też bym ci kawałek oddała, bo zostawiłeś mnie samą z psycholem, więc można powiedzieć, że jesteś trochę odpowiedzialny. Tobie też dali kij czy tylko marchewkę? – Spojrzała na niego kpiąco.

Kura przygryzł wargę i spojrzał na nią ciężko.

– Damiano był na samej górze, rozumiesz? – stwierdził.

– Skąd wiesz? – Serce zabiło jej mocniej.

– Wiem. Jestem tego prawie pewien. Ten, z którym przed chwilą gadałem, oczywiście mi tego nie powiedział, ale skoro Damiano woził ludzi do samego klubu, to znaczy, że był zaufany. I podejmował decyzje bez dzwonięcia. Ze Szwabem była inna sprawa, bo w grę wchodził trup, więc musiał się z pozostałymi konsultować, tak myślę. Szwaba jakoś przełknęli, ale za Damiana lekko się wkurwili.

– Jeśli faktycznie był na samej górze, to reszta powinna się cieszyć. Zarobili na jego śmierci.

– Czemu tak myślisz?

– To proste. – Iwona spojrzała na niego, dziwiąc się, że tego nie rozumie. – Bo mają jednego mniej do podziału, Kura. A to, że kazali ci dać mi tyle kasy, jest tego potwierdzeniem. No, chyba że żaden z nich nie ma prawa jazdy. Taki żart, rozumiesz?

Chłopak zamilkł i zaczął myśleć. Iwona widziała to wyraźnie, więc korzystając z okazji, zrobiła w myślach szybkie podsumowanie.

Damiano wspomniał, że tamci go nie posłuchali, kiedy odradzał jej zatrudnienie. To raz. Dwa: domyślił się, że wie o wiele więcej, niż powinna, kiedy powiedziała Roksanie, że ją zabijają. Można to było zinterpretować dwuznacznie: albo tylko doradzał i sporo wiedział o działalności grupy, albo faktycznie był współnikiem, jak twierdził Kura. I być może było też tak, że wszystkie ważniejsze decyzje zapadały większością głosów, jak w jakiejś pieprzonej, mafijnej Komisji Syndykatu, tylko na niewielką, lokalną skalę. Nagle przyszło jej do głowy coś innego.

– Kura, po co właściwie byłeś w Warszawie? – zapytała podejrzliwie.

Drgnął, jakby wyrwała go z zamyślenia.

– Mam tam swoje sprawy, okej?

Spojrzała mu w oczy.

– Nie byłeś w Warszawie, bo to tylko kilkanaście kilometrów stąd, ale i tak nie zdążyłbyś dojechać tak szybko. Wiedzą, że dalej dilujesz?

Twarz mu się wydłużyła i Iwona wiedziała już, że trafiła.

– Nie twój interes – burknął.

– Mój. Bo jak wpadniesz na handlu, to moi dawni koledzy zaproponują ci układ: powiedz, Kura, co tam w trawie piszczy, a dostaniesz mniejszy wyrok. A może nawet zapomnimy, że coś przy sobie miałeś. I co wtedy zrobisz? Opowiesz im czy będziesz zgrywał chojraka?

– Czy ty zawsze musisz wszystko widzieć w czarnych barwach?

– A co, mam jak ty wmawiać sobie, że wszystko będzie dobrze? Że jestem niezniszczalna, bezpieczna, gdy pływam w morzu z rekinami, sama będąc płotką? Nie jestem idiotką, chłopie. Za takie przygody, jakie oferuje klub, trzeba zapłacić naprawdę duże pieniądze. Żeby je na coś takiego wydać, trzeba je mieć. Trzeba mieć naprawdę dużo hajsu, żeby puścić kilkadziesiąt tysięcy na jednodniową przygodę życia. A jak się ma dużo hajsu, to ma się znajomości, co pokazuje nam przykład pana Horaua obściskującego się z prezydentem. Wniosek z tego taki, że w ten biznes mogą być zaangażowani ludzie na wysokich stanowiskach, którzy zrobią wszystko, żeby ich przygoda pozostała tajemnicą. Zareagują szybko i skutecznie, i będą mieć narzędzia. Będą w stanie sprawić, że powieszysz się w celi, Kura, nawet gdy nie będzie w niej niczego, na czym mógłbyś to zrobić, rozumiesz? Pośliźniesz się na rozlanej herbacie i skręcisz kark, dostaniesz zawału serca, cokolwiek.

– Mamuśka, naczytałaś się jakiejś taniej sensacji...

Pochyliła się w jego stronę.

– Nie masz pojęcia, Kura, kim są i co mogą – syknęła. – A skoro tak, to przyjmij do wiadomości, że wtedy najrozsądniej jest przyjąć najgorszy wariant i się dostosować, rozumiesz? Oczekiwać nieoczekiwanego, a nie wmawiać sobie, że wszystko będzie git. Nie jesteś rekinem. Jesteś małą rybką. Małym rybkom udającym rekina te prawdziwe odgryzają głowy. Przeżywają tylko te rybki, które rekinom czyszczą płetwy i zęby. Zapamiętaj to, Kura, a przeżyjesz. Bo jesteś dzieciak. Tak właśnie się zachowujesz: jak



gówniarz. Tłumaczysz się sam przed sobą i przede mną też, jaki to miałeś cel w życiu, jak go realizujesz, jak inwestujesz, a tymczasem odwalasz gówniarski numer, który zaprzecza twoim dążeniom. To jest schizofreniczne, rozumiesz?

– Robię przysługę kumplowi, okej? – Poczzerwieniał. – Zawiozłem towar, który przyszedł ze statku, spotkałem się z odbiorcą w tym hotelu w Raszynie, w którym spaliśmy, wziąłem kasę, którą mam kumplowi oddać, on mi odpali końcówkę za fatygę, i tyle. Żeby było jasne: to, co dostałaś przed chwilą, było z puli, którą dał mi Damiano. Okej?

– Nie, nie okej, Kura. Poczujesz się pewniej, co? Po tym jak załatwiłam sprawę podczas tej kontroli. – Pokręciła głową i wcisnęła się w oparcie. – A miałam cię za mądrego... To był fart. Pieprzony fart. To się mogło potoczyć w każdym kierunku, ale mieliśmy szczęście, a ja trochę opanowania. Dopóki pracujemy razem, zakazuję ci liczyć na fart. Nie będziesz mnie wykorzystywał do swoich pokątnych interesów, bo sobie tego nie życzę. Życzę sobie za to jeszcze trochę pożyć, czy to jest jasne?

Kura żuł wargi, strzelając oczami na boki.

– Więcej tego nie zrobię, obiecuję.

– Mam nadzieję. Nie okłamuj mnie więcej, Kura.

– Czyyyy... To zostanie między nami? – Położył palce na kierownicy i gładził skórę, którą obszyta była obręcz.

– Pytasz poważnie? – Iwona obrzuciła go kpiącym spojrzeniem.

– Raczej tak.

– Oczywiście, że zostanie między nami. Czy ta odpowiedź cię zadowala?

– Tak. Jeśli jest prawdziwa.

Zamknęła oczy. Dalsza rozmowa na ten temat nie miała już chyba sensu.

– Jedźmy już, co? – Westchnęła ciężko. – Rozumiem, że wracamy do domu?

– Tak – powiedział rozwlekłe. – Nie mamy tu już nic do roboty.

– A co z Damianem?

– Nic. – Kura wzruszył ramionami. – Co ma być?

– Trzeba coś zrobić z ciałem.

– Mamy go zostawić tak, jak leży, i jechać do Szczecina. To już nie nasz problem.

– A czyj?

– Zajmie się nim Golum.

– Kto?

– Golum. Facet, który obsługuje piec.

– Masz na myśli piec kotłowy?

– Nie, taki do utylizacji odpadów. Golum pali martwe kury. Wiesz, jaki tu jest przerób? To jedna z największych ferm w kraju. Ileś kur dziennie pada, coś trzeba z nimi robić, nie? Więc na miejscu jest spalarnia. Byliśmy w niej, mamuśka.

– Co?

– Konkretnie jest za ścianą biura, gdzie Golum wypełnia papierki.

Iwona zerknęła na sterczący ze ściany komin i nagle zdała sobie sprawę, że właśnie uzyskała odpowiedź na jedno z najważniejszych pytań Grzelińskiego. Co dzieje się z ciałami zabijanych dziewczyn. Wiedziała już co i gdzie. Ale chciała się upewnić.

– W piecu do spalania drobiu można spopielić człowieka? – zapytała, udając zdziwienie.

– Trzeba go oczywiście najpierw pociąć. Tam miał skończyć Szwab, ale wymyśliłaś, że trzeba go odwieźć. – Kura znów wzruszył ramionami. – To tylko mięso. Co za różnica, czy ma pióra, czy włosy?

– Naprawdę nie ma różnicy, Kura?

– Nie. Za życia, tak. Ale po śmierci? To tylko mięso, mamuśka. Martwe mięso. Tak się zastanawiam, czy popiół z Damiana Golum dosypie kurom do paszy? Zabawne, nie: Popielea zjadły myszy, a Damiana kury. – Roześmiał się, ale Iwonie jakoś nie wydało się to zabawne.

– Nie wiem, ile wiesz o przemyśle spożywczym, Kura – powiedziała tonem belfra – ale nie sądzę, żeby ten Golum jako osoba obsługująca spalarnię miał dostęp do paszy czy kur. To wręcz niemożliwe, żeby Damiano tak skończył. Prędeż za spalarnią, jako użyźniacz dla chwastów. Chyba że wsypią go do urny i postawią sobie na kominku w klubie.

– Nieważne. Dobra, spadamy do domu. Ja prowadzę.

Uznała to za naturalne, w końcu w tę stronę ani przez chwilę nie siedział za kółkiem, a poza tym z jakiegoś powodu zajął to miejsce teraz.

– A możesz zostawić broń tutaj? – zapytała jeszcze.

– Nie – odparł twardo i Iwona wiedziała, że nie ma o czym dyskutować.

– Okej. – Podniosła ręce. – Ja nie ryzykuję jakby co.

– No właśnie – przytaknął i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Szyby zaparowały od ich oddechów, więc podkręcił nawiew, a potem ruszyli w stronę Szczecina, zatrzymali się jeszcze na najbliższej stacji, gdzie Kura zatankował i kupił sobie zgrzewkę napojów energetycznych. Wsiadł, odpalił silnik i zanim ruszył, spojrzał na Iwonę.

– Jeszcze się trzęsiesz – powiedział z zaskoczeniem.

– Co ty powiesz? – Westchnęła głęboko. – Facet nigdy nie zrozumie...

Urwała. Z kim ona o tym dyskutowała?

– Nie przejmuj się, to był kawał skurwysyna. – W głosie Kury była sympatia; jakieś ciepło, którego by się po nim nie spodziewała. – Takich w końcu zabiera się na ryby nad Wisłę.

Iwona poczuła, jak oblewa ją lodowaty pot.

– A zresztą wszyscy siedzący w takim interesie są skurwysynami. Myślisz, że ty nie jesteś? – Spojrzał na nią z rozbawieniem i nagle zrobił wielkie oczy. – A nie, ty jesteś skurwycórką, mamuśka! Dobrze, nie?

Przełknęła zółć podchodzącą jej do gardła.

– Bardzo śmieszne, Kura, bardzo śmieszne... – Udała zniesmaczoną słabym żartem, maskując ogarniające ją przerażenie.

– Nawet ci, co nie siedzą w gangsterce, też są skurwysynami – stwierdził z przekonaniem Kura. – Ci, co chodzą codziennie do biura, ci, co odwożą dzieci do przedszkola, klechy, lekarze, nauczyciele, wszyscy. Wiesz, co chciałbym najchętniej zrobić? Wziąć kiedyś spluwę, wyjść na zatłoczoną ulicę i zacząć strzelać w tłum. Nienawidzę ludzi, rozumiesz? Po prostu nienawidzę.

Teraz zdała sobie sprawę, jak niebezpiecznym człowiekiem jest Kura mimo swojej miłej powierzchowności. Był materiałem na terrorystę, masowego zabójcę, seryjnego mordercę, był psychopatą ziejącym nienawiścią do wszystkiego i wszystkich. Pod płaszczykiem wesołości kotłowały się negatywne emocje, ale najgorsze było dla niej to, że Kura jej jakimś cudem zaufał. Dzielił się z nią rzeczami, o których nie opowiada się przypadkowym ludziom ani nawet bliskim.

Patrzyła na jego ręce zaciśnięte na kierownicy i myślała tylko o tym, że zadawały śmierć. Nie w obronie własnej, nie w obronie czyjegoś życia: zabijał z jedyne go powodem – taką miał naturę. Smukłe palce, którymi dotknął jej kiedyś, niby przypadkiem, a jej sprawiło to przyjemność. Palce,

które pewnego dnia zacisnęły się na nożu i przesunęły ostrze po ludzkim gardle ze zgrzytem stali ocierającej się o chrząstkę i kość. Ciemne oczy z iskierkami, a za nimi bezdenne otchłań zła. Co siedziało w głowie takiego człowieka? Gdzie się to zaczęło? W łonie matki? W domu pełnym przemocy i krzyku? W szkole, z kolegami, za garażami, podczas wspólnych seansów pełnych przemocy filmów?

– I co potem? – zapytała słabo, patrząc na jego twarz majaczącą w półmroku. – Zacząłbyś strzelać w tłum, i co?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami ze wzrokiem utkwionym w drogę. – Pewnie przyjechałyby psy, dostałbym od któregoś kulę, ale przedtem zajebałbym paru. Zabrał ze sobą. Jak najwięcej.

Zamknęła oczy i zobaczyła Synka leżącego na bruku.

– To jest twoje marzenie, Kura? – zapytała. – Wyrwać się z biedy, odnieść sukces, a potem dać się zabić? Gdzie tu sens?

Sama nie wiedziała, po co drążyła temat. Chciała zrozumieć? Pomóc mu? Był gówniarzem, niedojrzałym, pełnym sprzeczności, bo jak nazwać okraszony sympatią szacunek, z jakim się do niej odnosił i zdolność do celowego zabicia człowieka? No jak? Kurze nie można już było pomóc. Ze zrozumieniem też było ciężko. Więc co chciała osiągnąć?

– Lepiej żyć krótko i szybko niż długo i powoli – mruknął.

– Bardzo mądre, ale mam coś mądrzejszego. Lepiej żyć, niż nie żyć.

– Nie przekonałaś mnie.

– Nie? A to: dlaczego by nie żyć i szybko, i długo?

– O tym nie pomyślałem – przyznał po chwili, a ona prawie parsknęła śmiechem.

Gówniarz.

Chwilę później spojrzała na jego palce i przypomniała sobie człowieka w Kanale Żerańskim. I uświadomiła sobie, że być może było też paru innych, o których nie miała pojęcia.

– Zdrzemnę się – powiedziała, moszcząc się wygodniej w fotelu.

Kura prowadził w milczeniu, co jakiś czas poprawiał się w fotelu albo przeciągał. Iwona zasnęła ukołysana do snu monotonną jazdą i szumem silnika. Obudził ją trzask zamknięcia puszki z energetyką, którą otwierał Kura, przytrzymując kierownicę kolanem. Zerknęła na zegar na desce rozdzielczej: spała prawie trzy godziny. Nie zdziwiła się nawet, zważywszy

na to, jak bardzo była zmęczona po tych wszystkich atrakcjach. Znów zamknęła oczy i zaczęła udawać, że ponownie zapadła w drzemkę. Słuchając siorbania Kury i usiłując nie myśleć o Damianie z wielką dziurą w głowie i ze spojrzeniem martwych oczu wbitym w wieczność, robiła małe podsumowanie. Wiedziała już kilka rzeczy, choć wciąż była daleko od poznania wszystkich kluczowych szczegółów. Posuwała się co prawda do przodu, ale bardzo mozolnie. Czas uciekał, a pytań w zasadzie przybywało.

Jeśli zabawa klienta z dziewczyną nie kończyła się jej zabójstwem, kto usuwał świadka, o czym podobno był informowany klient? Kto fizycznie odbierał jej życie? I gdzie to się działo? Gdzieś w Warszawie? W Falentach? Jeśli jeszcze w klubie, to nie robił tego Kura, bo jak twierdził, nigdy w nim nie był ani nie wiedział, gdzie się mieści. Czy dziewczyna, która przeżyła zabawę z klientem, przywożona była do Falent i mordowana na fermie właśnie przez Kurę, a potem oddawana Golumowi do, jak to nazywał Kura, utylizacji? Musiała poznać odpowiedź na to pytanie. Przypomniała sobie nagle, jak zastanawiała się na głos w drodze do Königs Wusterhausen nad schematem działania klubu, i kiedy wspomniała o dziewczynach, dla których spotkanie z klientem mogło skończyć się smutno, Kura przerwał jej nagle i zapytał, co ma na myśli. Oczywiście wybrnęła z tego, ale dla niej był to dość czytelny sygnał, że Kura może wiedzieć, jaki los je spotyka.

Kiedy dalsze udawanie snu stało się bezsensowne, zaczęła z Kurą pogawędkę na jakieś neutralne tematy. Stanęli jeszcze na MOP-ie i zjedli śmieciowe żarcie, znów wsiedli do mercedesa, aż jakiś czas później Iwona z ulgą zauważyła tablicę z oznaczeniem zjazdu na Szczecin.

– Zdrzemnę się jeszcze chwilę – powiedziała. – Jestem koszmarnie zmęczona.

To drugie było akurat prawdą, ale już pomijając ten wątek, pomyślała, że to naprawdę dobry sposób na unikanie rozmowy.

– Za dwadzieścia parę minut będziemy na miejscu – zdziwił się Kura.

– Jesteś młody, to jeszcze nie wiesz: w pewnym wieku każda chwila snu jest na wagę złota.

– Powiedziała mamuśka – dokończył.

– Zgadza się. – Zamknęła oczy, odwróciła głowę w bok i zamilkła, udając, że zapada w drzemkę.

Tak bardzo chciała już wysiąść z tego samochodu i być u siebie w domu. Jej marzenie spełniło się niedługo później, kiedy dotarli na miejsce. Gdy z ulgą wysiadła z mercedesa pod swoim blokiem, zanim zamknęła drzwi, zajrzała jeszcze do środka.

– Mnie też nienawidzisz, Kura? – zapytała. – Mnie też byś zastrzelił?

Na zewnątrz, poza ciasną przestrzenią auta, poczuła się bezpieczniej i ciekawość zwyciężyła, dlatego zadała Kurze to pytanie. Była autentycznie ciekawa odpowiedzi, mimo że chłopak zaczął wzbudzać w niej obrzydzenie.

– Ciebie, mamuśka? – W jego oczach znów zamigotały iskierki, które tak polubiła: teraz były jak niespodziewany policzek w twarz. – Ciebie to zabrałbym ze sobą jako wsparcie!

Pochylił się w jej stronę i wyciągnął otwartą dłoń. Iwona zorientowała się, że chce jej przybić piątkę. Wahala się tylko ułamek sekundy i to wahanie można było złożyć na karb zmęczenia i uznać za naturalny w tej sytuacji brak refleksu. Klepnęła dłoń Kury i zatrzęsnęła drzwi, a potem powlekła się w stronę domu

Była naprawdę koszmarnie zmęczona.

Gdy wreszcie dotarła do mieszkania, od razu poszła do łazienki i nalała do wanny gorącej wody. Do pełna. Pieprzyć to, pomyślała, patrząc, jak paruje i obliczając w myślach, ile to będzie kosztować. Potem poszła do kuchni, otworzyła butelkę czerwonego wina, nalała go sobie do półlitrowego kieliszka, z którym wróciła do łazienki. Rozebrała się, zakręciła wodę w wannie i najpierw poszła pod prysznic. Wystawiając twarz w stronę lejących z deszczownicy strumieni wody, szorowała całe ciało, jakby chciała zmyć z siebie ostatnie wydarzenia, minione dni, a nawet tygodnie. Paznokcie zostawiały na skórze czerwone, bolesne pręgi, ale Iwona nie zwracała na to uwagi. Kiedy zmyła z siebie spieniony żel, przeszła do wanny, zgarniając po drodze kielich. Zanurzyła się po szyję w ukropie, ułożyła wygodnie i zamknęła oczy. Po chwili uniosła się trochę i upiła łyk wina, kiedy nagle poczuła, że żołądek puchnie jej jak balon. Wyskoczyła z wanny, rozchlapując wodę i przewracając kielich, i rzuciła się w stronę sedesu. Zdążyła w ostatniej chwili. Spazmy wymiotów targały nią przez chwilę, a kiedy skończyła, usiadła, wyczerpana, nago na podłodze i wpatrując się w swoje kolana i kałużę wokół nich, płakała cicho kilka minut, a potem tępo wpatrywała się w zachlapaną wodą gres. W końcu

ogarnęła się jakoś i wstała. Trzęsa się z zimna i emocji. Woda w wannie była różowa od wina, ale mimo to weszła do niej, wyłowila leżący na dnie kieliszek i odstawiła go na półkę z kosmetykami, a później z powrotem zanurzyła się po szyję, wdychając specyficzny, kwaśny zapach. Leżąc tak, straciła rachubę czasu. Myślała o wszystkim i o niczym: albo myśli pędziły, goniąc jedna drugą, albo w jej głowie była pustka, niemal taka sama jak w duszy.

Wciąż nie miała żadnych wieści od Krzyśka. Ani od niego, ani o nim. Nie rozumiała, dlaczego to zrobił, ani nawet tego, co zrobił. Czy odszedł od niej w tak nietypowy dla siebie sposób, czy coś mu się stało. Mieli wspólny kredyt i kochali się, i oba te powody według niej były wystarczająco i równie istotne, by człowiek reprezentujący pewien poziom nie załatwiał rozstania w tak idiotyczny sposób. Chyba że jej nie kochał, ale temu przeczył list i życie, które wiedli, zanim to wszystko się wydarzyło. Musiała więc liczyć się z tym, że coś się stało. Że coś zrobił, bo za coś przeproszał, niekoniecznie za rozstanie. Nie rozstajesz się z kimś, kogo kochasz, to nie ma sensu. Możesz zrobić to tylko wtedy, kiedy chcesz tę drugą osobę chronić, a nie skrzywdzić. A jeśli nie chciał jej skrzywdzić, to przed czym ją chronił?

Ufali sobie. Dawali wzajemnie mnóstwo przestrzeni na własne sprawy, nie wnikając w nie, jeśli to drugie nie chciało się nimi dzielić. A teraz Iwona pytała samą siebie, czy czegoś nie przegapiła. Czy Krzysiek nie miał depresji. Czy nie odchodził w mrok tej przerażającej choroby, nie oddalał się w nią po cichu, tak jak to zwykle bywa. Czy jego odejście od niej nie wiązało się z jakąś decyzją, ostateczną i nieodwracalną, podejmowaną nawet ze świadomością, że sprawi się tym ból najbliższej osobie? Jego przeszłość była jej kompletnie nieznana, wiedziała tylko, że wychował się w domu dziecka, choć nigdy nie dał jej do zrozumienia, że przydarzyło mu się tam coś strasznego. Z jej punktu widzenia sam pobyt w takim miejscu był straszną rzeczą, choć nie uważała, żeby jej dorastanie w jednym domu z matką było czymś przyjemnym. I biorąc to wszystko pod uwagę, niemal każdego dnia spodziewała się telefonu i poważnego głosu informującego ją o odnalezieniu ciała Krzysztofa. Ta myśl wzała się w jej mózg.

Krzysiek był dobrym człowiekiem, empatycznym, wrażliwym, choć nieco wycofanym, co jej bardzo odpowiadało. Odpoczywała przy nim i z nim. Lubiła paplać o pracy, kiedy leżeli razem przed telewizorem, a on słuchał

i mrucał potakująco, zamiast, jak jej koledzy, przekrzykiwać ją, co zrobiliby inaczej albo lepiej. Krzysiek był partnerem we wszystkich aspektach wspólnego życia. Nie pamiętała, żeby się o coś pokłócili na serio, tak żeby poszło na noże. To nie było w jego stylu. Gasił w niej furję swoim spokojem i opanowaniem, racjonalnym podejściem do rzeczy. Nie rozumiała do końca, jak ktoś, kto wychował się w domu dziecka, mógł mieć takie podejście do życia.

A teraz nie było go w jej życiu. W ogóle jej życie nie było już tym życiem, które wiodła kiedyś. Była sama, nie mając pojęcia, czy naprawdę tak jest: czy to chwilowe, czy już na zawsze. Nie myślała o tym, czy da radę pokochać kogoś znowu i kiedy, bo nie pogodziła się jeszcze z tym, co się stało, choć czasem odnosiła wrażenie, że jest inną osobą. Kompletnie inną. Odebranie życia człowiekowi, nawet złemu, jest odebraniem komuś życia. Z tą myślą nie da się ot, tak po prostu oswoić. To będzie zawsze tkwić w duszy niczym zadra przypominająca o sobie w różnych, czasem najmniej spodziewanych momentach. Cztery trupy w ciągu ostatnich kilku tygodni. Dwóch ludzi zabiła osobiście, może trzeci zginął również z jej winy, jak twierdziła komisja dyscyplinarna. I Horau, który zmarł jej niemal na rękach. Jaką cenę przyjdzie jej w końcu za to zapłacić? I kiedy?

Przypomniała sobie chwilę, w której wyrzuciła Kurze, że nie zapytał jej, jak się czuje, po tym, co wydarzyło się w biurze spalarni fermy w Falentach. Przypomniała sobie, co odpowiedział. Że jest pewien, że poradzi sobie ze wszystkim. Matt też tak uważał. W przeciwieństwie do Kury wiedział naprawdę, co ona przeżywa, i na pewno jej współczuł, ale też był przekonany, że poradzi sobie z tym doskonale. A ona była chyba jedyną osobą, która powoli zaczynała w to wątpić. Równia pochyła okazała się dłuższa, niż sądziła, ale nie mogła ciągnąć się w nieskończoność. Gdzieś był koniec. Gdzieś była krawędź, za którą zaczynała się przepaść i niewykluczone, że Iwona była tuż przed nią.

Cztery trupy w kilka tygodni.

Ale najdziwniejsze było to, że nikt jej za to nic nie zrobił. Z policji wyleciała za źle przeprowadzoną akcję, a nie za zabicie człowieka. O Niemcu nawet nie pomyślała, zresztą nie liczył się w tej śmiertelnej wyliczance, bo zgon nastąpił z przyczyn naturalnych, można było co najwyżej oskarżyć ją o nieudzielenie pomocy, a właściwie o jej niewezwanie.



O Damianie, który uleciał do atmosfery przez komin spalarni, najprawdopodobniej nikt nigdy się nie dowie. Jakkolwiek by na to spojrzeć, była bezkarna.

To naprawdę dziwne uczucie...

## MATT

Kiedy tamtego dnia, jednego z dwóch najgorszych dni w jej życiu, Iwona i Grzeliński kończyli śniadanie w niewielkiej knajpce w alei Fontann, Grzeliński, dopijając resztki lemoniady, powiedział:

– Dasz na Otomoto ogłoszenie o sprzedaży swojego auta.

– Żartujesz? – parsknęła. – Nawet złomiarze go pewnie nie zechcą. To trup. – Nie wiedziała wtedy, że wykrakała i dosłownie kilkanaście dni później auto wylądowało u Zbyszka na placu.

– Potrzebujesz kasy, prawda? – Głośne siorbanie przez słomkę wbitą między okruchy lodu zwróciło uwagę przechodzącego za żywoplotem chłopaka.

Bąknęła coś pod nosem.

– Co to za marka? – zapytał Matt.

– Mitsubishi.

– Który rocznik?

– Dwa siedem.

– Okej. Wystaw go za dwadzieścia tysięcy.

– Zwariowałaś?

– Ja nie, ale wszyscy, którzy zobaczą ogłoszenie, będą myśleć, że ty tak. I dlatego nikt nie zadzwoni, może jeden czy dwóch, którzy pomyślą, że kliknęło ci się o jedno zero za dużo. A jeśli jednak ktoś zadzwoni, ktoś z Bialegostoku, to będzie znaczyć, że ja chcę z tobą rozmawiać, rozumiesz? Jedziesz wtedy do matki i czekasz na mój telefon o dwudziestej pierwszej. Będę dzwonił pod jej numer.

– A jeśli to ja będę chciała rozmawiać z tobą?

– Obniżasz cenę o pięć stów. Dwa razy dziennie będę sprawdzał to ogłoszenie. Jeśli zobaczę zmianę, dzwonię na jej telefon tego samego dnia, też o dwudziestej pierwszej. Jeśli nie odbierzesz, próbuję następnego dnia o tej samej porze.

– Najlepsze kasztany są na placu Pigalle?

Spojrzał na nią tak, że pożałowała głupiego żartu.

– Co z sytuacjami awaryjnymi? – zapytała jeszcze. – Mogę być w trasie, kiedy będę musiała z tobą pogadać.

– Mówiłem ci: jesteś w tym sama i radzisz sobie sama. Nie ma kontaktu w sytuacjach awaryjnych, bo on służy tylko wymianie informacji. Jeśli coś się dzieje, jesteś zdana wyłącznie na siebie, Iwona. Cała ta sytuacja jest awaryjna, nie uważasz?

– Po co taka konspiracja? Przecież to jakieś wywiadowcze triki?

– Nie wiemy, jak wysoko sięgają macki. Kto z ludzi na świeczniku skorzystał z usług klubu. Powiązanie polityki z biznesem jest powszechne i niejako naturalne. A skoro nie wiemy kto z kim, to zakładamy, że wszystko może się zdarzyć, i zachowujemy wszelkie możliwe środki ostrożności. Już ci to mówiłem. Między innymi właśnie dlatego niczego nie dokumentujesz telefonem, bo mogli ci zdalnie zainstalować oprogramowanie szpiegowskie. Drugi, czysty telefon, o którym nie będą wiedzieć, też jest wykluczony, bo mogą chcieć cię nagle przeszukać: albo ciebie, albo auto, albo mieszkanie. I co wtedy? Więc tak, Zuzanna lubi je tylko jesienią, i tyle na ten temat.

Po południu obniżyła cenę mitsubishi do osiemnastu tysięcy, a wieczorem pojechała do matki.

– Iwona? Co się dzieje? – zapytała matka, kiedy pojawiła się w drzwiach.

Tym razem Iwona skorzystała ze swoich kluczy.

– Nic, tak tylko wpadłam, na chwilę. Mam nową pracę, wiesz?

– W policji?

– Nie.

– To dobrze.

– Tak, to dobrze...

Twarz matki się rozpodziła.

– Zawsze ci to mówiłam, tylko ty nie chciałaś słuchać.

– Dasz mi na chwilę swój telefon? – Iwona zerknęła na zegarek: do dwudziestej pierwszej brakowało trzech minut.

– Po co?

– Muszę pilnie zadzwonić, a mój się rozładował. Pożyczysz?

Taka rozmowa, o niemal identycznym przebiegu, zdarzyła się już trzy razy. Potem były telefony od Matta. Za pierwszym razem poskarżyła mu się,

że nic się nie dzieje. Nie był zadowolony i dał temu wyraz.

– Nie wiem w sumie, po co się z tobą skontaktowałam – przyznała w końcu skruszona.

– Okej. – Westchnął. – Żyjesz w ciągłym stresie. W niepewności jutra. Chyba po prostu potrzebowałaś kontaktu z kimś normalnym.

– Ty nie jesteś normalny, Matt przez dwa „t”. – Wysiliła się na słaby żart.

– Normalny inaczej, jeśli wolisz. – Roześmiał się, choć raczej z uprzejmości. – Podjęłaś ryzyko, ale można powiedzieć, że usprawiedliwione. I okej, niech będzie. Szanuję to. A więc cierpliwie czekamy dalej.

– Masz rację, chyba musiałam z tobą pogadać. Ale postaram się nie nadużywać tej formy odstresowania.

– To chciałem ci zaproponować w drugiej kolejności. – Grzeliński znów się roześmiał, tym razem szczerze, i rozłączył się.

Za drugim razem zameldowała mu krótko, że została złowiona, i cieszył się jak dziecko. Podała mu adres, pod który zawiózł ją Kura, i w zasadzie była to jedyna poza imieniem rzecz, jaką mogła o nim powiedzieć, a on w zamian dał jej kilka rad, na przykład taką, że kiedy będą jechać razem z Kurą gdzieś dalej, ma spróbować zerknąć na fakturę za paliwo, na kogo jest wystawiona. Za trzecim opowiedziała o szwabie i fermie w Falentach, wspomniała o poznaniu kogoś ważnego, czyli Damiana, i podała zamiary na producenta okien z reklamy na samochodzie, którym przewozili zwłoki Horaua. Pogratulował jej wtedy pomysłu z wywiezieniem ich do Niemiec. Żałował tylko, że nie zostawiła sobie jego telefonu, w którym mogły być ślady kontaktów z klubem, ale wytłumaczyła się, że zostawienie go w Polsce było zbyt ryzykowne. Tak znaczący człowiek miał pewnie ustosunkowanych kumpli, których jego ostatnie chwile mogłyby zainteresować bardziej niż policję, a gdyby zniszczyła telefon w Falentach czy gdziekolwiek w Polsce, byłby to jasny ślad, że coś wydarzyło się właśnie tam. Nie chcemy przecież, żeby ktoś z Niemiec narobił niekontrolowanego smrodu i popsuł nam plany, co? – pytała wtedy Matta. Zgodził się z nią w końcu, choć raczej niechętnie. Nie był też zadowolony, kiedy powiedziała mu, że Kura nigdy nie bierze faktur za paliwo i zostawia nawet paragony przy kasie, ale na to akurat nie miała wpływu. Powiedział jej za to, że Kura nazywa się Arkadiusz Kurzaj i podał adres jego mieszkania na osiedlu Nowa Cukrownia, z którą to

informacją Iwona i tak nie mogła nic zrobić. Ale traktowała to jak kolejny drobny kroczek przybliżający ich do celu.

Teraz miała odbyć z Mattem czwartą rozmowę.

– Proszę. – Matka podeszła do stolika, wzięła komórkę i podała ją córce, zerkając na telewizor.

Głos był wyłączony, ale coś na ekranie przykuło jej uwagę i tak już została wpatrzona w niego nieruchomym wzrokiem. Iwona zabrała jej z ręki telefon, starając się nie dotknąć jej lodowatych palców. Zawsze takie były, pamiętała z dzieciństwa ich dotyk, tak rzadki i przeważnie przypadkowy.

Zamknęła się w łazience, usiadła na skraju wanny i wpatrzona w wyświetlacz czekała, aż Grzeliński zadzwoni. Komórka zawibrowała jej w dłoni minutę po dziewiątej.

– Halo? – Przyłożyła ją błyskawicznie do ucha, jakby bała się, że nie zdąży odebrać albo Matt się rozłączy.

– Hej. – Jego głos podziałał na nią kojąco.

– Hej – odpowiedziała z westchnieniem ulgi.

– Co się wydarzyło? – Wyczuwała w tym pytaniu napięcie.

– Kilka rzeczy. Zacznę od najłżejszej. Dostałam od Kury piętnaście tysięcy. A wcześniej trzy. I ta dwójka od prawnika, o której ci mówiłam.

– Gratuluję. Podwyżki też. – Napięcie zelzało.

– Bardzo śmieszne – powiedziała kwaśno.

– To po co się ze mną kontaktujesz? Nie, żeby się pochwalić?

– Nie. Żeby zapytać, co mam zrobić z tymi pieniędzmi.

– A co się robi z pieniędzmi, słońce? Wydaje się je. Na życie, na przyjemności...

– Miałeś nie mówić do mnie „słońce”.

– Przyzwyczajenia w pewnym wieku trudno zmienić.

– Postaraj się

– Postaram. To co jest nie tak z tą kasą?

– To są brudne pieniądze.

– No, skoro tak, to może je spal.

– Wszystko widzisz zero-jedynkowo?

– Posłuchaj. – Matt chrząknął. – Gdybyś nie dostała tej kasy ty, dostaliby ją inni albo Kura zostawiłby ją dla siebie. Tak czy siak, w związku z tym zostałyby wydana na dziwki, alkohol i biały proszek. Więc jeśli bardzo cię to

gryzie, to daj tę forszę na hospicjum dla dzieciaków albo dorzuć się do leku na SMA dla jakiegoś małego szkraba, tego za dziesięć baniek. Albo tak jak wspomniałem na początku, wydaj je mądrze na siebie, nie wiem: pójdz do dobrej knajpy, do kosmetyczki, do spa, kup sobie fajne ciuchy albo bieliznę i pożyj trochę, w końcu pracujesz w zajebistym napięciu i coś ci się należy. I mówię to całkowicie poważnie, rozumiesz? Rozgrzeszam cię, jeśli tego potrzebujesz. A wręcz uważam, że to będzie lepiej wyglądało, jeśli zaszalejesz. Dla nich będzie lepiej wyglądało, rozumiesz? No i auto w końcu napraw albo kup sobie coś małego, używanego. Teraz cię stać.

Milczała przez chwilę, trawiąc jego słowa i oddychając głośno przez nos.

– Dobra, teraz coś mocnego. Zabiłam kogoś.

– S... Słucham? – Iwona pomyślała, że teraz pewnie Grzeliński rozgląda się za czymś, na czym mógłby usiąść.

– Pamiętasz naszą rozmowę? – zapytała. – O groźbie wykrycia?

– Jezu... Tak, oczywiście, że pamiętam.

Czując, jak nagle jej głos niebezpiecznie zbliża się do górnych rejestrów, opowiedziała mu o Roxi i o Damianie. A na koniec dodała, że nie ma z tym problemu: w końcu to skurwiel, który próbował ją zabić. Podejrzewała, że Matt chciałby to usłyszeć, ona zaś była pewna, że w ten sposób próbuje przekonać samą siebie, że faktycznie tak jest. Przecież miała na koncie już dwóch takich skurwieli.

– Gratuluję. Tym razem poważnie. To było... Bohaterskie, rozumiesz? Kurwa, znam kilku twardzieli od przykrywek, każdy by się zesrał w takiej sytuacji, a ty dałaś radę.

– Przesadzasz.

– Dobra, połowa z nich. – Zaczął szybciej oddychać. – Uda nam się, Iwona, słyszysz? Uda nam się, dziewczyno!

Poprawił jej swoim entuzjazmem humor, jeśli w ogóle można go jeszcze mieć po zabiciu dwóch ludzi i dźwiganiu na barkach brzemienia odpowiedzialności za jeszcze jednego. Nawet jeśli ci dwaj byli skurwielami.

– Mam coś jeszcze lepszego – powiedziała tonem mamy stojącej przed pięciolatkiem i ukrywającej za plecami wielką czekoladę.

– Dajesz!

– Po pierwsze, Damiano powiedział, cytuję: mówiłem tym debilom, że to nie jest dobry pomysł. Chodziło o mnie, rozumiesz? Czyli jest ich kilku,

miałeś rację. A po drugie: zanim Damiano poszedł w kawałkach do pieca, zdążyłam zdjąć mu paluchy.

Matta zatkało, a potem zaczął się śmiać.

– Jezu, jesteś niesamowita, słyszysz? Genialna! Kocham cię!

Uśmiechnęła się do siebie.

– Są na kawałku gładkiego kartonika, zapakowanym w papier – powiedziała. – Nic innego nie mogłam tam na miejscu wymyślić. No i nie daję głowy, że się nie zatarły.

– Pamiętaj, jak z InPostu, to z telefonu matki i jej adresu.

– Ej, to ja tu jestem geniuszem, tak? Pójdę na pocztę.

– Jasne. Zaraz dostaniesz esa z adresem, pod który to wyślesz.

– Mam nadzieję, że gnój był notowany.

– Oby. – Grzeliński westchnął krótko. – Okej, no to ja też mam kilka informacji. Producent okien „Fenster” to mała fabryczka pod Krosnem, która nigdy nie realizowała zamówień do Niemiec. Nie mają nawet takiego auta. To, którym jechałaś, zarejestrowane jest na jakiegoś pijaczka z Mokotowa. A numer telefonu należy do jakiegoś Bogu ducha winnego geodety z Oleśnicy. Są naprawdę ostrożni, nawet mi to imponuje, wiesz?

– Mnie nie – odpowiedziała krótko.

– Okej. Ferma w Falentach należy do spółki „MC2R Drobex”, której właścicielami są Marcin Chyła i Ryszard Roszak. Nie wiem, czy są udziałowcami Klubu Pięćset Dwadzieścia Sześć, czy tylko pozwalają im pozbywać się tam zwłok, a może nawet nie wiedzą, co dzieje się w nocy praktycznie pod ich nosem. Tego też nie można wykluczyć.

– Falenty są też stacją przesiadkową – zauważyła.

– No właśnie. Ale to dalej nie daje nam stuprocentowej pewności, czy to ta pierwsza opcja jest prawdziwa, czy druga.

– Będą objęci obserwacją?

– Przyjrzymy im się na pewno. Chyła nazywał się kiedyś Golczewski, ale po ślubie przyjął nazwisko żony. Jest sporo młodszy od Roszaka, ale to on chyba jest szyją, która kręci głową. W każdym razie działamy dalej. Ja i ty.

– Jasne. Aha, Matt, jeszcze jedno.

– No?

– Mam coś. Ten prawnik, który mnie zwerbował...

– Tak, pamiętam, sprawdzam kartoteki z izb radców prawnych i adwokackich. Gość jest starszy, więc nie musimy grzebać we wszystkich. Trochę to zajmie, kiedy skończymy, podeślę ci wybrane zdjęcia, które pasują do opisu.

– Przecież ja znam numer rejestracyjny auta, którym mnie wtedy podwoził do miasta. – Powiedziała to z lekkim zawstydzeniem.

– Pamiętasz go? – zapytał zaskoczony.

– Łatwy był. Zaczynał się na WH jak pojazdy Wehrmachtu.

– Skąd ty wiesz takie rzeczy? Mówię o Wehrmachcie.

– Mój brat sklejał w dzieciństwie modele, nieważne.

– Też sklejałem jako chłopak. Przykro mi, że nie żyje. – Westchnął. – No, dobra. WH to Warszawa, Praga Północ, być może auto jest w leasingu. A cyferki pamiętasz?

Podawała mu je.

– Zawsze byłem pod wrażeniem ludzi z pamięcią do liczb – oświadczył zaskoczony.

– Nie musiałam ich pamiętać. W zasadzie tylko jedną, a to nie wymaga jakiegoś wysiłku.

– Jak to?

– Pierwsze cztery cyfry są takie same jak pierwsze cztery numeru mojej blachy.

Przeszło jej przez myśl, jak długo po utracie odznaki policjant pamięta jej numer. Ciekawe, czy będzie jej dane się tego dowiedzieć. Grzebiński milczał przez chwilę.

– Grubo... – mruknął w końcu.

– Wierzysz w fatum, przeznaczenie? – zdziwiła się.

– Nie, tylko w przypadek.

– Fakt. Jak ten pocisk w ciele Synka. – Nabrała głęboko powietrza. – To też był przypadek. Mógł znaleźć się wszędzie, we mnie też. Albo w Sołtyku.

– To prawda, mógł się znaleźć wszędzie. – W głosie Grzebińskiego pojawiła się jakaś gorzka nuta. – Ale się nie znalazł.

– Ano nie.

– Słuchaj, z tym numerem rejestracyjnym... Późno na to wpadłaś.

– Możliwe – przyznała, wiedząc, że Matt ma rację. – Sama nie wiem, jak to się stało. Ale w tych warunkach pracuje się inaczej, wiesz?



– Wiem. I przepraszam, może nie powinienem był tego mówić. Nie powinienem robić ci wyrzutów.

– Okej, wybaczam. Ale mam jeszcze jedno pytanie.

– Wal.

– Skąd wiesz o moim bracie?

– Że nie żyje?

– Że w ogóle go miałam.

Milczał przez chwilę, jak gdyby nie mógł się zdecydować, jakim tonem odpowiedzieć.

– Jestem szyczą, pamiętasz? – Wybrał coś pośredniego między lekkim rozbawieniem a powagą.

– Okej, panie szyczo – mruknęła. – Nie mam więcej pytań.

– No dobra, będziemy kończyć. Uważaj na siebie, Iwona. – Po rozbawieniu w jego głosie nie było teraz śladu. – Już niedługo.

– Skąd wiesz?

– Nie wiem, ale tego ci życzę. Sobie też. I tym dzieciakom, które uratujemy dzięki tobie.

Otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, i nagle się rozryczała. Nie odsuwając telefonu od ucha, płakała rzewnymi łzami, a on słuchał. Kiedy przestały lecieć, Iwona wzięła kilka głębokich oddechów i powiedziała:

– Przepraszam.

– Żartujesz? Nie ma za co.

– Wiesz, ciągle myślę o tych, które zabili, kiedy już byłam z nimi. Nawet nie wiem, ile ich było.

– Kto wie, może żadnej? Może tylko Kura dostarczał towar?

– Próbujesz mnie pocieszyć?

– Oczywiście. A nawet jeśli jednak jakieś były, to i tak nie mogłaś nic zrobić.

– Wiem. I to mnie dobija. Z oczywistych względów nie pytałam o to Kury, ale odnoszę wrażenie, że dołączył do klubu, dopiero kiedy wpadli na pomysł sprowadzania Niemców. Ten w kanale, mówiłeś, że był ze Szczecina, mógł być poprzednikiem Kury, który się nie sprawdził, bo chlał i kłapał jadaczką. Więc znaleźli Kurę, który zajął się również dziewczynami. A wcześniej załatwiał je ktoś inny i może to działo się niezależnie także wtedy, kiedy my

już obsługiwaliliśmy rejon Szczecina. Z drugiej strony, Kura wiedział, co robią z ciałami... Jezu, sama już nie wiem.

– Tak jak powiedziałem, wszystko jest możliwe, Iwona, ale pamiętaj o jednym, najważniejszym. O ostrożności – Grzeliński powiedział to powoli, jakby namyślał się nad doborem każdego słowa. – Sama to przed chwilą przyznałaś. To jest najważniejsze. Jeśli się zorientują, zginiesz i ty, i wiele następnych. Będą już ostrożniejsi, pewnie zmienią lokalizację i będziemy jeszcze dalej od rozwiązania zagadki. Więc nie myśl o tamtych dziewczynach. Myśl o sobie. Tylko dzięki temu im pomożesz. I następnym również. – Iwona pokiwała głową, połykając kilka kolejnych łez. – Dobra, trzymaj się, dziewczyno. Działaj. Niech skurwielom grunt się pali pod nogami.

– Jasne. – Pociągnęła nosem i obtarła go wierzchem dłoni. – Trzymaj się, Matt przez dwa „t”.

Rozłączyła się i jeszcze przez chwilę siedziała na wannie, patrząc smętnie w krzyżujące się linie fug między płytkami terakoty na ścianie przed sobą.

„Kup sobie fajną bieliznę”. Najpierw stwierdziła, że to niezły pomysł, potem zapytała samą siebie, dla kogo miałaby ją nosić, a jeszcze chwilę później przypomniała sobie butik D-Scent, ukradziony komplet od Gucciego i roześmiała się. Nie przyznała się Mattowi do podwędzenia bielizny, w końcu są granice. Rozbawienie przeszło jej natychmiast, kiedy drogą skojarzeń przypomniała sobie Roksi. A potem pomyślała, że z tym autem Matt mógł mieć rację. Powinna się tym wreszcie zająć, a nie jeździć wszędzie taksówkami.

Czas uciekał. I dalej łajała samą siebie: powinna była wpaść wcześniej na to, żeby sprawdzić numer rejestracyjny samochodu Herr Flicka. Być może oszczędziłoby to życie którejś z dziewczyn. Może kilku. I Iwona wiedziała, że będzie musiała z tą świadomością żyć.

Kiedy komórka matki bzyknęła krótko, spojrzała na wyświetlacz, a potem otworzyła wiadomość od Matta. Imię, nazwisko ani adres w Pruszkowie nic jej nie mówiły. Zapamiętała dane, także numer telefonu, skasowała wiadomość i prosto od matki pojechała taksówką na Dworcową, żeby na całodobowej poczcie nadać list z odciskami palców Damiana.

Skurwiela, który chciał ją zabić.

Obecnie martwego skurwiela.

I nagle myśl, którą rzucił Kura w Falentach, porównując Damiana do króla Popiela, wydała jej się szalenie zabawna. Aż się roześmiała, a kiedy taksówkarz zapytał ją, z czego się śmieje, odpowiedziała pogodnym tonem:

– Coś mi się przypomniało. Zna pan ten dowcip o facecie, który palił wszystkie kawały? Kiedyś usłyszał anegdotę: jak się nazywa zupa zrobiona z więcej niż jednej kury; rosół z kur wielu. Następnego dnia poleciał do szefa i zapytał go, czy wie, jak się nazywa taka zupa. Ten oczywiście nie wiedział, więc facet wypalił: rosół, skurwysynu!

I tak, dzięki Kurze, kurom i Damianowi, nie musiała płacić za kurs.

A potem uświadomiła sobie, że zapomniała spytać Matta o bardzo ważną rzecz i że musi poczekać z tym do następnej okazji. Nie wiedziała, że nastąpi już wkrótce.

## CZŁOWIEK Z SAMEJ GÓRY

– Jedziemy do Warszawy – powiedział Kura, patrząc dziwnie na Iwonę.

Oboje stali w drzwiach jej mieszkania: ona w środku, on na klatce schodowej. Było tuż przed południem.

– Po co?

– Chcą z tobą rozmawiać. Któryś z szefów.

Poczuła, jak jej serce oplatają macki chłodu.

– Mogłeś zadzwonić, to bym się chociaż ubrała. – Poprawiła szlafrok, ale Kurze nie w głowie były chyba obleśne żarciki.

Miał poważny wyraz twarzy.

– Wejdz. – Wpuściła go środka. – O czym chcą ze mną rozmawiać?

– Nie mam pojęcia, ale chyba możemy się domyślać, co? – rzucił przez ramię, idąc w głąb mieszkania. – Przed chwilą dostałem telefon, kazał nam natychmiast wyjeżdżać.

Pokiwała głową. Posadziła go w dużym pokoju na kanapie i poszła do sypialni się ubrać.

– Nie mogli załatwić tego od razu? – dobiegł ją jego głos, kiedy wkładała bieliznę. – Czekali, aż wrócimy, żeby dzień później znowu nas ciągnąć pięćset kilosów?

Nie odpowiedziała, choć domyślała się, o co im chodzi. Po pierwsze, wyglądało na to, że decyzja o spotkaniu musiała być skonsultowana, a to znów sygnał świadczący o tym, że mogło być ich kilku. A po drugie, chcieli im coś pokazać i równocześnie ich sprawdzić. Pokazać, kto tu jest szefem, i sprawdzić, czy zareagują odpowiednio szybko. Ale Iwona rozumiała zdenerwowanie Kury, które jej też zaczęło się udzielać. I nie chodziło o bezsensowne jeżdżenie wte i we wte, tylko o prawdopodobny temat rozmowy, bo przecież było wiadomo, że chodzi o ostatnie wypadki. Nie wiedziała, czego się spodziewać, a teoretycznie mogła nawet najgorszego: że będą chcieli ją ukarać. W praktyce było to mniej prawdopodobne, bo załatwiliby to inaczej, nie wzbudzając oczywistych podejrzeń. Ale i tak nie

mogła nic zrobić. Wycofać się? Nie miała drogi odwrotu. Zawiadomić Matta? Nie było takiej opcji, miała sobie radzić sama. Chyba że... Chyba że to Kura miał się nią zająć gdzieś po drodze.

Tak czy siak, musiała być teraz ostrożna. O wiele bardziej niż do tej pory.

Kiedy skończyła się ubierać, wróciła do Kury. Siedział nieruchomo na kanapie ze wzrokiem skierowanym w okno, wpatrzony w rozmyty materiałem firanek krajobraz.

– Gdzie to spotkanie? – zapytała, poprawiając włosy.

– W klubie. – Odwrócił się do niej.

– W jakim klubie? – Nie zrozumiała; palce zastygły wplecione we włosy.

– Gdzieś na Zbawiksie.

Odetchnęła. Wiedziała, że okolice placu Zbawiciela są bardzo popularnym miejscem, w którym znajduje się mnóstwo knajpek i klubów. I to ją trochę pocieszyło, bo skoro spotkanie miało odbyć się w miejscu publicznym, to odpadał ewentualny problem z najgorszym scenariuszem.

Trasę do Warszawy Kura pokonał w pięć godzin, prawie w ogóle się nie odzywając. Kiedy zaproponowała postój na załatwienie potrzeby fizjologicznej, lekko się skrzywił.

– Masz pieluchę czy nic dziś nie piłeś? – zapytała kpiąco, widząc jego minę, choć była zadowolona z takiego obrotu rzeczy.

Zatrzymanie się na stacji paliw czy MOP-ie to pół biedy, ale zjechanie w las mogłoby oznaczać niekorzystny obrót spraw: mogłaby po prostu już stamtąd nie wyjść. I nagle uświadomiła sobie jeszcze jedną rzecz, jaka być może kierowała postępowaniem szefów. To mogła być świadoma zagrywka. Jedno nie wiedziało, co robi drugie: ani ona nie mogła być teraz pewna Kury, ani on jej, w jego przekonaniu. Dziel i rządź, stara maksyma sprawdzała się od dwóch tysięcy lat. A nawet dłużej, bo ludzie robili to ludziom od zarania dziejów.

Dojechali na miejsce tuż po otwarciu klubu Warmut. Kura wcisnął się w cudem znalezione miejsce parkingowe i chwilę później byli już w podcieniu socrealistycznej kamienicy o ścianach wymazanych twórczością grafficiarzy. Kura otworzył przed Iwoną przeszkłone drzwi i puścił ją przodem.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się jej w oczy, był sufit. Wyrastały z niego podświetlane makiety wieżowców, skierowane dachami w dół i wyglądało to

jak kadr z *Incepcji*, gdy Marion Cotillard składała Paryż jak gigantyczne origami. Pod sufitem stał bar zrobiony z mebli ze starej apteki, a przy ścianie witryny w tym samym rustykalnym stylu, z podświetlanymi, zastawionymi alkoholami półkami. Więcej Iwona nie zdołała zobaczyć, bo wewnątrz wypełnione było ludźmi, w dodatku Kura popchnął ją lekko w głąb, szepcząc do ucha:

– Idziemy od razu do kibla.

– No myślę – prychnęła.

– Do męskiego. – Kura chwycił lekko za jej ramię i skierował w przeciwną stronę.

– Zwariowałaś?

– Nie.

– Muszę się wysikać, człowieku!

– Potem. – Wepchnął ją do męskiej toalety niemal siłą i zawołał cicho w głąb pomieszczenia: – To my. Jest pan już?

– Tak. Ty wyjdź – dobiegło zza drzwi jednej z kabin.

Iwona spojrzała na Kurę szeroko otwartymi oczami, a jej usta ułożyły się w bezgłośnie pytanie: to jakiś żart? Kura tylko wzruszył ramionami i posłusznie zniknął za drzwiami, które trzasnęły lekko, a echo tego odgłosu odbiło się od ścian. Iwona obejrzała się i wbiła w nie wzrok, jakby chciała na wylot przepalić spojrzeniem i je, i Kurę. Poza tym kurewsko chciało jej się sikać.

– Pozwolisz, że porozmawiamy w tym nietypowym miejscu – usłyszała i odwróciła głowę w stronę, z której dochodził głos.

Był zwyczajny. Normalny, nie za wysoki, nie za niski, spokojny. Intonacja też nie wskazywała, że człowiek w kabinie czuje się niekomfortowo z powodu miejsca, do którego ją zaprosił. Czy też wezwał.

– Wystarczyłby telefon, naprawdę – powiedziała tak samo spokojnie, choć serce jej waliło, a dół brzucha pulsował od zaciskania mięśni. – Męska toaleta nie jest zbyt komfortowym miejscem na tego typu spotkania. Zwłaszcza dla kobiety.

– Brzydzisz się? – W głosie było autentyczne zdziwienie. – Ty, która widziałaś najgorszy syf tego świata?

– Wystarczy mi to, co widziałam. Takie atrakcje są mi już niepotrzebne. Poza tym skończyłam z tym, wyleciałam z policji, przecież wiesz. – Uznała,

że zwróci się do niego bezpośrednio.

Może facet uważał się za mafijnego dona i oczekiwał jakiegoś szczególnego szacunku, a ona zamierzała to właśnie sprawdzić.

Zamierzała sprawdzić, co za skurwysyn siedzi w kiblu za przepierzeniem z płyty meblowej i sili się na tajemniczego bossa. Zamierzała to zrobić, oczywiście nie zaglądając za ścianę. Rozumiała, że ten człowiek nie chce ujawnić swojej tożsamości, a nawet wizerunku, choć usłyszała jego głos. Może takie okoliczności sprawiały mu przyjemność, może bawił się brzydko za cienką ścianą, słuchając jej, ale miała to gdzieś. Cel był jeden i skoro zaszła już tak daleko, nie mogła zawrócić. Nie teraz. Ale najpierw musiała się wysikać.

– Muszę skorzystać z toalety – obwieściła mu z rezygnacją. – Za chwilę wrócę.

– Jasne... – Kiedy odwróciła się do drzwi, usłyszała: – Zapraszam obok. Jest wolne.

– S... Słucham?

– Wstydzisz się?

– Chcesz mnie podglądać?

– Nie, po prostu wejdź do kabiny obok i zrób, co trzeba. Szkoda czasu, prawda?

Zacisnęła usta i pięści i z pochyloną głową ruszyła w kierunku kabiny. Nie wstydziła się załatwiać przy kimś, nawet przy mężczyznach, o ile nie było wyjścia, jak to czasami zdarzało się na akcjach, kiedy razem z Sołtykiem sikali po krzakach, odwrócenie do siebie plecami. Policja to męski świat i taka jest prawda. Opuściła spodnie, zdjęła majtki, usiadła na sedesie i zamknęła oczy.

Tym razem było inaczej. Nie mogła zacząć. Może to ciśnienie, które zacisnęło mięśnie zbyt mocno, a może świadomość, kto siedzi za ścianką. Dzielilo ich może pół metra i centymetr płyty. Skupiła się i wreszcie się udało. W absolutnej ciszy rozległo się ciurkanie.

– Wiem, że wyleciałaś z policji, i to z hukiem. – Nie wyglądało, jakby człowiek w kabynie obok obraził się za zwrócenie się do niego per „ty”.

Nie słysząc też było żadnej satysfakcji z tego, że zmusił ją do zrobienia czegoś wbrew jej woli. Nie wyglądało też, jakby podniecało go to, co teraz robiła. Jakby to było dla niego absolutnie normalne.

– Musimy do tego wracać? – zapytała.

– Nie, do tego nie. Ale chciałbym cię o coś zapytać.

– Słucham – mruknęła obojętnie, podcierając się i podciągając majtki.

– Zajęte – Zza drzwi przedsiionka dobiegł nagle stłumiony głos Kury. – Powiedziałem, że zajęte, tak? Idź do babskiego.

Przez chwilę słyhać było drugi głos, choć nie dało się zrozumieć słów, ale dyskusję zakończyło krewkie „wypierdalaj” Kury. Skorzystała z okazji i spuściła wodę. Człowiek w kabinie nie odzywał się, czekając chyba, aż hałas umilknie.

– Co czułaś, kiedy zabijałaś? – zapytał nagle, a w jego głosie była autentyczna ciekawość.

Iwona ledwo powstrzymała się przed parsknięciem.

– Nic – odpowiedziała. – To wszystko działo się zbyt szybko. Dopiero potem można mówić, że coś się czuło. Ale nie w trakcie.

– Rozumiem. A więc co czułaś potem?

– To zależy, o kim mówisz. Ten pierwszy był... Powiedzmy, że to był wypadek.

– A drugi? Jak było z Damianem?

– Pustkę – odparła natychmiast. – Czułam pustkę. I wściekłość. I satysfakcję. – To ostatnie dodała po chwili namysłu.

Tam gdzie mogła, musiała być szczerą.

– Hmm... Co chciał ci zrobić?

– Widziałeś przecież. Na zdjęciach.

Rozmazany makijaż spływający razem z łzami. Nagie, atrakcyjne ciało wygięte w nienaturalnej pozycji. Anatomiczne szczegóły, ich miękkość i czarne kanciaste kształty broni. To zobaczył człowiek za ścianą na zdjęciach, które wysłał mu Kura z telefonu Damiana.

– Opowiedz mi.

Przełknęła głośno ślinę.

– Jara cię to?

– Nie o to chodzi.

„Nie o to chodzi”, a nie „nie”, pomyślała Iwona.

– Jesteś jedyną żywą osobą, która wie, co się wydarzyło. Zaspokój moją ciekawość.



Iwona wiedziała, że nie chodzi tylko o ciekawość. Chciał sprawdzić, czy wszystko trzyma się kupy. Może złapać ją na czymś. Musiała więc powiedzieć mu to, co chciał usłyszeć, a równocześnie chronić siebie. No i miał zdjęcia, które Iwona sama zrobiła, w pośpiechu konstruując swój plan.

Roksi płakała wtedy przez cały czas. Kiedy się rozbierała, kiedy układała się na kanapie, kiedy wypinała pośladki, kiedy Iwona owijała głowę Damiana reklamówką, żeby nie zachlapać krwią pomieszczenia, i kiedy zaciągała trupa w stronę kanapy, a potem robiła zdjęcia jego telefonem. Robiła je tak, żeby widać było jedynie fragmenty twarzy dziewczyny, a główny motyw miało stanowić jej ciało i uzbrojona w pistolet ręka Damiana z charakterystycznym tatuażem pęku strzał na nadgarstku. Później obie siedziały objęte na kanapie i cicho płakały, a Iwone przypomniawszy się matka Synka i spotkanie przy wejściu do komendy. Potem powiedziała dziewczynie, co ma zrobić. W szafie znalazła kurtkę przeciwdeszczową z logo „Drobexu” na plecach oraz biały kask. Kazała jej włożyć i to, i to, wymknąć się z fermy, złapać stopa, pojechać do Warszawy i polecieć do Anglii. Zanim Roksi zniknęła za drzwiami, obejrzała się jeszcze i powiedziała drewnianym głosem:

– Mam nadzieję, że już nigdy więcej cię nie zobaczę, Iwona.

Tymi słowami złamała jej serce.

– Więc jak to było? – Zza przepierzenia padło kolejne pytanie, które Iwonę otrzeźwiło.

Wróciła do rzeczywistości, do męskiej toalety warszawskiego klubu, tak odległej od jej domu, od jej życia i od wszystkiego, co było w nim istotne.

– Zgwałcił tę dziewczynę na moich oczach. Analnie. – Głos jej zaczął drżeć.

– Kazał mi na to patrzeć, mierząc jej w głowę i ostrzegając, że jak zamknę oczy na dłużej niż pół sekundy, to ją zastrzeli. Potem włożył jej tam lufę pistoletu, a kiedy ta dziewczyna zemdliała, podszedł do mnie i powiedział, że zrobi mi to samo, bo jeszcze nie ma dość. Rzuciłam się na niego i zaczęliśmy się szarpać, upadliśmy na podłogę i... Bum. Co miałam robić? Co ty byś zrobił na moim miejscu?

Zapadła cisza. Potem zza ścianki dobiegło głośne westchnienie.

– Co prawda rozumiałem się z nim świetnie, ale z tym facetem był jeden poważny problem. Oprócz tego, że ćpał za dużo, chociaż mówiłem mu, żeby

zwolnił. Odwalało mu od czasu do czasu za bardzo i w nieodpowiednich miejscach. Osobiście zawsze uważałem, że należałoby go zdiagnozować, ale on nie przyjmował tego do wiadomości. Można powiedzieć, że choroba go zabiła, bo się nie leczył. Cóż, nie on pierwszy i nie ostatni. A dragi mu nie pomogły. Zastanawiałem się nad tobą, wiesz? Namieszałaś swoim wejściem w nasz interes, ale też trochę oczyściłaś atmosferę. Może to czas i okazja do małych zmian?

„Nasz interes”, zanotowała.

– Był niebezpieczny, bo dużo wiedział i był nieobliczalny, prawda? – odważyła się powiedzieć.

Gdyby za punkt wyjścia przyjąć *Kubusia Puchatka* z zawartymi w tej historii opisami ludzkich typów i postaw ukrytych w postaciach zwierzątek, to nie mogła być Prosiaczkiem, zalęknionym i zakrywającym oczka przy najmniejszym ruchu powietrza. Nie mogła też być Tygryskiem, wpychającym nos we wszystko, ani nawet przemądrzałym Zającem, który denerwował tym wszystkich w Stumilowym Lesie. Bo to on był przemądrzały, a nie Sowa. A ona musiała być właśnie Sową. Żyjącą z boku, trzeźwo patrzącą na sytuację i niechcąca niczego od nikogo. W taki sposób najlepiej mogła się im przypodobać. No i to, co przed chwilą powiedziała, było logiczne. I to w jakiś sposób wyjaśniałoby również, dlaczego po śmierci Damiana żaden z nich, ludzi z samej góry, nie pojawił się na miejscu ani nie chciał, żeby od razu przyjechała z Kurą na spotkanie do Warszawy. Śmierć Damiana była im na rękę i musieli to między sobą ustalić. I być może ufali jej już trochę. To, że ona była tu, a Kura warował pod drzwiami, też o czymś świadczyło.

– Zgadza się – przyznał po chwili człowiek za ścianką. – Trafiłaś w punkt.

– To przy okazji dziękuję za to, że moja praca została doceniona – powiedziała normalnym tonem; nie przymilnym i miękkim jak język przydupasa między pośladkami szefa.

– Za dobrze wykonaną pracę należy się dobra zapłata, tu nie ma wielkiej filozofii. I nieważne, czy to zrobienie krzesła na zamówienie, czy zabicie człowieka.

– Rozumiem... – To nie do końca była prawda. – Mogę cię o coś zapytać?

– Proszę bardzo. Ale nie możesz pytać o wszystko.

– Najwyżej nie odpowiesz.

- Właśnie. – Zadowolenie w głosie było wyraźnie słyszalne.
- Zabiłeś kiedyś człowieka?
- Owszem.

Odpowiedź był natychmiastowa i Iwona przysięgłaby teraz, że człowiek za ścianką ogląda sobie skromnie paznokcie. W tym jednym słowie była długo tłumiona chęć pochwalenia się tym, wyrzucenia z siebie, ale nie winy, tylko radości.

I w tym samym momencie go rozgryzła.

Jako dziewczyna podsłuchiwała kiedyś rozmowę swoich kolegów z trzeciej klasy liceum. Schowana z papierosem w palcach w kabinie szkolnej toalety, męskiej, słuchała, jak jeden opowiadał drugiemu o swojej łózkowej przygodzie ze śliczną anglistką, do której wzdychali wszyscy uczniowie w szkole. Opowiadał o tym w taki sposób, że miała pewność, że to prawda. I nie chodziło nawet o treść, tylko o entuzjazm i szczerłość wypowiedzi. To była tajemnica z rodzaju tych, którymi możesz bezpiecznie podzielić się wyłącznie z kimś, komu ufasz na sto procent i kto równocześnie podziela twój entuzjazm, choć też nie do końca, bo unikasz szczegółów, które są tylko twoje; zbyt intymne, by je zdradzić. Może kiedyś, kiedy wszystko się uleży, zdarzenia zblakną, staną się miłymi wspomnieniami: wtedy opowiesz szczegóły, wiedząc, że nikt ci za to nic nie zrobi. I ten drugi, który słuchał, jarał się tym tak, jakby to jego uwiodła nauczycielka. Była między nimi jakaś specyficzna więź, która tworzy się w takich sytuacjach.

A teraz ona była kimś takim dla typa siedzącego na kiblu w sąsiedniej kabinie. Była powiernikiem jego tajemnicy, niewyjawionej w całości, ze szczegółami, ale jednak. Nie mógł ufać jej do końca, lecz uważał, że podziela jego entuzjazm zabijania, i zdecydował się z nią tym podzielić. Był jak te pojeby, o których wspomniał Matt: ludzie, którzy jadą na safari zastrzelić rzadkie zwierzę, a potem wieszają na ścianie nad biurkiem swoje zdjęcie z nogą postawioną na łbie martwej ofiary. Muszą się tym pochwalić, bo to nieodłączna część przyjemności zabijania. A ten za ścianą nie mógł się tym chwalić, choć najwyraźniej też musiał.

Nie był geniuszem zbrodni planującym wszystko do najdrobniejszego szczegółu. Zorganizował cały interes, sam lub z kimś, całkiem pomysłowo, ale to nie dlatego wciąż nie zostali nakryci. Nie chodziło nawet o ostrożność, choć zwiększali nią swoje szanse. Im po prostu się udawało. Tylko to zawsze

trwa do czasu. Był zwykłym psychopata, wściekłym kundlem, którego trzeba było odłowić i uśpić.

– Czemu skorzystałaś z propozycji, którą dostałaś? – zapytał.

Teraz Iwona musiała się skupić.

– Już to tłumaczyłam twojemu prawnikowi.

– Wytłumacz teraz i mnie.

Nabrała głęboko powietrza i zatrzymała je w płucach, czując po chwili, jak natleniona krew rusza do głowy i wywołuje w niej szum.

– Praca była moim życiem – powiedziała ostrożnie. – Ta praca była moim życiem, a oni mi je zabrali, zwalając na mnie winę za coś, czemu nie byłam winna. To był układ. Ja wykrywam sprawców, oni mi za to płacą. Płacą, ile płacą, wiadomo, ale ja robię swoją robotę na sto procent. Daję całą siebie. Nie gryzie się ręki, która cię karmi i głaszcze, ale nie możesz również pozwolić, żeby ta ręka cię biła. A oni to zrobili. Służyłam im tak dobrze, jak umiałam, nie oczekiwałam głaskania, tylko zapłaty. A oni wykorzystali okazję; paru nędznych tchórzy nie miało odwagi, żeby powiedzieć: ona nie jest winna, tak się czasem zdarza, będziemy jej bronić, bo jest jedną z nas. Prościej i wygodniej było zrobić tak, żebyśmy nie była już jedną z nich. Więc niech spierdalają. Rozumiesz? Mam ich w dupie. Na nic więcej nie zasługują. W tym samym czasie zostawił mnie też mój facet. Wiesz, co robiłam, żeby przeżyć? Jakie gówniane roboty brałam, żeby mieć na rachunki? A wy mi daliście szansę. I mam moralność i dobro w tym samym miejscu, gdzie są oni, bo moralności i dobra nie włożę do garnka ani nie naładuję nimi komórki. I to nie jest moja wina, tylko ich. Proste, prawda?

Czekała na odpowiedź. Miała wrażenie, że poszło jej świetnie, jak wtedy podczas kontroli w drodze do Falent.

– Kura mówił, że jesteś bardzo ostrożna – powiedział typ za ścianką, jakby nie usłyszał jej przemowy.

– Owszem – burknęła. – To źle?

– Nie, to świetnie. Ostrożność to podstawa w tej branży. A jeśli chodzi o to, co przed chwilą powiedziałaś... Oczywiście, wszystko rozumiem. Żal, gorycz, zawód. Ale gdybyś wniknęła w to bardziej, zaczęła to analizować na nieco głębszym poziomie, to czy nie sądzisz, że po prostu uwielbiasz polować? Że tak naprawdę sprawiedliwość nie ma znaczenia i może nawet nigdy nie miała, a chodzi wyłącznie o to, że ten kop adrenaliny, który

czujesz, goniąc za skurwielem, jest jak działka hery? Myślę, że masz w sobie cechy idealnego myśliwego, wiesz?

– Nigdy nie brałam hery – odparła po chwili.

Już wiedziała, o co mu chodzi, więc dała sobie założyć obrożę i grzecznie ruszyła tam, gdzie ciągnęła ją jego smycz.

– To nie ma znaczenia, wiesz, o czym mówię.

– Jezu – powiedziała, słysząc sama, ile w tym zaskoczenia: w końcu dała z siebie wszystko. – Masz rację. To dlatego wpadłam w taką frustrację.

– To jak odstawienie, prawda? Brakowało ci tego.

– Tej adrenaliny, tak. A teraz... Może nie powinnam tego mówić, ale jestem w swoim żywiole, od kiedy tyle się dzieje.

Jego cichy śmiech był dla jej uszu jak najmiłsza muzyka. Kupił to. Typ to kupił.

– Zapewnię ci tę adrenalinę, jeśli chcesz – powiedział z zadowoleniem. – Bo jesteśmy trochę podobni i łączy nas coś wyjątkowego, wiesz? Tak naprawdę niewielu ludzi stać, żeby odebrać życie innemu człowiekowi i żyć z tym bez problemu. Cieszyć się tym. Od tysięcy lat uczą nas, że zabijanie jest złe. Że nawet zwierzęta nie zabijają innych zwierząt bez potrzeby, a jedynie z głodu lub w walce o samicę czy w obronie własnej. Bzdura. Zabijają czasem dla zabawy. Kiedy dorosłe uczą młode zabijać, one mają z tego zabawę. A człowiek jest zwierzęciem, czy tego chce, czy nie. Tylko że niemal wszyscy dali sobie wmówić, że to nieprawda. Na każdym szczeblu świata przyrody słabsi giną z rąk silniejszych, takie są prawa natury, a my jesteśmy jej elementem... – Zawiesił głos, więc Iwona stwierdziła, że oczekuje, aż się do tego odniesie.

– Coś w tym jest... – Nie miała pojęcia, co teraz odpowiedzieć, w końcu była w lekkim szoku; tak on miał to widzieć. Pomijając fakt, że facetowi najwyraźniej odjechał peron. – Tylko że ja też byłam wychowywana w takim przeświadczeniu.

– Jak każdy. Ale niektórzy z nas są silniejsi i potrafią się wyzwolić. Myślę, że jeszcze się spotkamy. Być może nawet niedługo. Bardzo mi się podobasz i jeśli tylko będziesz chciała, możesz awansować. I co za tym idzie, zarabiać więcej, to oczywiste.

– Co na to inni? – Starła się brzmieć naturalnie i tak, jakby jej zależało tylko odrobinę.

– Skąd wiesz, że są jacyś inni? – Jego głos odrobinę stwardniał.

Struchlała. Poniewczasie zdała sobie sprawę, że to nie było zbyt mądre. Zaczęła się gorączkowo zastanawiać, co odpowiedzieć, kiedy dostała małą, ale cenną podpowiedź.

– Czy to Kura tak gdacze? – zapytał.

– Kura nie wie nic, to widać na pierwszy rzut oka – prychnęła i ściszyła głos. – Gówniarz, i tyle, myśli, że jak wozi laski czarnym merolem i pozbywa się trupów, to jest gość. – Swoje podejrzenia co do tego, że Kura nie ma czystych rąk, zostawiła dla siebie. – Damiano musiał być jednym z was, bo gdyby był zuczkiem, to nie byłoby problemu ze sprzątnięciem go, a wygląda na to, że trochę się tym jednak przejęliście. W dodatku zapewne był dość przydatny, ale przecież nie ma ludzi niezastąpionych. No i powiedziałaś przed chwilą „nasz interes”. Ale mnie nie interesuje, ilu was jest ani kim jesteście, ja po prostu wiem, że jedna osoba tego nie ogarnie. Z doświadczenia. Byłam w kryminalnym, tak?

– I o to chodzi. – Mężczyzna za ścianą roześmiał się i słyszała, że było to raczej niekontrolowane: śmiech brzmiał jak chichot dzieciaka, któremu udał się głupi dowcip.

Był chyba najzwyczajniej w świecie zadowolony, że wszystko idzie zgodnie z planem i po jego myśli.

– Więc jak będzie z pozostałymi? – zapytała nieco śmielej.

– Rozumiem, że to oznacza, że chcesz iść dalej?

– Tak – odparła zdecydowanie. – I myślę, że to wiesz. Więc jeśli nikt nie ma nic przeciwko, to...

– A jeśli to moje zdanie liczy się najbardziej? Nie pytałbym cię o to, gdybym nie mógł, prawda?

Pokiwała głową, mimo że nie mógł tego widzieć. A może jednak widział? Może gdzieś tu była mała kamera, a on oglądał ją właśnie na ekranie smartfona? Iwona zdała sobie sprawę, że popada w lekką paranoję.

– To tym bardziej. – W jej głosie było jeszcze więcej zdecydowania. – Czyli jesteście umówieni?

– Tak. Zostajesz w Warszawie, Kura wraca do domu. Czekasz na sygnał.

– Gdzie będę mieszkać?

– W centrum. – Nagle rozległ się jakiś szelest i spod ścianki wyjechały klucze.

Sunęły po podłodze po mokrym gresie, zapakowane w foliowy woreczek ze strunowym zapięciem. Kiedy zatrzymały się niedaleko jej stóp, pochyliła się i podniosła z podłogi, paznokciami otworzyła folię i wyjęła je ze środka. Woreczek rzuciła gdzieś obok. Znow była świadkiem ich ostrożności tylko pozornie posuniętej do granic absurdu. Zero odcisków palców. Człowiek z samej góry naprawdę niewiele rzeczy pozostawiał przypadkowi.

– Adres jest na zawieszce. Zainstaluj się tam. Resztę instrukcji znajdziesz na miejscu. Na razie. I witaj w Klubie Pięćset Dwadzieścia Sześć.

Zesztywniała lekko.

Nawet Kura nie znał tej nazwy.

– Na razie. – Te dwa słowa były jak delikatne popchnięcie w stronę wyjścia, więc poddała się im, i to z niewysłowioną ulgą.

Niewiele mogła powiedzieć o człowieku, którego życzeniem było spotkać się z nią w męskiej toalecie warszawskiego klubu. Nie miała pojęcia, jak wygląda, kim jest i co zrobi w najbliższej przyszłości. Na pewno miał o sobie wysokie mniemanie. Bardzo wysokie, i to ją cieszyło, bo tacy wpadają nawet pomimo podjęcia wielu środków ostrożności. Czują się pewnie i bezpiecznie ze świadomością, że są tacy sprytni, a równocześnie ostrożni. Kreował się na geniusza zbrodni, a był zwykłym zwyrolem.

Iwona nie sądziła, żeby toczący pseudointelektualne dysputy o śmierci i zabijaniu pojeb zlecał jej w przyszłości likwidację dziewczyn, czy jak to powiedział Matt: obiektów. Tę przyjemność rezerwował dla klientów i zapewne dla siebie. Kobietom nie zleca się takich rzeczy i on to wiedział, bo nie był idiotą. Psychopatą tak, ale nie idiotą.

Po tej rozmowie wiedziała tylko jedno.

On po prostu lubił zabijać.

I być może z jakichś powodów chciał, żeby ona była taka jak on.

Kiedy wyszła z toalety, Kura przejął ją i natychmiast odprowadził do wyjścia z klubu. Gdy znaleźli się już na ulicy, gdzie mogła zaczerpnąć świeżego powietrza, stanął, złapał ją za ramię i spojrzał w twarz.

– O co cię pytał? – rzucił głosem pełnym napięcia.

– O wrażenia. – Iwona była zmęczona.

Był jeden drobny plusik, wynikający z rozmowy z człowiekiem z samej góry. Choć stuprocentowej pewności nie mogła mieć, wyglądało na to, że Kura nie miał nic wspólnego z zabijaniem dziewczyn, bo robił to ten,

z którym rozmawiała przed chwilą, i być może Damiano. Czy był ktoś jeszcze?

– Poważnie pytam, mamuśka.

– A ja ci poważnie odpowiadam. To było pieprzenie o niczym. O zabijaniu, o polowaniach i o Damianie. Nie chcę o tym mówić, jasne? Musiałam mu szczegółowo opowiedzieć o tym, co się stało w Falentach. Widziałeś zdjęcia i zdajesz sobie sprawę, ile mnie to kosztowało, prawda?

Pokiwał głową.

– Masz zostać w Warszawie, a ja mam wracać – powiedział po chwili. – Wygląda na to, że musiałem przyjechać z tobą tylko dlatego, żeby warować przy drzwiach kibla.

– Przykro mi. – Westchnęła.

– Ciekawe dlaczego?

– Nie powiedzieli ci? – zdziwiła się.

– Nie, a tobie?

Pokręciła głową.

– To znaczy mam sprawdzić w Szczecinie jakąś dziewczynę, tyle wiem – dodał Kura. – Ale co z tobą?

Iwona wzruszyła ramionami. Nie chciało jej się nawet odpowiadać.

– Ale nie ściemniałabyś mi, mamuśka?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Kura, jesteś zazdrosny?

– Nie, ostrożny. I lojalny. Ale jak ktoś mnie zawiedzie, to...

– Pływamy razem w tym szambie, zresztą na własne życzenie. Robimy to, co nam każą, i tyle. Okej, powiem ci coś, chociaż typ mi zabronił, ale też jestem lojalna wobec ciebie. – Postanowiła, że da Kurze coś na osłodę. – Pytał o ciebie.

– I co? – Jego usta ściągnęły się, odsłaniając na chwilę wielkie zęby i dziąsła, ale chyba nie był świadomy tego grymasu.

– Powiedziałam, że świetnie nam się razem pracuje, że doskonale się uzupełniamy i że gdyby planowali nas rozdzielić czy coś takiego, to bardzo proszę, żeby tego nie robili. Zadowolony?

Pokiwał głową. Rysy jego twarzy nagle złagodniały.

– Dzięki – powiedział krótko.



– Zawieszysz mnie na miejsce? Na... – Zerknęła na zawieszkę przy kluczach. – Bagno. Swoją drogą bardzo adekwatna nazwa. Podobno gdzieś w centrum, wiesz gdzie?

– Zawiozę. – Pokiwał głową. – Nastawię nawigację i zawiozę, a zaraz potem wracam do Szczecina.

## CHŁOPAK

Kawalerka w centrum okazała się kłitką w bloku z wielkiej płyty, choć faktycznie ten znajdował się w ścisłym centrum. Na ulicy Bagno stało kilka takich samych boczysk i wyglądało na to, że praktycznie niemal wszystkie mieszkania były wynajmowane. To, w którym miała się zainstalować, było na ósmym piętrze. Iwona weszła do środka, zamknęła za sobą drzwi i rzuciła torbę obok łóżka.

Kura wysadził ją w milczeniu przed wejściem chwilę wcześniej. Pożegnał się zdawkowo, jakby naprawdę czuł zazdrość, i pewnie tak było, ale tym razem Iwona nie potrafiła określić, czy to szczeniackie zachowanie. Trochę Kurę rozumiała.

Ściany były białe i gołe, nie wisiało na nich nic nadającego mieszkaniu jakiś charakter. Żadnych obrazów, fototapet, zdjęć, czegokolwiek, co mogłoby chociaż udawać, że ktoś postarał się stworzyć przytulne wnętrze. Prosta lampa dawała białe, ostre światło, meble z Ikei stapiały się ze ścianami i gdyby nie cień, zlałyby się z nimi w jedno. Wszystko wyglądało jak wycięte z papieru i poskładane, niczym przeskalowana makieta.

Na samym środku zaścielonego białą pościelą łóżka zamiast powitalnej czekoladki leżała wypchana koperta. Iwona otworzyła ją i ze środka na pościel wypadły kluczyki samochodowe oraz złożona na cztery kartka. Gdy ją rozłożyła, zobaczyła wiadomość:

*Odbiór zamówienia o 23.00 przy Krasińskiego obok placu Wilsona. Transport okien do Falent. Bezwzględnie masz być przy montażu, w razie odmowy będą konsekwencje służbowe.*

Iwona poczuła, jak wysycha jej w gardle. Wiedziała już, co to oznacza. Kolejny test lojalności, może kolejny stopień wtajemniczenia, oznaka zaufania, a może chora zabawa człowieka, z którym przed chwilą rozmawiała. Jak z tym sikaniem w kabinie obok. Najprawdopodobniej

wszystko naraz. I kolejna myśl: czy Kura przeszedł tę samą drogę. A jeśli tak, to pomimo tego dalej w tym tkwił.

Wpatrywała się w kartkę niewidzącym wzrokiem i zastanawiała, czy da radę. Bez wątpienia Golum, zwierzę w ludzkiej skórze, które pozbywało się zwłok na polecenie swoich bossów, zda im relację z jej zachowania. Zacisnęła pięści i zaczęła uderzać nimi w kołdrę. Nic nie pomogło, więc wstała, podeszła do okna i z wysokości ósmego piętra obrzuciła spojrzeniem miasto. Widok wieżowca Złota 44 i Pałacu Kultury widocznych między blokami był jak z innego świata. Zatęskniła nagle za Stasinką i pomyślała, że teraz byłaby chyba nawet w stanie wejść do środka, byleby ktoś zabrał ją stąd. Przez chwilę poczuła przemożną chęć, żeby wyjść z tego bezosobowego mieszkania i wyjechać. Dokądkolwiek. Może za Roksi do Anglii. Może na inny kontynent. A może tam, skąd już się nie wraca.

Zamiast tego poszła pod prysznic i stała pod ciurkającą z niego niezbyt gorącą wodą tak długo, aż pomarszczyła jej się skóra. Siedząc na łóżku i susząc głowę, sprawdziła trasę na plac Wilsona. Nawigacja wskazywała, że z Bagna to jakieś cztery kilometry, a dotarcie tam pieszo zajmuje niecałą godzinę, więc uznała, że pójdzie tam właśnie piechotą. O dwudziestej drugiej włożyła buty i kurtkę i opuściła nieprzytulne lokum, a potem szła przez nocną Warszawę, mijając i będąc mijaną przez młodych ludzi na hulajnogach, rowerowych kurierów z prostokątnymi garbami wypchanymi jedzeniem na zamówienie, roześmiane grupki i samotników w marynarkach, bezdomnych i zapóźnionych przechodniów z psami, a nawet kotami na smyczach. Droga zajęła jej nieco ponad godzinę. Szła nawet wolniej niż przeciętna określona przez aplikację, jakby znów odwlekała to, co nieuchronne. Z placu Wilsona skręciła w Krasińskiego, a potem przeszła przez ulicę, widząc rząd samochodów zaparkowanych po drugiej stronie. Już z daleka wypatrzyła znajomą furgonetkę i logo firmy „Fenster” na burcie paki. Wszystko się zgadzało: zerknęła na zegarek, było osiem po jedenastej, ale Iwona nie sądziła, by mogła mieć jakieś problemy z tytułu niewielkiego spóźnienia. Wsiadła do auta, ustawiła fotel i lusterka oraz nawigację w telefonie, uruchomiła silnik i wyjechała z miejsca postojowego. Kilkaset metrów dalej wjechała na trasę S8, potem skręciła na S2, z której zjechała w Raszynie. Do miejsca przeznaczenia zostały jej

dosłownie trzy kilometry, ale zjechała z alei Krakowskiej w którąś z bocznych uliczek i wyłączyła silnik.

Musiała wiedzieć.

Wyciągnęła kluczyki ze stacyjki, wysiadła z samochodu i odetchnęła rześkim, nocnym powietrzem. Otworzyła drzwi, wskoczyła na pakę i zamknęła je za sobą, a wewnątrz pograżyło się w ciemności. Wyjęła komórkę, włączyła latarkę i poświeciła w kąt, gdzie znajdowała się kłapa do schowka. Przeszła tam, a mijając okno, zobaczyła w szybie swoje niewyraźne odbicie, zwielokrotnione zespolonymi warstwami szkła. Uciekła spojrzeniem. Uklęknęła w rogu w tym samym miejscu, które pokazał jej kiedyś Kura, odsunęła klapkę i włożyła kluczyk do korka wlewu paliwa w dziurkę. Jeszcze przez chwilę wahała się, puls przyspieszył, kiedy hormony kazały sercu pompować więcej krwi. A potem przekręciła kluczyk, odsunęła się kawałek i pociągnęła go, otwierając jedno skrzydło klapy.

W środku było ciało.

Chłopak był nagi. Na oko nie miał jeszcze dwudziestu lat. Tlenione końcówki krótkich włosów sterczały do góry, rozchylone usta ukazywały błyszczące w świetle latarki zamki aparatu ortodontycznego. Miał sporo tatuaży: na szyi, obojczykach i piersiach, w brodawkach sutkowych tkwiły kolczyki, a jego podbrzusze, członek i szyja były sine. Na woskowożółtej skórze niemal całego ciała miał ślady licznych ugryzień: fioletowe łuki odcisniętych zębów też przypominały przypadkowo rozsiane tatuaże. Ale to szkliste spojrzenie oczu wyzierających spod półprzymkniętych powiek było tym, co przepełniło czarę. I te piękne długie rzęsy. Iwona poczuła, jak miękną jej nogi. Odłożyła telefon na bok i usiadła, opierając się o stelaż z oknami, a potem przycisnęła ręce do twarzy, bo nic innego nie mogła zrobić. Powstrzymując szloch, wcisnęła prawą dłoń zwiniętą w pięść między zęby i wyła bezgłośnie, czując, jak łzy spływają policzkach, ale to nie przyniosło ukojenia. Kiedy przestały ciec, znów wzięła do ręki telefon i oświetliła twarz chłopaka. Nie mogła zrobić zdjęcia. Musiała liczyć się z tym, że faktycznie zdalnie zainstalowali jej w telefonie szpiegowskie oprogramowanie. Musiała trzymać się wytycznych Matta, nie szarżować, zapamiętywać jak najwięcej, ewentualnie zbierać ślady jak w przypadku odcisków palców Damiana – tu ryzyka praktycznie nie było. Ale to akurat było jak ziarno, które trafiło się ślepej kurze, i liczenie na to, że trafi się

znów, nie miało sensu. Tak samo teraz: mogła tylko wyryć sobie w pamięci twarz chłopaka, a potem, po wszystkim, przejrzeć kartoteki młodych mężczyzn zarejestrowanych jako zaginieni w tej samej bazie, w której był Krzysztof.

Tyle mogła zrobić dla ofiary bestii. I nie miała dużo czasu, bo jeśli w samochodzie był nadajnik GPS i ktoś obserwował ruch samochodu, zbyt długa przerwa mogła wzbudzić podejrzenia. Z kilku minut mogła się wyłgać rozwolnieniem czy niedyspozycją żołądkową, z kilkunastu byłoby już trudno. Zamknęła klapę i przekręciła kluczyk. Potem wstała i wyszła na zewnątrz, starannie zamknęła drzwi budy i wsiadła do kabiny. Starając się nie myśleć o tym, co zobaczyła przed chwilą, ani o tym, gdzie i po co jedzie, uruchomiła silnik, nawróciła na wąskiej ulicy i ruszyła w kierunku fermy.

## GOLUM

Brama otworzyła się tuż po tym, jak pod nią podjechała. Być może ktoś, kto ją obsługiwał, miał podgląd na kamerze i przykaz, żeby wpuszczać to auto bez pytania, a może to gdzieś w aucie był nadajnik pilota, który ją otwierał. Podobnie było z mercedesem, którym jeździli z Kurą.

Iwona zaparkowała pod budynkiem spalarni. Tym razem nie było Kury, który mówił jej, co ma robić, gdzie i ile poczekać, albo że musi do kogoś zadzwonić. Teraz to ona miała wszystko załatwić. Patrzyła na ścianę budynku oświetloną reflektorami samochodu i myślała, co dalej, kiedy nagle osadzona w niej po prawej stronie segmentowa brama zaczęła się unosić jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W szczelinie pojawiły się czyjeś nogi, potem, w miarę jak brama się unosiła, pojawiały się kolejne szczegóły, aż ów ktoś ukazał jej się w całej okazałości. Okazałość nie była dobrym słowem, bo był to ten sam człowiek, którego Iwona widziała w biurze, będąc pierwszy raz na fermie, i który na polecenie Damiana prznosił z Kurą ciało Horaua z mercedesa do furgonetki, w której teraz siedziała. Niski, krępy facecik o bezmyślnej twarzy jedną ręką zasłonił oczy przed blaskiem świateł, drugą machnął, odsuwając się na bok, co zapewne oznaczało, że Iwona ma wjechać do środka.

Znów zaschło jej w gardle.

Wrzuciła bieg i powoli ruszyła, skręcając lekko kierownicę. Czeluść, do której wjechała, pochłonęła ją po chwili, a odgłos pracy zamykającego bramę mechanizmu brzmiał wyjątkowo złowieszczo. Wnętrze wyglądało jak garaż. Ściany i posadzka wyłożone były białym gresem, a w ścianie przed nią znajdował się duży otwór zasłonięty zwisającymi pasami jakiegoś półprzezroczystego tworzywa, pomiędzy których wystawał koniec przenośnika taśmowego. Białe, nieznośne światło świetlówek zalewało wszystko, rzucając ostre cienie.

Iwona wyłączyła silnik, ale jeszcze przez dłuższą chwilę miała wrażenie, że on wciąż chodzi. Dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, że to

dudnienie krwi w uszach, której ciśnienie niemal rozsadzało tętnice i żyły w jej głowie i szyi. W brzuchu czuła nieprzyjemny ucisk, a w ustach smak żelaza.

Wysiadła z samochodu i poczuła chłód. Trzask zamykanych drzwi zabrzmiał jak wystrzał, aż nieświadomie się skuliła.

Golum stał na rampie koło przenośnika i patrzył na nią z góry. Na sobie miał gumowany fartuch chroniący go zarówno przed pobrudzeniem się odpadami, jak i zranieniem ostrym narzędziem. Przeszłował z nogi na nogę, a jego ciało ruszało się, jakby nie potrafił ustać nieruchomo w miejscu. Był wyraźnie podekscytowany. Teraz Iwona mogła się przyjrzeć dokładniej jego twarzy.

Miał nieładną cerę i rzadki, nieregularny zarost pokrywający puciołowate policzki i dwa podbródki. Skóra świeciła między kępkami włosów, pomiędzy wydatnych warg wystawał czubek języka, dolna była lekko wywinięta, nadając Golumowi zblazowany wygląd. Małe oczka otoczone fałdami skóry błyszcząły niezdrowym podnieceniem, przypominając Iwonie oczy innego człowieka – Damiana. Było w nich ta sama dzikość. Skośtunione włosy sterczały na czubku głowy we wszystkie strony, boki miał wygolone niemal do gołej skóry, co sprawiało, że duże uszy wyglądały na jeszcze bardziej odstające. Był odpychający. Iwona widziała, że nie jest w pełni sprawny umysłowo, choć skoro zajmował się tym, o czym mówił Kura, to widać potrafił ogarnąć działanie zapewne dość skomplikowanego urządzenia, jakim był piec do spopielenia odpadów pochodzenia zwierzęcego.

– Otworzy mi pani? – zapytał nieco bełkotliwie.

Bez słowa poszła na tył samochodu, otworzyła drzwi, a potem klapę w podłodze i nie patrząc na ciało, wyszła na zewnątrz.

– Już – burknęła.

Ze ściśniętym sercem czekała, aż poprosi ją o pomoc, i pomyślała, że wtedy po prostu wyjedzie na zewnątrz, zawróci i wjedzie jeszcze raz, tyłem, żeby nie musieć nieść chłopaka razem z nim. Tymczasem Golum zeskoczył niezdarnie z rampy i szybkim, kolebiącym się krokiem poszedł do tyłu. Kiedy ją mijał, poczuła zapach potu i spalonego białka. Gdy zniknął w środku samochodu, zaczęła głęboko oddychać, modląc się, żeby nie wymiotować. Po chwili zza cienkiej, blaszanej ścianki burty dobiegły ją

odgłosy, jakby ktoś w środku się z kimś szamotał. Iwona zamknęła oczy, oparła się o budę samochodu i straciła rachubę czasu. Ocknęła się, kiedy metal za jej plecami poruszył się lekko, a zza samochodu wyłonił się Golum. Ciało chłopaka miał przewieszane przez ramiona i ten widok uświadomił jej, jaki ten niepozorny człowieczek jest silny. Przyłgnęła do burty nie tylko po to, żeby zrobić mu miejsce, ale również, a może przede wszystkim dlatego, żeby nie dotknął jej niesionym ciałem. Tego by chyba nie zniosła. Golum przeszedł obok niej, sapiąc z wysiłku. Coś nie pozwalało Iwonie zamknąć teraz oczu ani odwrócić wzroku, mimo że tak bardzo pragnęła to zrobić.

Chłopak był chudy jak szczapa, nie widziała tego, kiedy leżał w skrytce. Stężenie pośmiertne wciąż trzymało jego ramiona blisko tułowia: nie zwisały nawet mimo pozycji, w której Golum niósł jego ciało. Głowa kiwała się nieznacznie w rytm kroków, bose stopy ocierały się o ścianę, na plecach i pośladkach Iwona zobaczyła plamy opadowe. Były różowawe, co mogło świadczyć o tym, że przed transportem zwłoki trzymano w niskiej temperaturze. Kolejny przejaw ostrożności. I być może następna wskazówka: w jakim miejscu może znajdować się duża chłodnia? Restauracja? Salon pogrzebowy? Możliwości nie było tak wiele, za to rozstrzał spory.

Kiedy zobaczyła, jak Golum znika z martwym chłopakiem za zasłoną, wiedziała, że musi pójść za nim, choć każdy nerw jej ciała krzyczał „nie!”. Nie miała innego wyjścia, niż zmusić się, żeby mięśnie zareagowały na polecenia mózgu, a ona mogła ruszyć się z miejsca.

Poszła za Golumem na miękkich nogach.

Kiedy odsunęła paski plastiku, zobaczyła za nimi niewielką halę o stalowej konstrukcji. Pod jedną ze ścian stało spore urządzenie przypominające skrzyżowanie parowozu z prasą hydrauliczną. Cicho huczało, od tej strony dochodziło Iwonę wyraźnie cieplejsze powietrze. Golum zauważył, na co patrzy.

– Dwieście czterdzieści kilo wsadu, spalanie pięćdziesiąt kilo na godzinę.  
– Pokiwał głową. – Padłe kury, uboczne produkty poubojowe...

Iwona nie miała pewności, czy dokładnie rozumie sens fachowych terminów, których użył. Najgorsze było to, że informował ją o tym tonem handlarza omawiającego parametry samochodu, który ogląda klient. Jakby



go zachwalał, niby zwyczajnie, jak przedmiot, ale gdzieś tam pobrzmiwała nuta przekonania, że nie takie fury sprzedawał. Oraz duma. Poczucie ważności. Jedynym, w czym mógł się spełnić, była robota, jaką mu zlecono. Nikt inny nie chciał babrać się w szczątkach padłych zwierząt i ta swoista wyjątkowość sprawiała, że czuł się lepiej.

Stał przy czymś w rodzaju stanowiska roboczego. Część była wyłożona nierdzewną stalą, część zajmował wielki, drewniany blat, który nie pasował do reszty. Miodowy odcień drewna był dla oka przyjemną odmianą pośród zimnych barw metalowych elementów. A na nim, plecami do Iwony, leżał na boku chłopak. Łopatki wystawały z pleców jak skrzydła, czerwona skóra napięta była na kościach, jakby te miały ją zaraz przebić. Golum sięgnął nagle po coś leżącego obok ciała. Iwona zobaczyła, jak krótkimi, przypominającymi paróweczki dla dzieci palcami ujmuje trzonek topora rzeźnickiego, podnosi go, przyglądając się ostrzu, i w tym samym momencie poczuła, że nie da rady.

Nie była w stanie znieść niczego więcej. Po prostu nie.

– To tylko mięso, co nie? – Golum oblizał usta końcówką języka, a Iwone znów zebrało się na wymioty.

Zamknęła oczy.

Umysłowa ułomność Goluma nie dopuszczała żadnych emocji, tabu śmierci nie obchodziło go, był ponad wszystko to, co każe normalnym ludziom pochylić się nad jej istotą. A potem Iwona coś sobie uświadomiła. Kura powiedział niedawno to samo, niemal tymi samymi słowami, a więc tu był: tu, w spalarni, i usłyszał to od Goluma. A skoro był, to z oczywistych powodów, więc wiedział, jak kończą obiekty wyuzdanych, seksualnych zabaw w klubie. A może w drugą stronę: to Golum został przez Kurę przekonany, że tak jest? Która opcja była gorsza, a która bardziej tłumaczyła Kurę, i czy w ogóle cokolwiek mogło go tłumaczyć? I po co? Co ją to obchodziło? Miała jeden cel: zniszczyć gniazdo żmij, nic więcej.

– Oni już nie żyją. – Golum wzruszył ramionami, kontynuując wywód. – Może są w niebie, może w piekle, a może nigdzie. Ale to tylko mięso i kości. Ja umiem je palić, tylko trzeba odpowiednio przygotować. W tym piecu można spalić prawie wszystko: świnie, krowy, ludzi też.

– Nie chcę tego słuchać, dobra? Po prostu nie chcę.

Golum spojrział na nią nieco przytomniej. Ręka wciąż trzymająca topór w górze lekko drgnęła.

– Ten, co go pani zabiła, był dla mnie niedobry. Bardzo niedobry – powiedział nagle, opuszczając narzędzie.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparła drewnianym głosem, nie patrząc w jego stronę.

– Widziałem to.

– Gdzie? – Teraz spojrzała. – Jak?

Ostrze topora zwisało tuż nad posadzką. Twarz Goluma była obojętna, tylko jego oczy świdrowały ją tym szalonym spojrzeniem.

– Przez dziurkę od klucza – powiedział cicho i dodał: – Może pani wyjść, ja nikomu nie powiem. Nie musi pani patrzeć.

– Komu mógłbyś powiedzieć? – prychnęła.

– Nikomu. – Pokiwał głową ze spuszczonego wzrokiem.

– On już przecież nie żyje, prawda? Ten, komu mógłbyś powiedzieć.

– Prawda. Ale są inni. – Wysunął do przodu podbródek, na wardze Goluma Iwona zauważyła drobinki śliny.

– Znasz ich? Widziałeś ich kiedyś? – zapytała, ignorując ten widok.

Cholernie teraz ryzykowała, była tego świadoma.

Golum popatrzył na nią wzrokiem bez wyrazu.

Iwona nie wiedziała, jaka mogłaby być odpowiedź. Tak czy nie. A jeśli „tak”, to w jaki sposób skurwiel z klubu związał niepełnosprawnego umysłowo człowieka tajemnicą: groźbą czy pieniędzmi, strachem czy chciwością?

– Nie wiem, czy oni będą dla mnie dobrzy, kiedy tu przyjdą. Mam nadzieję. Nie umiem robić nic innego. Tylko to i trzymać język za zębami. Niech pani sobie już jedzie, ja muszę się wziąć do roboty. – Palce zaciśnięte na stylisku zaczęły się nagle ruszać, jakby je rozgrzewał.

Nie czekała. Ruszyła w stronę przejścia do garażu, minęła je, rozchyliwszy plastikowe pasy, i zeskoczyła z rampy. Ściagały ją odgłosy mokrych uderzeń. Dopadła przycisku otwierania bramy, wcisnęła go, a potem wskoczyła do szoferki i zatrzasnęła drzwi, które odcięły ją od obrzydliwych dźwięków. Twarz wytatuowanego chłopaka i widok jego ciała wyryły w jej pamięci niezacieralny obraz.

Przekręciła kluczyk i od razu wrzuciła wsteczny bieg. Wyjechała, prawie zawadziwszy lusterkiem o krawędź bramy, zahamowała na żwirze i wrzuciła luz, żeby się trochę uspokoić. Brama przed nią zaczęła się zamykać, odcinając jej widok wnętrza garażu i hali, ale i tak wszystko, co było w środku, miało z nią zostać na zawsze. Wrzuciła jedynkę, dodała gazu i skręciła w stronę głównej drogi prowadzącej do bramy wyjazdowej. Mijała hale, wózki akumulatorowe i widłowe, silosy na paszę, zbiorniki wody do instalacji tryskaczowych i nielicznych ludzi w białych kombinezonach i kaskach pracujących na nocnej zmianie.

Nie mogła uwierzyć. Na fermie wszystko toczyło się normalnym trybem i nikt z tych ludzi nie miał pojęcia, co naprawdę dzieje się w stojącym na uboczu budynku spalarni, w którym rządził Golum. Iwona poczuła, jak wilgotnieją jej oczy.

Przez ostatnie tygodnie jej życie było drogą przez koszmar, podczas której spotykała ludzkie śmieci, specyficzny korowód kreatur depreczających ten świat i kalających go samą swoją obecnością. Brodziła w tym gnoju po szyję, wystawiając twarz po choćby maleńki haust powietrza, mając wrażenie, że przy kolejnym kroku pod stopą nie poczuje już dna, tylko obsunie się całkiem w tę nicość i umrze. Nawet jeśli jej ciało wciąż będzie żyć, to jej dusza już nie. W środku będzie martwa.

Już nigdy nie wydobędzie się na powierzchnię, nie spojrzy w słońce, nie spotka nikogo dobrego, a nawet jeśli, to nie uwierzy, że ten ktoś może być dobry.

Droga do Warszawy minęła bez żadnych zdarzeń i szybko. Zaparkowała samochód niemal w tym samym miejscu, z którego go zabrała, ale nie wracała na Bagno piechotą. Nie miała sił. Złapała taksówkę, w której niemal zasnęła. Kiedy weszła do kawalerki, na łóżku znalazła kolejną kartkę, tym razem bez koperty. Wzięła ją do ręki, skupiła zmęczony wzrok i z trudem odczytała jej treść.

*Dobra robota. Fajrant, możesz jechać do domu. Klucz wrzucić do skrzynki.  
Do zobaczenia wkrótce.*

Wróciła najbliższym pociągiem, nawet nie jedząc śniadania. Nie chciała zostawać w tym mieście ani chwili dłużej.

## MATT

– Dzień dobry, byłbym chętny na to auto. Aktualne?

Iwona odruchowo zerknęła na numer. Nie spodziewała się tego telefonu, ale ucieszyła się z niego, choć jeszcze nie miała pewności, czy to klient.

– Niestety, nie – odpowiedziała ostrożnie.

– Sprzedane? Cena trochę z dupy, więc chciałem ponegocjować. No, i daleko mam z Białegostoku.

Serce zabiło jej szybciej. A więc jednak.

– Nie, nie zostało sprzedane. – Westchnęła. – Rozmyślałam się po prostu.

– To chyba trzeba zdjąć ogłoszenie z portalu, no nie?

– Na pewno. Dzięki.

Rozłączyła się i spojrzała na wyświetlacz. Było wpół do ósmej wieczorem. Miała półtorej godziny, ale nie potrafiła usiedzieć na miejscu, więc zebrała się i pojechała do matki czerwonym volkswagenem beetle, który kupiła kilka dni temu za pośrednictwem Zbyszka z warsztatu.

Matka miała wyjątkowo cichy dzień, tylko się z nią przywitała i wróciła przed telewizor, więc Iwona, nawet jej nie pytając, wzięła komórkę i jak zwykle zamknęła się w łazience. Czekając na telefon od Matta, przeglądała wiadomości. Ukraińcy nieźle sobie radzili z ruskimi orkami i to poprawiło jej trochę humor. Potem zajrzała na jakiś plotkarski portal, ale twarze ani nazwiska pokazywanych tam celebrytów nic jej nie mówiły. Aż wreszcie zadzwonił Matt.

Odebrała szybko i przyłożyła telefon do ucha.

– Dobrze, że dzwonisz, sama chciałam to zrobić – wydyszała. – Miałam zaraz obniżyć cenę.

– Jesteśmy tuż-tuż, Iwona.

Zatkało ją, a potem ogarnęła ją przemożna chęć, żeby zacząć skakać z radości po kanapie, jak mała dziewczynka. Tylko że na kanapie siedziała matka, a ona była w łazience.

– Skąd wiesz? – zapytała, nieświadomie zaciskając palce drugiej dłoni w pięść.

– Bo mamy trop.

– Mów. – Poczwała, że brakuje jej tchu.

– Po kolei. Damiano to Gracjan Kowalik. Karany w przeszłości za posiadanie nielegalnych substancji, jednorazowa sprawa, wyrok uległ zatarciu. Nie był nigdzie zatrudniony. Leszcz bez znanych nam powiązań z jakimiś grupami przestępczymi.

– Czyli nic? – Westchnęła zrezygnowana, choć nie do końca, bo czwała, że Matt ma w zanadrzu jakąś petardę i zaraz ją odpali.

– Spokojnie, bo teraz najlepsze. Twój prawnik nazywa się Kazimierz Golczewski.

– Jezu, ten Chyła od kurników...

– Dokładnie. – Roześmiał się. – Gość, który cię zwerbował, to jego stary. Naprawdę jest prawnikiem z wykształcenia, był prokuratorem, w stanie wojennym orzekał w procesach politycznych tych znaczniejszych działaczy podziemia i być może dlatego synek przyjął nazwisko żony. Po przełomie w osiemdziesiątym dziewiątym odszedł z prokuratury, został adwokatem i zaczął bronić, zamiast oskarżać. Nie miał skrupułów, zarówno przed zmianą specjalności, jak i później. Bronił głównie członków gangów zagrożonych wysokimi wyrokami: sprawy zabójstw, wymuszeń rozbójniczych, ten kaliber. Lata dziewięćdziesiąte to były żniwa dla takich jak on. Na początku tego wieku został oskarżony i skazany za pomocnictwo w szwindlu z karuzelą watowską na dużą kasę. Odsiedział sześć lat, oczywiście został usunięty z palestry, zajął się nieoficjalnym doradztwem, cokolwiek to oznacza. Jest nieformalnym współnikiem jednej z warszawskich kancelarii prawnych, ale jak już wspomniałem, nie ma prawa wykonywać jakichkolwiek czynności jako adwokat, więc pewnie siedzi sobie w swoich gabineczku gdzieś z tyłu budynku i doradza mniej doświadczonym kolegom. Pieprzony prawnik z lincolna.

– Z mercedesa – mruknęła Iwona.

– Może być. Posiadacz kilku nieruchomości na terenie Warszawy, Mazur i Kościeliska, to w górach. Przynajmniej formalnie jest ich właścicielem. I tyle.

Kiedy Matt wymienił nazwę Kościeliska, przed oczami stanęły jej wspomnienia Tatr. I Krzysiek. Szybko odsunęła od siebie te myśli. Wszystkie, które dotyczyły Krzyśka. Ale tylko na chwilę, bo zamierzała do tego wrócić, i to jeszcze podczas tej rozmowy.

– Też mam dobrą wiadomość – powiedziała.

– No?

– Rozmawiałam z kimś z samej góry.

– Jezu, żartujesz? Z kim?

– Nie wiem. Nie widziałam go, tylko słyszałam. Ale był tuż obok. Metr ode mnie.

Grzeliński był podekscytowany, ona zresztą też.

– Gdzie to było? – zapytał. – W Falentach?

– Nie. W jednym klubie na Zbawiksie. W kiblu, wyobraź sobie.

W telefonie na chwilę zapadła cisza.

– Myślisz, że...

– Neeee, to by było za proste, wręcz idiotyczne. Nie zrobiłby tego. Może bawił się tam i nie chciało mu się nigdzie jechać, nie wiem...

– Był sam?

– Tak. Chyba że ktoś nas pilnował oprócz Kury, ale nie sądzę. Może na sali. W toalecie byliśmy sami, nie podejrzewam, żeby ktoś był z nim w kabinie.

– Czemu myślisz, że to nie ten klub? Najciemniej jest pod latarnią – zauważył.

– Ale są granice, Matt. Nie są idiotami.

– Dobra. – Westchnął. – Nawijaj.

Opowiedziała mu o wszystkim: jak przebiegła rozmowa, jakie wnioski z niej wyciągnęła, a potem jeszcze o chłopaku, którego ciało wiozła z Warszawy do Falent. I o Golumie też. Grzeliński wydawał ciche pomruki za każdym razem, kiedy podawała jakiś pikantny albo makabryczny szczegół.

– Czy tamci z klubu płacą właścicielom fermy za pozbywanie się ciał, czy to właśnie oni prowadzą klub? To podstawowe pytanie – odezwał się Matt, kiedy skończyła. – Ale prawnie spółkę prowadzącą fermę obsługuje właśnie ta kancelaria, w której siedzi sobie Golczewski, no i jest ojcem Chyły i dlatego są podstawy, by sądzić, że to drugie. Zwłaszcza że tak jak

zauważyłaś, nie chodzi tylko o pozbywanie się ciała, ale i przesiadkę klientów. Czyli dzięki temu, że doszliśmy do Golczewskiego, coraz bardziej prawdopodobna jest opcja, że to Chyła i Roszak: wszystko nam się nagle zgrabnie układa. Popieprzona rodzinka zwyroli... Sprawdzamy ich dyskretnie: majątek, znajomości, powiązania biznesowe. Niedaleko bramy zamontowaliśmy kamerę, sprawdzamy wjeżdżające tam auta.

– Pośpieszcie się, błagam – mruknęła.

– Myślisz, że klub jest jednak w Falentach? A to, że Damiano wywoził klientów gdzieś dalej, to przykrywka, a w rzeczywistości zostawali na miejscu, w którymś z budynków, albo wracali po zrobieniu po okolicy kilku kółek z zawiązanymi oczami? Widziałem ten zakład w Google'u, to moloch.

– Jestem prawie przekonana, że to nie tam. Wiesz, jaki tam jest smród? Nie jestem co prawda facetem, ale wątpię, żeby którykolwiek mógł stanąć na wysokości zadania w takiej atmosferze. Tam się kręci mnóstwo ludzi, w nocy też, bo działają przez całą dobę. Klienci muszą być stamtąd wywożeni, nie ma opcji. Nie wiem, kto zajmuje się tym teraz, kiedy Damiano skończył jako nawóz. Może chwilowo szefowie, ale boję się, że mogę być jego następczynią.

– Wtedy dowiesz się, gdzie jest klub. Będziemy u celu.

– Tak. Wtedy będziemy u celu – potwierdziła.

Tym razem była tego pewna. Na stówę, jak mawiał Kura. Wejście do klubu dokonane przez policję ze wsparciem ekipy kryminalistycznej przyniosłoby zapewne odpowiedzi na wiele pytań, a przede wszystkim dowody: ślady krwi, których nigdy nie udaje się do końca usunąć. Bo może pozbywali się ewidentnych dowodów, czyli ciała, ale wciąż pozostawały poszlaki. Mocne.

– Wiesz, korci mnie, żeby zwinąć tego twojego Kurę i przemaglować – powiedział nagle Grzeliński.

– To bez sensu, Matt. Po pierwsze, nie jest mój, a po drugie, on nic nie wie. Nie zna tożsamości ludzi z klubu, nie zna lokalizacji, jest pionkiem. A jak go zwiniesz, to tamci znikną i wypłyną w innym miejscu, tylko że nie będziemy wiedzieli gdzie. Stracimy to wszystko, co osiągnęliśmy do tej pory. Przecież zdajesz sobie z tego sprawę.

– Oczywiście. – Usłyszała jego westchnięcie. – Ale ręce mnie świerzbią.

– Wszyscy tam są chorobliwie ostrożni i dlatego tak długo im się udaje. Ale nie da się wszystkiego zaplanować i sami to wiedzą po wypadkach z Niemcem i Damianem. Zawsze gdzieś popełni się błąd, nawet najmniejszy, ale my go musimy wyłapać, bo to będzie nasza szansa. W takiej przesadnej ostrożności tkwi paradoks, wiesz? Bo są tak przekonani, że pomyśleli o wszystkim, że nie zauważą, kiedy się potkną.

– To myślimy podobnie – stwierdził Grzeliński. – A wracając jeszcze do Kury...

– No?

– Lubisz go?

– Słucham?

– Mam wrażenie, że go polubiłaś.

– To za dużo powiedziane.

– Czujesz do niego sympatię?

– To nie tak...

– A jak?

Iwona zastanawiała się, co powiedzieć i jakich słów użyć.

– Wiesz, co to jest tajny syndrom sztokholmski? – Matt dobił ją.

Milczała. Wiedziała. To określenie relacji, jaka czasem nawiązuje się między funkcjonariuszem działającym pod przykryciem a członkami grupy przestępczej. Relacji, jaka nigdy nie powinna zaistnieć, a jednak czasem to się zdarza.

– To nie tak, Matt – powtórzyła z naciskiem.

– No więc jak?

– To bandzior. Zwykły bandzior, który ma pewnie krew na rękach. Ale też dzieciak, rozumiesz? Ja... Jestem kobietą, starszą od niego o ładnych parę lat i tego nie zmienię. Szkoda mi go, ale nie chcę, żebyś myślał, że to cokolwiek zmieni, jeśli chodzi o priorytety. Bo niczego nie zmieni, i to akurat mogę ci zagwarantować.

– I to chciałem usłyszeć, wiesz? Okej, kończymy temat Kury.

Iwona wzięła głęboki wdech. Przyszedł czas na wyjaśnienie pewnych wątpliwości, które trapiły ją od jakiegoś czasu. Każdy ma swoje: Matt miał i ona też.

– To jak już tak szczerze sobie rozmawiamy, to ja też chciałabym cię jeszcze o coś zapytać.



– Słucham. – Grzeliński wyłapał zmianę jej tonu.

– Wszystko zaczęło się ponad dwa miesiące temu – powiedziała. – Akcja w Łodzi i konsekwencja w postaci mojego zwolnienia oraz zniknięcie Krzyśka. Niby pozornie niezwiązane ze sobą nieszczęśliwe zdarzenia, a jednak coś je łączy, Matt. Sprawa klubu. Rozmawialiśmy o przypadkach i okej, uwierzę w te nawet najbardziej nieprawdopodobne, ale nie ten, rozumiesz? Dlaczego to się stało jednego dnia? A przedtem Krzysiek nie był sobą?

– Nie umiem ci na to odpowiedzieć, Iwona. Po prostu nie umiem.

– Kiedy byłam z Kurą na łowach w jednym z klubów, podeszła do mnie jakaś babka. Stała bywalczyni. Opowiedziała mi, że próbowała poderwać Krzyśka, kiedy była tam na imprezie jakiś czas wcześniej...

– Faceci muszą się czasem wyszaleć, tak już mają – przerwał jej.

– A on jej pokazał moje zdjęcie i powiedział, że jest zajęty – kontynuowała.

– Nie był tam, żeby się wyszaleć, Matt.

– Przepraszam, że będę brutalnie szczery, ale może ją w ten sposób spławił, bo mu się nie podobała.

– Nie. On by tak nie zrobił. A ty coś przede mną ukrywasz. I czuję się obrażona, że traktujesz mnie jak idiotkę. Coraz częściej myślę, że maczałeś łapy w moim zwolnieniu, żeby mnie pozyskać. Nie dlatego, że jestem kobietą, nie dlatego, że wiem, z czym to się je i że zabiłam człowieka.

– Skurwiela, który chciał zabić cie...

– Nie przerywaj mi, proszę. Myślę, że mnie potrzebowałeś, bo jedną z osób związanych z tą sprawą jest Krzysiek. I nie chodzi o to, że tropił klub jako reporter, tylko że z nimi współpracował. Człowiekowi z telewizji tak łatwo zakręcić w głowach młodym dziewczynom, obiecując im karierę. Mogli go zwerbować. I nagle zorientował się, że robi się gorąco i zniknął.

– Iwona...

Nie dała mu dokończyć, słowa wylewały się z niej nieprzerwanym potokiem.

– Przypominam sobie różne rzeczy, które mnie dziwiły, ale do których nie przywiązywałam wagi. Nowy iPhone, dwunastka. Podobno służbowy. Kosztuje pewnie tyle, ile moja pensja. Dawna pensja. Wyjazd związany z pracą, który potem się nie potwierdził, bo jego kolega się wygadał. Nie

pytałam Krzyśka, bo sobie ufaliśmy, a nic nie wskazywało na to, że kogoś ma.

– Posłuchaj, już mnie o to pytałaś, a ja ci powiedziałem, że jeśli chodzi o twoją sprawę, to jedynie postarałem się, aby umorzyli ci postępowanie prokuratorskie. Na dyscyplinarkę nie miałem żadnego wpływu, wykorzystałem tylko swoją wiedzę, że to się tak skończy, i nie traciłem czasu.

– I boję się, że tak naprawdę ścigasz Krzyśka. – Prawie to wykrzyczała.

Po drugiej stronie zapadło milczenie, a jej ścierpła skóra. Czyżby się nie myliła?

– Posłuchaj mnie, proszę – powiedział to łagodnym tonem. – Kiedy skończymy rozmowę, zastanów się jeszcze raz nad tym, co powiedziałaś. Na chłodno, na spokojnie. Zastanów się, czy to możliwe, że człowiek, z którym żyłaś dwadzieścia lat pod jednym dachem, jest potworem zabijającym młode dziewczyny, albo nawet polującym na nie dla innych zboków. Pomyśl nad tym, proszę cię. A jak już to zrobisz, to wtedy dotrze do ciebie, że to kompletny nonsens. Jesteś w fatalnym stanie, i tylko dzięki twojej silnej konstrukcji psychicznej jeszcze się nie rozsypałaś. Ale jesteśmy już blisko. Wytrzymaj. Nie myśl o rzeczach, na które nie masz wpływu i skup się na tym, na czym musisz. Jasne?

– Przysięgnij, że tak nie jest – zażądała, czując, że zaraz wybuchnie płaczem.

– Przysięgam – powiedział, a ona mu uwierzyła.

Uwierzyła, bo mu ufała. Ufała człowiekowi, którego widziała raz w życiu, z którym rozmawiała kilka razy przez telefon, a który stał się jej opoką i kotwicą, dając wsparcie w najtrudniejszych momentach jej życia.

Tak jak ufała też Krzyśkowi, kiedyś. Tylko że to nie jest tak, jak powiedział Matt. To, że żyjesz z kimś dwadzieścia lat, nie oznacza automatycznie, że znasz go na wylot. Znasz go na tyle, na ile da ci się poznać. I znała wiele takich przykładów ze swojej dawnej pracy. Chociażby zapłakane matki i żony nieprzyjmujące do wiadomości wyroków sądów. To dawało do myślenia. A Krzysiek był z natury skryty.

Co tak naprawdę przed nią ukrywał?

## KURA

Dzwoniący telefon obudził Iwonę w środku nocy. Z trzepoczącym sercem wymacała w kompletnej ciemności leżącą na szafce obok łóżka komórkę, uniosła się na łokciu i spojrzała na wyświetlacz, mrużąc zaspane oczy. Było po drugiej. Uspokoiła oddech i odebrała.

– Kura, czy to naprawdę nie może poczekać? – Jęknęła. – Jest, kurwa, środek nocy, a ty sobie...

– Czy to Iwona Banach?

Obcy głos podziałał na nią jak zimny prysznic.

– Tak, kto mówi? – zapytała ze ściśniętym sercem.

– Ta Iwona Banach?

– Z kim rozmawiam? – Postarała się, żeby jej głos zabrzmiał mocno i dobitnie.

– Hubert Gliński, komenda miejska, spotkaliśmy się kiedyś na ulicy, przy trupie w rowie koło kortów. Cztery, pięć lat temu.

Serce struchlało, a zmulony umysł z trudem wyszukiwał w pamięci obrazy z przeszłości: nocne wezwanie na Wojska Polskiego, gdzie na remontowanym odcinku, w wykopie pod sieć wodociągową, ktoś odkrył ciało pobitego na śmierć mężczyzny.

Gliński nie odzywał się, chyba świadomy, że o takiej porze myśli się wolniej.

– Tak, już kojarzę – mruknęła. – Cześć.

– Arkadiusz Kurzaj, mówi ci to coś?

Zacisnęła mocniej palce na telefonie.

– Mówi.

– Leży najebany na chodniku. Jak go ocuciliśmy, zaczął gadać o matce policjantce, która wyleciała z roboty, i żebyśmy do ciebie zadzwonili. To twój syn?

– Przyszywany – warknęła. – Daj mi go do telefonu, jeśli mogę cię prosić.

– Nie jest w stanie gadać. Niczego nie jest w stanie zrobić, tylko bełkocze. Przyjedziesz po niego czy mamy zamawiać transport i wieźć go na Dąbrowskiego?

Tam mieściła się szczecińska izba wytrzeźwień, zwana często najdroższym hotelem w mieście.

– Przyjadę. Gdzie jesteście?

– Starówka, Panieńska przy tym nowym hotelu.

Przez chwilę Iwona pomyślała, czy nie poprosić ich o zawiezenie Kury do domu, bo zdarzało się czasem, że gliniarze po imprezach prosili kolegów na służbie o podwiezienie tak zwanym niebieskim taxi, ale porzuciła tę myśl. Kontakt z policją należało ograniczyć do minimum.

– Będę za... – Zaczęła się zastanawiać, czy na postoju przy szpitalu będą jakieś taksówki. – Najszybciej, jak się da. Poczekacie na mnie?

– Poczekamy. – Słyszała, że nie jest z tego powodu szczęśliwy, ale miała to gdzieś.

Ubrała się szybko, zamknęła mieszkanie na klucz i zbiegła na dół, nie czekając na windę. Na zewnątrz było wilgotno i chłodno. Pobiegnęła w stronę szpitala wojewódzkiego, modląc się w duchu o jakąś zabłąkaną taksówkę i nagle jej uwagę przykuł ruchomy, jasny punkt, który zauważyła kątem oka. To był kogut na dachu samochodu. Od strony pętli tramwajowej przy Lesie Arkońskim zbliżała się wolna taksówka.

Nie wierzyła we własne szczęście. Wyleciała na ulicę, zaczęła gwałtownie wymachiwać rękami i auto zatrzymało się.

– Niebo mi pana zesłało – wysapała do kierowcy, starszego mężczyzny w dresie.

– Może być – zgodził się. – Dokąd?

– Starówka. – Trzasnęła drzwiami i ruszyli.

Kiedy przejeżdżali przez rondo Giedroycia, Iwona otworzyła usta, zakryła dłonią oczy i szepnęła do siebie zdruzgotana „kurwa mać”. Przecież na parkingu pod blokiem stało jej nowe auto...

– Coś się stało? – Kierowca był czujny.

– Nie, nic. – Pokręciła głową ze słabym uśmiechem. – Starzeję się...

Rzuciła to na odczep. Prawda była inna. To nie starość, to stres. Ciągły stres i... Woląca nie myśleć, dlaczego zamiast działać w skupieniu i z rozważą, po prostu wyleciała z domu, praktycznie tak jak stała, i dobrze

choć, że zdążyła się ubrać. Czy na pewno tylko kwestie bezpieczeństwa spowodowały ten pośpiech?

Na miejscu byli dziesięć minut później, droga przez puste o tej porze miasto byłaby szybką i miłą przejażdżką, gdyby nie okoliczności. No i ten jej nieszczęsny samochód... Nadjechali od strony Trasy Zamkowej, na ulicy Panińskiej nie było żywej duszy, więc Iwona od razu zauważyła dwóch ludzi pochylających się nad trzecim.

– Tutaj – powiedziała kierowcy, kiedy byli już kilka metrów od nich. – Proszę chwilę poczekać, zaraz pojedziemy dalej.

Kiedy taksówka się zatrzymała, wyskoczyła z niej i podbiegła do policjantów. Kura pół leżał, pół siedział oparty o elewację, nie dając znaku życia.

– Cześć – wydyszała.

– Cześć – odpowiedzieli jednocześnie ze stoickim spokojem.

– Jak z nim? – Iwona podeszła do Kury i popatrzyła mu w twarz.

Glińskiego, sierżanta, rozpoznała niemal od razu, przypominając sobie całą sytuację sprzed kilku lat. Ten drugi, niższy, miał rangę starszego posterunkowego i furażerkę zawadiacko przesuniętą nad prawą brew.

– Ładnie się zaprawił, nawet nie wiemy gdzie, bo wszystko już zamknięte.

– Gliński zerknął na zegarek. – To co, bo czas leci?

Pochylili się znów nad Kurą i ten w furażerce poklepał go po policzku.

– Wstajemy, kolego, ktoś po ciebie przyjechał. – Jak na sygnał, obaj z Glińskim podnieśli Kurę i chłopak zawisł w ich ramionach jak szmaciana lalka.

– Mmmamuśśka.... – wybełkotał.

– Jedziemy do domu, chłopaku. – Iwona spojrzała bezradnie na policjantów i zapytała: – Pomożecie mi go wepchnąć do taksówki?

– Jasne. Jak już go trzymamy...

Kura zamilkł i dał się bezwolnie ponieść do samochodu. Gliniarze wepchnęli go do środka i usadzili w miarę prosto na tylnej kanapie, a Iwona patrzyła na to, dochodząc do wniosku, że głupi to ma jednak szczęście.

– Dzięki, panowie. – Rozłożyła ramiona. – Nie wiem nawet, jak wam dziękować.

– Nie ma sprawy – powiedział ten młodszy, uśmiechając się i mrugając spod furażerki.

– Powinni dać ci medal, a nie wyjechać z firmy. – Gliński pokiwał z przekonaniem głową.

W środowisku nie tylko polskich gliniarzy panowało zgodne przekonanie, że zabójcom policjantów należy się jedyna słuszna kara, najlepiej wykonana od razu na miejscu ze służbowej broni.

– Za to też dzięki – mruknęła ze spuszczoną głową i wsiadła do taksówki.

– Dokąd? – zapytał kierowca.

– Chwileczkę. – Coś przyszło jej do głowy.

Pomacała kieszeń spodni Kury i wyczuła zgrubienie, więc sięgnęła do niej i wyciągnęła klucze, lecz nie te, których używał, wchodząc do mieszkania na Kolejowej. Te były pewnie od mieszkania na Cukrowej, a ona przecież nie знаła dokładnego adresu.

– Kura, gdzie mieszkasz? Kura, słyszysz?

Wybełkotał coś niezrozumiale.

– Kura, powiedz, gdzie mam cię odwiedzić?

– Khoejoa...

– Nie, nie masz kluczy, masz tylko te do drugiego mieszkania. Podaj mi adres. – Nie mogła zdradzić, że go zna.

– Khoejoa! – Otworzył szeroko oczy, ale była w nich pustka.

– Adres tego drugiego mieszkania podaj! Szlag...

Głowa Kury opadła na ramię, a czubek języka wysunął się z ust.

– To gdzie w końcu jedziemy? – Taksówkarz odwrócił się do niej.

– Tam, skąd pan mnie zabrał. – Zamknęła oczy i zrezygnowana pokręciła głową. – Wiosny Ludów.

– Jak mi kolega zarzyga taryfę, to doliczę za czyszczenie, ostrzegam – powiedział i w tym momencie Iwona zaczęła się śmiać jak głupia.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Powiedziałem coś zabawnego?

– Nie. – Pokręciła głową. – *Déjà vu*. Wróciły pewne wspomnienia.

– Ja... Nihdy... Nie... Rzzzygham... Po alkhoholu... – Kura machnął niebornie ręką, przypadkiem uderzając Iwonę lekko w policzek.

– Ale się zaprawił. – Taryfiarz pokręcił ze zdumieniem głową. – Wie pani, ja od dwóch lat nocki obstawiam i różne rzeczy widuję, ale to jest normalny zgon.

– Jedźmy już, co? – poprosiła.

Ruszyli. Jechali powoli i płynnie, taksówkarz zapewne zdawał sobie sprawę, że szarpnięcia, nagłe zrywy i hamowania mogą tylko pogorszyć sytuację.

– Niech pani lekko uchyli okno – zaproponował, i tak zrobiła.

Kura siedział oparty o nią ramieniem. Osunął się na nią przy którymś zakręcie i tak został, bo Iwona nie miała siły go przesunąć, a nie chciała prosić o pomoc kierowcy. Pragnęła jedynie być już w domu. Jechali przez rozkopane i kompletnie wyludnione miasto, było już po drugiej i Iwona czuła, że zaraz padnie ze zmęczenia i emocji. Smród alkoholu i zapach perfum Kury mieszały się ze sobą, ciepło jego ramienia grzało ją przyjemnie, a ona starała się nie myśleć, co teraz czuje.

Pokazała kierowcy, pod który blok ma podjechać, i uświadomiła sobie, że nie wzięła portfela ani karty. Zakłęła w myślach, a potem wpadła na pomysł obszukania Kury. Włożyła mu rękę do kieszeni spodni, ale były w niej tylko klucze i komórka, więc spróbowała w drugiej i z westchnieniem ulgi wyciągnęła z niej kilka setek, parę banknotów o mniejszym nominale i kilka monet. Nie chodziło o kasę, tylko o to, że musiałyby lecieć na górę, zostawiając go tu, i nie wiadomo, co by się wtedy zdarzyło. Dała taryfiarzowi stówę.

– Nie wezmę reszty, jeśli pomoże mi pan z nim chociaż do wejścia do bloku – powiedziała błagalnym tonem.

Taksówkarz przewrócił oczami.

– Ale ani kroku dalej – zastrzegł.

Wyciągnęli pijanego w sztok chłopaka z auta, wzięli go pod pachy z obu stron i stękając z wysiłku, zaciągnęli do wejścia, słuchając szurania czubków jego butów po betonie. Tam kierowca zostawił ją samą i chwilę później Iwona usłyszała ryk przegazowanego silnika. Podtrzymując Kurę i balansując ciałem, otworzyła drzwi i wciągnęła go do środka, próbując rozpaczliwie nie stracić równowagi. Kiedy byli już w wiatrołapie, wymuskał się jej z rąk i upadł, na szczęście nie prosto na podłogę, a tylko osunął się na nią po ścianie. Gdy zaciskając zęby, zaczęła go podnosić, a właściwie bezskutecznie próbowała to zrobić, zauważyła w jego kroczu ciemną plamę. Równocześnie stał się kolejny po złapanej taksówce cud, bo Kura ocknął się odrobinę, potoczył dookoła nieprzytomnym wzrokiem i zareagował na polecenie:

– Kura, pomóż mi, wejdź chociaż te kilka stopni.

To, co zrobił, przypominało upadek ze schodów, tylko puszczone od tyłu i w zwolnionym tempie, ale liczył się efekt: minutę później stali przed windą. Potem było już łatwiej i koniec końców Kura wylądował na kanapie. Iwona zdjęła mu spodnie i koszulę, tak że został tylko w T-shircie, slipach i skarpetkach. Przez chwilę patrzyła na jego bezwładne ciało beznamiętnym wzrokiem, a potem zniosła spodnie do łazienki. Wyciągnęła dwie miski: do jednej naląa ciepłej wody oraz trochę płynu do prania i wrzuciła do niej spodnie, a drugą wzięła ze sobą. Wróciła do pokoju, postawiła ją obok kanapy, a potem zgasła światło i poszła do sypialni, żeby się wreszcie położyć. Zasnęła natychmiast.

Obudziła się tuż przed dziewiątą. Poszła do łazienki, żeby wyjąć z miski spodnie Kury i rozwiesić je do suszenia i natknęła się tam na niespodziankę, którą zostawił nocny gość. Omijając starannie plamę wymiocin, wyjęła spodnie z miski, przepłukała je, wykręciła i rozwiesiła na suszarce, a potem włączyła wentylator i poszła zobaczyć, jak się miewa Kura.

Nie spał już. Siedział na kanapie z głową ukrytą w dłoniach. Kiedy Iwona stanęła w drzwiach, usłyszał ją i podniósł głowę.

– Jak się u ciebie znalazłem? – zapytał chrapliwym głosem.

– Taksówka cię przywiozła.

– Po co do ciebie przyjechałem? – Zmarszczył brwi.

– W zasadzie nie przyjechałeś. To ja cię nią tu dostarczyłam. Nie wiedziałam, dokąd cię zawieźć, bo miałeś przy sobie tylko klucze od tego drugiego mieszkania.

– Okeeej. – Rozejrzał się po ścianach, a potem spojrzał na swoje nogi. – Dzięki, że mnie rozebrałaś. Nie zarzygałem sobie przynajmniej ciuchów.

– Podobno nie rzygasz po alkoholu?

– Do wczoraj tak było. – Nie dał rady powstrzymać ziewnięcia i przy okazji pokazał Iwonie uzębienie w całej krasie. – Coś gadałem po drodze? – zaniepokoił się nagle.

– Nie byłeś w stanie gadać. Ani iść. Gdyby nie winda, zostałbyś na dole i nocował na klatce.

– A czy nie chciałem cię... No wiesz...



Uśmiechnęła się lekko, choć niezbyt radośnie, widząc skrępowanie w jego oczach i twarzy. Przypomniały jej się jego niezdarne, samcze zaloty do Roksi i stwierdziła, że pomimo erotycznej oferty, jaką jej kiedyś złożył, ten chłopak musi ją naprawdę szanować.

– Powiedziała ci, nie byłeś w stanie niczego zrobić. Niczego, Kura. – Zerknęła znacząco na jego krocze.

– Przepraszam, chyba zarzygałem ci łazienkę. – Kura był wyraźnie skrępowany. – Nie zauważyłem miski przy kanapie.

– I tak dobrze, że zdążyłeś. I że w ogóle do niej trafiłeś, bo przecież było ciemno i byłeś tu tylko raz. W każdym razie mop i papierowe ręczniki są w schowku obok pralki. Miskę weź tę. – Wskazała na wszelki wypadek naczynie stojące obok kanapy.

– Zaraz się ogarnę i posprzątam – obiecał, przeczesując palcami potargane włosy.

Iwona usiadła obok niego na kanapie, choć zadbała o to, żeby dzieliła ich pewna odległość.

– Ci gliniarze, którzy cię znaleźli, dzwoniли do mnie z twojej komóry, Kura – powiedziała. – Nie wiem, czy nie sprawdzili przy okazji, co tam masz ciekawego.

– Co ty powiedziałaś? – Choć wydawało się to niemożliwe, zbladł jeszcze bardziej, a jego oczy rozszerzył strach. – Jacy gliniarze?

– Nic nie pamiętasz?

– W ogóle. Myślałem, że zadzwoniłem do ciebie z knajpy, zanim urwał mi się film!

– Nie. Zwinęli cię na mieście – wyjaśniła. – Byłeś jeszcze na tyle przytomny, że kazałeś im po mnie zadzwonić ze swojego telefonu. Kazałeś zadzwonić po mamuszkę z policji, wiesz? I masz szczęście, że to zrobili. I że jeden z nich mnie kojarzył z Fabryki.

– Ja pierdolę – szepnął.

– Więc stąd moje pytanie, Kura: co w nim masz?

– Nic nie mam – burknął. – Na miasto biorę tylko ten bezpieczny telefon. Nie ma w nim kontaktów do ludzi, którzy nie życzą sobie zainteresowania policji.

– Miałeś w nim mój numer. A ja też sobie nie życzę zainteresowania ze strony policji.

Spojrzał na nią spode łba.

– Ty jesteś bezpieczna, mamuśka. I jak sama widzisz, bardzo dobrze cię mieć w kontaktach. Gdyby nie ty...

– To nie było mądre. Nie mówię o moim numerze w twojej komórce.

– Wiem. – Oblizął wyschnięte usta i drgnął nagle. – Spisali mnie?

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Jestem pewna, Kura. Załatwiłam ci to. Drugi raz uratowałam ci dupsko.

– Jezuuu... – Schował twarz w dłoniach i zaczął ją nimi pocierać. – Chyba mnie kompletnie pojebało.

– Z jednej strony naprułeś się tylko. Zdarza się każdemu. A z drugiej...

Odsunął ręce od twarzy i spojrzał na nią.

– Ostrzegali cię ci z Klubu, że masz nie pić? – spytał.

– Tak. – Wzruszyła ramionami.

– A wspominali, że naprawdę mówią poważnie i co się stanie, jak jednak się uchlasz?

– Wspominali o poważnych konsekwencjach – odpowiedziała wymijająco.

– O poważnych konsekwencjach... – Kura pokiwał głową, uciekł spojrzeniem w bok, a potem nagle znów spojrzał jej w twarz, choć teraz jego wzrok nie był już błędny jak przed chwilą. – Czy gdyby kazali ci mnie zabić, zrobiłabyś to?

– Już chyba o tym rozmawialiśmy, Kura. W drodze z Warszawy, o ile się nie mylę?

– To było pierdolenie o niczym – prychnął. – Poza tym byłem na prochach.

Pierdolenie, naprawdę? – pomyślała, przypominając sobie, co mówił o swojej chęci wyjścia na ulicę i strzelania do ludzi. Dla niej to nie było „nic”, tylko przejaw ogromnej frustracji i niebezpieczna iskra, która często w którymś momencie życia inicjowała niespodziewany wybuch. I ona to wiedziała. Patrzyła na niego i przypominała sobie ciepło jego ciała i zapach perfum, kiedy leżał oparty o nią w taksówce.

– Mówiłeś, że nie bierzesz prochów – powiedziała cicho.

– Bo nie biorę. To był tylko raz.

– Raz?

– Tak, jeden, jedyny. Musiałem odreagować.

Nie skomentowała. Mimo rozmowy w spalarni, mimo tego, co mu powiedziała, oszukał ją i wsiadł za kierownicę po narkotykach. Jakby nic do niego nie dotarło. Gówniarz, tylko tyle pomyślała.

– A dlaczego miałabym cię zabić? – zapytała spokojnie.

– Za karę.

– Za to, że się napiłeś? Bez przesady.

Odetchnął głęboko.

– Myślałem, że wypiję dwa, trzy szoty dla rozluźnienia i wrócę do domu. I nagle straciłem kontrolę. Jeezu, nie najebałem się tak co najmniej od dziesięciu lat. Opowiem ci coś, mamuśka. – Popatrzył w okno, siedząc jak kupka nieszczęścia z łokciami opartymi o szeroko rozchylone kolana i pocierając dłonią o dłoń. – Opowiem ci o takim jednym gościu. Chemik był moim kumplem z dzieciństwa, wiesz? Nazywaliśmy go tak, bo zakradał się na tory i podbierał różne rzeczy z wagonów, wszystko, co się dało upchać do kieszeni, albo złać do słoika. Lubił eksperymenty, chciał wynaleźć bezpieczny materiał wybuchowy i rozpuszczalnik, który rozpuszczałby każdą rzecz na świecie. Czaisz to? Bezpieczny materiał wybuchowy... No i w czym niby miałby trzymać ten swój rozpuszczalnik? – Zrobił wielkie oczy. – Raz złapała go straż przemysłowa i dostał taki wpierdol, że ogłuchł na jedno ucho. I przeszła mu chęć do eksperymentów, tylko ksywa została. Ale on też chciał się stąd wyrwać, tylko nie zamierzał wyjeżdżać do Anglii czy Niemiec, bo i tak nic nie umiał. Chciał się szybko dorobić i miał niewiele skrupułów. Wyłapali go tamci... – Zawiesił na chwilę głos.

Iwona już wiedziała, do czego zmierza ta historia, jak się skończy. Kura oparł się i założył ręce na piersi.

– A potem on zaproponował mi robotę, mówił, że gadał o mnie z tamtymi, kilka dni później przyjechał jakiś facet i wypytywał mnie o różne rzeczy i o moje życie. I tak w to wszedłem. No i wtedy... Pamiętasz, rozmawialiśmy, na samym początku, kiedy się poznaliśmy, co bylibyśmy w stanie zrobić, żeby odbić się od dna.

– Pamiętam.

– No więc ja zabiłem Chemika, bo tak mi kazali. Pojechałem do Warszawy, spiłem go, potem poderżnąłem mu gardło i wrzuciłem trupa do Wisły. Mógł to pewnie zrobić Damiano, ale oni kazali zrobić to właśnie mnie. Bo najebał się na jakiejś imprezie i zaczął chlapać na prawo i lewo,

jaką to ma fajną robotę. Naprawdę miał na imię Michał, wiesz? I pewnie dlatego się wczoraj najebałem. Co ty na to, mamuśka? Co mi teraz powiesz? Zrobiłabyś to, gdyby ci kazali?

Patrzył na nią wyczekująco, wręcz bezczelnie, choć równocześnie ze strachem w oczach, a ona miała pustkę w głowie. Chciała wyrzeszczyć mu prosto w twarz: wypierdalaj z mojego mieszkania, ale nie zrobiła tego, tylko wzięła głęboki wdech i powiedziała:

– I mimo to wiozłeś te narkotyki dla kumpla przez pół kraju, gówniarzu jeden? W dodatku naćpany?

Objął głowę dłońmi.

– Czasem jestem naprawdę bliski szaleństwa, mamuśka, wiesz? – powiedział cicho. – Może nie wytrzymuję napięcia? Mówię to tylko tobie. Nie mam nikogo, komu mógłbym to powiedzieć, i mówię to tobie. Mamuśce, którą znam miesiąc. Możesz mnie opierdolić, możesz mi jebnąć, zrób, co chcesz, tylko im nie mów.

Iwona wstała z kanapy.

– Idę ci zrobić słoną jajecnicę. Może być z pomidorami? Odwodniłeś się, potrzebujesz potasu i nie tylko potasu, innych minerałów też.

Pokiwał w milczeniu głową, nie patrząc na nią.

– Chyba będę jeszcze rzygał, przepraszam. – Wyprostował się, przyciągnął podbródek do szyi i stęknął.

– Znasz drogę. – Machnęła ręką i wyszła z pokoju.

Wyjęła z zamrażarki bułki, nastawiła piekarnik na sto stopni i włożyła je tam, żeby odmarzły, potem wrzuciła na patelnię trochę masła. Stojąc przy kuchence i wbijając na nią jajka, usłyszała nagle tupot bosych stóp Kury, trzask drzwi do łazienki i odgłosy wymiotów. Zamknęła oczy i zadała sobie po raz kolejny to pytanie.

Ile jest w stanie znieść człowiek? I jak długo?

Kilka minut później Kura, biały jak prześcieradło, stanął w drzwiach kuchni.

– Wyprałaś mi spodnie? Wiszą w łazience, dopiero teraz zauważyłem.

– No, tak jakoś wyszło.

– Zeszcząłem się?

– Byłam policjantką, chłopaku. Nie takie rzeczy na ulicy widziałam.

Kura podszedł nagle do niej, rozłożył ramiona i niespodziewanie objął ją i przytulił. Poczowała ciepło jego policzka na swoim i jego dłonie na łopatkach. Skóra jego twarzy była gładka, nie było na niej śladu zarostu. Objęła go też, ale tylko ramionami. Nie dotknęła jego pleców dłońmi, bo te zwały się w pięści. Nie zwrócił na to uwagi albo po prostu nie skomentował. Stali tak przez chwilę, aż Kura odsunął się, spojrzał ponad jej ramieniem na patelnię i pociągnął nosem.

– Mogę posprzątać łazienkę później? – zapytał. – Po śniadaniu?

– Tak. Idź, siadaj już do stołu, zaraz nałożę.

– Dzięki, mamuśka...

Odprowadziła go wzrokiem, potem wyjęła z szafki nad blatem dwa talerze, a z szuflady dwa komplety sztućców. Też była cholernie głodna, jakby ta noc kosztowała ją oprócz emocji również mnóstwo energii. I pewnie tak było. Nigdzie nie ma tyle energii, ile w ludzkich emocjach.

Kiedy nakładała jajecznicę na talerze, zauważyła, że trzęsą się jej ręce.

## STASINKA

Przez kilka następnych dni nikt z klubu się do Iwony nie odzywał. Kura też nie. Może było mu wstyd, może miał swoją robotę, nie interesowało jej to. Miała za to dużo czasu na myślenie. Siedziała w domu, czytała książki i oglądała seriale na Netfliksie: robiła to wszystko, na co zwykle kiedyś nie miała po prostu czasu, ale głównie dlatego, żeby się czymś zająć. Aż pewnego dnia wczesnym rankiem obudziła się i zdecydowała, że pojedzie do Kościeliska. Nie zastanawiała się za dużo nad sensownością tego ruchu, tylko wzięła torbę, wsiadła do samochodu i pojechała.

Spędziła w trasie cały dzień. Na miejsce dotarła po siedemnastej, słońca już zniknęło, choć wciąż jeszcze było w miarę jasno. Przejeżdżając przez wieś, Iwona rozglądała się po znajomych kątach, których tak dawno nie oglądała, a wspomnienia wracały z ogromną siłą. Spacerzy i wyprawy w góry, czasem samotne, dużo częściej z Krzyśkiem, nawet te z Michasiem, przytulonym do niej w ciasnym nosidełku. Wspólne chwile w ukochanym miejscu, które straciło urok po śmierci jej synka.

Zatrzymała się pod domem Jaśka, wyłączyła silnik i wpatrywała się w Stasinę, widoczną w perspektywie łuku drogi.

Stasinę postawiono niemal na samym końcu Górkówki, niedaleko lasu, za którym był już tylko Czarny Dunajec, a potem słowacka granica. Skromna chata ze stromym, przyczółkowym, krytym blachą dachem i ścianami obłożonymi poszarzałymi deskami dzielnie opierała się zmiennej pogodzie i upływowi czasu. Iwona nie była tam lata i zastanawiała się nad dwiema rzeczami: co się przez ten czas zmieniło i czy będzie w stanie tam wejść. Czy kiedy otworzy drzwi, da radę przestąpić próg i wejść do środka, czy zatrzyma się w nim, trzęsąc się od płaczu, tak jak ostatnim razem, kiedy tu była.

Wysiadła z samochodu i podeszła do furtki przed domem Jaśka. Musiał widzieć przez okno, że ktoś przyjechał, bo zanim zadzwoniła, drzwi domu otworzyły się i stanął w nich Jasiak, ubrany w te swoje portki

z parzenicami i sweter z owczej wełny. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek widziała go w innym ubraniu. Kiedy zobaczył, że to ona, zbiegł po schodkach z wyciągniętymi w jej stronę rękami. Uśmiechnęła się. Weszła za płot i rzuciła mu się w ramiona. Wyściskali się, pokleпали po plecach, a potem spojrzeli sobie w twarze i Iwona posmutniała. Jasiek się zmienił. Wyglądał marnie. Choroba wyostrzyła mu rysy, skóra twarzy była poszarzała, oczy miały sine obwódki, a mocny zarost miał kolor pieprzu z solą

– O, kruca, Iwonka! – zawołał. – Nie do wiary!

– Cześć, Jaśku, miło cię widzieć. – Uśmiechnęła się szeroko.

– Na długo? – Oczy, w których wciąż skrzyło się życie, śmiały mu się na całego.

– Nie, przejazdem jestem, w Krakowie byłam służbowo, miałam trochę czasu, nie za dużo, ale wpadłam, tylko jak po ogień, i zaraz w drogę – łągała, trajkocząc, bo nie chciała tłumaczyć mu, co naprawdę nią powodowało, że przyjechała do Kościeliska pierwszy raz od kilku lat.

Zresztą sama nie wiedziała dokładnie, co nią powodowało.

– Po ciemnicy bedzies wracać? – zapytał, marszcząc brwi.

– Jak mus to mus.

– Ale wejdzies na chwilecke?

Pokręciła głową. Nie chciała. Bała się rozmowy o chorobie, choć zdawała sobie sprawę, że pewnie będzie się chciał jej wygadać. Nie udźwignęłaby tego przy całej sympatii do tego człowieka.

– Mam naprawdę mało czasu, Jaśku, przepraszam. Bardzo mi przykro.

– Jasne, Iwonka.

– Jak tam? – Popatrzyła na niego uważnie.

Musiała chociaż zapytać.

– Sama widzisz. – Machnął ręką. – Racycho nie odpusca, ale na dedule nie trafiło.

– I dobrze, że się nie poddajesz. Nie wolno. Nigdy. – Przyszło jej do głowy, kiedy u niej przyjdzie ten moment, gdy się podda.

Jasiek zmarkotniał nagle.

– Iwonka, posuchaj... On tu był... – bąknął.

– Co ty powiedziałaś? – Poczuli, że błędnie.

– Ksysiek tu był.

– Kiedy?

– A ze dwa tygodnie temu.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś? Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, obiecałeś, że dasz znać jakby co.

– Przeca wiesz, że ja bych ci syćko, Iwonka, ale on błagał mnie, coby ci nie godać. To był psypadek. Zmiezchało juz, jak zobaczyłem mignięcie światła w wasej Stasince, tom posed sprawdzić, bom myślał, że cosik gorze. I on tam był, dyć zmarnowany taki, aze luto było patseć.

– Mówił, po co przyjechał?

– Nie pedziol.

– A pytałeś?

– No ni.

– O czym rozmawialiście?

– Ło nicym. – Jaśko wzruszył ramionami. – Cosik się gadka nie kleiła, to posedłem.

– Był sam? – zapytała nagle, jakby coś ją tknęło.

Powinna była od razu się zorientować, że coś jest na rzeczy, skoro Jasiak nie zapytał o Krzyśka: co u niego słyhać albo dlaczego przyjechała do Kościeliska sama, bez niego. Podczas ostatniej rozmowy telefonicznej nie wyjaśniła mu niczego, a tylko pytała, czy jej partner był ostatnio w Stasince.

Jasiak zgarbił się lekko.

– Kobieta? – zapytała, czując, jak brakuje jej tchu.

Jasiak mruknął coś pod nosem.

– Czy to była kobieta, Jaśku? – powtórzyła głośniej.

– Mignęła mi ino za łoknem, długie włosy miała, huncfuty jako się patsy, carne jako noc, ino tela przystzegłem... Alem nie pytał Ksyśka.

Spuścił głowę, a Iwona zerknęła w bok i zatrzymała na chwilę wzrok na Stasince. Stała samotnie pośród pól, na tle lasu, nad którym górowały pasma tatrzańskich szczytów. Jasiak chrząknął.

– Moze das się jednak napytać na juzynę? Podwiecorek po wasemu – zaproponował. – Ucenstuje jak swojego.

– Nie, Jaśku, dziękuję, naprawdę muszę wracać do siebie. Zerknę tam jeszcze i jadę do domu.

– Psykro mi, Iwonka.



– Wszystko wiem, Jaśku. – Uśmiechnęła się do niego ciepło. – I nie mam pretensji, naprawdę. Też się nie lubię wtrącać w takie sprawy, zwłaszcza kiedy lubię oboje. Czasem lepiej stać z boku, bo i tak nie pomożesz, a tylko zaszkodzisz.

Westchnął.

– Psyjedzies jesce?

– Przyjadę. Kiedyś na pewno, a może nawet niedługo, kiedy już skończę... Swoje sprawy. Ckni mi się trochę za górami, wiesz?

– Co mom ni wiedzieć? – Roześmiał się trochę z przymusem. – Mam ino nadzieje, ze Ponbócek jesce troche pozwoli mi pochodzić po tej ziemi.

Iwona wyściskała go, bardzo, bardzo mocno i ze łzami w oczach, i wróciła do samochodu. Podjechała te kilkaset metrów do Stasinki i zatrzymała auto. Nie wysiadała jeszcze. Z rękami na kierownicy wpatrywała się w domek wyjałowiona z jakichkolwiek myśli. Wreszcie wysiadła, stanęła przy samochodzie i oparła się rękami o dach. Zerknęła w stronę domu Jaśka i zobaczyła, że góral stoi wciąż przy płocie, patrząc w jej stronę. Gdy zorientował się, że ona spogląda na niego, podniósł rękę i jej pomachał. Zrobiła to samo i ten ruch jakby przekonał ją do tego, co musiała zrobić. Podeszła do furtki z rozeschniętych sztachet i uchyliła ją, a potem weszła na teren posesji. Płaskie głązy, którymi wyłożona była łąka otaczająca dom, prowadziły wężykiem w stronę Stasinki. Iwona pamiętała, jak układali je z Krzyśkiem i jak po nich skakali, konkurując ze sobą, kto jednym susem pokona więcej. Teraz poszła bokiem, po trawie, omijając je. Kiedy stanęła przed drzwiami, drżącą ręką sięgnęła po klucze, włożyła je do zamka, przekręciła i otworzyła drzwi na oścież. Ze środka buchnął charakterystyczny zaduch dawno niewietrzonych pomieszczeń.

Weszła do środka, zanim nawet zaczęła się nad tym zastanawiać. Z bijącym mocno sercem przekroczyła próg, zrobiła kilka kroków i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że zrobiła to bezwiednie i że być może tylko dzięki temu znalazła się w środku. Rozejrzała się po wnętrzu chaty, które tonęło w półmroku. Nie chciała zapalać światła. Widziała wystarczająco wiele, może też nie chciała widzieć zbyt dużo, żeby nie wzbudzać wspomnień. Schody na poddasze, gdzie była sypialnia, prosta kuchnia, stół z góralskimi meblami, które pamiętały jeszcze matkę Stasi, skrzynia na pościel i kredens. Koza, którą dogrzewali domek zimą. Podeszła do niej, pochyliła

się i zajrzała przez szybkę do wnętrza. Szkło było przydymione, a w środku dostrzegła popiół i resztki niespalonych do końca bierwion. Pośród nich zobaczyła dwa niedopałki papierosów o cienkich ustnikach. Wyprostowała się i dalej lustrowała wnętrze uważnym spojrzeniem.

Nagle wzrok Iwony przykuł jakiś detal.

Zmusiła się, żeby tam podejść, aż stanęła przed wiszącym na ścianie między oknami oprawionym w ramkę zdjęciem sprzed ośmiu lat. Była na nim cała ich trójka: ona, Krzysztof i Michaś. Dziś została tylko ona. Sama. Wyciągnęła przed siebie drżącą dłoń i dotknęła go. Zimne szkło chłodziło skórę opuszki, Iwona poczuła ten chłód jak lekkie rażenie prądem o niewielkim napięciu. Przesunęła delikatnie palec po buzi Michasia i rozplakała się niespodziewanie. Ukryła twarz w dłoniach i stała przez kilka minut, płacząc, czekając, aż to minie. Kiedy łzy przestały wreszcie płynąć, wytarła je z policzków, rozejrzała się ostatni raz po wnętrzu chaty, jakby chciała je zapamiętać, i wyszła na dwór. Zamknęła drzwi na klucz i ze spuszczoną głową skierowała się do samochodu, wsiadła, odpaliła silnik i nie oglądając się za siebie, ruszyła w drogę powrotną do domu z kłębiącymi się w głowie myślami.

Kobieta o długich, czarnych włosach.

Czyżby Karolina Jastrzębska, koleżanka z telewizyjnej redakcji?

Iwona pokręciła głową nad własną naiwnością. Dołączyła właśnie do rzeszy kobiet postawionych w takiej sytuacji i budziło to w niej totalne wkurwienie. A na domiar złego Krzysztof zrobił to w najgorszym momencie jej życia.

To było nie fair. To było po prostu nie fair.

Po powrocie musiała coś ze sobą zrobić, żeby nie myśleć o wyprawie do Kościeliska i o tym, czego się tam dowiedziała. Jedyne, co mogła zrobić, to odciąć się od tego.

Wstała późno, przed jedenastą, ale nie mogła powiedzieć, że jest wyspana, bo do domu wróciła o trzeciej, zmęczona jak pies. W piżamie zjadła twarożek i pomidora, wypijała kawę, a potem pojechała na Bartniczą do biblioteki. To był chyba najszybszy i najbezpieczniejszy sposób skorzystania z internetu, bo jeśli faktycznie tamci zapewnili sobie w jakiś sposób dostęp do jej komputera, to lepiej nie było robić w domu tego, co zaplanowała.

Gdy już usiadła przed komputerem, bez zastanowienia w pasku wyszukiwania przeglądarki wpisała „Marcin Chyła Drobex” i zaczęła po kolei przeglądać wyniki. Już kilkanaście minut później zdała sobie sprawę, że Chyła lubi dyskrecję i nie zależy mu na sprzedawaniu własnego życia w internecie. Nie znalazła niczego o tym człowieku, poza paroma wzmiankami w branżowych artykułach. Ale nie było żadnych zdjęć, nawet na stronie internetowej „Drobexu”. Facebook zaoferował jej poznanie kilkunastu ludzi o tym imieniu i nazwisku, ale żaden z nich nie wyglądał na człowieka, o którego jej chodziło. Spróbowała drugiego współnika, Roszaka, i tu miała w bród materiału.

Ryszard Roszak miał jakieś sześćdziesiąt parę lat. Wyglądał na człowieka, który choć nie był przesadnie otyły, nie uprawia żadnej aktywności fizycznej, bo nie jest mu do niczego potrzebna. Tak zawsze Iwona wyobrażała sobie ludzi, którzy całe swoje życie poświęcają pracy: nienagannie ubrani i uczesani, zawsze w temacie, podejmujący błyskawiczne decyzje bez liczenia się ze zdaniem innych, którym z oczu patrzyła całkowita i niezachwiana pewność co do słuszności podjętych działań. Na krótkim filmie Roszak odbierał jakąś nagrodę typu „najlepsze przedsiębiorstwo w regionie”. Iwona zrobiła głośniejsze. Kiedy brawa umilkły, Roszak odstawił statuetkę na blat mównicy i pochylił się w kierunku

mikrofonu, rozpoczynając podziękowania. Iwone mocniej zabiło serce, wstrzymała na sekundę oddech, ale już po chwili głośno wypuściła powietrze z płuc. To nie jego głos słyszała w toalecie klubu „Warmut”. To nie Roszak siedział za ścianką przepierzenia i dzielił się z nią swoimi chorymi teoriami o przewodze silnych nad słabymi. To oczywiście jeszcze o niczym nie przesądzało: to, co odkrył Matt, ewidentnie świadczyło o tym, że jakieś związki między właścicielami fermy a Klubem 526 istnieją.

Lekko zniechęcona wpisała w wyszukiwarce „Falenty”, a kiedy pojawiły się wyniki, kliknęła w mapę, potem w opcję wyboru widoku i przeszła na ten satelitarny. Teraz dopiero widać było, jak wielka jest ferma „Drobexu”. Rzędy hal błyszczących w słońcu przypominały nowoczesny obóz koncentracyjny. Odnalazła budynek spalarni i wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę pustym wzrokiem. Potem oddaliła widok i przesunęła mapę w kierunku nieodległej Warszawy, żeby odnaleźć ulicę Krasińskiego. Pamiętała, że to na północ od centrum, w okolicy placu Wilsona, ale ponieważ nie potrafiła odnaleźć jej w gęstej siatce ulic, wpisała nazwę w wyszukiwarce map Google. Przesuwając mysz na satelitarne zdjęcie, przypadkiem kliknęła lewym klawiszem. Cursor znajdował się akurat na jakiejś ulicy i na dole ekranu wyskoczyło małe okienko ze zdjęciem *streetview* i informacjami, i w tym samym momencie Iwona poczuła nagle, jak wydłuża się jej twarz. Ze znów walącym z emocji sercem zaczęła pośpiesznie wpisywać w wyszukiwarce cyfry, a to, co wyskoczyło, notowała na kartce, którą wyciągnęła z kieszeni. Kiedy miała już cztery typy, weszła na Otomoto i obniżyła cenę o pięćset złotych. Teraz pozostało jej tylko czekać do wieczora.

Kiedy przyjechała do matki niedługo przed dwudziestą pierwszą, ta siedziała przy stoliku w kuchni i wpatrywała się w czajnik elektryczny. Przed nią stał kubek z cukrem i torebką herbaty w środku. Iwona dotknęła czajnika, był ciepły, ale nie gorący. Matka musiała już tak siedzieć dłuższy czas.

– Hej, co robisz? – zapytała jej.

Matka drgnęła, jakby wytrąciła ją z zamyślenia, ale Iwona wiedziała, że to nie jest zamyślenie, tylko zawieszenie. Nie wiedziała, gdzie błędził umysł matki, i tak naprawdę nikt tego nie wiedział, przede wszystkim ona sama.

– Herbatę sobie robię – odparła.

– Jadłaś kolację?

– Nie jestem głodna.

– Okej. Wezmę na chwilę twój telefon. – Zerknęła na zegar na ścianie, za pięć dziesiąta. – Może idź pooglądaj telewizję? Zaraz przyniosę ci herbatę.

Matka bez słowa wstała z krzesła i podreptała do pokoju. Iwona usłyszała, że włącza telewizor. Pstryknęła czajnik i poczekała, aż woda się zagrzeje, a potem zalała wrzątkiem herbatę i zaniósła ją do pokoju.

– Tu postaw. – Matka kościstym palcem wskazała jej miejsce na stoliku. – Żebyś mogła wygodnie sięgać. I zrób mi kolację.

Iwona pokiwała głową, chwilę później zamknęła się w łazience i usiadła na sedesie, ściskając telefon. Nie mogła się już doczekać. Matt wystawił jej cierpliwość na próbę, bo zadzwonił dwie minuty po czasie.

– Najpierw ty – powiedziała, nie pozwalając mu się nawet przywitać.

Nie mogła się doczekać, aż przekaże mu to, co odkryła, ale tak się tym cieszyła, że chciała mu to zostawić na koniec, jak najefektowniejszy fajerwerk na pokazie sztucznych ogni, którym ekipa żegna się z widzami.

– Mercedes Golczewskiego wjeżdżał na teren fermy, i to kilka razy. Czyli praktycznie mamy pewność, że panowie Chyła i Roszak są członkami kierownictwa Klubu Pięćset Dwadzieścia Sześć. I że to któryś z nich siedział w tym kiblu.

– Ale nie Roszak. Znalazłam w internecie jakiś filmik z nim, to nie jego głos wtedy słyszałam.

– Okej, w każdym razie obaj objęci są dyskretną obserwacją.

– Telefony, podsłuchy, skrzynki mailowe też?

– Wiesz, te zgody z sądu... Wszystko trwa.

– Podobno to nieoficjalna akcja? – zdziwiła się.

– To sama sobie odpowiedziałas na pytanie.

– To po co mi wyjeżdżasz z sądami?

– Dobra, po prostu się nie martw, to ja to ogarniam, ty się skup na swojej części.

– Okej. – Westchnęła. – Co dalej?

– Kontynuujemy operację. Nic się nie zmieniło, Iwona. Dalej nie możemy niczego ugryźć. Potrzebujemy miejsca, w którym to się dzieje. Najbardziej prawdopodobne jest to, że klub znajduje się na terenie którejś z nieruchomości należących do tej trójki, a może nawet nie tylko trójki, jeśli

jest ich więcej. Na razie skupiamy się na nich, ale to i tak kilkanaście lokalizacji, o Falentach nawet nie wspominam. Rozumiesz już, w czym problem?

Iwona zacisnęła zęby. Świadomość, że są tak blisko i zarazem tak daleko, była frustrująca. Ale być może pojawiło się światełko w tunelu. I teraz zamierzała błysnąć nim Mattowi prosto w oczy.

– Gdzie po raz pierwszy pojawiła się ta nazwa? – zapytała. – Mam na myśli te Pięćset Dwadzieścia Sześć.

– Informator usłyszał ją od człowieka, którego wyłowiono z Kanału Żerańskiego.

– Czyli kumpla Kury.

– Kumpli się nie zabija.

– Chyba że inaczej zabiją ciebie.

– Bronisz go?

– Znowu zaczynasz? Nie bronię. Jest takim samym skurwielem jak ci wszyscy, którzy zabijają, nie broniąc swojego życia. – Poczula, że musiała się zmuszać do tego, żeby te słowa zabrzmiały mocno i przekonująco.

– Teoretycznie bronił swojego życia – zauważył Grzeliński. – Dostał wybór.

– Możemy zostawić ten temat? – zapytała zimno.

– Możemy. Więc o co chodzi z tą nazwą?

– Kura nie zna nazwy Pięćset Dwadzieścia Sześć, nigdy jej przy mnie nie wymienił, choć kilka razy rozmawialiśmy o klubie, używając właśnie tego określenia: klub. Wygląda na to, że wyciągnęli wnioski po historii z gościem z Kanału Żerańskiego. Tej nazwy ze względów bezpieczeństwa nie znają ludzie pracujący dla klubu, a być może tylko klienci. To było hasło przy spotkaniu, które mieliśmy podawać klientom. Dla nas były to trzy nic nieznaczące cyfry, dla klientów nazwa klubu.

– Zawsze ta nazwa mogła paść podczas rozmowy w czasie ich przewożenia do Falent.

– Mamy zakaz komunikowania się z klientami poza podstawowymi rzeczami i oni pewnie też taki mają. W każdym razie chodzi mi o to, że to musi coś oznaczać, rozumiesz?

– Tak, już o tym wspominałaś.

– To nie muszą być trzy przypadkowe cyfry. Stworzyli szczelny, hermetyczny układ oparty na terrorze i zastraszaniu. Rozmowa z gościem z samej góry uświadomiła mi, że to psychole. On, Damiano i reszta to psychopaci. Bawią się tym strachem. Czerpią radość z zabijania, dzielą się nią za pieniądze z tymi, którzy ją podzielają. Ten typ w kiblu... Słyszałam w jego głosie, jak bardzo chce się tym pochwalić. Jak cieszy się, że mogę być kolejną osobą, którą to jara, a w dodatku jestem kobietą. Może to dodatkowe źródło podniecy dla niego, nie wiem i nie chcę wiedzieć. A ta nazwa... Mój brat interesował się drugą wojną światową i historią wojskowości. Modelarstwo wynikało bezpośrednio z tej pasji. Pamiętam, jak próbował wyśledzić, skąd wzięły się nazwy operacji specjalnych i wojskowych. Wszystkie miały nazwy, które z pozoru w ogóle nie były związane z ich przedmiotem, bo nie mogły mieć, to oczywiste. Ale nadawali je konkretni ludzie, z konkretnymi doświadczeniami. Nie brali ich całkiem z kosmosu. Nazwa w języku kraju, w którym miano przeprowadzić operację. Przypadkowo słowo zauważone podczas narady, podczas której ją planowano. Imię córki jakiegoś sztabowca. Bo nazwa zawsze coś oznacza, nawet jeśli chcesz głęboko ukryć to coś, co nią określasz. Jednym z ulubionych filmów Roberta była *Operacja Samum*. Treść oczywiście znasz. Samum to nazwa wiatrów występujących latem na Półwyspie Arabskim. Akcja rozgrywała się w Iraku, właśnie latem. Ale to powiązanie odkrywasz dopiero wtedy, kiedy dowiadujesz się o operacji, rozumiesz? Niby takie oczywiste, a jednak. I dlatego myślę, że te cyfry są kluczowe. Tylko boję się, że to stanie się dla nas oczywiste zbyt późno, albo nigdy. Ale tak się składa, że być może na coś wpadłam, przypadkiem. Tylko żeby to sprawdzić, potrzebuję adresów nieruchomości tych ludzi. Golczewskiego, Chyły i Roszaka.

– Po co?

– Coś mi przyszło do głowy.

– A powiesz mi co?

– Nie chcę podnosić fałszywego alarmu, ale może faktycznie coś mam. Jestem w stanie sprawdzić to bezpiecznie sama nawet na swoim kompie, tylko potrzebne mi są te adresy.

– No dobrze... Wiesz, znam je na pamięć, mogę ci je podać z głowy nawet teraz.

– To podaj. – Aż uniosła brwi z zaskoczenia.

Usłyszała, jak Matt nabiera w płuca powietrza.

– Roszak i Chyła są współwłaścicielami fermy w Falentach oraz właścicielami domów, w których są zameldowani: Roszak w Konstancinie przy Oborskiej, a Chyła w Izabelinie przy Chodkiewicza. Roszak ma jeszcze nieruchomości w Zakopanem i Świnoujściu oraz na Majorce. Chyła nie ma już nic, a przynajmniej nie na papierze, bo reszta jest na Golczewskiego, co może wskazywać na silne związki z ojcem. I zaufanie, jakim go darzy.

– Zmiana nazwiska też na to wskazuje? – zapytała uszczypliwie.

– Chyła mógł je zmienić dla dobra interesów. W każdym razie Golczewski jest oficjalnie właścicielem domu jednorodzinnego w Kościelisku przy ulicy Sywarne, apartamentu na Złotej czterdzieści cztery, kolejnego w Kołobrzegu na Zdrojowej i willi na Śmiałej, na Żoliborzu. Ma też jakiś dom w Grecji...

– Śmiała – szepnęła Iwona. – Jezu Chryste...

– Powiesz, o co chodzi? – Głos Grzelińskiego był pełen napięcia.

Poczuła, że zaraz poleci, taka ogarnęła ją euforia. Teraz ona głęboko nabrała powietrza.

– Dobra, mam bombę. Kiedy przyglądałam się na Google’u fermy, a potem mapie Warszawy, ot, tak, szukając jakiegoś związku, punktu zaczepienia, natchnienia, sama nie wiem...

– Zwariowałaś? – przerwał jej i w jego głosie było autentyczne zdziwienie.

– W bibliotece, chłopie, w bibliotece. – Uspokoiła go. – To przypadkiem kliknęłam w jakąś ulicę i wyskoczyła tabelka z pełnym adresem i współrzędnymi geograficznymi. I coś zaskoczyło, więc zaczęłam sprawdzać kody pocztowe, rozumiesz? Te warszawskie. Po kolei. 00-526, potem 01-526, 02-526, 03-526 i wyskoczyły mi ulice: Krucza w Śródmieściu, Opoczyńska na Starym Mokotowie i św. Wincentego na Targówku. Oraz Śmiała na Starym Żoliborzu, Matt. 01-526. To nie może być przypadek. To jest to, o czym przed chwilą mówiłam! Na Śmiałej musi być klub... Jesteś tam?

– T... Tak, jestem.

– Co myślisz? – Wstrzymała oddech.

– Być może ma to sens – powiedział ostrożnie.

– Być może?! – zawołała.

– No wiesz...



- Poczekaj. – Odsunęła telefon od ucha, bo zza drzwi dobiegł ją głos matki.
- Rozmawiam przez telefon, mam, wszystko w porządku!
- Krzyczałaś coś?
- Do znajomego, rozmawiam przez telefon, wracaj do pokoju oglądać film, dobrze? – Z powrotem przyłożyła komórkę matki do ucha. – Jak to: być może? Masz wątpliwości? Dla mnie to ostatni klocek pasujący do układanki!
- Ja zawsze mam wątpliwości, Iwona. Zawsze. Poza tym nikt nie wspominał, że klub jest w Warszawie. To przypuszczenia.
- Samochód ze zwłokami tego chłopaka odbierałam z Krasińskiego, zaledwie pół kilometra w linii prostej od Śmiałej. Czego więcej ci trzeba? – emocjonowała się.
- Okej, obejmiemy to miejsce inwigilacją, to oczywiste.
- Odetchnęła głęboko i poprawiła się na sedesie, bo zaczęły jej drętwieć nogi.
- Chcę, żeby to był już koniec, Matt, wiesz? – powiedziała cicho. – Ja już nie mogę. Jestem na skraju. Po prostu dłużej nie dam rady...
- Wiem, słońce. Wszystko rozumiem. Być może masz rację i jesteśmy u celu, tylko ja nie chcę robić ci fałszywej nadziei. Musisz się liczyć z tym, że to jeszcze nie koniec, a ten numerek jest czystym przypadkiem. I chciałem ci powiedzieć coś jeszcze.
- No?
- Jesteś wyjątkowym człowiekiem, Iwona. Odważnym i dobrym, w dodatku jesteś profesjonalistką. To był zaszczyt pracować z tobą, wiesz?
- Tylko się nie rozplacz – zażartowała.
- Mówię to absolutnie poważnie.
- Żegnamy się czy co? – Zmarszczyła brwi.
- Dlaczego?
- Tak to zabrzmiało, jak pożegnanie.
- Nieee. – Roześmiał się. – Absolutnie. Chciałem ci to powiedzieć, po prostu. Przy okazji.
- Wiesz, zastanawiałam się nad jedną rzeczą, skoro już przy tym jesteśmy...
- No?
- Czy w uznaniu zasług nie dałoby jakoś rady przywrócić mnie do służby. Nie wiem, jak to mogłoby wyglądać formalnie, ale wszystko jest do

zrobienia, jeśli się chce. No wiesz, muszę jakoś poskładać swoje życie do kupy, kiedy to się skończy. Bez niego, to znaczy bez Krzyska, za to może chociaż z robotą, którą umiem dobrze wykonywać.

Grzeliński milczał, a ona czekała. Wreszcie chrząknął i odezwał się.

– Postawię sprawę uczciwie, Iwona: nie sądzę, żebym mógł mieć na to jakikolwiek wpływ. Ale jeśli okaże się, że moja opinia coś znaczy, to bądź pewna, że możesz na mnie liczyć. Będę stał za tobą murem. – Zrobił krótką pauzę. – Muszę już kończyć. Zaraz wyślę ci zdjęcie Roszaka i Chyły, ryj Golczewskiego znasz...

– Roszaka widziałam w necie. Chyła nie istnieje w mediach społecznościowych ani w branżowych portalach, więc jego zdjęcie możesz wysłać. Popatrzę sobie na tę mordę. Szkoda, że nie masz próbki głosu.

– Pracujemy nad tym, niedługo dostaniesz i to. I wtedy...

– Wtedy będzie koniec?

– Tak – odparł poważnym tonem. – Wtedy wreszcie będzie koniec.

Pożegnali się i Iwona zgarbiła się lekko, odkładając telefon na krawędź wanny. Entuzjazm opadł. Poczowała się, jakby zawiodła Grzelińskiego, bo spodziewała się bomby, a dostał gówniany fajerwerk. Ale ona dalej sądziła, że to bomba, i nie rozumiała jego sceptycyzmu. I też czuła się lekko zawiedziona jego reakcją. Kiedy telefon zadzwieczał, zerknęła na niego i otworzyła wiadomość od Matta. Załącznik otwierał się powoli, aż wreszcie na ekranie ukazał się Marcin Chyła. Zdjęcie było chyba wykadrowane z większego, załapał się fragment dachu samochodu, mężczyzna wyglądał, jakby właśnie wysiadał z wozu. Był ciemnym blondynem o kulistej głowie i krótkiej szyi, co sprawiało wrażenie, jakby był lekko garbaty. Gdyby mijała go na ulicy, nie zwróciłaby na niego najmniejszej uwagi: był nijaki i nie miał żadnych cech charakterystycznych, które można by zapamiętać. Po prostu przeciętniak. Patrzyła na tę zwyczajną twarz i usiłowała dopasować do niej głos, który słyszała w toalecie. Czy to ten człowiek siedział za przepierzeniem? Czy to on zabijał i organizował wynaturzone seanse w swoim klubie? Czy to on stał za tym wszystkim? Czy był jednym z kilku? Nie potrafiła sobie wyobrazić, że ktoś, kto ma żonę i być może dzieci, jest w stanie prowadzić drugie życie: mroczne, wyuzdane i zbrodnicze.

Krzysiek też prowadził drugie życie. Jakie ono było? Jakie było ukryte życie jej partnera, o którym nie miała pojęcia?

Wyszła z łazienki i zajrzała do pokoju. Herbata stała nietknięta na stoliku w tym samym miejscu, w którym ją postawiła. Matka zasnęła na fotelu, z ramionami założonymi na piersi i wyciągniętymi przed siebie nogami. Na ekranie ciemnowłose, mocno umalowane Turczynki kłóciły się o coś, zażarcie gestykulując i wykrzywiając krwistoczerwone usta. Iwone przeszło przez myśl, że może powinna obudzić matkę i zaprowadzić ją do łóżka, ale nie potrafiła się przemóc, żeby to zrobić. Zostawiła ją tak i wyszła z mieszkania, cicho zamykając za sobą drzwi.

## POŻAR

Nazajutrz Iwona dostała wiadomość. *Klient z Niemiec. Jutro. Procedura jak poprzednio. Żadnych wypadków, proszę. Daj znać Kurze.*

Wieczorem siedziała w mercedesie razem z Kurą. Nie zrobił tego samego numeru co poprzednim razem, bo uprzedziła go, że będzie zła. Bardzo zła. Był wyraźnie naburmuszony i miał jej chyba za złe, że to ona dostała wiadomość i role się odwróciły.

– Jesteś czysty? – zapytała, nie patrząc na niego.

– Tak – burknął.

– Żadnego żelastwa ani białego proszku?

– Czysty, mamuśka, okej? – Podniósł lekko głos i rękę.

– Cieszę się – mruknęła i pochyliła lekko głowę, wpatrzona przed siebie. – Jest.

Kilkanaście metrów przed nim z holu wejściowego dworca wyszedł postawny mężczyzna, ubrany w bojówki, trekkingowe buty i kurtkę o wojskowym kroju. Na głowie miał czapkę z daszkiem osłaniającym twarz, a na ramieniu wisiał mu górski plecak i Iwonie natychmiast przypomniała się wizyta w Stasinie. Czerwona parasolka pasowała do tego człowieka jak kwiat do roboczego kombinezonu. Uznała, że ten akurat szczególnie nie był zbyt dobrze przemyślany przez organizatorów chorych sekswakacji. O ile w przypadku Horaua jeszcze jakoś to wyglądało, o tyle w przypadku drugiego „turysty” nie było o tym mowy, bo zwracała uwagę jak cholera. Odkąd Niemiec wyszedł z hali, obejrzały się już za nim dwie osoby.

Z jakiegoś powodu ten człowiek nie spodobał się Iwonie, i nie chodziło nawet o cel jego wizyty. To nie był pocieszny grubas z twarzą cherubinka jak Horau. I to nie ubranie sprawiało to wrażenie, tylko jego postawa i ruchy. Każdy był przemyślany, jak u kota wchodzącego na nieznaną sobie teren. Pewnie był ostrożny, to oczywiste, ale mimo wszystko coś w nim budziło w Iwonie podejrzliwość.

– Ubrał się jak na safari – stwierdził Kura.

– Polowanie na białego nosorożca – mruknęła Iwona i skinęła podbródkiem w stronę Niemca. – Uważajmy na niego.

– Czemu?

– Bo jest niebezpieczny.

– Co? On?

– Tak.

– Znasz go?

– Nie. Ale widzę, że jest.

– Normalny gość, może lekko przypakowany i w outficie myśliwego. – Kura wzruszył ramionami. – Po czym to rozpoznajesz?

Iwone nie chciało się dyskutować.

– Ja ci mówię, że jest niebezpieczny. Nazwij to, jak chcesz...

– Przeczuciem? Nosem psa?

Powoli odwróciła głowę w jego stronę.

– Dokładnie tak. Piętnaście lat doświadczenia, chłopaku. I to ci ma wystarczyć.

– Chyba ci z klubu go sprawdzili?

– Zapewne. – Zgodziła się z nim, bo nie miała co do tego żadnych wątpliwości. – Ale i tak ja zawsze sprawdzam wszystko sama. Typ jest ostry, więc miej na niego oko. I nie gadamy przy nim o sprawach klubu.

– Przecież to Szwab, nic nie zrozumie.

– Kura, ja nie jestem Niemką, a znam niemiecki i to może działać w dwie strony, wiesz?

– Myślisz, że mówi po polsku?

– Nie wiem i nie będę go pytać. Dopiero jak zaśnie, możemy pogadać o czymś innym niż o pierdołach. I posłuchaj mnie, proszę. Tym razem mnie po prostu posłuchaj, okej?

– Dobra, mamuśka, to ty już chyba jesteś tu szefem...

Nie skomentowała, tylko nacisnęła przycisk startu. Podjechała do Niemca, zatrzymała auto i otworzyła szybę od strony Kury.

– *Fünf, zwei, sechs* – powiedział cicho Kura, a Niemiec bez słowa wrzucił parasolkę do stojącego obok śmietnika, potem otworzył tylne drzwi i wsiadł do samochodu.

Nie odezwał się słowem. Iwona też nie widziała potrzeby mówienia czegokolwiek, Kura zapewne wprost przeciwnie, ale mimo to się

powstrzymał. W Niemcu było coś odpychającego, jakaś wroga obojętność, która zamknęła Kurze usta i Iwona miała nadzieję, że na długo, najlepiej aż do Falent.

Kilka minut później stanęli na Szczawiowej, w tym samym miejscu co poprzednio i Kura poprosił Niemca na migi o wyjście z auta, od razu pokazując mu skaner. Niemiec chyba wiedział, co chłopak ma w ręku, bo wysiadł i rozłożył szeroko ręce, poddając się procedurze bez słowa sprzeciwu. Tym razem Kura powstrzymał się przed wypowiedaniem głupich tekstów, tylko w milczeniu sprawdził, czy pasażer nie ma na sobie żadnych elektronicznych niespodzianek.

– Telefon? – zapytał.

Niemiec pokręcił głową, więc Kura, wierząc mu na słowo, wskazał zapraszającym gestem wnętrze auta i sam wsiadł. Gdy Niemiec zajął swoje miejsce, Iwona ruszyła. Jeszcze zanim wyjechali na Krygiera, Kura wyciągnął z leżącej mu pod nogami torby styropianowe pudełko z ciepłym jedzeniem zaprawionym dormicum i odwrócił się, podając je Niemcowi. W aucie rozszedł się apetyczny zapach jakiegoś sosu.

– Poczęstunek od firmy. – Wyszczrzył zęby.

– *Nein, danke. Ich bin nicht hungrig* – odparł Niemiec, nie patrząc na niego, tylko na potężne bloki energetyczne pomorzańskiej elektrowni, którą właśnie mijali.

Przypominały kosmodrom na minuty przed odpaleniem rakiety, którą był łyskający czerwonymi punkcikami oświetlenia przeszkodowego komin.

Kura wyraźnie zgłupiał, jakby nie zakładał, że ktoś może odmówić poczęstunku. Popatrzył na Iwonę, a w jego oczach było nieme pytanie: co teraz?

– Schowaj albo sam zjedz. – Wzruszyła ramionami, bo co innego mogła zrobić.

Zrobił to pierwsze, zapiął torbę i zaczął gapić się w okno jak obrażona panna.

Jechali przez chwilę w milczeniu, kiedy nagle Kura sięgnął do włącznika radia i nastawił 80's80's, niemiecką stację z Meklemburgii nadającą muzykę z lat osiemdziesiątych. Dźwięki *Fade to grey* wypełniły przestrzeń auta. Kiedy powoli zaczęły tracić zasięg i zaczęły się szумы, Kura wyłączył radio i wszyscy pograżyli się w ciszy. Ruch był niewielki, podróż mijała

spokojnie, pasażer z tyłu nie odzywał się i w końcu chyba przysnął, ale Iwona nie miała wątpliwości, że ten sen jest płytki i wybudzi go z niego najlżejszy podejrzanym odgłos. Kura też odleciał, posapywał cicho z głową przechyloną w bok i Iwona wreszcie miała trochę czasu tylko dla siebie.

Zastanawiała się, kto odbierze Niemca z Falent. Czy gnój, z którym rozmawiała w Warmucie, człowiek z samej góry, kimkolwiek był? A może przyjedzie po niego Golczewski? Czy ktoś inny? Ona rozwiązałaby to inaczej: z Falent wystarczyło pojechać zamówioną wcześniej taksówką do jakiegoś miejsca w Warszawie, gdzie czekałby już ktoś z klubu i przejął Niemca praktycznie od razu na ulicy, każąc mu po wejściu do samochodu założyć na głowę worek z nieprzezroczystego materiału, który zdjąłby dopiero na miejscu. Sposobów było wiele. Wpatrzona w snopy reflektorów rozcinające unoszącą się nad drogą mgłę myślała, co zrobił w tej sprawie Matt. Czy faktycznie willa na Śmiałej jest pod obserwacją i czy CBŚP szykuje już nalot. Wciąż nie rozumiała tego braku entuzjazmu u Grzelińskiego. Od początku widziała, jak bardzo mu zależy na dotarciu do klubu, jak cieszy się drobnymi osiągnięciami w rodzaju zdobycia odcisków palców Damiana czy numeru rejestracyjnego samochodu Golczewskiego. Wszystko to posuwało sprawę naprzód. Ale kiedy odkryła coś bardzo istotnego, potraktował to trochę per noga.

Kilkanaście kilometrów przed Toruniem Iwona poczuła, jak w kieszeni brzęczy jej komórka. Wyjęła ją i zerknęła na wyświetlacz. Nie miała tego numeru w kontaktach i miała tylko nadzieję, że to nie Matt i że nie przyszło mu nagle do głowy zadzwonić do niej, sądząc, że w nocy to będzie bezpieczne. Może „klient” w sprawie kupna auta, co o tej porze oznaczałoby, że sytuacja jest pilna? Zacisnęła na chwilę zęby i ignorując zdziwiony wzrok Kury, odebrała, przykładając telefon do ucha. Nie sparowała go z systemem audio mercedesa.

– Wszystko zgodnie z planem? – Usłyszała głos człowieka z samej góry.

Odetchnęła z lekką ulgą i znów odnotowała kolejny punkt na korzyść klubu: każda wiadomość czy telefon tak jak teraz były z innego numeru.

– Ogólnie tak – odparła spokojnie. – Nasz gość nie był głodny, ale nie narzeka. – Zerknęła w lusterko wsteczne.

– Zostawcie go w Toruniu pod jakimś hotelem. Powiedz mu, że ma wracać do domu na własną rękę, że jest sytuacja awaryjna i będziemy w kontakcie.

Powiedz mu to, używając dokładnie tego sformułowania i po niemiecku, dla niego to i tak koniec podróży. Wie, co to znaczy, niczego więcej nie musisz mu tłumaczyć, więc nie będzie kłopotów, po prostu wysiądzie i sobie pójdzie. A wy zapierdalacie do Warszawy najszybszą trasą. Najdalej za dwie godziny macie być na miejscu. Jedź tam, skąd ostatnio brałaś towar do Falent. Zadzwoń, kiedy tam będziecie i pokieruję cię dalej.

– Co się dzieje? – zapytała zaniepokojona.

– Potem. Nie trać czasu. I daj mi Kurę do telefonu.

Bez słowa wyciągnęła rękę i podała komórkę Kurze. Spojrzał na nią zdziwiony, wyjął jej telefon z dłoni i przyłożył do ucha.

– Tak? – zapytał.

Iwona nadstawiła ucha.

– Nie mam przy sobie... Tak... Teoretycznie tak, ale to nie jest zasada. Czasem się zdarza, ale reakcje są różne. Mogę zorganizować szybko, jeśli to konieczne... Tak, znam kogoś w Warszawie. Bez problemu, załatwię w trymiga, żaden problem. Nie mogę powiedzieć... N-no, na Bielanach. Tak. Dobrze... Oczywiście.

Widziała, że się poci, wpatrzony niewidzącym wzrokiem w panel deski rozdzielczej. Zamilkł po chwili i ciężko wzdychając, oddał jej telefon. Iwona odłożyła go do przegródki za dźwignią zmiany biegów.

Skąd facet wiedział, że są jeszcze przed Toruniem? Skąd będzie wiedział, że są na Krasińskiego w Warszawie? Odpowiedź była oczywista. Lokalizator GPS, mały szpieg ukryty gdzieś w zakamarkach auta. Iwona chwyciła mocniej kierownicę i dodała gazu.

Kura zerknął na nią, marszcząc brwi, i otarł pot z czoła.

– Dobra, ty pierwsza. Co jest? – zapytał.

– Zmiana planów.

– Co?

– Pozbywamy się Szwaba.

– Mamy go...?

– Nie, wysiada w Toruniu i radzi sobie sam. A my jedziemy dalej, i to migiem.

– Ale co się dzieje?

– Nie wiem, nie powiedział mi. – Przetarła piekące powieki. – A ciebie o co pytał?



– Czy mam ze sobą swoją apteczkę.

– Po co?

– Chyba chcą kogoś zmusić do mówienia farmakologią. Tak zrozumiałem między słowami.

– Kogo?

– Mówię ci, że nic nie wiem. – Zdenerwował się lekko. – Na szybko może mieć tylko dor... No wiesz, to, co dajemy im w żarcu. Czasem oprócz niepamięci wstecznej reakcją jest niepowstrzymane mówienie rzeczy, jakich nie chce się mówić, ale to tylko czasem, rozumiesz? Tłumaczyłem mu, że nie można zakładać tego ze stuprocentową pewnością. To nie serum prawdy.

– A masz tę apteczkę?

– Nie.

Iwona była zaskoczona telefonem. Wyglądało to na jakieś paniczne działanie. Leki? Spece od tortur potrzebują leków, żeby wyciągnąć od kogoś informacje? A potem zadrzała, kiedy uświadomiła sobie, że tym kimś może być ona, bo jakimś cudem dowiedzieli się, kim naprawdę jest.

– Dobra, znajdź jakiś hotel w Toruniu – powiedziała niskim z napięcia głosem.

Kura wyciągnął swój telefon i w milczeniu zaczął go przeglądać, a Iwona spojrzała w lusterko wsteczne i zagaiła po niemiecku.

– Właśnie dostałam sygnał z klubu, że mamy sytuację awaryjną. Zostawimy pana zaraz w hotelu w Toruniu, to spore miasto, nie będzie problemu z transportem.

Niemiec milczał.

– Słyszysz mnie pan?

– Tak. Nie podoba mi się to.

– Przykro mi, jestem tylko kierowcą i wykonuję polecenia szefa.

– Ale co się dzieje?

– Nie mogę udzielać żadnych informacji. Wykonuję tylko instrukcje. Mamy sytuację awaryjną – powtórzyła.

Niemiec zamilkł. W niemal całkowitej ciemności, jaka spowijała tył auta, widziała tylko bladą plamę jego twarzy, ale wiedziała, że jest zły. Gównem ją to obchodziło. Kura znalazł hotel, nastawił nawigację i kilkanaście minut później znaleźli się w centrum, nieopodal ruin zamku krzyżackiego. Iwona zatrzymała się pod hotelem wskazanym przez Kurę. Niemiec po prostu

wysiadł bez słowa i trzasnął drzwiami. Patrzyli na jego szerokie plecy i plecak, kiedy szedł w kierunku wejścia, i milczeli.

– No i chuj – powiedział nagle Kura. – Ciekawe, co sobie o nas pomyślał. Nie wygląda to zbyt profesjonalnie.

Iwona nie skomentowała, tylko poprosiła:

– Nastaw mi trasę do A1, dobra?

Kura westchnął i spełnił jej prośbę. Kiedy wjechała na autostradę, znów weszła w spokojny tryb. Kura nie spał, tylko przeglądał coś w telefonie, a ona zastanawiała się, co się wydarzyło. Scenariuszy mogło być milion, żaden nie był ani bardziej, ani mniej prawdopodobny od innego, nie miała praktycznie żadnych danych, na podstawie których mogłaby je tworzyć, a jednak to wciąż zaprzętało jej myśli. Byli tak blisko i tak daleko jednocześnie. Ale pocieszające, że jakiejś dziewczynie albo jakiemuś chłopcu znów się udało ująć z rąk zwyrodnialca. I to zdecydowanie poprawiało jej humor.

– To już chyba wiem, co się dzieje – powiedział nagle Kura i podsunął jej pod nos telefon.

Zerknęła szybko i wróciła wzrokiem na drogę. Na zdjęciu zrobionym z dość dużej odległości widać było jakieś budynki, maleńkie czerwone kropki wozów strażackich, a nad tym wszystkim unosił się ogromny, czarny słup dymu.

– To wiadomości? – zapytała, czując, jak krew uderza jej nagle do głowy.

– Tak, z Onetu.

– Przeczytaj – poprosiła.

Kura przesunął obrazek i zaczął czytać.

– Na terenie jednej z największych w kraju ferm drobiu w Falentach niedaleko Warszawy wybuchł znacznych rozmiarów pożar. Jego przyczyna jest na razie nieznana, w akcji gaśniczej uczestniczy kilkadziesiąt jednostek państwowej straży pożarnej wspomaganych przez okoliczne jednostki OSP. Na razie nie ma doniesień o ofiarach, już w chwili obecnej straty szacuje się na miliony złotych... – Urwał i bezwiednie zmierzwił włosy. – Grubo, mamuska, co?

Mruknęła coś w odpowiedzi.

– Jedziemy tam? – zapytał Kura.

– Nie. Jedziemy do Warszawy.

– Do klubu?

– Pewnie tak.

– No to rzeczywiście grubo. Myślisz, że to ma związek? Pożar i anulowanie wizyty?

Anulowanie wizyty, pomyślała. Znowu neutralny zamiennik określenia zbrodni. Jakie to wygodne...

– Nie wiem – powiedziała, choć była pewna, że owszem, to ma związek.

– Pewnie konkurencja postanowiła ich sfajczyć – mądrzył się dalej Kura. – Chuj wie, kim ci z klubu są i z kim, i w co grają. Jak wysoko obstawiasz, to albo dużo wygrywasz, albo dużo tracisz. Normalka. Jeśli tego nie wiesz, nie powinieneś grać.

– To dla ciebie jest normalka? – Nie mogła się powstrzymać.

Spojrzał na nią wzrokiem bez wyrazu.

– Ja jestem mały zuczek, mówiłem ci. Ale trochę wiem o tym biznesie. A ty nie? – Parsknął. – Pewnie złapali podpalacza i chcą z niego wyciągnąć, dla kogo pracuje. Teraz to ma sens.

– Tylko dlaczego mamy jechać do Warszawy, a nie do Falent? – zapytała.

– Tego akurat nie wiem. – Kura wzruszył ramionami.

Iwona w milczeniu patrzyła na drogę. Uspokoila się trochę, bo to faktycznie brzmiało sensownie. Skoro byli i tak w drodze, a Kura miał doświadczenie z lekami...

Poprawiła się w fotelu. Licznik wskazywał sto osiemdziesiąt na godzinę, więc wolała się skupić. Było późno i chciała zjawić się na czas. Mercedes połykał drogę z nieco głośniejszym niż zwykle mruzeniem silnika, Iwona praktycznie wciąż jechała lewym pasem mimo niewielkiego o tej porze ruchu. Kura nic nie mówił, tylko nieustannie gapił się w telefon i co jakiś czas pisał z kimś na jakimś komunikatorze, a ona zastanawiała się, z kim można czatować w środku nocy. I tak było praktycznie aż do samej Warszawy.

Na miejscu czekał na nich jakiś mężczyzna. Stał w cieniu zaparkowanego na dwóch miejscach postojowych dostawczaka, a kiedy Iwona zjechała z Krasińskiego na parking, podniósł rękę, więc zatrzymała się przy nim i otworzyła szybę. Mężczyzna pochylił się i uważnie zlustrował wnętrze auta. Nie miała wątpliwości. To był Chyła.

– Jedziecie za mną – powiedział, a ona, słysząc to, poczuła, jak tężeją jej wszystkie mięśnie.

Patrzyła w oczy człowiekowi z samej góry.

Chyła wyprostował się nagle i ruszył w stronę stojącego nieopodal czerwonego porsche carrera. Widać było, że jest zdenerwowany. Wsiadł do swojego samochodu i po chwili ciszę nocy przerwał krótki ryk silnika.

– Takim to dobrze. – Kura westchnął, obrzucając porsche zazdrosnym spojrzeniem.

– Przypominam ci, że gościowi właśnie fajczy się interes życia – zauważyła Iwona.

– To z nim rozmawiałaś w kiblu w Warmucie? – zapytał Kura.

Skinęła głową. Ruszyła za Chyłą i wyjechała na ulicę.

– Z tym gościem gadałem przez telefon wtedy, jak odstrzeliłaś Damiana. – Pociągnął nosem. – Poznaję jego głos. To chyba sam szef, co?

– Nie wiem – odparła drewnianym głosem, wpatrzona w tył porsche. – Być może.

Cienka, świetlna linia łącząca tylne lampy biła w oczy czerwienią. Iwona zwróciła uwagę, że tablica rejestracyjna zaczynała się na WH, jak w mercedesie Golczewskiego. Objechali plac Wilsona i skręcili w Mickiewicza.

– Coś czuję, że będzie jakaś akcja, zobaczysz – powiedział z przekonaniem w głosie Kura. – Nie pokazałby nam się tak bez sensu, co nie, mamuśka? – Spojrzał na nią.

– Też tak myślę.

– Chyba nie wyślą nas na strzelankę z konkurencją, jak już skończą z tym, którego złapali, co?

– To biznesmeni, Kura. A my jesteśmy naganiaczami, a nie żołnierzami. – Włączyła kierunkowskaz, bo porsche właśnie przecięło tory tramwajowe i skręciło w jakąś wąską uliczkę.

Chyła się nie szczypał, tylko gnał przez strefę ograniczonej prędkości ponad siedemdziesiąt na godzinę, zwalniając tylko gwałtownie przed garbami, które miały powstrzymywać takich jak on szaleńców.

– Naganiaczami, ale z doświadczeniem w strzelaniu, co nie? – Kura zerknął na nią z ukosa.

– Daj już spokój, co? – poprosiła, rozglądając się na niewielkim skrzyżowaniu.

– W takim razie po co nas tam ciągnie? – dopytywał, jakby nie usłyszał, co do niego mówi.

Iwona chciała coś odpowiedzieć, ale kiedy skręciła za samochodem Chyły w kolejną uliczkę i światła mercedesa prześlizgnęły się po niebieskiej tabliczce z jej nazwą, nagle zabrakło jej tchu.

Właśnie wjechali w Śmiałą.

## POKÓJ ROZKOSZY

Zaparkowali na podjeździe obok porsche. Przed szeroką na dwa auta bramą garażu stał już czarny mercedes i Iwona przełknęła ślinę. To był ten, którym jechała: auto Golczewskiego. Wyglądało to na jakiś spęd, sytuacja musiała być faktycznie poważna, choć wciąż zastanawiała się, dlaczego sprowadzili ich akurat tutaj, choć wyjaśnienie mogło być wbrew pozorom proste: w Falentach oprócz straży było zapewne sporo policji i prokurator.

Chyła wysiadł ze swojego samochodu, jego twarz pojawiała się i niknęła w półmroku w rytm pomarańczowego światełka sygnalizacji zamykania bramy. Kiedy Iwona wyłączyła silnik, na podjeździe zapadła ciemność, rozpraszana małą latarnką wiszącą nad wjazdem do garażu. Oboje z Kurą wysiedli i ruszyli za Chyłą, który zniknął w przejściu między wielkimi krzewami tamaryszku.

Iwona miała wrażenie, że wchodzi w paszczę lwa, ale nie mogła zawrócić. Ucieczka byłaby jak przyznanie się, kim jest. Zdawała sobie sprawę, że ryzykuje życie, ale tak naprawdę robiła to niemal codziennie od kilku tygodni i teraz też nie miała wyjścia. Mogła liczyć tylko na szczęście i swoje umiejętności.

Weszli za Chyłą do środka domu. Iwona zdążyła zauważyć, że to stylizowana na dworek willa o białej elewacji, z oknami zasłoniętymi żaluzjami antywłamaniowymi. W środku też było jak w dworku: stare meble z poustawianymi na nich bibelotami, szable i łby jeleni z wielkimi porożami wiszące na ścianach, granitowa posadzka i kandelabr zwisający z sufitu obszernego holu, z którego można było rozejść się po całym domu. Kiedy mijali kuchnię, do której Iwona zerknęła przez otwarte drzwi, zobaczyła, że na podłodze leży ciało ogromnego mężczyzny ubranego w garnitur. Wyglądał jak stereotypowy ochroniarz z kiepskich filmów gangsterskich i chyba nim nawet był, bo marynarkę pod lewą pachą wypychał jakiś przedmiot. Goryl nie zdążył jednak po niego sięgnąć: na środku czoła miał małą dziurkę, z której spływała strużka krwi. Ręce były

szeroko rozrzucone, jedno oko otwarte, drugie zamknięte. Strzelec odłączył mu zasilanie w ułamku sekundy.

Zatrzymała się odruchowo, a Chyła obejrzał się, zawrócił i też zajrzał do kuchni.

– To był Romek, pilnował interesu na miejscu – wyjaśnił. – Zawieziecie go do Falent, jak wszystko się trochę uspokoi. Naszego tajemniczego gościa też, jak już z nim skończymy. Tylko trzeba będzie ich zakopać, bo skurwiel wysadził piec w spalarni. Na razie poleżą w piwnicy.

Iwona czuła, jak adrenalina uderza w nią z mocą tarana. Musiała się skupić.

Chyła podszedł do drzwi i otworzył je, a potem odsunął się, żeby ich wpuścić. Na jego twarzy malowała się duma.

– Witajcie w Klubie Pięćset Dwadzieścia Sześć, w jego sercu. Nazywamy to pokojem rozkoszy.

Iwona zajrzała tam pierwsza i jej oczom ukazało się ogromne pomieszczenie, które kiedyś musiało być czymś w rodzaju sali balowej. Teraz wyglądało jak skrzyżowanie sypialni multimilionera o fatalnym guście z piwnicą, w której kręci się najbardziej wyuzdane i nielegalne filmy porno. Ściany miały kolor karminu, choć trudno było ocenić faktyczny odcień tej barwy z powodu mdłego światła padającego z kinkietów. Jedną ścianę zajmował olbrzymi regał, na którym Iwona dostrzegła dziesiątki wibratorów różnych odmian oraz pejcze i baty. Głowy manekinów przystrojone były w akcesoria sadomaso. Przed regałem stało coś nakrytego czerwoną płachtą i Iwona domyśliła się, że to fotel ginekologiczny. Obok niego znajdowała się jakby rama, z której zwisały łańcuchy. A na środku umieszczono wielkie, okrągłe łoże z kilkunastoma poduszkami. Delikatne światło sączyło się spod niego, a nad nim Iwona widziała drugie, które odbijało się w pokrytym lustrami suficie.

Była w jaskini lwa. Była dokładnie tam, gdzie chcieli dojść. Golczewski siedział na skraju łóżka i palił papierosa, ale to nie on zwrócił uwagę Iwony, kiedy oderwała wreszcie wzrok od chorego wystroju wnętrza.

Na podłodze, oparty o ścianę siedział Grzeliński. Był ubrany na czarno, miał na sobie kamizelkę taktyczną, a zamiast sandałów wojskowe opinacze. Twarz była opuchnięta i zakrwawiona, miał nos wielki jak kartofel i dopiero kiedy mu się przyjrzała, poznała go z zaskoczeniem, które ledwo

udało jej się zamaskować. Poczwała tylko, jak blednie, a serce zaczyna trzepotać w jej piersi jak przestraszony ptak. Na łóżku obok Golczewskiego leżał karabinek automatyczny z odłączonym magazynkiem i kilka granatów.

– Już się trochę naszym gościem zajęliśmy, ale małomówny jakiś jest – wyjaśnił Chyła, ocierając z czoła pot. – Może za słabo biliśmy, jak myślisz, tato? Może podepniemy go do ramy i naprawdę się nim zajmiemy? – Wskazał na ramę z łańcuchami, do której zapewne przypinano klientów lubiących ból.

– Samotny myśliwy, co? – zapytał z kpiną w głosie Golczewski, nie zwracając uwagi na syna.

– Tato, takiego sprzętu nie da się załatwić w sklepie myśliwskim. – Wyglądało, jakby rozpaczliwie starał się zwrócić na siebie uwagę ojca.

– Co ty powiesz? – odparł Golczewski i widać było, że Chyle nie wyszło.

Był tak rozedrgany, że nie zauważył sarkazmu w głosie ojca.

– Heckler&Koch? Granaty? Kto to, kurwa jest? Pieprzony Rambo? – Pochylił się nad Grzelińskim, chwycił go za włosy i szarpnął, przyciągając jego głowę ku sobie. – Wsadzę ci jeden w dupę i wyciągnę zawleczkę, co ty na to, gnoju? To będzie lepsze niż bicie.

– Naprawdę musimy na to patrzeć? – zapytała Iwona bez tchu.

Chyła puścił Matta, a ten osunął się po ścianie na podłogę.

– Będiesz na to patrzeć, oboje będziecie – warknął Golczewski, wskazując ich końcówką papierosa. – To wam uzmysłowi, że z nami nie ma żartów. Docięcie to, że mamy do was zaufanie. Jak z tym lekiem? – Obejrzał się na Kurę. – Mamy tylko strzykawki, jakby co, tylko będzie problem z zaaplikowaniem. Jak będzie się szarpał, to nie trafisz w żyłę. I oceń dawkę, to kawał gnoja, chyba trzeba będzie dać podwójną?

– Nie trzeba robić zastrzyku. – Kura odrychał szybko. – Można doustnie, będzie łatwiej. Tylko... Przepraszam pana, chciałem przypomnieć, że dormicum nie zawsze działa jak serum prawdy.

Wyglądał tak, jakby spodziewał się obarczenia go za to całą winą, gdyby faktycznie coś takiego się zdarzyło.

– Liczę się z tym. – Golczewski poprawił okulary i zaciągnął się dymem z papierosa. – Załatw to. Jedź.

– Jasne, tylko po drodze zatankuję, dojechaliśmy tu na oparach.



Golczewski spojrzał na niego jak srogi nauczyciel na ucznia z osłej ławki, a Chyła zacisnął zęby.

– Pieprzony idiota – warknął.

– Mieliśmy przyjechać jak najszybciej...

– Weź moje porsche i załatw to wreszcie. – Sięgnął do kieszeni spodni, wyjął z niej kluczyki i podał Kurze. – Tylko nie zarysuj, bo cię zajebię.

Iwona widziała, jak chłopakowi zaświeciły się oczy. Znów wylazł z niego dzieciak.

– Jezu, dzięki za zaufanie! – Niemal wyrwał je Chyle z ręki. – Będę za dwadzieścia minut, obiecuję. Góra dwadzieścia pięć!

Odwrócił się na pięcie i zniknął za drzwiami. Iwona została, nie wiedząc, co robić. Czowała tylko, jak czubki jej palców lodowacieją ze zdenerwowania, a po podbrzuszu rozlewa się tępy ból.

– No to sobie poczekamy i pogadamy – stwierdził spokojnie Golczewski, pstrykając niedopałkiem w kierunku twarzy Grzelińskiego i trafiając go w czoło.

W przeciwieństwie do syna po Golczewskim nie widać było najmniejszego śladu zdenerwowania. Ale w końcu to nie jemu palił się interes, pomyślała Iwona.

– Może pogadamy, na czym wam bardziej zależy: na fermie czy na klubie, co? – odezwał się niespodziewanie Matt, patrząc na leżący obok niego niedopałek.

Chyła i Golczewski stężeli nagle, a ten drugi zrobił krok naprzód i powoli, z namysłem rozdeptał kiepa.

– To nikt nasłany przez tych gnojków z „Fermutexu”, jak podejrzewałeś – stwierdził Chyła, zerkając na ojca, a na jego twarzy widać było ogromne zaskoczenie. – Skurwiel o nas wie. Wie o klubie. Tylko ile wie?

– Zaraz się przekonamy. – Golczewski stanął nad Mattem i zaczął podwijać rękawy błękitnej koszuli: powoli, starannie i metodycznie. – Musisz coś o mnie wiedzieć. Jestem obsesyjnie porządnym człowiekiem. Uwielbiam schludność i czystość. Jediną rzeczą psującą mi radość z zabaw, jakie tu sobie urządzamy i jakie organizujemy klientom, jest świadomość, że trzeba będzie potem posprzątać. Dlatego raczej unikamy rozlewu krwi, choć klienci mają oczywiście różne upodobania. Ja wolę czystą zabawę, mój syn nie ma nic przeciwko temu, ale szanuję to. I to dlatego chciałem

załatwić sprawę czysto. Tylko widzę, że tym razem nie mamy jednak wyjścia, bo jesteś twardy i bicie nie przynosi efektów. Są w ludzkim ciele bardzo ukrwione narządy, jak zapewne wiesz. Niektóre są bardziej istotne dla życia, inne mniej. Ale jak ci obetnę kutasa, to chyba wyśpiewasz wszystko, jak myślisz? Powiesz, skąd wiesz o klubie, wszystko nam powiesz...

– I tak... mnie zabijecie... – wydyszał Matt, a ona modliła się, żeby był to tylko zły sen, koszmar, z którego zaraz się obudzi.

Golczewski prychnął pogardliwie.

– Oczywiście, że tak, chyba nie masz złudzeń? – Pochylił się nad swoją ofiarą. – Tylko że śmierć może być wybawieniem i jedynie od ciebie zależy, kiedy nastąpi. A uwierz mi, mamy spore doświadczenie w zadawaniu bólu. Będziesz o nią błagał, zobaczysz. I skoro już stało się to, co się stało, to mogę ci obiecać, że jeżeli powiesz nam, co wiesz i dla kogo pracujesz, odejdiesz szybko i bezboleśnie. Tylko od ciebie to zależy. Wyłącznie.

– Spierdalaj, gnido.

Golczewski smutno pokiwał głową, a kiedy Chyła z wściekłą miną ruszył w kierunku Grzelińskiego, powstrzymał syna wyciągniętą dłonią.

– Czyli jednak nie zależy ci na sprzęcie – stwierdził obojętnie. – W sumie i tak nie będzie ci już do niczego potrzebny, ale to nic przyjemnego patrzeć na kikut po odciętym penisie. W dodatku własnym. Za to może ten widok rozwiąże ci jednak język. Na to liczę. Marcin, daj stazę.

Iwona poczuła, że zaraz zacznie krzyczeć nieopanowanym wrzaskiem. Nie wierzyła w to, co działo się w tym pomieszczeniu.

– Poczekajmy może na Kurę i ten jego specyfik – zasugerowała, starając się, żeby jej głos brzmiał w miarę normalnie.

Nie brzmiał, ale w tych okolicznościach właśnie to było chyba normalne.

– Podobno nie ma stuprocentowej pewności. A kiedy utnę mu ptaka, będzie śpiewał jak skowronek, zaręczam ci.

Iwona doszła w tej samej chwili do wniosku, że Golczewski chce po prostu Matta nastraszyć. Skoro wysłał jednak Kurę do dilerów po dormicum i deklарował obsesyjną czystość, zrobienie Mattowi tego, o czym wspomniał przed chwilą, było jednak mało prawdopodobne. To powolne podwijanie rękawów było jak prezentowanie ofierze przez kata narzędzi tortur. Miała kilka minut. Zaledwie kilka minut, żeby coś wymyślić.

Tylko co?

– Jezu, muszę do toalety – powiedziała nagle, krzywiąc się.

Golczewski spojrzał na nią bez wyrazu.

– Podobno jesteś twarda – rzucił.

– Może się czymś strułam, nie wiem, chyba mam biegunkę. Mam narobić tutaj?

– Zrób, co trzeba, i wróć tu. – Nagle zawahał się i spojrzał na nią uważniej. – Nawet nie próbuj uciekać, bo i tak cię znajdziemy.

– Nie zamierzam nigdzie uciekać – powiedziała twardo i była to najświętsza prawda.

Golczewski zrozumiał ją opacznie, ale uwierzył, widziała to w jego oczach.

Wyszła z pokoju rozkoszy do holu, pociągając za sobą drzwi. Nie zamknęła ich całkiem, a jedynie zostawiła lekko uchylone, na tyle jednak, by zasłonić ich skrzydłem część widoku.

Teraz musiała kombinować.

Nie miała wątpliwości, że gdyby wezwała policję i nawet jakimś cudem udałoby się jej przekonać kogoś, żeby to nie był zajazd na bombach, tylko cicha akcja specjalistów, to Matt nie przeżyłby tego. Pierwszy zginąłby z ręki Golczewskiego albo Chyły. Nawet gdyby wzięli go na zakładnika podczas oblężenia, skończyłby z kulą w głowie tuż przed nimi, bo obaj nie mieli nic do stracenia i musieli zdawać sobie z tego sprawę. Chyła był tchórzem, mocnym w gębie i mocnym przy dzieciakach, ale Golczewski był bestią i nie zawahałby się rozegrać tego po swojemu. Może nawet zabiłby własnego syna, gdyby temu przyszło do głowy negocjować.

Poza tym nie było czasu.

Zrobiła krok w prawo i zniknęła w kuchni. Pochyliła się nad ciałem zabitego przez Matta ochroniarza i odchyliła połę marynarki, ale kabura pod nią była pusta. Ktoś musiał wyjąć broń. Matt? Chyła? Golczewski? A może w domu był ktoś jeszcze? To ostatnie było mało prawdopodobne, bo Matt z pewnością załatwił sprawę porządnie.

Ukradkiem wymknęła się z kuchni, z pokoju rozkoszy dobiegły ją odgłosy ciosów i jęki Matta. Zaciśnęła pięści i cicho wybiegła na dwór, przymykając tylko drzwi wyjściowe. Skręciła między krzewy i po chwili była już na podjeździe. Dopadła mercedesa Golczewskiego, lecz drzwi były zamknięte. Z zaciśniętymi zębami popatrzyła do ciemnego wnętrza wozu i nagle

odwróciła się w stronę drugiego mercedesa; tego, którym przyjechali z Kurą. Przykulona obeszła auto dookoła, modląc się w duchu po raz pierwszy od wielu, wielu lat. Dziękując Bogu, że to ona prowadziła w tę stronę i dzięki temu miała przy sobie kluczyki, otworzyła drzwi pasażera i sięgnęła pod fotel. Kiedy między kablami instalacji elektrycznej wyczuła pod nim zimny metal i znajomy kształt, podziękowała Mu po raz drugi i prawie krzyknęła z radości.

– Ty pierdolony łgarzu – syknęła z satysfakcją.

Poczuła, jak w jej serce wlewa się nadzieja. Szerokim, jasnym strumieniem, który nagle dodał jej sił i mocy. Zaciśnęła palce na broni i wyszarpnęła ją spod fotela. W świetle lampki podsufitowej sprawdziła stan siedemnastonabojowego magazynka: przez otwory wziernika zobaczyła, że był w połowie pełny. Włożyła go z powrotem, przeładowała glocka i dla pewności zrobiła press check, a potem dobiła magazynek i zamek dłonią.

Była gotowa. Nadszedł czas, żeby to zakończyć.

Pochylona, na ugiętych nogach, z bronią w pozycji *high ready* pobiegła w kierunku domu. Nogą uchyliła drzwi i weszła do środka, wyciągając broń przed siebie. Gdy podeszła do drzwi pokoju rozkoszy, lekko nacisnęła łokciem skrzydło, otwierając je na całą szerokość.

– Już? – zapytał Chyła, słysząc ją, ale nie patrząc na nią.

Nie patrzyli na nią obaj. Iwona poczuła euforię. Chciała cieszyć się tą chwilą.

– Koniec zabawy, skurwysyny – warknęła. – Pod ścianę i widzę ręce. I nawet nie próbujcie mnie prowokować, najmniejszy ruch i z przyjemnością naciskam spust. Jazda!

Obaj obejrzelisię powoli. Ręce Chyły błyskawicznie powędrowały do góry, Golczewski tylko swoje zaciśnął w pięści. Cofnęli się o krok.

– Jesteś wielka, słońce, mówiłem ci to już? – stęknął Matt.

– Powiesz mi jeszcze raz po wszystkim. – Wyszczrzyła się do niego, nie spuszczać obu popaprańców z celu.

– Podaj mi karabinek, zanim wpadnie im coś głupiego do łbów.

Ostrożnie wyciągnęła lewą rękę. Prawa wciąż ścisnęła glocka Kury, który wycelowany był dokładnie w ścianę pomiędzy głowami Golczewskiego i Chyły.

– Krok w tył, obaj – warknęła, pochylając się. – Oprzeć się o ścianę, macie być jak przyklejeni. Tatusiek, ręce wyżej, więcej nie powtórzę.

Chyła z Golczewskim, patrząc na nią nienawistnie, zrobili, co im kazała. Golczewski miał zacięty wyraz twarzy, Chyła z kolei był przerażony. Iwona miała rację. Był gnojkiem, zboczonym gnojkiem, po tatusiu, ale tamten przynajmniej umiał opanować nerwy. To Golczewski był szefem, a Chyle tylko się wydawało, że nim jest.

– Który ma broń tego trupa z kuchni? – zapytała.

Obaj milczeli.

– Mam wam przestrzelić kolana i sama sprawdzić?

Chyła wskazał na regał z wibratorami.

– Tam odłożyłem. – Jego głos był piskliwy ze strachu i to sprawiło Iwonie ogromną satysfakcję.

– Dojedziemy cię, suko. Nie wiesz, w co się bawisz ani z kim. – Golczewski oblizał usta, ale nie opuścił rąk.

Roześmiała się w głos. Wreszcie mogła sobie pozwolić na śmiech.

– Ty dalej nie zdajesz sobie sprawy, że to koniec, co? – prychnęła. – Wasz rodzinny interes, a w zasadzie oba, właśnie upadły. Niniejszym ogłaszam rozwiązanie Klubu Pięćset Dwadzieścia Sześć, pieprzone ścierwa. Pobawicie się z kumplami spod celi szczotką do kibla.

Ostrożnie sięgnęła na łóżko, chwyciła karabinek i podała go Mattowi, a potem zrobiła to samo z magazynkiem. Grzeliński z trudem wcisnął go w gniazdo i przeładował broń. Iwona obejrzała się na niego. Kiedy wycelował w jej stronę, uśmiech zszedł jej z twarzy, a mięśnie ud zmieniły się w kamienie.

– Co ty wypra... – wykrztusiła, ale Matt nie dał jej nawet dokończyć, tylko nacisnął spust.

## QUENTIN TARANTINO

Rzuciła się na podłogę, szukając schronienia pod łóżkiem i boleśnie uderzyła się w czoło, bo za zwisającą z materaca narzutą zamiast wolnej przestrzeni była rama. Łóżko stało zbyt nisko nad podłogą, żeby Iwona była w stanie schować się pod nie, więc jedyne, co jej pozostało, to wcisnąć się w kąt między nim a podłogą, skulić i objąć ramionami, chroniąc w ten sposób przynajmniej odrobinę głowę i korpus. Huk był nieznośny.

Seria kilkunastu pocisków przeorała przestrzeń pokoju. Część z nich wbiła się w ścianę, a część utkwiała w ciele Golczewskiego, który skulił się i runął na podłogę, będąc martwym, zanim jeszcze się na niej znalazł. Jeszcze w powietrzu obrócił się i upadł na wznak. Chyła stał z otwartymi do krzyku ustami, jednak nie wydostawał się z nich żaden dźwięk. A może to tylko ona go nie słyszała, ogłuszona serią z karabinka?

Przeniosła wzrok na Matta. Zobaczyła, że skulił się i wystawił język, jakby miał zaraz zwymiotować i z jego ust popłynęła strużka krwi. Chyła wykorzystał ten moment i rzucił się w stronę regału z wibratorami, na którym leżała broń Romka, trupa z kuchni. Skracając sobie drogę, rzucił się po niego przez łożę, jednak pocisk dopadł go tam i cisnął na materac jak szmacianą lalkę. Zastygł z bezruchu, jeszcze przez chwilę jego ciało kołysało się razem z łóżkiem, a potem wszystko ustało i zapadła cisza.

Iwona trzęsła się. Siedziała na podłodze, zakrywając uszy, i trzęsła się jak antylopa, która właśnie umknęła lwu. Smugi siwoniebieskiego dymu unosiły się w powietrzu, a ona oddychała przez usta, żeby nie czuć drażniącego, kwaśnego smrodu prochu, i próbowała się uspokoić. Kiedy przestało jej dzwonić w uszach, odsunęła od nich dłonie i spojrzała na Grzelińskiego. Siedział oparty o ścianę, karabinek leżał obok niego na podłodze. Wyglądał na wyczerpanego, roztarta wierzchem dłoni smuga krwi barwiła podbródek.

– Dlaczego? – zapytała Iwona, czując żółć podchodzącą do gardła.

Grzeliński skrzywił się.

– W zasadzie przyszedłem tu się rozejrzeć, nie myślałem, że sprawy przybiorą taki obrót.

– Rozejrzeć się? Kpisz sobie ze mnie? W takim stroju? Z tym całym zelastwem? Rozglądałeś się hecklerem&kochem?

– Przyznaję, byłem gotowy na ostateczne rozwiązanie, ale nie myślałem, że to nastąpi tak szybko. No i nie doceniłem ich. Sforsowałem alarm, wszedłem do środka, rozwaliłem małą w kuchni i zacząłem szperać, aż znalazłem ten pieprzony pokój. Muszą tu mieć podgląd i jakąś instalację z gazem, bo kiedy wszedłem, coś syknęło i zanim zdążyłem uciec, straciłem przytomność. Gdyby nie ty... – Pokręcił głową.

Milczała, gryząc wargi.

– Kim jesteś? – zapytała w końcu. – Podszyłeś się pod policjanta?

– Nie. Jestem psem. Jestem myśliwskim psem, tak jak ty. I to, że już nie pracujesz w policji, niczego nie zmienia.

– Chcesz mi powiedzieć, że to jest działanie zgodnie z prawem? – Potoczyła ręką po pokoju.

– Każda zbrodnia powinna zostać ukarana. Trzeba ci tłumaczyć takie rzeczy? Tobie?

– To nie kara. To zemsta.

Grzeliński roześmiał się, a potem rozkaszał i jego twarz ściągnął grymas bólu.

– Odwieczne pytanie, co? – Odetchnął głęboko. – Gdzie kończy się kara, a zaczyna zemsta? I powiem ci więcej: nie ma na nie odpowiedzi.

– To na pewno nie była kara. – Jej oczy ciskały pioruny. – Pytanie, za co się mścisz, Matt. Dlaczego ty i dlaczego tak wściekle? O co tu chodzi?

– Nie wierzę, że to mówisz. – Pokręcił głową. – Nie ty...

– Chcę to wiedzieć. Chcę wiedzieć dlaczego. Wszystko tu śmierdzi podpułą. Wszystko.

– Popatrz na mnie, Iwona. Przypomnij sobie chłopaka z furgonetki. Przypomnij sobie, co przed chwilą mówili ci, po których przyszedłem. Chciałaś ich wsadzić za kraty? Zresocjalizować? Dać drugą szansę? To zwierzęta, nie rozumiesz? Kreatury.

– Nie rozumiem! – krzyknęła. – Dlaczego jesteś tu sam? Dlaczego nie ma „czarnych”, gdzie ekipa kryminalistyczna? Gdzie są wszyscy, Matt? Gdzie oni wszyscy są, do cholery?! Co tu się odjebało?

Grzeliński oddychał przez chwilę. Nagle dobiegł ich jęk Chyły, więc Iwona wstała i zerknęła na niego. Leżał na łóżku i nie ruszał się. Jego ręce były w jej polu widzenia, więc nie zareagowała, bojąc się, że Grzeliński będzie chciał dokończyć, co zaczął.

– Jak w greckiej tragedii – sarknął Matt, chcąc się chyba roześmiać, ale ból nie pozwolił mu na to. – Albo jak u jakiegoś jebanego Quentina Tarantino, co?

– Odpowiedz mi na pytanie. Musimy wezwać pogotowie i policję.

– Jeszcze chwila.

– Możesz nie mieć już więcej czasu, Matt. – Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. – Jesteś ciężko ranny. Musieli walić w ciebie jak w worek.

– Owszem, walili. Skakali mi po brzuchu i kroczu. Kopali w głowę. Ale to nie ma znaczenia.

– Naprawdę?

Zmarszczył brwi, wyciągnął przed siebie dłoń i popatrzył na nią. Trzęsła się.

– Nie będzie żadnego postępowania – wychrypiał. – Nie będzie procesu. Musi być tylko kara. A właściwie eliminacja. Po tym miejscu ma nie być śladu. Nie zostanie po nim kamień na kamieniu.

Patrzyła na niego z otwartymi ustami.

– Okłamałeś mnie, skurwysynu. Nie było żadnej inwigilacji, podsłuchów! To nie jest żadna tajna akcja. To jest twoja akcja! A ty mnie po prostu wykorzystałeś!

– Pamiętasz, co przysięgałaś?

– Co?

– Czy pamiętasz, co powiedziałaś na ślubowaniu? Ślubuję strzec bezpieczeństwa życia obywateli nawet z narażeniem własnego życia.

Iwona pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Przestrzegać prawa i etyki zawodowej. To też jest w tekście ślubowania. O tym zapomniałeś?

Westchnął i spojrzał gdzieś w bok, na półkę z wibratorami i batami.

– Są miejsca, gdzie prawo się kończy, bo nie uwzględnia skali wyrządzonego zła. Jak na wojnie. Prowadzenie działań wojennych jest skodyfikowane, wyobrażasz to sobie? Należy ją prowadzić z poszanowaniem



prawa wojennego. I co z tego? Czy ktoś się tym przejmuje? Przecież to jest, kurwa śmieszne! A raczej byłoby śmieszne, gdyby nie było tak idiotyczne i tragiczne. To jest chore, Iwona. Jaką karę przewiduje prawo dla tych skurwysynów? Dożywocie. Będą mieli dach nad głową i ciepłe jedzenie do końca życia, i nawet nie będą musieli na to pracować. Gdzie tu sens, słońce?

– Uważasz, że będzie im w pierdлу dobrze?

– To nieważne. – Głowa opadła mu na pierś i siedział tak przez chwilę, a potem znów zebrał się w sobie i popatrzył na Iwonę zamglonym z bólu wzrokiem. – To już nieważne. Podjąłem decyzję i poniosę jej konsekwencje. Wziąłem na siebie wykonanie kary w imieniu społeczeństwa. A z tego miejsca, z tego plugawego domu, nie może zostać kamień na kamieniu.

– A ja, Matt? – zapytała słabo. – Co ze mną? Ja też podjęłam decyzję.

– Zgadza się.

– Bo mnie okłamałeś. Gdybym знаła prawdę, nigdy bym się nie zgodziła.

– A co byś zrobiła? Co byś zrobiła, gdybym ci powiedział, że potrzebuję kogoś do nielegalnej infiltracji grupy ludzi zabijających dzieciaki? – Iwona patrzyła mu w twarz i oblizywała usta, a jemu nagle zabłyśły oczy. – Okłamałem cię tylko w jednym; że to policyjna akcja. Zaczęliśmy ją planować, ale z jakichś powodów skasowano tę operację na dość zaawansowanym etapie. Nie uznałem tej decyzji i nie rozumiałem jej. Była błędna, ale nie miałem nic do gadania. Oczywiście, że prawie na pewno w końcu by wpadli. Może przypadkiem, a może któraś z ofiar przeżyłaby, uciekła i zgłosiła się na policję. Tylko kiedy? Za miesiąc, rok, dwa lata? Nawet jeden dzień dłużej to było za długo, Iwona. Uratowaliśmy kilka istnień. Może jedno, a może dziesiątki, nieważne, liczy się nawet to jedno. Zrobiliśmy to, co kiedyś przysięgaliśmy robić, rozumiesz? Więc pytam cię jeszcze raz: jeśli jedyną rzeczą, w jakiej mijałem się z prawdą, była legalność tej akcji, to wiedząc to, zrobiłabyś to samo? Zgodziłabyś się?

Iwona milczała.

– To dzięki tobie. Twojej odwadze, poświęceniu i sprytowi. Kiedy znalazłaś związek między tymi cyframi a tą willą, czułem, jakbym chwycił Pana Boga na nogi. Wreszcie coś mieliśmy, coś pewnego, choć nie do końca, i dlatego musiałem to sprawdzić. Zabezpieczyłem się na każdą ewentualność... – Poklepał karabinek. – Bo mogliśmy nie mieć następnej szansy, rozumiesz? Podpaliłem fermę, żeby mieć czyste pole. Żeby ich tam

ściągnąć i móc spokojnie się tu rozejrzeć. Podejrzywałem, że ktoś będzie w środku, i wliczyłem to w ryzyko, które wyeliminowałem na miejscu.

– Dlaczego przyjechałeś tu sam?

– Miałem być sam, oni powinni siedzieć w Falentach.

– Mam na myśli zabezpieczenie. Nawet jeśli to nielegalna akcja, to to, co zrobiłeś, było głupotą. Mówię o przyjsciu tu samemu. Bez wsparcia.

– A jeśli mam zabezpieczenie? – Spojrzał na nią zagadkowo.

– Niby kogo? – Prychnęła.

– Kogoś zaufanego. – Głowa opadła mu na pierś i po chwili dźwignął ją z trudem.

– To dlaczego ten ktoś nie zareagował, kiedy ci dwaj zaczęli cię torturować?

– Ty przysłaś.

– A gdybym nie przysłała? Gdyby Kura nie wziął jednak klamki, tak jak mówił? Musiałabym patrzeć na twoją śmierć i nic nie mogłabym zrobić, idioto!

Uśmiechnął się.

– Poradziłabyś sobie jakoś, jesteś wyjątkowa i pomysłowa. Poza tym... Wszystko dzieje się po coś, wiesz? Każdy przypadek rodzi określone konsekwencje. Widać tak musiało być. – Nabrał głębiej powietrza i skrzywił się. – Zaraz wróci Kura. Musisz go zdjąć. Po cichu.

– Mam go zabić?

– Nie. Jego nie trzeba zabijać, tylko unieszkodliwić. Zaczaj się za drzwiami i walnij w łeb, sterroryzuj bronią, zrób cokolwiek, żeby go zneutralizować. Musimy z nim porozmawiać.

– Nie wie nic więcej ponad to, co ja wiem. O czym chcesz z nim rozmawiać, skoro nie będzie dalszego biegu tej sprawy? Chcesz go zabić jak tamtych, prawda? Ale ja ci na to nie pozwolę! Słyszysz?

– Nie możesz mieć pewności, co wie, a czego nie. Poza tym i tak tu zaraz przyjdzie. Przechwyć go przy drzwiach, zanim nam spieprzy, dobra?

Odetchnęła głęboko i pokiwała głową. Miał rację.

– Zostań tu – powiedziała twardo. – Ty też musisz mi jeszcze wyjaśnić kilka rzeczy.

– Nigdzie się nie wybieram, słońce. – Grzeliński znów się skrzywił. – Poleżę sobie tu jeszcze, jeśli pozwolisz...

## DZIECIAK

Iwona wyszła z pokoju rozkoszy. Obszerny hol pogrążony był w półmroku rozpraszonym odrobiną światła padającego przez otwarte drzwi pomieszczenia, z którego wyszła, oraz z kuchni. Rozejrzała się, próbując znaleźć najlepsze miejsce do ukrycia się. Kura po wejściu musiał ją minąć, żeby znaleźć się pomiędzy nią a Mattem. Musiał wpaść w pułapkę. Wybrała kuchnię i kiedy ruszyła w jej kierunku, nagle drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem i pojawił się w nich Kura.

– Mam! I nie zarysowa... – Zrobił kilka kroków i stanął.

Zaskoczył ją. Sam też był zaskoczony, kompletnie.

– Co to, kurwa, jest...? – wyjąkał.

Papierowa torebka z fiolką leku i kluczyki od porsche upadły z brzękiem na podłogę i nagle zapadła martwa cisza. Iwona i Kura patrzyli sobie w oczy, widziała na jego twarzy całą gamę emocji; od kompletnego zaskoczenia, przez zrozumienie i wściekłość. Palce opuszczonych wzdłuż ciała zadrgały, Kura sięgnął nagle do pasa i po chwili w jego dłoni pojawił się nóż. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby miał go przy sobie, ale był to niewielki i łatwy do ukrycia sztylet, pushdagger, z krótkim, trójkątnym ostrzem wystającym spomiędzy palców, śmiertelnie niebezpieczny w bliskim starciu, czego Iwona była świadoma.

– Zajebię cię, mamuśka, przysięgam. – Kura odsłonił wielkie zęby w grymasie wściekłości. – Wypruję ci flaki, zdradziecka kurwo.

Iwona przełknęła ślinę i uniosła pistolet. Dzielily ich może trzy, cztery metry.

– Nie, Kura, proszę cię! – Błagała go ze łzami w oczach. – Proszę cię! Nie podchodź do mnie!

– Zabijesz mnie? – Górna warga Kury drżała; pochylił się, ugiął nogi i przyjął postawę do ataku. – No powiedz. Zabijesz?

– Nie chcę tego, Kura, rozumiesz? Nie zmuszaj mnie, proszę cię! – Przycelowała: rozmazana twarz Kury wyłaniała się zza przyrządów

celowniczych, więc obniżyła lekko broń, celując w obszar tułowia, który na tarczy strzeleckiej określa się mianem strefy alfa albo kardioboxu.

Tylko że Kura nie był papierową tarczą, a żywym człowiekiem. Kolejnym, jakiego Iwona miała po drugiej stronie lufy.

– Jesteś wtyką. Od początku byłaś! – Kura kręcił z niedowierzaniem głową, kiwając się w przód i w tył.

– Tak, chłopaku. – Iwona puściła jedną ręką broń i wytarła łzy, a potem znów zacisnęła ją na kolbie. – Byłam. Od początku. Ratowałam dzieci, rozumiesz? Niewinne dzieci. Nie podchodź. Nie musisz mnie zabijać ani ja nie muszę zabijać ciebie. Możesz zrobić wreszcie coś dobrego! Co wybierzesz, Kura? Tylko od ciebie zależy, co teraz zrobisz, wiesz, chłopaku? Proszę cię, rzuć nóż i nie rób nic głupiego.

Jeszcze raz popatrzyła mu w błyszczące oczy i zorientowała się, że Kura jest naćpany. Widać skorzystał z okazji, że jest u dilerów i coś wciągnął. Pieprzony gówniarz. Teraz nie wiedziała, czego się po nim spodziewać. Mocniej ujęła broń, muszka i szczerbinka ani drgnęły, ale wiedziała, że ta sytuacja nie będzie trwać długo i Kura wreszcie na coś się zdecyduje. Pytanie brzmiało: na co, i jak zareaguje ona?

Więcej czasu na zastanawianie się nie dostała, bo Kura nagle zacisnął zęby. Wargi stały się cienką linią i chłopak skoczył do przodu, cofając rękę z nożem, żeby wziąć zamach. Iwona nie miała wyjścia. Jedyne, co mogła zrobić, i to ryzykując swoje życie, to opuścić broń jeszcze niżej, schodząc ze strefy wysokiej efektywności unieszkodliwiającej. Nie chciała go zabić, ale nie mogła po prostu zejść z linii ciosu i kombinować technikami obezwładniania. Treningi, które traktowała zawsze wyjątkowo poważnie, wpoili jej kilka zasad, których musiała trzymać się bez względu na sytuację, a ludzie na prochach są nieobliczalni i silni jak tury. Kiedy Kura był już metr od niej i widziała, że jest zdecydowany i równocześnie niezrównoważony, strzeliła. Energia pocisku obróciła go, siłą rozpędu przebiegł jeszcze dwa kroki, a potem zwałił się na podłogę z grymasem niewyobrażalnego zaskoczenia na twarzy. Nóż wypadł mu ręki. Iwona, nie spuszczając Kury z muszki, kopnęła żelastwo w bok.

Kura leżał na wznak i mrugał, wpatrując się w nią w milczeniu. Iwona przesunęła broń do pozycji *high ready* i oddychała szybko. Kiedy zobaczyła,

że Kura nie jest już w stanie jej zagrozić, odłożyła glocka na podłogę za sobą i uklękła przy chłopaku.

– Coś ty narobił, dzieciaku, Jezu, coś ty narobił? – łkała, kładąc sobie jego głowę na udzie.

– Zdradziłaś... Mnie... – wymamrotał.

Patrzyła, jak spojrzenie jego zasnutych mgłą bólu oczu przesuwają się po jej twarzy. Nic nie mówiła, tylko otarła mu z czoła pot. Był gorący.

– Też nie byłeś szczery wobec mnie, kiedy pytałam, czy jesteś czysty.

Uśmiechnął się słabo.

– No... Nie... Byłem... – stęknął. – Gdybym jednak nie wziął... nie wziął klamki, to...

Słyszając to, Iwona pomyślała, że wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej, chociaż nie chciała nawet zgadywać jak.

– Jesteśmy kwita, Kura, co ty na to? – Oddała uśmiech, równie słaby, jak ten jego sprzed chwili, i uniosła skraj jego koszuli, odsłaniając brzuch.

– Czy ja... Umieram? – wyszeptał.

Spowaźniała i zacisnęła wargi. Z małej dziurki na prawym boku sączyła się pulsującym strumykiem niemal czarna krew. To nie był dobry znak, bo pocisk najprawdopodobniej uszkodził jakieś duże naczynie w wątrobie.

– Nie wiem – skłamała. – Mam nadzieję, że nie.

– Mmmówiłem... że będzie... akcja. Wy... krakałem... – Przycisnął ręce do brzucha. – Miałem zabrać... ze sobą... kilku, pa... pamiętasz?

Nic nie odpowiedziała ani nie zrobiła żadnego ruchu. Patrzyli sobie w oczy.

– Chcę wiedzieć, czy je zabijałeś, Kura – powiedziała nagle twardo. – Nie mówię o Chemiku. Mówię o dziewczynach, które woziliście do klubu, zanim w to weszłam. Czy zabiłeś choć jedną? Muszę to wiedzieć, rozumiesz?

Twarz chłopaka była coraz bielsza. Wyglądał jak chore, trawione gorączką dziecko. Ściągnięte grymasem bólu wargi odsłoniły zęby i dziąsła.

– Zepchnąłem ją z tych schodów. Nie wiem, jak to się stało. – Dopiero po chwili Iwona uświadomiła sobie, że Kura mówi o swojej matce. – Nienawidziłem jej od dziecka. Za to, że jej nigdy nie było. Za to, że pozwoliła ojcu odejść, że o niego nie walczyła... – Zgiął się nagle w paroksyzmie bólu. – Za wszystko... Po prostu... Stała plecami do mnie... A ja... Coś mnie naszło... Nagle ją popchnąłem i patrzyłem, jak stacza się w dół tych

pieprzonych schodów. I nic nie czułem, mmm... mamuśka, wiesz? Wtedy nic. Tylko... pustkę...

Spojrzała na krew, którą umazane były jego przyciśnięte do brzucha dłonie. Poczowała, że zaraz rozleci się na kawałki i przez chwilę zapragnęła, żeby tak się stało. Żeby przestała istnieć.

– Wszystko będzie do... – zaczęła, ale chłopak patrzył już pustym spojrzeniem, które chwilę przed śmiercią uciekło gdzieś w bok, a jego klatka piersiowa znieruchomiała.

Iwona zsunęła z uda jego głowę, wypuściła ją z rąk i delikatnie położyła na podłodze. Nie było już łez. Nie czuła potrzeby płaczu, łzy się skończyły, była tylko pustka, ogromna pustka. Jak automat wróciła do pokoju rozkoszy, żeby choć spróbować przekonać Grzelińskiego, że to dalej nie ma sensu. Że muszą to skończyć, teraz.

Kiedy przekroczyła drzwi pomieszczenia, okazało się, że Matta w nim nie ma. Karabinka też nie było. To jego musiał zobaczyć Kura za jej plecami, widać Grzeliński pozbierał się jakoś, a może tylko wyglądał gorzej, niż się czuł. W każdym razie znów ją okłamał i nagle Iwona przypomniała sobie cień, który mignął jej w drzwiach domu Jończyka: ulotne wrażenie, którego nawet nie była pewna, teraz przybrało konkretną postać. Postać Matta Grzelińskiego.

Kim był ten człowiek? Mścicielem w mundurze, tak jak twierdził? W akcję CBS, nawet nie do końca legalną, przestała wierzyć w momencie, w którym zobaczyła go leżącego na podłodze w tym pomieszczeniu. Dotarło do niej teraz, że cała jej wiedza o nim oparta jest na jednym spotkaniu, podczas którego przekazał jej w komendzie wieść o zwolnieniu oraz na tych kilku rozmowach telefonicznych. Podszyć się pod oficera nie mógł, zresztą Wojtczak go znał, o co więc w tym wszystkim chodziło?

Patrzyła na ścianę, o którą jeszcze kilka minut temu siedział oparty inspektor Mateusz Grzeliński. Na wysokości pasa widniał na niej teraz niezbyt staranny napis nasmarowany krwią.

UCIEKAJ, SŁOŃCE.

Pod spodem było jeszcze jedno słowo.

BUM!

## BIAŁY NOSOROŻEC

Iwona stała jak porażona, zastanawiając się, jak tak ciężko pobity człowiek mógł wstać, nie wspominając o pójściu dokądkolwiek. Nie było sensu szukać go po tym wielkim domu. Ani sensu, ani czasu, zważywszy na to, co Grzeliński napisał na ścianie.

– Matt! – zawołała mimo to. – Maaaatt!

Nagle usłyszała jęk. Odwróciła się. Golczewski wciąż leżał na wznak, wpatrzony niewidzącym spojrzeniem we własne, poszarpane kulami ciało odbite w pokrytym lustrami suficie. Chyła dalej leżał na łóżku, na brzuchu. Żył. Odzyskał przytomność, lecz próby odpełnienia w którąkolwiek stronę były bezowocne, jego ręce ślizgały się we krwi, którą pokryta była satynowa pościel. Rozrzucone szeroko nogi były bezwładne, kula uszkodziła widać kręgosłup, co mogła potwierdzać czerwona plamka otaczająca niewielki, poszarpany na krawędziach otwór widoczny w białym materiale koszuli, którym pocisk opuścił ciało. Był dokładnie w osi pleców, tuż nad pasem. Reszta pocisków go chyba ominęła, kiedy Matt dostał krwotoku i osłabł.

Chyła jęczał z bólu i patrzył na nią oszalałym wzrokiem, z trudem obracając głowę. Pan życia i śmierci bał się. Żebrał o litość. Oto jedno ze zwierząt, na które polował, okazało się silniejsze. Pokonało go.

Iwona oddychała miarowo i szybko, a jej oczy zasnuła czerwona mgiełka. Nagle uświadomiła sobie, że Matt miał rację. Od początku miał rację. Nawet w tym, że zgodziłaby się na udział w tej akcji, wiedząc, że jest nielegalna. Przed oczami błyskawicznie przeleciało jej wszystko to, co zdarzyło się w ciągu ostatnich kilku tygodni. Roksi. Damiano. Wytatuowany chłopak. Horau i ten drugi, napaleni zwyrodnialcy szukający mocnych wrażeń. Oraz Kura.

I nagle coś w niej pękło.

– Powinnam sobie zrobić zdjęcie z nogą na twojej głowie, skurwysynu. – Podeszła i popatrzyła na Chyłę z góry. – Na tle tych wszystkich skurwysynów, z jakimi miałam do czynienia przez piętnaście lat pracy, ty

i twój tatuś jesteście jak białe nosorożce. Wyjątkowi i niespotykani. Najgorsze ścierwa, jakie widziałam w życiu.

– Nie możesz... – Chyła kręcił głową, skamłąc. – Nie wolno ci...

– Mogę i wolno mi. W tym domu wolno mi wszystko, takie są tu zasady i ty je tu wprowadziłeś. Silniejszy zabija słabszego i cieszy się tym, pamiętasz? To twoje słowa.

– Nie! Dam ci wszystko, przysięgam! – Przełknął ślinę, patrząc, jak Iwona wyjmuje zza paska broń. – Wszystko, rozumiesz? Czego tylko zechcesz!

– Matt miał rację. – Pokiwała z przekonaniem głową. – Miał pieprzoną rację. Czasem prawo po prostu zawodzi, bo ludziom, którzy je tworzyli, pewne rzeczy nie mieściły się w głowie, albo takich nie przeżyli. A ja przeżyłam. I dlatego chcę tylko jednego. – Zaciśnęła lewą dłoń na kolbie, aż bobrzy ogon boleśnie otarł skórę między kciukiem i palcem wskazującym, a palec wskazujący prawej dłoni wsunęła pod kabłąk, między język spustowy a osłonę. – Tylko jednego. I wcale nie musisz mi tego dawać. Wezmę sobie sama.

– Nieee! – Chyła wyciągnął rękę w ostatniej, daremnej próbie ocalenia życia.

Iwona była na skraju szaleństwa. Zdawała sobie sprawę, jak blisko jest tej granicy jawiącej się jej jako ostra jak brzytwa krawędź, przy której stała na trzęsących się nogach, a za nią była już tylko bezdenna otchłań. Jej umysł robił wszystko, żeby jej nie przekroczyć. Walczył. Podsuwał obrazy rzeczy, dla których warto było zostać po tej jasnej stronie. Aż w końcu nadeszła chwila, w której uświadomiła sobie, że jej nie przekroczy. Że na to nie pozwoli. Przekroczyła ich ostatnimi czasy kilka, ale tej na pewno nie.

– I ty też miałeś rację, skurwysynu – wywarczała Chyle prosto w twarz. – Zabijanie może sprawiać przyjemność. I szkoda, że nie mogę tego zrobić jeszcze raz twojemu tatusiowi. Zdychaj, skurwielu.

Jej dłoń drgnęła konwulsyjnie, wyprostowany i sztywny palec nacisnął spust, a potem zrobił to jeszcze kilka razy w odstępach ułamków sekund. Odgłosy wystrzałów zlały się w jeden huk, łuski wyskakiwały przez okno wyrzutnika jedna po drugiej i brzęczały na posadzce, jedna lekko oparzyła Iwonę w dłoń, ale nie zwróciła na to uwagi. Kiedy nacisnęła spust po raz kolejny i zamek został w tylnym położeniu, wskazując na brak nabożów w magazynku, Iwona wróciła do rzeczywistości.



Biała koszula na plecach Chyły upstrzona była krwawymi plamami. Jeden z pocisków ugodził go w potylicę, a w zasadzie w kark, tuż pod linią włosów. Iwona oddychała spazmatycznie i głośno, powietrze rzeziło jej w gardle, a smród spalonego prochu i krwi oraz stres wywoływały mdłości. Rzuciła glocka na ciało Chyły, jakby metal parzył ją w dłoń i tym samym momencie rozległ się głośny huk, który poraził jej uszy. Szyby w oknach i sprzęty na półkach zadrżały, kilka wibratorów wywróciło się, a jeden z nich włączył się i drząc konwulsyjnie, zaczął kręcić się po półce wokół własnej osi, aż wreszcie spadł na podłogę i zamarł w bezruchu.

Iwona patrzyła przez dłuższą chwilę na ten abstrakcyjny widok, ale nagle przypomniała sobie słowa Matta: „Z tego miejsca nie może zostać kamień na kamieniu”. Huk dobitnie świadczył o tym, że zaczynał wcielać je w życie, więc musiała zrobić jedyną rozsądną w tej sytuacji rzecz, czyli to, co napisał jej na ścianie.

Uciekać. Jak najszybciej.

Wybiegła z pokoju rozkoszy i po chwili znalazła się w kuchni. Przeskoczyła nad ciałem martwego ochroniarza, dopadła okna i otworzyła je na oścież, a wtedy w plecy uderzył ją podmuch ciepłego powietrza; tlen podsycił szalejący gdzieś w głębi domu ogień. Kiedy Iwona wyjrzała przez nie, do jej nozdrzy dotarł swąd spalenizny i wiedziała, że nie ma już na co czekać. Wskoczyła na parapet: do ziemi miała nieco ponad dwa metry, a na dole miękki grunt, więc skoczyła bez wahania. Na zewnątrz wciąż jeszcze panowała cisza, zapewne do wybudzonych hukem wybuchu ludzi dopiero docierało, co mogło się wydarzyć. Z lewej strony kątem oka Iwona dostrzegła jakiś blask. Odwróciła się i zobaczyła łunę migotliwie rozświetlającą korony drzew i bujne, wysokie krzewy otaczające dom. Po chwili pojawił się kolejny blask i zobaczyła jęzor ognia wyłaniający się zza załomu muru i łapczywie sięgający gałęzi. Rzuciła się między krzewy i zatrzymała się na płocie. Chwyciła pręty, żeby go przesadzić skokiem, jednak coś nagle przykuło jej uwagę.

Na ulicy stał samochód, ciemny land rover. Jego silnik pracował, snopy reflektorów wyłuskiwały z półmroku zaparkowane auta i płoty posesji. Iwona schyliła się, wyjrzała pomiędzy prętami kutego ogrodzenia i wtedy nagle ujrzała Grzelińskiego. Chwiejnym krokiem podszedł do samochodu od strony bramy wjazdowej. Szedł skulony, z ręką przyciśniętą do boku. Spod

pachy wystawał mu jakiś ciemny, prostokątny przedmiot, który błysnął gładką powierzchnią w świetle latarni, a z ramienia zwisał na pasie karabinek. Grzeliński otworzył drzwi od strony pasażera, a tuż przed tym, zanim jego twarz zniknęła za ciemną szybą, Iwona zdołała dostrzec szeroko otwarte, jak do krzyku usta. Ten ruch musiał go sporo kosztować. Sporo bólu i sił.

Kiedy ocknęła się z odrętwienia wywołanego zaskoczeniem, było już za późno. Samochód ruszył gwałtownie, a ona nie zdążyła nawet zobaczyć, kto siedzi za kierownicą, choć i tak szanse na to były nikłe, bo postać kierowcy spowita była mrokiem. Jedna tylko rzecz zwróciła uwagę Iwony. Zamiast zarysu górnej połowy sylwetki z wyodrębnioną głową zobaczyła nieokreślony kształt. I to nie mogła być czapka. Już raczej włosy. Długie, luźno opadające na ramiona włosy. Przypomniały jej się słowa Jaśka. Carne jak noc huncfuty...

Po chwili auto zniknęło za drzewami, a ona patrzyła za nim zdumiona, słuchając, jak za jej plecami ogień zaczyna ryczeć, a ze środka wili dochodzi trzask kolejnych elementów konstrukcji poddających się piekielnej temperaturze pożaru. Usłyszała też jęk pierwszych syren. Rozsunęła jeszcze na chwilę gałęzie, rzuciła okiem na płonący budynek i przypomniała sobie news o pożarze fermy, który tak niedawno przeczytał jej Kura.

– Kumulacja, skurwysyny – wyszeptała do siebie. – Tam gdzie trafiliście, też pewnie jest gorąco...

## ZGLISZCZA

Iwona szła przez ciemne, puste miasto w kierunku centrum. Miała przy sobie kopertę z kilkoma tysiącami, którą Kura woził w schowku mercedesa. I to była jedyna rzecz, jaką zabrała z tamtego miejsca. Nie słyszała już jęku syren wozów strażackich, migające refleksy niebieskich błysków zniknęły jeszcze dawniej. Szła krokiem robota, oddychając głęboko rześkim, nocnym powietrzem, starając się nie myśleć o niczym.

Nie dało się. Mogła zapanować nad drzeniem mięśni, nad oddechem, nad mimiką twarzy, ale nie nad myślami, które znów kłębiły jej się w głowie.

Zostało mnóstwo pytań, na które trzeba było znaleźć odpowiedź. Czy Roszak w tym uczestniczył? Czy było ich więcej? Czy faktycznie tak jak uważała, to był rodzinny interes dwóch zboczeńców i psychopatów? I co chce zrobić teraz Matt? Podejrzewała, że to, co miał pod pachą, kiedy wsiadał do land rovera pod Klubem 526, było laptopem Chyły albo Golczewskiego. Być może było w nim sporo odpowiedzi na pytania, które sobie zadawała. Być może było w nim coś, co sprawi, że kraj zatrzęsie się od skandali. A być może spowoduje to tylko przepływ gotówki z kilku kont na jedno, które należy do Grzelińskiego. Była świadoma, że może zdarzyć się wszystko i że nie ma na to wpływu.

A potem zadała sobie pytanie, czy to ją w ogóle obchodzi. Zrobiła, co trzeba. Wykonała swoją część roboty, a teraz musiała odpocząć i zapytać samą siebie, co dalej. Jak żyć. I za co? Bo jej życie było tym samym, co zostało z willi na Śmiałej: zgliszczami, wypaloną, pustą skorupą. Była wrakiem człowieka. W dodatku samotnym jak pies w schronisku.

Iwona błagała w myślach los tylko o jedno. Żeby Grzeliński nie był zgniłym jabłkiem w koszyku, czarną owcą, wyrachowanym skurwysynem, który z jej pomocą i pod pozorem walki ze złem zrobił właśnie interes życia. Bo wtedy wszystko to, co przeżyła i zrobiła, poszłoby w diabły. Całe jej poświęcenie, cierpienie i ta walka stałyby się gównem warte i chyba tego

nie zniosła. Była w stanie żyć z kilkoma trupami na sumieniu, ale nie z czymś takim. To by ją chyba zabiło.

Dotarła do centrum i włączyła się po okolicach Dworca Centralnego, obserwując bezdomnych, pierwszych pasażerów, sprzątaczy, potem kupiła w kasie bilet i dalej chodziła, aż przyjechał pierwszy pociąg do Szczecina. Kiedy do niego wsiadła, zasnęła niemal od razu oparta głową o okno: za nim przesuwiał się świat, który kompletnie jej nie interesował.

Po powrocie do domu zaszyła się w nim. Matce wmówiła, że ma covid i przez kilka dni nie może wychylić nosa za drzwi mieszkania. Zamówiła jej zakupy do domu i powiedziała, że się odezwie, kiedy się lepiej poczuje.

A potem, pewnego ranka zadzwonił Wojtczak i powiedział jej, że przyjechał ktoś z CBŚP i bardzo chciałby się z nią zobaczyć.

– Masz go tam obok? – zapytała byłego szefa, przekręcając się na plecy i przeczesując brudne włosy palcami.

Nie myła ich od kilku dni. Siebie też nie.

Leżała akurat na kanapie, po prostu gapiąc się w podłogę. Teraz, zamiast układu słoików na panelach, mogła studiować na suficie delikatne cienie firanek poruszanych lekkim, wpadającym przez uchylone okno wiatrem.

– Tak, pan inspektor jest koło mnie.

– Dasz mi go do telefonu? – poprosiła.

– Jasne – odparł skwapliwie.

Usłyszała jakieś szumy, kiedy Wojtczak przekazywał komórkę kolejnej szyszce, która chciała się z nią zobaczyć.

– Dzień dobry, Jacek Bruś, zastępca komendanta Centralnego Biura Śledczego Policji, chciałbym się z panią komisarz spotkać, żeby...

– Nie jestem komisarzem – przerwała mu z ciężkim westchnieniem. – I odpierdolcie się już ode mnie wszyscy, dobra?

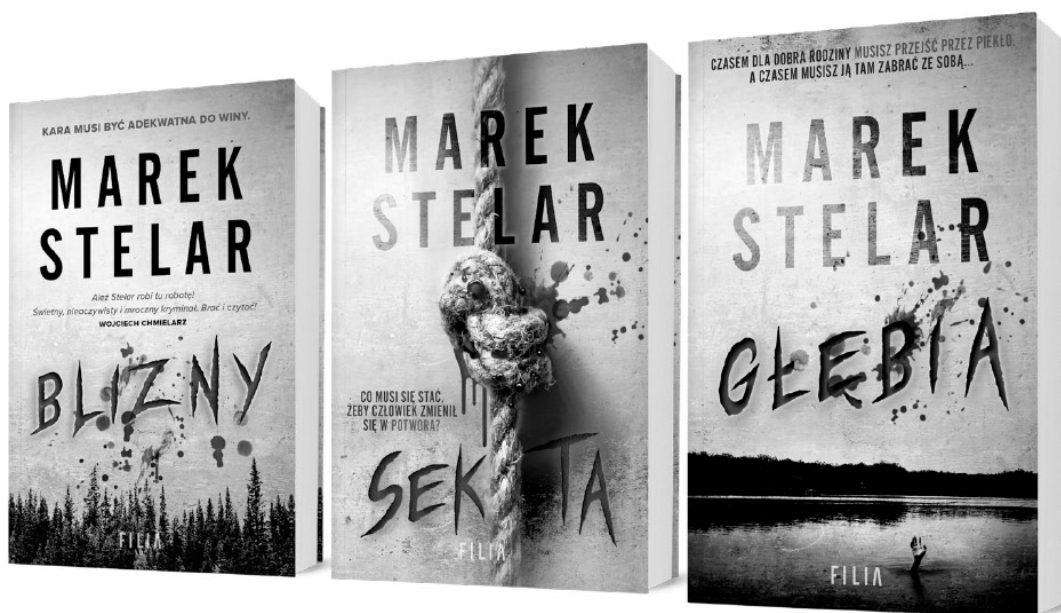
Odłożyła telefon na stolik i znów wbiła wzrok w sufit, na którym wciąż tańczyły delikatne cienie firanek.

– Zostawcie mnie w spokoju – wyszeptała i zamknęła oczy, żeby niczego nie widzieć.

*Szczecin / Pilchowo, 09.09 – 14.11.2022*

*Ależ Stelar robi tu robotę!  
Świetny, nieoczywisty i mroczny kryminał. Brać i czytać!*

**WOJCIECH CHMIELARZ**



*Wyrazisty i trzymający w napięciu.  
Kryminał Stelara to klasa sama w sobie!*

**ROBERT MAŁECKI**

**FILIA** MROczNA  
STRONA

# SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

SYNEK

MICHAŚ

DWIE MATKI

KRZYSIEK

PAN SZYCHA

Q

AGNIESZKA

D-SCENT

HERR FLICK Z GESTAPO

KURA

KAROLINA

SZWAB

TRUP

DAMIANO

KÖNIGS WUSTERHAUSEN

PINK CLUB

DZIEWCZYNA Z BRZÓZEK

MATT

ŚMIERĆ I DZIEWCZYNA

PIĘTNAŚCIE KAWAŁKÓW

MATT

CZŁOWIEK Z SAMEJ GÓRY

CHŁOPAK

GOLUM

MATT  
KURA  
STASINKA  
526  
POŻAR  
POKÓJ ROZKOSZY  
QUENTIN TARANTINO  
DZIECIAK  
BIAŁY NOSOROŻEC  
ZGLISZCZA

Reklama  
Karta redakcyjna

Copyright © by Marek Stelar, 2022  
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: © Pola i Daniel Rusiłowiczowie

Redakcja: Jacek Ring  
Korekta: Dorota Wojciechowska  
Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-658-8

**FILIA**

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona  
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.